

K.A.Tucker

PIĘĆ
SPOSOBÓW
NA
UPADEK

Czasami nie możesz czegoś
zmienić, a czasem nie chcesz.

K.A.Tucker

**PIĘĆ
SPOSOBÓW
NA
UPADEK**

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

Dla Lii i Sadie
*Jeśli będziecie chciały mieć fioletowe włosy, to proszę bardzo.
(Prawdopodobnie pewnego dnia pożałuję tych słów).*

Dla Sarah Cantin
Za łapanie wiewiórek.

PROLOG

Tylko mnie to spotyka?

Czy może każdy robi w życiu coś „szalonego” – kiedy emocje z przytłaczającą siłą biorą górę nad rozumem, zmuszając do mówienia i robienia rzeczy, które szokują innych ludzi, przez co zastanawiają się, dlaczego postępujesz tak głupio, dlaczego nie możesz po prostu odpuścić i dostrzec prawdy.

Zazwyczaj jednak człowiek ma gdzieś, co myślą lub robią inni, ponieważ to jego życie i jego serce. Serce, które zostało pochłonięte.

To właśnie zrobił Jared.

Pochłoniął moje serce, a wtedy reszta, która pozostała, po prostu... się rozpadła.

Może jestem odrobinę zbyt melodramatyczna. Być może, gdy wymyślę, jak się pozbierać, będę potrafiła się z tego śmiać.

Do tego czasu... resztki mnie będą tu tkwiły, leżąc na stosie odrzucenia.

Ponownie.

Reese

ROZDZIAŁ PIERWSZY

REESE

Nigdy wcześniej nie widziałam takiego wyrazu twarzy u taty.

Ma go odkąd wyszedł z budki telefonicznej.

– Idź już – nakazuje ostrym głosem. – Wejdź do środka.

– Ale... czemu? – piszczę, zerkając ostrożnie na pusty bar dla kierowców ciężarówek, w którym siedzi jedynie człowiek z brodą Świętego Mikołaja.

– Reesie, skarbie. – Nie podoba mi się jego ton. Jest tak poważny, że zaczyna mi drżeć dolna warga. – Chcę, byś wróciła do środka, usiadła przy naszym stoliku i poprosiła miłą panią kelnerkę o kolejny kawałek ciasta orzechowego, które tak lubisz – mówi powoli.

Przełykam łzy.

– Sama?

Jego twarz tężeje, jakby był zły.

– Tylko na trochę.

– A potem przyjdiesz?

Zaciska powieki i myślę, że naprawdę bardzo go rozgniewałam, ale... przecież nigdzie nie chodziłam sama. Mam pięć lat.

– Pamiętaj, że tatuś cię kocha, córeczko. A teraz idź już.

Tłumiąc płacz, przesuwam się na starej kanapie i otwieram ciężkie drzwi zdezelowanego forda.

– Reesie – woła tata, gdy moje czerwone buciki dotykają ziemi.

Odwracam się i widzę, że ociera coś z policzka, puszcza do mnie oko i się uśmiecha. Drzwi samochodu trzaskają głośno, gdy z wysiłkiem je zamykam. Wstrzymując oddech, wspinam się po schodach i tak mocno, jak tylko potrafię, popycham drzwi wejściowe do baru, po czym słyszę dźwięk zawieszzonego nad nimi dzwoneczka. Przemierzam czarno-białą podłogę i wspinam się na krzesło przy naszym stoliku. Tym, przy którym siedzieliśmy, zanim tata zadzwonił do mamy. Widzę, że nadal leżą na nim nasze talerze, następnie unoszę wzrok, w samą porę, by przez szybę zobaczyć oddalające się światła samochodu ojca.

Kiedy podchodzi miła pani kelnerka z burzą włosów, mówię, że tatuś zaraz wróci i zamawiam kawałek ciasta orzechowego z czekoladą, mówiąc „proszę” i „dziękuję”. Potem siedzę przy stoliku, jedząc ciasto i myśląc, jakie mam szczęście, że dostałam dwa kawałki jednego dnia.

I czekam.

Podpieram się na rękę i gapię przez okno, czekając, aż pojawi się znajoma niebieska półciężarówka. Co jakiś czas sprawdzam, czy nie dzwoni dzwoneczek nad drzwiami.

Kiedy siada naprzeciw mnie miły pan policjant i pyta, gdzie jest tatuś, mówię, że zaraz wróci.

Teraz nie ma przy mnie policjanta, który by mnie pocieszył. Nie ma miłej kelnerki, która przyniosłaby mi kolejny kawałek ciasta, by zwalczyć gorycz w ustach. Ale przynajmniej tym razem nikt mnie nie porzucił. Przypominam sobie o tym w chwili, w której przez niewielkie okienko w drzwiach widzę twarz ojczyma.

Jego szpakowate włosy posiwiały nieco bardziej, a po brzuchu widać, że przybrał kilka kilogramów, odkąd go ostatnio widziałam – dziewięć lat temu – jednak nie mam wątpliwości, że to Jack Warner. Wątpię jednak, czy on mnie rozpozna. Po sposobie w jaki patrzy niebieskimi oczyma na moje fioletowe pasma włosów... na kolczyki... na gigantyczny tatuaż z imieniem Jared zawijający się wokół mojego prawego ramienia, wnoszę, iż ma chęć zapytać policjanta, czy zaprowadził go do właściwego pomieszczenia.

Mam szczęście, że w ogóle się tutaj znajduję. Normalnie wrzucają człowieka do celi lub każą siedzieć na korytarzu obok lumpa imieniem Seth, od którego wali wodą i potem. Jestem pewna, że policjantce, która mnie aresztowała, było mnie żal. Sądząc po śmiertelnie ostrym spojrzeniu, którym obrzuciła Jareda i Caroline, gdy zostałam odeskortowana z mieszkania Liny, znajdującego się obok ich mieszkania, do radiowozu, policjantka nie była pod wrażeniem tego, co usłyszała na temat zajścia.

Oczywiście nie usłyszała o tym ode mnie. Dorastając wśród prawników nauczyłam się, by bez obecności jednego z nich nie mówić nic policji. To Lina, moja przyjaciółka i sąsiadka, oświadczyła, że mieszkanie, które zniszczyłam, technicznie nadal należy do mnie – nawet jeśli moje imię nie znajduje się na umowie – i że powinni zamknąć tę kłamliwą sukę bez serca, która ukradła mi męża.

Niestety, tylko ja teraz tutaj siedzę.

Wstrzymuję oddech, obserwując jak Jack zajmuje miejsce, poprawiając nieco pomięty garnitur na swojej dużej sylwetce, starając się usiąść wygodniej na niewielkim, plastikowym krześle.

O ironio – w tej chwili czuję, jakby stanowił integralną część mojego dzieciństwa, a jednocześnie był kimś zupełnie obcym.

Nie wierzę, że do niego zadzwoniłam.

Nie wierzę, że naprawdę przyjechał.

Wzdycha ciężko i w końcu mruczy:

– Okruszku. – Patrzy na mnie jak wtedy, gdy przyłapał mnie na przestawianiu liter w tekstach pieśni Kościoła Baptistów na słowa, których dziewięciolatka, a nawet dwudziestolatka, nie powinna mieć w swoim słowniku. Mimo rozluźnienia relacji, natychmiast czuję ciepło rosnące mi w piersi. Od lat nikt mnie tak nie nazywał. – Zniszczenie mienia?

Domyślam się, że policja już go wtajemniczyła.

– Wolę to nazywać artystyczną ekspresją. – Za płótno posłużyły snobistyczne ubrania Caroline, jej porozrzucane kiczowate poduszki oraz pornograficzne zdjęcie jej i Jareda zawieszony nad naszym łóżkiem. – Poza tym – unoszę ręce umazane szkarłatem i dodaję z kamienną miną – nie mają dowodów, że to ja. – Kiedy Lina znalazła mnie siedzącą w jej ciemnej kuchni, bo mieszkałam u niej od dwóch tygodni, krzyknęła tylko raz, zanim zdała sobie sprawę, że nie jestem maniacką morderczynią, a to, co mam na rękach, to czerwona farba. Prawdopodobnie powinnam utrudnić gliniarzom robotę i wyszorować ręce przed ich przyjazdem.

Smutny uśmiech maluje się na jego twarzy. Zastanawiam się, czy moja próba błysnięcia humorem odpowiednio ukrywa zawód miłosny i odrzucenie, w których tonę po tym, jak odkryłam, że mój mąż ma romans ze swoją licealną sympatią.

– W drodze tutaj zadzwoniłem do Barry’ego. Wygląda na to, że przez ostatnie kilka lat nie pozwalałaś mi na nudę. – Po zaciśniętych ustach poznaję, że mimo upływu dziewięciu lat, nie była to dla Jacka przyjemna rozmowa. Wcale mnie to nie dziwi. Znajomi od kołyski, Jack i Barry, byli kiedyś współnikami w kancelarii. Aż Barry nawiązał romans z żoną Jacka.

Moją matką.

Cała przyjaźń natychmiast wyparowała – zastąpiona goryczą, która najwyraźniej nie osłabła. Spoglądając na jego dłonie, automatycznie zauważam brak obrączki. Zgaduję, że się ponownie nie ożenił. Po tym, co zgotowała mu moja matka, jakoś go nie winię.

– I rozumiem teraz, dlaczego do mnie zadzwoniłaś. Nie miałaś innego wyjścia, prawda?

– Nie bardzo – przyznaję, skupiając się na gwiazdkach, które narysowałam palcem na zimnym, metalowym stole. Barry jest cenionym, wysoko opłacanym, odnoszącym sukcesy obrońcą w sprawach karnych, który niejednokrotnie musiał wyprowadzić swoją niesforną pasierbicę z kłopotów.

Ostatni incydent miał miejsce w dniu moich osiemnastych urodzin, kiedy to postanowiłam, że zabawnie będzie pobawić się jak za starych, dobrych czasów, pokazując przejeżdżającym samochodom goły tyłek.

Jednym z tych samochodów był radiowóz.

Prowadzący go policjant był spiętym fiutem.

A ja byłam pijana.

Po tym, jak pomógł mi uniknąć oskarżenia o publiczne obnażanie się i picie w wieku nieletnim, Barry powiedział, że moja młodociana kartoteka jest już pełna, a ja jestem dorosła i mam sobie radzić, bo on umywa ręce. Zostało to przypieczętowane trzy miesiące później, gdy matka zostawiła go dla męża numer cztery.

– Jestem zdziwiony, że nowy mąż Annabelle nie chciał tego szybko zamieść pod dywan.

– Nie dzwoniłam do Annabelle. Nie chcę, by o tym wiedziała. – Przestałam mówić do niej „mamo”, gdy miałam osiem lat. Obie uznałyśmy, że nie pasuje to do kobiety, której prawdziwą pasją było chodzenie do klubów i picie dirty martini.

Nagle przestaję rysować gwiazdki.

– Nie dzwoniłaś do niej, prawda? – To byłoby jak dostarczenie jej torped do skutecznego ataku z powietrza. Zadzwoniłaby po wszystkim. Powiedziałyby, że nie robiłam wystarczająco dużo, by zatrzymać przy sobie mojego przystojnego męża.

Jack śmieje się cicho.

– Nie, oczywiście, że do niej nie dzwoniłem. Co miałbym jej powiedzieć? Nie poinformowałaś mnie wcześniej o tym, co się dokładnie stało. Chociaż wygląda na to, że wpadłaś w niezłe bagno.

Wzdycham z ulgą i wracam do kreślenia gwiazdek.

– Też mi tak powiedzieli. – Kiedy gliniarze zaczęli wymieniać słowa takie jak „kradzież” i „zagrożenie zdrowia lub życia” – określeniami wyolbrzymionymi i niedorzecznymi, które permanentnie zniszczyłyby moją czyściutką i pachnącą kartotekę osoby dorosłej – wiedziałam, że tak łatwo się z tego nie wywinę. Nie pomógł też fakt, że jako cel dla nożyczek upatrzyłam sobie zdjęcia Caroline, precyzyjnie wycinając z każdego jej oczy. – Fajnie, że nadal masz kancelarię prawną. Łatwo można było cię znaleźć.

Jack krzyżuje ręce na piersi i patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Jakaś część mnie – mała, wkurzona dziewczynka w moim wnętrzu – jest gotowa wybuchnąć i zapytać: „Jak mogłeś mnie

zostawić?! Wiem, dlaczego odszedłeś od mamy, ale jak mogłeś tak łatwo wykreślić mnie ze swojego życia?! To nie ja cię zdradzałam!”), ale tylko przygryzam dolną wargę. Wkurzanie jedynej osoby, która jest mi teraz w stanie pomóc, nie byłoby najmądrzejszym pomysłem. A muszę być sprytna.

W końcu Jack opiera się na krześle i mówi:

– Dobrze, Reese. Zaczniј od samego początku, a potem zobaczymy, co da się z tym zrobić.

Łapię się na tym, że zaciskam usta, by się nie roześmiać. Nie dlatego, że to zabawne. Dlatego, że taka sytuacja miała już miejsce. Naprawdę zaczynam się czuć jak w dawno miniony wieczór, gdy spotkaliśmy się w kuchni około północy – kiedy Annabelle poszła spać, a Jack wrócił do domu z pracy – by nad miską lodów porozmawiać o moim ostatnim wybryku. Teraz przyjął nawet ten sam hipnotyczny ton, którym zawsze do mnie przemawiał, gdy nauczyciele, doradca zawodowy, czy inni nie potrafili wydusić ze mnie ani słowa. Jestem pewna, że używa go także w stosunku do klientów.

Dwadzieścia minut później, po tym, jak wtajemniczyłam go w swoją sytuację, słyszę jego rozczarowane westchnienie.

– A praca w sklepie zoologicznym, Reese?

– Już tam nie pracuję. – Kiedy wyszłam wcześniej z pracy, ponieważ źle się poczułam, i w domu nakryłam Jareda i ją pod prysznicem (dziwne, bo im częściej odtwarzam tę scenę w myślach, tym mocniej zaczyna przypominać scenę prysznicową z *Człowieka z blizną*), spędziłam tydzień w łóżku Liny, mocno znieczulona Jim Beamem i tabletkami uspokajającymi. Szef wylał mnie przez telefon.

Mam to gdzieś.

– I ślub w Vegas? W wieku dwudziestu lat? Po sześciotygodniowej znajomości? – Wiem, że śmiech wypełniający pomieszczenie nie jest przeznaczony dla mnie, jeszcze zanim jego słowa to potwierdzą. Jack po prostu śmieje się z ironii tego wszystkiego. – A zawsze byłaś tak stanowcza w tym, że nigdy nie wyjdiesz za mąż.

Nie wiem, co odpowiedzieć, oprócz cichego:

– Kochałam go.

Gula łez tworzy mi się w gardle, gdy walczę, by się nie rozplakać. Naprawdę go kochałam. Myślę, że nadal go Kocham, pomimo tego, jak bardzo mnie zranił. Od tamtego dnia, pół roku temu, kiedy wychodziłyśmy z mieszkania mojej najlepszej przyjaciółki Liny i dosłownie wpadłyśmy na jej sąsiada, reinkarnację miętowookiego, greckiego półboga, wiedziałam, że spotkałam swoją bratnią duszę.

Ekspłodowały fajerwerki, uderzył piorun, popłynął prąd. Wydarzyły się wszystkie te pierdoły związane z miłością od pierwszego wejrzenia, w które nie wierzyłam – i natychmiast stałam się ich szablonową wyznawczynią. Zdrowy rozsądek, z przywiązaniem do nogi głazem, wyleciał przez okno.

Jared mówił, że też to czuł.

A teraz, po niemal pięciu miesiącach małżeńskiego szczęścia, bez żadnego ostrzeżenia, tak po prostu do niej wrócił.

Ta zgniła choroba, ropiejąca w moim wnętrzu, podsyca myśl o nim, a upokarzająca rzeczywistość pali mnie i nie chce przestać.

– Posłuchaj, Reese, wiem, że zawsze byłaś dzika, nawet jako mała dziewczynka. Chociaż wybory, których dokonałaś, odkąd widziałem cię po raz ostatni... – Kręci głową. – Posiadanie marihuany... włamanie... picie alkoholu jako nieletnia... walka na pięści?!

– To naprawdę nic wielkiego. Wiele osób pije i pali trawkę w liceum – argumentuję, po czym dodaję: – Tyle że mnie na tym przyłapano.

– Samochody wyścigowe?! – Patrzy na mnie pytająco.

– To były zwykłe samochody, ktoś całkowicie przesadził – wyjaśniam.

Jack wygląda na wyczerpanego, zdejmuje okulary i mocno przeciera twarz. Z Miami do Jacksonville są cztery godziny jazdy, a on przyjechał tu w pięć godzin po tym, jak do niego zadzwoniłam, co oznacza mniej więcej tyle, że rzucił wszystko, czym się zajmował.

– Przynajmniej nie jestem w ciąży – żartuję.

Po zirytowanym spojrzeniu, które mi posyła, poznaję, że nie uważa tego za śmieszne.

– Myślałem, że jesteś na tyle mądra, by nie pakować się w takiego rodzaju kłopoty.

– Najwyraźniej nawet mądre dziewczyny potrafią zrobić sobie szambo z życia, prawda? – mamroczę, choć te słowa bolą.

Ponieważ są prawdziwe.

Następuje dłuższa chwila milczenia, w której Jack krzywi się, patrząc na mnie w zamyśleniu.

– Co zamierzasz teraz ze sobą zrobić, Reese? Jak masz zamiar się z tego wykaraskać?

Kiedy byłam mała, Jack miał w zwyczaju pytać mnie o to, jak powinnam zostać ukarana za swoje dziecięce występki. Myślę, że był to sposób, bym zaakceptowała pokutę, a jednocześnie nie postrzegala go jako surowego ojczyma. Byłam dobra w wymyślaniu sobie odpowiedniej kary i było to zdecydowanie lepsze niż siedzenie w fotelu i słuchanie krzyków matki, jakiego to wielkiego wstydu jej narobiłam, i patrzeć, jak podczas żywej gestykulacji wylewa z kieliszka martini.

Jednak nie jestem już dzieckiem, a Jack nie prosi mnie o wymyślenie sobie kary. Pyta mnie, w jaki sposób zamierzam naprawić swoje życie.

I wszystko, co mogę mu zaoferować, to wzruszenie ramion w geście poddania. Ponieważ tak się właśnie teraz czuję. Pokonana.

– Nie wiem. Chyba muszę znaleźć sobie inną pracę.

– A co ze studiami?

Zanim mogę się powstrzymać, przewracam oczami. Jack zawsze nienawidził tego gestu.

– Moje świadectwa raczej nie podbijają komisji rekrutacyjnych.

Podobnie jak wydalenie z prywatnej szkoły za włamanie do pokoju nauczycielskiego, po to, by wykraść swoją kartę odpowiedzi z egzaminu semestralnego.

– Ponieważ nie mogłaś się uczyć?

W odpowiedzi unoszę brwi.

– Ponieważ nie chciałaś się uczyć – odpowiada sam sobie, kręcąc głową, a jego twarz jest maską skrajnego rozczarowania. – Właśnie tak chcesz żyć? Wsiadając i wysiadając z radiowozów? Pracując za minimalną stawkę? Pakując się w niestabilne związki?

– Czy ktoś kiedykolwiek naprawdę tego chciał?

Jack ma rację. Byłam mądra. Niektórzy mogliby powiedzieć, że nadal jestem. Jednak po drodze wzięłam tyle błędnych zakrętów, że nie wiem, ile musiałabym wziąć dobrych, by obrać właściwy kierunek.

Nie wiem, czy to w ogóle możliwe.

Siedzę w ciszy, słuchając monotonnego tykania zegara na ścianie z naprzeciwka, obserwując Jacka, który oddychając głęboko, lecz nierówno, nieprzerwanie bawi się złotym roleksem na nadgarstku. Nie wiem, czy mogę na niego liczyć. To znaczy, raz już o mnie zapomniał. Patrząc na dwudziestoletnią wersję osoby, którą kiedyś znał, zapewne jest gotów wymalować mi na czole napis „przypadek beznadziejny”.

Po chwili wbija we mnie spojrzenie swych szarych oczu.

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, co zastanę po przyjeździe, ale miałem dużo czasu na myślenie.

– Splata dłonie przed sobą, przybiera srogi wyraz twarzy. – Mam dla ciebie propozycję. Ale mam też warunki.

Wzdycham słabo i przygryzam wewnętrzną stronę policzka, czując jednocześnie ulgę i nieufność.

– Dobrze. Tak?

– Żadnych wyskoków, Reese. Nawet najmniejszych.

– To mój pierwszy pobyt tutaj od lat, Jack. – Jak na ironię, sama siebie przekonałam, że poznanie Jareda to punkt zwrotny mojego życia, że odtąd będę szczęśliwą, uśmiechniętą żoną, która wychodząc z domu będzie trzymała się z dala od kłopotów.

– Tak... – Przygląda się ścianom policyjnego posterunku. – A mimo to znowu tu siedzisz.

Nie rozumie tego. Pewnie mnie nie słuchał.

– To było co innego, Jack! Ona się wprowadziła! A ja nawet nie zdążyłam się wyprowadzić!

Wszystkie moje rzeczy nadal znajdują się w tamtym mieszkaniu!

Unosi rękę, by mnie uciszyć.

– Powinnaś obrócić się na pięcie i wyjść. Tak postąpiłaby dorosła, odpowiedzialna osoba. Zamiast tego pozwoliłaś, by emocje przejęły nad tobą kontrolę.

Uśmiecham się, ponieważ skądś to znam.

– Zawsze mówiłaś, że jestem zbyt emocjonalna.

– Dokładnie tak mówiłem – przyznaje ze smutnym uśmiechem. – I nadal mam rację. Ale koniec z tym, Reese.

Bawiąc się luźnym rękawem, jakby ten temat nie ranił mi serca, mówię od niechcienia:

– Z całą pewnością mogę obiecać, że nie wyjdę ponownie za mąż. Nigdy.

Uśmiecha się lekko.

– Ja też, dzieciaku. – Następuje krótka pauza. – Pamiętasz Masona, prawda?

Mój dziwny, przybrany brat, który połowę życia spędził, krzywiąc się na mnie, a drugą połowę gapiąc się, jakbym miała obrócić głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni. Pamiętam dzień, w którym się wyprowadzałyśmy, a on patrzył na mnie z gorzkim uśmiechem, jakby miał pewność, że pójdę w ślady matki.

Gardził moją mamą od dnia, w którym ją poznał.

Jack, widząc moje zaciśnięte usta na samą wzmiankę tego imienia, uśmiecha się.

– Ach tak, jakżebyś mogła zapomnieć? Twoje nemezis. Cóż, tej wiosny kończy prawo. – Jack bierze głęboki wdech, po czym wstrzymuje powietrze, jakby się wahał. – Może zamieszkas z nami, póki nie staniesz na nogi?

Co?!

Jack ciągnie dalej, nie zważając na wyraz zagubienia, który musi się malować na mojej twarzy.

– Mogę załatwić ci wejście na kurs asystentów prawniczych na uniwersytecie w Miami. Gdybyś go skończyła, mogłabyś dla mnie pracować. Niekoniecznie na zawsze, ale miałabyś coś konkretnego do wpisania w CV. Świeży start.

– Ja... ee... – *Dobrze słyszałam?*

Jego spojrzenie prześlizguje się po moich włosach.

– Musiałabyś pomyśleć o bardziej naturalnym kolorze włosów, jeśli chciałabyś pracować w biurze i... – Skupia wzrok na maleńkim diamenciku, który mam w nosie, po czym się krzywi. – I może

powinnaś zrezygnować z paru kolczyków.

Ale... Kiedy mój umysł zмага się z tą propozycją, język w jakiś sposób staje się bezużyteczny. To tak odległe od tego, czego się spodziewałam.

– Dlaczego to robisz, Jack? To znaczy, to świetny pomysł i w ogóle, ale dlaczego? – Naprawdę nic mi nie jest winien. I tak wystarczy, że przejechał całą tę drogę, by wpłacić kaucję.

– Ponieważ nie powinienem odwracać się do ciebie plecami, Reese. Powinienem... – Błysk bólu w oczach zakłóca jego raczej spokojną postawę. – Powiedzmy, że to forma zadośćuczynienia. – Milknie. – No więc, co ty na to? Muszę wyjechać z tego miasta. Czuję, że zbliża się cień Annabelle. – Drży, by podkreślić swój nastrój, a ja prychem ze śmiechu.

– No... – Stukając palcami po stole, rozważam swoją sytuację. Siedzę na posterunku policji. Znowu. Nie mam pracy ani mieszkania, mam za to złamane serce i pełną kartotekę. Od dłuższego czasu powinnam zrobić jakiś dobry ruch. Jednak... – Nie jestem pewna, czy gliny mi na to pozwolą, Jack.

– Zostaw to mnie.

Następuje kolejna chwila milczenia.

– Jeżdżę na dwóch kółkach.

Jack krzywi się z niezadowoleniem.

– Zakładam, że nie mówisz o rowerze.

– Nie, to nie rower – potwierdzam z niewielkim uśmiechem. Mam prawo jazdy na motocykl, odkąd skończyłam osiemnaście lat, a zaledwie kilka miesięcy później kupiłam sobie motocykl. Kolejny element mojego „chuligaństwa”, który kocha Jared.

Kochał.

Jack wzdycha.

– To nie powinno mnie dziwić. Zawsze groziłaś matce, że sobie taki sprawisz. O czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

– Jestem bałaganiarą – ostrzegam. – I rano lepiej mnie nie drażnić.

– Cóż, myślę, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. – Wyciąga rękę i wolno drapie się po karku, przy czym mamrocze pod nosem: – Mason będzie zachwycony.

* * *

Pół roku później

– Mogłybyśmy wybrać coś jeszcze bardziej popularnego? – pytam oschle i dopijam w rekordowym tempie czwartą margaritę. Mój wzrok błądzi poza połyskujące bożonarodzeniowymi lampkami (w lipcu) zadaszenie baru przy plaży i przesuwają się po zbyt wielu uśmiechniętych twarzach szczęśliwych ludzi. Nawet o zachodzie słońca i przy lekkiej bryzie morskiej po karku spływa mi wąska stróżka potu. To typowa letnia noc w Cancún w Meksyku. Piekielnie tu gorąco.

– Popularne miejsca są bezpieczne – odpowiada Lina swoim charakterystycznym, płaskim tonem. Zawsze brzmi, jakby była znudzona do granic możliwości.

Przewracam oczami.

– Jesteś bezpieczniejsza w tym kraju niż w naszej stolicy. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? To tylko nagonka w mediach.

– Powiedz to tym Amerykanom, którzy zaledwie miesiąc temu zostali pozbawieni głów.

– Jeśli już miałabym im coś powiedzieć, to pewnie to, żeby nie rozprowadzali prochów dla kartelu – ripostuję.

Odpowiada leniwym wzruszeniem ramion, popijając jakieś różowe, spienione, wysokokaloryczne coś z wystającą z kieliszka parasolką.

– Dlaczego nie ubierzemy się w diamenty i nie wskoczmy do pierwszej lepszej taksówki, każąc się zawieść do jakiejś cichej i ciemnej uliczki Meksyku?

Lina zaciska mocno usta i patrzy na mnie.

– Odkrycie, że przyjaciółka chce umrzeć, nie jest zabawne.

Prycham i macham na kelnera, by przyniósł mi jeszcze jednego drinka.

– Ale dobrą zabawą byłoby obserwowanie, jak ktoś próbuje dopaść Nicki.

Jakby słysząc swoje imię, dziewczyna obraca głowę i spogląda na nas ze swojego miejsca przy barze. Poznałam ją, odpowiadając na prasowe ogłoszenie „poszukiwana współlokatorka”, po tym jak Annabelle i Barry ze sobą zerwali, a Annabelle zakomunikowała mi, że czas na wyprowadzkę. Nicki jest trzecią członkinią małego zgromadzenia pod tytułem: „Reese kończy dwadzieścia jeden lat i nadal jest zgorzkniała jak cholera, więc jedziemy do Cancún”. Teraz puszcza do nas oko, po czym wychyla kolejny kieliszek tequili.

– Jakim cudem ona tak dobrze sobie radzi? – mruczy Lina z nutką zazdrości. Dokładnie wiem, o co jej chodzi. Wokół nas wszędzie kręcą się dziewczyny poubierane w pastelowe mikrosukieneczki, pod którymi widoczna jest ich opalona skóra. Jednak nie Nicki. Ona siedzi przy barze niczym *femme fatale* w obcisłej sukience w cętki i w dziesięciocentymetrowych, czarnych szpilkach. Jej platynowe blond włosy uczesane są w stylu Gwen Stefani, mocno czerwone usta odznaczają się na jasnej skórze, a z uszu zwisają długie, błyszczące kolczyki. Cała ta emanująca od niej kobiecość zrównoważona jest przez ręce pokryte tatuażami, pod którymi rysują się mięśnie wyrzeźbione podczas oddawania się jej najnowszej pasji: podnoszeniu ciężarów. Facet szepczący jej coś w tej chwili do ucha? Mogłaby przerzucić jego zapewne dziewięćdziesięciokilogramowe ciało i nawet by się nie spociła. To, w połączeniu z jej trzyletnim doświadczeniem w walce w „klatkach”, zanim zmieniła hobby, tworzy z niej niepokonaną dwudziestopięciolatkę.

– Dobrze sobie radzi, ponieważ jest piękna, tajemnicza i nie na tyle głupia, by wyjść za mąż za poznanego na klatce schodowej faceta, który nadal jest zakochany w swojej byłej – mamrocę pod nosem, mając w ustach słomkę, po czym widzę, jak Lina się krzywi. To pierwszy raz od przyjazdu do Miami, gdy tak otwarcie odnoszę się do Jareda, ponieważ przez większość czasu doskonale się w sztuce asertywności, z niecierpliwością czekając, by moje serce zamarzło.

Nasz kelner stawia przede mną margaritę i puszcza do mnie oko. Zmuszam się do uśmiechu, kelner szybko wraca za bar, co sprawia, że jestem prawie pewna, że mam wrogi wyraz twarzy. Nic nie mogę na to poradzić. Ma ciemne, rozwichrzone włosy i oliwkową karnację. Zupełnie jak Jared.

– Musisz dać sobie z tym spokój, Reese. Minęło już pół roku, a ty... – Posyłam jej spojrzenie, które sprawia, że słabnie jej głos. Słowa dotyczą dotkliwie mojego prawdziwego i dość świeżego bólu, który nadal czuję. Zwłaszcza dzisiaj, ponieważ dziś przypadłaby nasza pierwsza rocznica ślubu.

Zamiast tego to dzień ślubu Jareda i Caroline.

Najwyraźniej karma nie była dla nich do tej pory wystarczająco okrutna.

Lina szybko zmienia taktykę.

– Zaczęłaś całkiem nowe życie. Nowe miasto, nowy dom. Wkrótce nowy wygląd... – Sięga, by złapać za kosmyk moich włosów, przypominając mi, że fiolet będzie musiał zniknąć w dzień naszego powrotu. – I masz nową, świetną pracę.

Przewracam oczami.

– To nie jest sprzątanie psich kupek i narażanie się na ukąszenia węży. – Wskazuje na bliznę na kciuku, która jest fizycznym przypomnieniem dnia, w którym popełniłam błąd, wkładając dłoń z zapachem myszy do klatki, by wymienić wiórowe podłoże, a skończyłam z zębami półmetrowego pytona wbitymi w palec. Tego samego dnia zawalił się mój świat. Blizna okazała się więc stosowna do okoliczności.

– Nie dosłownie, ale będę pracować w kancelarii prawnej, Lina. Tam jest mnóstwo węży.

Po tym jak zawarliśmy umowę, Jack poszedł gnębić gliniarzy prawniczym bełkotem. Ostatecznie okazało się, że całkiem niepotrzebnie. Ze względu na beznadziejną sytuację, w którą wpakował mnie Jared, gdy nieprzygotowana przyszłam pozbierać swoje rzeczy, ostatecznie sam przekonał Caroline, by nie wносиła oskarżenia. Zatem udało mi się wyjść z policyjnego posterunku bez odnotowania w aktach tej chwili szaleństwa.

Jack pozwolił mi przez tydzień plątać się w piżamie po jego wielkim domu w Miami i zajadać się lodami o smaku masła orzechowego prosto z pudełka na wszystkie dwadzieścia jeden posiłków, nim zarzucił mnie stertą dokumentów aplikacyjnych i powiedział:

– Większości studentów zaliczenie kursu zajmuje cztery do sześciu miesięcy, w zależności od tego, jak ciężko pracują. Jak chcesz, możesz zrobić wszystko on-line, a kiedy skończysz, mam czekające na ciebie miejsce asystentki. Przyzwoita pensja i dobrzy współpracownicy. To na początek, Reese.

Nigdy nie byłam zainteresowana pracą w kancelarii prawnej – zwłaszcza w tej skażonej przez matkę – ale dobiłam z Jackiem targu i jestem na tyle mądra, by dostrzec dla siebie szansę. Pograżyłam się więc w nauce, traktując to jak odwrócenie uwagi. Kiedy poznałam tematykę kursu, wydawał mi się on prosty i nie wymagał aż tak intensywnej pracy. Ukończenie go zajęło mi pięć miesięcy. Zdałam z wyróżnieniem.

Zaczynam pracę w poniedziałkowy poranek, zaraz po powrocie z Cancún.

– O nie. Masz wątpliwości. Masz zamiar olać Jacka. Jeśli to zrobisz, jesteś dla mnie martwa.

– Och, kobieto małej wiary. – Co ciekawe, mimo iż ostatnio nie mogę być zbyt wiarygodna, myśl o zawiedzeniu Jacka nawet nie przeszła mi przez głowę.

– Dobra, porozmawiajmy na weselsze tematy. Jak tam Annabelle?

– Och, widzisz to? – Wskazuję na własną twarz, która wykrzywia się z mieszaniną obrzydzenia i odrazy. – To kwaśna mina. Nie wspominaj o tej, której imienia nie wolno wymawiać.

– Chcesz, żebym włamała się do jej mieszkania, kiedy będzie spała i włączyła jej wentylatory? Według moich ludzi to pewna śmierć.

Lina jako dziecko została adoptowana przez uroczą koreańską parę i była wychowywana całkowicie w ich kulturze, wliczając w to przesady związane z wentylatorami. A to, że ma metr osiemdziesiąt, jest smukłą blondynką i góruje nad rodzicami, nie ma dla Chungów żadnego znaczenia.

Tak naprawdę ma na imię Li-Na, ale w liceum zamerykanizowała to imię, by ułatwić sobie życie. Mówi biegle po koreańsku, dezorientując tym wielu ludzi, i potrafi jeść pałeczkami jak najlepsza Koreanka.

Jesteśmy przyjaciółkami od drugiej klasy liceum, kiedy to znalazłam Linę płaczącą w łazience, po tym jak Raine Higgins i jej znudzone przydupasy znęcały się nad nią. Zrobiłam to, co każda nieznosząca dręczenia innych licealistka zrobiłaby na moim miejscu. Namalowałam sprayem na samochodzie Raine koreańskie przekleństwa znalezione w Internecie. To oraz zdjęcie, jak robi chłopakowi loda na parkingu przyklejone klejem Super Glue po wewnętrznej stronie przedniej szyby jej zamkniętego samochodu wystarczyło, aby trzymać ją z daleka od Liny. Fotkę udało mi się

pstryknąć potajemnie, gdy śledziłam ją po jakiejś imprezie.

Ucisk w mojej klatce piersiowej maleje, gdy Lina próbuje mnie rozweselić. – Jesteście pewne, że nie chcecie z Nicki trzeciej współlokatorki? – pytam.

Lina i Nicki przeprowadziły się do Miami jakiś miesiąc temu i zamieszkały w mieszkaniu, które rodzice kupili Linie z okazji zakończenia studiów.

– Absolutnie pewne – potwierdza bez wahania, skupiona na małej, różowej parasolce, którą obraca między palcami.

Nawyki życiowe Liny kontrastują z moimi jak biegun z pustynią. Wszystko w jej mieszkaniu – poczynając od bielizny w szafie, kończąc na puszkach na makaron – jest schludnie ułożone i odpowiednio oznaczone. Te dwa tygodnie, które spędziłam u niej po zerwaniu z Jaredem, prawie ją zniszczyły.

– Dobra, dość o złych rzeczach. Czy nie mówiłyśmy właśnie o znalezieniu ci jakiegoś chłopaka?

Jęczę, przepatrując tłum ludzi.

– Pamiętam, że ty o tym mówiłaś, a ja cię ignorowałam. Próbowałam z chłopakami. Trzy pomyłki z rzędu i mam dosyć.

– Nie próbowałaś, Reese. Przyznaj to.

Albo na świecie są same dupki, albo Lina ma rację w tym, że sama siebie podświadomie sabotuję. Na początku był Zręczny Steve, kończący studia w Miami. Przyszedł na randkę uczesany i ubrany, jakby uciekł prosto z próby musicalu *Grease*. Potem był Metroseksualny Mark, współpracownik Nicki. Poszłam z nim na randkę w ciemno, dłubał w zębach widelcem i miał dziwny nawyk dodawania „gdyby chodziło o mnie” do dziewięćdziesięciu procent tego, co wychodziło z jego ust.

A ostatni gagatek?

Emilio. Stary, dobry hiszpański Emilio, wyglądający jak mój były mąż, gdybym tylko odpowiednio przygasiła światła. Może byłabym gotowa zobaczyć, dokąd mnie to zaprowadzi, gdyby nie otworzył portfela, nie zaprezentował z dumą swojej kolekcji prezerwatyw w rozmiarze XL i nie złożył mi po hiszpańsku propozycji ich wykorzystania.

Drzę na samo wspomnienie.

– Zacznę kupować koty.

– Nienawidzisz kotów.

– To prawda. Ale nienawidzę też limonek, a popatrz na to! – Unoszę kieliszek. – Poza tym już znalazłam sobie chłopaka w Cancún. Lina, poznaj pana Cuervo^[1]. Panie Cuervo... to moja przyjaciółka, Lina. – Pochylam się, marszczę czoło i szepczę: – Jeśli będziesz miła, pozwoli mówić do siebie Jose. Planuję spędzić sześć kolejnych nocy z tym małym, niegrzecznym Meksykaninem. – Macham na przechodzącego kelnera, i pokazując mu pustą szklankę, daję znać, że potrzebuję kolejnego drinka, po czym dodaję: – Rano potrafi być trochę nieznośny, ale nadrabia nocą.

– Super. Ponieważ nie jesteś wystarczająco emocjonalna, kiedy jesteś trzeźwa – mamrocze pod nosem i zaraz dodaje, wzdychając: – Nieustannie pijana Reese powinna przynajmniej zaliczyć ciekawe przygody. Tylko nie daj się wtrącić do aresztu. Słyszałam, że cele tutaj nie są tak przyjemne jak te, do których przywykłaś w domu.

Nicki ze swojego miejsca przy barze musi śledzić mój poziom upojenia, ponieważ podchodzi powoli z margaritą w ręku, nieświadomie lub celowo ignorując uwagę, jaką na sobie skupia.

– Proszę bardzo, *señorita* – mówi zwodniczo łagodnym głosem i cmoka przekłutym językiem. Natychmiast zwijam swój, wyczuwając brak kolczyka. Jack nie zażądał wprost usunięcia całego

piercingu, ale po sposobie, w jaki się krzywił, wiedziałam, że kulka w języku naprawdę go przeraża. Wyjęłam ją z szacunku dla niego, ale inne zostawiłam aż do ostatniej chwili.

– Jose nie narzeka na stan mojego upojenia – mówię Linie, po czym powoli i zmysłowo oblizuję brzeg kieliszka. Mam mocną głowę, wytrenowaną podczas szkolnych imprez.

Chociaż wydaje się, że temu kiepskiemu wyjazdowi do Cancún służą mocne margarity, bo czuję rozkoszny szum w głowie, kiedy alkohol zaczyna działać.

– Kim, u licha, jest Jose? – pyta Nicki, a jej śliczna twarz krzywi się nieco.

– Dla ciebie to pan Cuervo.

W końcu chwyta żart i śmieje się perliście.

– Och... ten koleżka! Nie, to takie smutne. Musimy to naprawić. – Rozgląda się po barze.

– Obiecałaś, że jeśli poznasz jakiegoś przystojniaka, przeprowadzisz egzorcyzmy, by wypędzić Jareda z waginy... Ten. Tam naprzeciwno. Idealny. – Wyciąga wytatuowaną rękę, wskazując na kogoś, jakby go znała.

O Boże. Biorę spory łyk drinka.

– Poważnie, Nicki. Po tym grzebaczku w zębach, z którym mnie umówiłaś, chyba mam dość. A egzorcyzmy wymagają przynajmniej dwóch dni przygotowań. Nie mogłabym dzisiaj po prostu utopić się w zielonej, mrożonej psychocie? Nawet nie jestem odpowiednio ubrana. – Narzuciłam na siebie spodenki i starą, wyblakłą bokserkę z jakiegoś koncertu rockowego. Nawet się nie malowałam.

– Kim chcesz być tym razem? Panią architekt z Los Angeles? – pyta, całkowicie ignorując mój sprzeciw. Jej oczy błyszczą, gdy na mnie patrzy. – Striptizerką z Pasadeny?

Przytakuję z uznaniem.

– To było dobre. – Zanim poznałam Jareda miałyśmy w zwyczaju w weekendy szlajać się po barach. Miałyśmy z Liną fałszywe dokumenty. Wymyślałyśmy sobie tożsamości: prace, miasta, czasami imiona i bawiłyśmy się tak, póki chłopaki stawiali drinki. Raz pewien gość uwierzył, że jestem pasterzem kóz z Iowy. Był głupszy, niż ustawa przewiduje.

Dźwięk zbliżających się kroków sprawia, że ścisza mnie żołądek. Naprawdę nie mam dzisiaj nastoju na rozmowę, fałszywą czy jakąkolwiek.

– Witaaam, chłopcy – mruczy figlarnie Nicki. Czuję na sobie wzrok kobiet, które poprawiają się na swoich miejscach, żeby zobaczyć, co się dzieje, a ich zazdrosne spojrzenia dosłownie palą mi skórę. Postanawiam, że nie mogę jeszcze grać niedostępnej. Najpierw muszę wiedzieć, jakiego typu łobuzów namierzyła Nicki. Od niechcienia, jak pozwala na to pięć wypitych margarit, odwracam się i... spadam z krzesła, a moje spodenki zapewniają minimalną ochronę przed walnięciem tyłkiem w twardą, wyłożoną kafelkami podłogę.

– Jest mi wstyd, panie Cuervo – mamroczę, pochylając głowę, w powietrzu niesie się śmiech, kiedy przyznaję, że jest dopiero dwudziesta, a ja jestem bardziej wstawiona, niż sądziłam.

Przed moją twarzą pojawia się wielka dłoń.

– A ja jestem pod wrażeniem. – W męskim głosie słyszę radość i nie mogę się zdecydować czy mi się podoba, czy też nie.

Przyjmuję pomoc – bo lepiej pozbierać się z podłogi wcześniej niż później – więc zostaję postawiona na nogi i przyciśnięta do szerokiej piersi blondyna o wielkim, nieznośnym uśmiechu.

Ubranego w pieprzoną, czerwoną koszulę.

[1] Jose Cuervo – marka tequili założona w 1795 roku przez Dona Jose Antonio de Cuervo (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DRUGI

BEN

Uwielbiam wkurzone kobiety.

Oczywiście każdy, kto mnie zna, powiedziałby, że uwielbiam wszystkie kobiety i właściwie nie mogę się z tym nie zgodzić. Jednak te wkurzone uwielbiam najbardziej. Są wyzwaniem, a powodem ich temperamentu najczęściej jest któraś z trzech przyczyn: mają niskie poczucie własnej wartości, są porzucone lub nakręcone hormonami.

Laska o fioletowych włosach patrząca na mnie z ogniem w karmelowych oczach?

Obstawiam przyczynę numer dwa.

– Rany, jaką masz wstrętą, jasnoczerwoną koszulę – syczy przez zaciśnięte zęby, jakby starała się być miła, ale nie potrafiła ukryć pogardy.

Nie wiedziałem, w co się pakuję, kiedy punkrockowa laska z muskularnym jak cholera ciałem pomachała do nas, ale zaintrygowała mnie jej koleżanka z fioletowymi włosami, siedząca do mnie tyłem. Teraz, kiedy udało mi się przyjrzeć jej twarzy, wiem już, z kim spędzę ostatnią noc w Cancún. Nie jest jakąś tradycyjną pięknoscią. Jej oczy są odrobinę za duże i zbyt rozsunięte, nos ma długi i smukły, a usta – choć ładne i soczyste – są wąskie. Mimo to poskładane w całość elementy sprawiają, że jest seksowna jak diabli. Może to kolczyk w nosie. A może fakt, że jej przyzwoitych rozmiarów cycki przyciskają się do mojej klaty, a wykrojony dekolt bokserki – tego zwykłego podkoszulka, który wskazuje na to, że nie miała zamiaru nikogo podrywać – daje mi dobry wgląd w szczelinę pomiędzy jej piersiami. Cokolwiek to jest, mój penis jest zadowolony.

– Podoba ci się? – pytam.

Rozdrażnione spojrzenie znów przesuwają się po materiale.

– Nie.

Jej szczerłość sprawia, że bezwiednie się uśmiecham.

– Dasz mi chociaż jakieś fory, zanim nadziejesz mnie na rogi?

Wąskie usta wyginają się w pobłażliwym uśmiechu.

– Byki nie rozróżniają kolorów. To mit.

Jedyne, co uwielbiam bardziej niż wkurzoną dziewczynę, to wkurzoną dziewczynę-mądrą.

Zapowiada się niezła jazda.

– No to może pozwolisz, że rozwiążę ten problem. – Odsuwam się od niej na krok i jednym szarpnięciem ściągam koszulę przez głowę, ukazując sześciodniową opalenizną na torsie, o którym wiem, że jest atrakcyjny, ponieważ wylewam siódme poty, by taki był. Westchnienia lasek siedzących przy stolikach obok tylko to potwierdzają.

Stoję tak i uśmiecham się zarozumiale, a Wkurzona nie potrafi oderwać wzroku od mięśni wyrzeźbionych jeszcze za czasów gry w futbol. Jej usta rozchylają się subtelnie. Zauważam w niej

zmianę w chwili, kiedy sobie uświadamia, że jej się podobam, i choć wolałaby wykastrować cały męski ród, nie potrafi ignorować przyciągania, jakie w niej wywołuję.

Przynajmniej tak chcę to widzieć.

– Proszę pana. Przepraszam pana. – Spoglądam przez ramię na Angelo, niskiego kelnera meksykańskiego pochodzenia, który obsługiwał nas cały tydzień, a który stoi teraz z tacą pełną piwa dla mnie i moich kolegów. Nawet nie musieliśmy ich zamawiać. Do diabła, kocham Cancún. Mógłbym tu zamieszkać na stałe.

– Angelo, dlaczego do cholery mówisz mi *per* „pan”?

– Ee... – Oblizuje wargi, gapiąc się w podłogę. – Proszę. Kierownictwo wymaga, by w tej części baru klienci byli stosownie ubrani. Proszę.

– Nie ma sprawy, koleś. – Biedny Angelo jest gotowy narobić w gacie ze strachu, że mnie obrazi po tym, jak w tydzień napelniliśmy mu kieszenie napiwkami tak dużymi, że będzie miał na czynsz. Biorę piwo z jego tacy i niespiesznie wypijam kilka łyków, czując, że spojrzenie Wkurzonej jest przykute do mojego gardła.

Tak, mam w zanadru takie sztuczki.

Z uśmiechem odkładam butelkę na stół i wciągam koszulę przez głowę.

– Chociaż będziesz się musiał dogadać z wkurzoną dziewczyną przede mną. Nie cierpi tej koszuli.

Angelo, podając piwo moim kolegom, rzuca lasce wdzięczny uśmiech i dokładnie wiem, co musi sobie myśleć. Widział, jak w tym tygodniu wychodziłem stąd z różnymi kobietami.

Cóż mogę rzec... Mam wakacje.

Planowałem dzisiaj nie szaleć, iść do łóżka solo. Chociaż w tej chwili myśl o rozebraniu właścicielki fioletowych włosów brzmi bardziej kusząco.

– Wkurzona postara się opanować, Angelo – mruczy dziewczyna, po czym opróżnia kieliszek, odstawia go na tacę i zgarnia nowy. Kolejny pełny stoi przed nią na stole. – Ale tylko wtedy, gdy w ciągu pięciu minut wrócisz z jeszcze jednym. Inaczej Wkurzona nie ręczy za siebie. – Mruży oczy, w których błyszczy tajemnicze rozbawienie.

– *Sí, señorita.*

Gładko wsuwam mu dwudziestkę do kieszonki w koszuli i klepię go w ramię.

– Za ewentualne problemy z kierownictwem.

Angelo kiwa głową i szybko znika, a ja wyciągam rękę.

– Jestem Ben, a ty jesteś...

Wkurzona podaje mi dłoń, jej skóra jest miękka i chłodna.

– Jill. – Wskazując na lewo, dodaje: – Sabrina. A tamta to Kelly. Jest Koreanką.

Co?! Marszczę czoło, przyglądając się uroczej blondyneczce siedzącej naprzeciwko, starając się zrozumieć to dziwne zdanie. Wydaje się, że to umiejętne odwrócenie uwagi, ponieważ Jill udaje się wślizgnąć na krzesło, ponownie zwracając się plecami do mnie. Opiera stopy na jedynym wolnym krześle przy stoliku, a jej długie, zgrabne nogi są doskonale widoczne dzięki króciutkim spodenkom, które ma na sobie.

– Travis, Kent, Murdock – rzucam, leniwym gestem, wskazując na chłopaków, moich trzech współlokatorów z Miami. Potrafią o siebie zadbać. Ja mam misję. Nie marnuję czasu i przysuwam sobie pusty fotel ze stolika obok.

Zerka na mnie starsza, ruda kocica, seksowna na tyle, że mógłbym się z nią zabawić, gdyby nie wyszła sprawa z Jill. Dosuwam fotel do stolika i zajmuję na nim miejsce, a moje kolano – to, które

kosztowało mnie gwarantowaną karierę w NFL^[2] i które nadal pulsuje przed deszczem – opieram o gołą nogę Jill.

Dziewczyna się nie odsuwa.

– Pierwsza noc w Cancún?

Jedna z jej idealnie wyregulowanych brwi wędruje do góry.

– Jesteś wytrwały.

– Jestem wytrwałym głupkiem – poprawiam ją z uśmiechem, przez co nie-Koreanka wybucha śmiechem. – Pierwsza noc w Cancún? – powtarzam pytanie.

– Skąd wiesz?

Nareszcie. Otwarte drzwi do rozmowy. Skaczę w nie jak cyrkowy pies.

– Bo jesteś zbyt spięta. Wychylasz te drinki, jakbyś miała plan obudzić się nago na plaży. No i nie masz opalenizny.

– Aha... – Myśli przez chwilę, a ja wdycham zapach jej perfum. Pachnie jak truskawki w śmietanie. Zastanawiam się, czy tak też smakuje. – Kim jesteś, detektywem?

– Ochroniarzem w klubie ze striptizem.

Odchyła głowę w tył i wybucha śmiechem, głębokim, gardłowym, takim, który chciałbym nagrać i później wielokrotnie odtwarzać.

– No tak.

Wzruszam ramionami.

– Wystarczy na rachunki. – Mógłbym zniszczyć jej pogląd, jakkolwiek wyrobiła sobie na mój temat, wyjaśniając prawdziwy powód mojego pobytu w tym mieście: świętuję zakończenie studiów prawniczych i zdanie egzaminów adwokackich.

Jednak tego nie robię.

Przyglądam się tylko, jak językiem błądzi po słonej krawędzi kieliszka. Sprośne myśli przelatują mi przez głowę i jestem zmuszony dyskretnie się poprawić. Jeśli to widziała, nie komentuje. Do diabła, zapewne dokładnie wie, jak na mnie działa. Nie, w tej lasce nie ma nic niewinnego.

– A czym ty się zajmujesz? – pytam.

Zaciska usta.

– Jestem biologiem morskim z Seattle.

– Taka młodziutka pani biolog? – Ta laska ma ze dwadzieścia trzy lata. No góra dwadzieścia cztery.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat.

– Jasne. – Wskazuję ruchem głowy na jej koleżankę. – A ona jest Koreanką, prawda?

W odpowiedzi koleżanka wyrzuca z siebie słowa, które brzmią cholernie po koreańsku, po czym się uśmiecha, a mnie opada szczeka.

No dobra. Chociaż...

– Biolog morski? Naprawdę?

Bierze kolejny duży łyk drinka, po czym oblizuje wargi i mówi:

– Uwielbiam wielkie ryby. – *Tak... kłamie. Dobra. Zagram w tę grę.* – Jak długo już tutaj jesteś? – pyta, udając brak zainteresowania, kiedy dosiada się jakiś chłopak i odciąga uwagę jej koleżanek.

Znów przesuwam spojrzeniem po jej twarzy, w myślach licząc jej kolczyki – dwa w nosie i pięć w uszach – i zastanawiam się, ile może mieć jeszcze ukrytych pod tymi krótkimi spodenkami i bokserką. Nagle zaczynam żałować, że moje wakacje właśnie się kończą.

– To moja ostatnia noc.

– Naprawdę...? – Nieczytelny wyraz pojawia się na jej buzi, gdy spojrzeniem prześlizguje się po mojej twarzy i zatrzymuje na ustach. – Egzorcyzmy wymagają więcej czasu – mamrocze pod nosem.

Co do cholery?! W swój ostatni wieczór mam szczęście do świruski. Nie to, żeby nie było zabawnie. Jestem otwarty na nowości.

– To może powinniśmy zacząć od razu?

Spojrzenie pełne żaru, które mi posyła – jakby musiała podjąć decyzję, czy wskoczyć mi na kolana, czy obedrzeć ze skóry – sprawia, że przez chwilę się zastanawiam. Może powinienem być ostrożniejszy z tym, kogo przyprowadzam do pokoju. Jeszcze raz się jej przyglądam – właściwie jest za mała, by wyrządzić mi krzywdę bez broni – i zauważam na jej ramieniu wielki tatuaż z imieniem. Mimo że chciałbym przeciągnąć po nim palcami, trzymam ręce przy sobie. To jak głaskanie nieznanego psa. Nie wyciąga się ręki, póki się człowiek nie upewni, że zwierzę nie zaatakuje. Zatem wskazuję tylko na tatuaż i mówię:

– Byłoby do bani, gdyby to było imię twojego byłego.

– Tak, byłoby. – Ton jej głosu na powrót staje się kąśliwy. Wodnisty blask w jej oczach jest ledwie zauważalny. Mruga szybko, by go ukryć, decydując się dalej grać twardzielkę. *Szlag by to trafił.* Wzdycham, czując rozczarowanie. Nie tylko została porzucona. Nadal cierpi. Będzie jedną z tych pijanych lasek, które ni z tego, ni z owego wybuchają płaczem. Pewnie podczas seksu.

Nie ma nic gorszego niż zalewająca się łzami dziewczyna w środku numerka.

To zdecydowanie zabija erekcję.

Odchrząkuje.

– Nie zauważyłam żadnych tatuaży u ciebie.

Dobra, przynajmniej chce odwrócić uwagę od siebie i swojej obecnej sytuacji. Mogę spróbować.

– Nie widziałaś mnie jeszcze całego. – Wiem, że brzmię jak zarozumiały łobuz, ale w jakiś sposób działa to na moją korzyść.

Niewielki uśmiezek maluje się na jej ustach, zanim zaciska je, jakby nie chciała, by był widoczny.

– Masz jakieś ukryte?

– Nie. Nie cierpię igieł – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Mięczak.

Wzruszam ramionami.

– Tobie najwyraźniej nie przeszkadzają. Masz jakieś tatuaże albo kolczyki poza tymi widocznymi?

Jej jedyną odpowiedzią jest drwiący uśmiezek. *Kurwa.*

Nagle z głośników płynie piosenka Rihanny, światła w barze zostają przygaszone, za to rozświetla się parkiet, co oznacza, że hotelowy bar, jak co noc, zmienia się w dyskotekę. Spięta postawa Jill sugeruje, że dziewczyna nie jest tym zainteresowana.

– Nie twój gatunek muzyki? – Mój wzrok natychmiast pada na jej koszulkę z wyblakłym obrazkiem albumu Pearl Jam.

Kręci głową.

– Bardziej podobają mi się kawałki klasycznego rocka i muzyka alternatywna lat dziewięćdziesiątych.

Powaga?!

– Żyłaś w ogóle w tamtych czasach?

– Potrafię zagrać na gitarze każdą kiedykolwiek nagrany piosenkę Aerosmith – mówi, jakby to była odpowiedź na moje pytanie.

Słodki Jezu. Wyciągam przed siebie nogi, próbując wyobrazić sobie, jak daje czadu na przewieszanej przez ramię gitarze – nago – i mówię:

– Wiesz co? Dziewczyny grające na gitarze są diabelnie seksowne. Dobra jesteś?

Odpowiada mi kolejnym przebiegłym uśmieszkiem ukrytym za kieliszkiem z drinkiem. Tak, jest dobra. I, cholera, taka apetyczna. W dosyć wyluzowany sposób. Kusi mnie jak pstrąg zaczepiony na haczyku dla rekina. Podobnie jak robiła to Kacey, jedna z moich koleżanek. Chociaż miała przez bardzo długi czas przypięty do piersi przycisk autodestrukcji. Widziałem to z daleka, a mimo to mi stawał.

Angelo wybiera dobry moment, by się pojawić i wymienić jej pusty kieliszek na pełen, a na stoliku rozstawia alkohol dla wszystkich. Jill na nikogo nie czeka. Chwyta kieliszek i wychyla zawartość. Żadnej soli, żadnej limonki.

– Będę cię musiał zanieść do pokoju? – pytam, szeroko się uśmiechając.

Zaciska usta, z hukiem odstawiając kieliszek na stół.

– Myślę, że moim celem jest obudzenie się nago na plaży.

– Mam w tym pewne doświadczenie. Mogę ci udzielić kilku wskazówek.

Jej jastrzębie spojrzenie wolno przesuwa się po moim ciele, po czym wraca do mojej twarzy i zatrzymuje się na ustach.

– Nie jesteś w moim typie.

Już to wcześniej słyszałem i jej nie wierzę. Do diabła, jestem w typie wszystkich! W końcu.

– A co jest we mnie takiego, co ci się nie podoba?

Łobuzerski błysk w jej oczach podpowiada mi, że pożałuję tego pytania. Nie wie jednak, że gównu mnie to obchodzi. Mam grubą skórę i wielkie poczucie humoru. Tak naprawdę to powinno być zabawne.

– Nie podoba mi się lowelas, maminsynek grający w futbol, który rozsmarowuje swój urok niczym masło orzechowe i w każdą noc tego tygodnia ma w swoim pokoju hotelowym inną dziewczynę.

– Nie w każdą noc.

Przewraca oczami.

– Och, i jesteś blondynem. Nie lubię blondynów.

– Kompletnie się co do mnie mylisz. – Właściwie to we wszystkim.

– Doprawdy? – Jak gdyby na potwierdzenie swoich słów stuka w sygnet na moim palcu. Ten, który zdobyłem za doprowadzenie drużyny do mistrzostw stanowych.

– Już nie gram.

– Nie byłeś na tyle dobry?

Śmieję się. Jest świetna w przytykach.

– Najwyraźniej za dobry, bo jakiś gość poczuł potrzebę zmiżdżenia mi kolana.

Mimo że miałem zwichnięty staw, porozdzierane więzadła i uszkodzone nerwy, o dziwo, mogę biegać.

Karmelowe spojrzenie mięknie na moment, lecz trwa to tak krótko, że niemal to przegapiam.

– I tak się z tobą nie prześpię.

– Nie wiem, po co tu przyjechałaś, ale ja chciałem tylko miło spędzić czas i zawrzeć nowe znajomości – rzucam, udając niewinność.

To będzie nieco trudniejsze wyzwanie, niż sądziłem.

Jednak w końcu sprawię, że zmieni zdanie.

[2] National Football League (skrót: NFL, *Narodowa Liga Futbolowa*) – największa zawodowa liga futbolu amerykańskiego, złożona z 32 zespołów (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ TRZECI

REESE

– Wiesz, że okradli cię w biały dzień, kiedy wynajmowałeś sobie miejsce w tym hotelu? – mówię, wtaczając się do pokoju Bena. Jest urządzone standardowo – dwa duże łóżka przykryte kwiecistymi narzutami i ozdobione figurkami wykonanymi z ręczników, na ścianach tandetne obrazki.

Słyszę za sobą kliknięcie zamka.

– Tak, ale przyznaj, że było warto.

– Wszystko to sobie zaplanowałaś, prawda, Don Juanie?

Skopując z nóg klapki, na wpół uderzam, na wpół opieram się o ścianę, by utrzymać równowagę. Kiedy już przebrnęłam przez problem czerwonej koszuli – czuję wyjątkową odrazę do tego koloru – zdałam sobie sprawę, że może mimo wszystko Nicki znalazła odpowiedniego egzorcystę.

Tak jakby jego olśniewające, niebieskie oczy i głębokie dołeczki nie wystarczyły, by mnie do siebie przekonać, Ben zdjął koszulę na środku baru i stał jak arogancki drań, z dumą prezentując to swoje niesamowicie umięśnione ciało, a ja już wiedziałam, że ten facet jest bezpretensjonalny. Prostolinijny. Nie złoży fałszywych obietnic wspólnego życia. Ani nawet tego, że zadzwoni.

Jednak tym, co sprawia, że Ben jest najlepszym z kandydatów na kochanka, to fakt, iż skutecznie rozprasza moje myśli o Jaredzie. Jest jego kompletnym przeciwieństwem. Ben to mocno umięśniony blondyn, Jared jest „ładny” i ma czarne włosy. Skóra Jareda na piersi i ramionach pokryta jest tatuażami, podczas gdy ciało Bena jest czystym, świeżym płótnem. I tam, gdzie Jared jest bardzo cichy i zamknięty w sobie, Ben jest otwarty i nieźnośny.

Dodatek specjalny? Cały wieczór mnie rozśmieszał. Co prawda przez większość czasu śmiałam się z niego, ale mimo to było wesoło.

Dzięki Benowi zasnęłam kilku godzin wytchnienia od rozmyślania o moim byłym mężu i jego wyrafinowanym weselu w Savannah, w stanie Georgia, które właśnie się odbywało. Wiem o ślubie wyłącznie z Facebooka, ponieważ codziennie śledziłam profil Jareda. Nigdy nie był dobry w aktualizowaniu statusów, ale Caroline, niczym szalona graficziara, umieszczała na jego tablicy zdjęcia i plany ślubne i ciągle wypisywała „kocham cię”.

Niestety nawet taki facet jak Ben nie może całkowicie wyleczyć mnie ze wszystkich myśli, a w chwili, w której wróciły z mrocznych zakamarków mojego umysłu – w momencie, w którym poczułam, że zaraz się rozplaczę jak jakaś pijana dziewczyna – powiedziałam Benowi, by zabrał mnie do siebie.

Wchodzę głębiej do pokoju, wskazuję ręką łóżko niezarzucone ciuchami i pytam:

– Na tym śpisz?

Słyszę za sobą ciężkie kroki.

– Tak.

– No dobra. – Pochyłam się, by strącić jego rzeczy z nieużywanego łóżka.

– Co robisz? – pyta rozbawiony Ben.

– Zakładam, że miałeś tam wszystkie te swoje laski – mamroczę. Walizka spada z hukiem, a jej zawartość wysypuje się na podłogę. – Chcę nieskażonego łóżka.

– Hej, to ty złapałaś mnie za pasek i zażądałaś, bym cię tu przyprowadził. Ja byłem szczęśliwy, mogąc siedzieć w barze.

Prycham.

– No tak. A jednak nigdy nie widziałam takiego zamroczenia. – Kiedy jego spojrzenie nie było przyklejone do moich cycków czy nóg, spoczywało na mojej twarzy. Muszę przyznać, że przez tę jego niepodzielną uwagę czułam się zaskakująco dobrze. Naprawdę podbudował moje ego, kiedy tego najbardziej potrzebowałam.

Silne ręce chwytają mnie za biodra i ciągną w tył. Nawet pijana nie jestem w stanie nie poczuć, że dość spory, wyprężony penis szturcha mnie w wypięty tyłek.

– Od jak dawna masz ten problem? – żartuję, gdy żar zaczyna się wspinać po moich udach. Naprawdę mam zamiar to z nim zrobić? Tylko raz przeżyłam przygodę na jedną noc. Nawet tak o tym nie myślę, bo znałam tamtego chłopaka, lecz nie chciałam się z nim spotykać. Był arogancki. Zupełnie jak ten tutaj.

Śmieje się cicho.

– Odkąd widziałem, jak spadłaś z krzesła. I to nie problem, o ile do rana go rozwiążę. – Duża dłoń ląduje na moim brzuchu i zaczyna wspinać się po klatce piersiowej, sprawiając, że się prostuję. – Mam samolot dopiero po jedenastej, więc nie musimy się spieszyć. – Odwraca mnie twarzą do siebie i zakłada sobie moje ręce na ramiona, po czym jego dłonie wędrują w dół, po drodze kciukami obrysowuje kontur moich piersi, by w końcu złapać mnie w tali. Skupia wzrok na moich ustach. – To co... zoologia bezkręgowców? Biotechnologia?

– Przez twoje zboczone teksty zaraz stracę kontrolę. – *O czym on u licha nawija?!*

– Dlaczego pani kłamie, pani biolog z Seattle? – Po jego uśmiechu poznaję, że nie jest ani zły, ani zirytowany. Raczej rozbawiony.

Och... Wzruszam ramionami. Zatem w dużej mierze mnie rozpracował. Nie wydaje mi się jednak, by zorientował się, iż przedstawiając siebie i koleżanki użyłam imion bohaterek *Aniołków Charliego*.

Właściwie jestem zaskoczona. Mogłabym sobie go wyobrazić jako dwunastolatka, który masturbował się przy powtórkach odcinków z młodą Farrah Fawcett.

– Nie wiem. Lubię wcielać się w różne role. – Dodaję nieśmiało. – Czasami lubię też odgrywać je w przebraniu. – Tak naprawdę to nienawidzę kostiumów, ale sądząc po błysku ekscytacji w oczach Bena, jego wyobraźnia w tej chwili przerabia wszystkie sprośne scenariusze.

Zabawnie się z nim droczyć.

Właśnie dlatego tutaj wylądowałam.

A także z powodu nadmiernej ilości tequili.

Pochyla się. Jego usta – tak słodkie w przeciwieństwie do jego niewyparzonej buźki – lądują na moim karku, wywołując żenujący jęk, gdy odchylam głowę i obejmuję go ramionami. To nie usta Jareda, ale też się sprawdzają.

Pokój zaczyna wirować, ale jest mi tak dobrze, że postanawiam to zignorować i wygiąć się bardziej ku niemu. Ignoruję to nadal, gdy dłonie Bena wsuwają się pod krawędzie mojej bokserki, by ściągnąć mi ją przez głowę. Kiedy koszulka leży na podłodze, jego dłonie szybko odnajdują

i rozpinają zapięcie mojego biustonosza.

– Cholera, wiedziałem. – Cofa się, by mieć lepszy widok na moją nagą klatkę piersiową, a chłodne palce muskają metalowy kolczyk, który przekłuwa mój lewy sutek. Dotyka go na tyle wprawnie, by znowu uciekł mi jęk, a w podbrzuszu rozpalil się żar. Z przebiegłym uśmiezkiem mruży: – Co jeszcze masz? – I nim dostrzegam, co się dzieje, moje spodenki wraz z majtkami lądują na podłodze.

– Myślałam, że nie musimy się spieszyć – mówię, chwytając Bena za rękę, żeby się nie przewrócić, kiedy z nich wychodzę. Jednocześnie czuję zdenerwowanie, bo orientuję się, że stoję całkowicie naga przed ubranym mężczyzną, który pracuje w pieprzonym klubie ze striptizem. Mam wąską talię i przyzwoite cycki, ale w komplecie jest też niewielka oponka wokół bioder i tyłek – większy, niż bym tego chciała.

Mam nadzieję, że jest zbyt pijany, by to zauważyć.

Na czole Bena pojawia się bruzda, gdy chłopak patrzy mi w twarz.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Dlaczego miałabym nie czuć się dobrze?

– Bo właśnie zrobiłaś zezę, a to zazwyczaj nie jest dobry objaw. – Zmarszczka na czole się pogłębia. – Jesteś pewna, że nie wypilaś za dużo? Bo nie chciałbym...

Odpowiadam, szarpiąc go za koszulę, by się pochylił, abym zdołała złożyć na jego ustach coś, co mam nadzieję nie jest zaślinionym pocałunkiem pijanej dziewczyny. Jednak pewnie jest. Ale wydaje się, że Benowi tyle wystarczy, ponieważ obejmuje mnie i przyciąga do siebie. Może to tylko alkohol, ale, niech mnie diabli, ten przeklęty ochroniarz ma spore umiejętności. Nie spodziewałam się. Prawdę mówiąc sądziłam, że będzie typem faceta, który nie będzie chciał się całować. Chociaż teraz jestem przez niego zahipnotyzowana, pozwalam więc dłoniom pełzać po jego klatce piersiowej, gotowa przekonać się, jak naprawdę jest utalentowany.

Gdyby tylko świat przestał wirować.

I to nieszczęsne uczucie ściskające mi żołądek...

O nie...

Gnana przeczuciem, że w otchłani zła nie czeka mnie ani gram szczęścia, instynktownie odrywam się od ust Bena, lecz w tej samej chwili wszystkie wypite dzisiaj margerity wracają mi do gardła i wystrzeliwiają z ust.

Na cały przód jego czerwonej koszuli.

O mój Boże!

Czy to naprawdę się stało?

Chwilowo zamrożona w bezruchu, wpatruję się w smugi zielonego płynu skapujące z całego jego ciała.

– O rany... – Ben jęczy ze wstrętem w głosie.

Tak, to naprawdę się stało.

Nawet nie muszę patrzeć mu w twarz, by wiedzieć, że wszystkie nadzieje na dzisiejsze bzykanko właśnie wyparowały mu z głowy. Z mojej ulotniły się na pewno, pozostawiając po sobie lodowatą warstwę wstydu. Z tego powodu mój żołądek kurczy się jeszcze bardziej. Wyczuwam nadchodzące torsje. *Niech mnie szlag trafi, jeśli znów będę przed nim rzygać!* Zatykając sobie usta obiema dłońmi, obracam się i biegnę do łazienki. Niestety o coś się potykam, więc kilka chwil później ląduję rozłożona na twardej podłodze, gdzie zimne płytki chłodzą moje zupełnie nagie ciało, a tępy ból zaczyna pulsować w dużym palcu stopy.

– Cholera, wszystko w porządku? – Słyszę za sobą.

Jest mi niedobrze. Jeśli zaraz nie wstanę, zrzygam się pod siebie. Łazienka jest nie dalej niż dwa metry ode mnie, ale wiem, że nie dam rady przejść do niej o własnych siłach.

Zatem robię to, co wydaje się słuszne.

Pełznę na czworakach, czołgając się w stronę ubikacji.

Słyszę za sobą salwę śmiechu – o Boże, jaki on musi mieć teraz widok! Jakby tego było mało! – przyspieszam, aż przekraczam próg, trzaskam drzwiami i zamykam blokadę. Docieram do kibelka na czas, by kolejna fala wymiotów wypełniła muszlę.

Po wyrzuceniu z żołądka wszelkich toksyn mogę jedynie oprzeć czoło na brzegu muszli klozetowej i rozkoszować się chłodną porcelaną, podczas gdy w piersi mi dudni, a ciało oblewa pot.

Rozlega się delikatne pukanie.

– Dobrze się czujesz?

Nie odpowiadam. Nie mogę.

Dlaczego?! Dlaczego musiało mi się coś takiego przytrafić?! Zazwyczaj nie wymiotuję. To Lina rzyga jak kot!

– Wiesz, jeśli tak bardzo nie podobała ci się ta koszula, mogłaś po prostu poprosić, bym ją zdjął. I tak miałem to zrobić. – Nie wiem, jakim cudem on z tego żartuje. Jest cały pokryty wymiocinami. Na samą myśl o tym drzę. – Słuchaj... jakaś laska właśnie się na mnie wyrzygała i naprawdę chciałbym wziąć prysznic. Mogę wejść? – Klamka zaczyna się ruszać, więc dziękuję wszystkim świętym, że oświecili mnie na tyle, bym zamknęła zasuwkę. Ostatnią rzeczą jakiej potrzebuje jest to, by tu wlaź i patrzył, jak naga tulę się do porcelanowego tronu. Muszę pozbierać ciuchy i spieprzać stąd, nim będę musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Kiedykolwiek.

– Żyjesz tam? – W końcu w jego głosie pojawia się zmartwienie. – Nie muszę wywarzać tych drzwi, prawda?

To ostatnia rzecz, którą musisz zrobić.

– Nic mi nie jest. – Podciągam się, by sięgnąć do umywalki i przemyć twarz świeżą, zimną wodą. Korzystam z płynu do płukania ust.

– No przestań, Jill. Nic się nie stało. Przepraszam, że się śmiałem.

Nigdy się tak nie cieszyłam z podania fałszywego imienia. Ta historia będzie dotyczyła rzygającej dziewczyny z fioletowymi włosami imieniem Jill, która czołgając się do łazienki przez całą drogę świeciła gołym tyłkiem. Jak dla mnie spoko.

Następuje dłuższa chwila milczenia, po czym słyszę ciężkie westchnienie.

– Zostawiam pod drzwiami wodę. Nie pij tej z kranu, bo przez resztę wakacji w ogóle nie wyjdiesz z kibelka.

Kroki oddalają się i w tej samej chwili wracają torsje, zakłócając miętową świeżość moich ust.

Znów kieruję się do toalety.

ROZDZIAŁ CZWARTY

BEN

Dwa miesiące później

– Nie ma widoku na ocean, ale jest twój – mówi Jack Warner, prowadząc mnie do pustego gabinetu wielkości garderoby z oknem wychodzącym na parking.

– Widok na ocean jest przereklamowany – odpowiadam z uśmiechem.

Nowy szef śmieje się i silną ręką klepie mnie po ramieniu.

– Cieszę się, że do nas dołączysz, Ben. Mój syn twierdzi, że to dzięki tobie skończył studia z tak świetnym wynikiem.

– Pana syn to bystry gość, panie Warner.

– On uważa, że jesteś bystrzejszy. Właśnie dlatego cię zatrudniłem. I mów mi Jack.

Coraz bardziej lubię ojca mojego kumpla. Po dość intensywnej rozmowie kwalifikacyjnej, którą ze mną przeprowadził, byłem przekonany, że jest sztywnym gnojem i straciłem wszelką nadzieję, że mnie zatrudni. Byłem zaskoczony, kiedy tydzień później osobiście zadzwonił z ofertą pracy. Co to była za pieprzona ulga! Poza tym, że zarabiałem jako ochroniarz w klubie ze striptizem, by spróbować dostać się gdzieś na staż, nie mam zupełnie żadnego doświadczenia. Wiele firm nie chce nawet słyszeć o ludziach bez doświadczenia, nawet jeśli ktoś skończył uczelnię z najwyższą średnią na roku, jak to było w moim przypadku.

Oczywiście bardzo pomyliłem się co do Jacka. Chociaż jest szefem prestiżowej kancelarii prawniczej zatrudniającej około czterdziestu ludzi, w poniedziałkowy poranek zrobił miejsce w swoim napiętym harmonogramie, by mnie oprowadzić.

– A mówiąc o synach... – Jack uśmiecha się do kogoś stojącego za moimi plecami. Odwracam się i widzę wysokiego, szczupłego faceta w okularach kujona z grubymi, czarnymi oprawkami, który stoi w drzwiach do mojego gabinetu. Obdarowuję go uśmiechem i mocno ściskam mu dłoń.

– Jak wakacje? – pyta Mason, po czym dodaje: – Kent mówił, że fajnie było w Meksyku.

Oprócz kilku SMS-ów i e-maili nie rozmawiałem z Masonem od naszych egzaminów w lipcu.

– Meksyk był świetny.

Po uśmiešku Masona wnoszę, że Kent zdradził mu szczegóły, o których nie powinienem teraz opowiadać. Zwłaszcza kiedy stoi przy nas mój nowy szef.

Mason miał jechać z nami, ale postanowił od razu rozpocząć pracę u ojca. Mówiłem mu, że jest pieprzonym idiotą. No bo póki nie dostaniemy wyników egzaminów, nie jesteśmy nawet „prawdziwymi prawnikami”, a otrzymamy je dopiero za kilka tygodni. A wtedy? Będziemy mieli na głowie masę spraw klientów przyjmowanych przez telefon, nowych akt z dowodami i trudnych wniosków, co diabli wiedzą jak długo potrwa, nim zapracujemy na zaufanie, by dostać własnych klientów. Dlaczego nie cieszyć się wakacjami?

– Mason, pomożesz Benowi poznać firmę? Ja o dziewiątej mam stawić się w sądzie. Może obaj wpadniecie do mojego gabinetu w południe i pójdziemy na lunch? – mówi Jack, stukając palcem w grubą teczkę z dokumentami. – To dla ciebie, żebyś wypełnił i zaniósł dzisiaj do kadr, Ben. – Po czym szybko wychodzi.

Z szerokim uśmiechem obchodzę biurko i opadam na skórzany, elegancki fotel.

– Tu jest naprawdę fajnie.

Mason przytakuje powoli, przeczesując dłonią ciemne, kręcone włosy, a potem, jakby zdał sobie sprawę, że pozostawił je w nieładzie, szybko próbuje je wygładzić.

– Muszę zadzwonić w jedno miejsce, ale zaraz potem wrócę, okej?

– Okej. – Trzy lata znam tego gościa, a nadal jest skrepowany przy zwykłej rozmowie.

– W najbliższej przyszłości będziesz asystował Natashy w sprawach z zakresu prawa rodzinnego. Kiedy wrócę, przedstawię was sobie.

– Natashy? – Sugestywnie unoszę brew.

– Jest zaręczona – szybko dodaje Mason.

– Istotniejszym pytaniem jest: czy jest seksowna?

Mason przewraca oczami.

– Mówiłem ci już o polityce firmy dotyczącej romansów w pracy, prawda?

– A kto mówi o romansach? – *Co jest z tymi cholernymi, blokującymi fiuta pracodawcami? Najpierw Cain, teraz Jack?* Mocno uderzam dłońmi w blat dużego, mahoniowego biurka. – Zawsze chciałem zobaczyć, jak wygląda seksowna prawniczka rozłożona na takim biurku. – Oczywiście żartuję, ale lubię przyglądać się, jak Mason przechodzi przez różne fazy niezręczności, przy czym robi się niespokojny i zaczyna się bawić okularami.

I... rany, właśnie je poprawia. Uśmiecham się. Nawet gdybyśmy chcieli, nie potrafilibyśmy być bardziej od siebie różni. Facet ma na sobie koszulę z krótkim rękawem, czarny krawat i wygląda, jakby jechał na turniej szachowy organizowany w podstawówce.

Ja nie założyłem dzisiaj krawata. Do pracy można przychodzić ubranym zwyczajnie, no, chyba że idzie się do sądu lub na spotkanie z klientem, a ja dziś nic takiego nie planuję, dlaczego więc miałbym wyglądać jak biurowy orangutan?

Pozwalam, by wiercił się przez jeszcze kilka niezręcznych chwil, po czym rzucam:

– Żartuję, Mace! Naprawdę! Mam zamiar zacząć całkiem nowe życie.

– Od kiedy? – Jego ton opływa wątpliwościami. Chłopak zna mnie wystarczająco długo i widział mnie w akcji więcej niż jeden raz, zatem jego sceptycyzm jest zrozumiały.

– Od imprezy pożegnalnej w *Penny* w zeszły weekend. Od tamtej pory żadnych akcji. Myślę, że mój fiut zasłużył sobie na przerwę. – Kręcę głową i śmieję się do siebie. Mercy i Hannah wiedzą, jak wyprawić facetowi huczne pożegnanie.

– Och. – Niewielki uśmieszek maluje mu się na ustach, ale szybko znika. – Dobra. Tylko o tym nie zapominaj. Zwłaszcza przy mojej przybranej siostrze.

Chwila!

– Czekaj. Masz przybraną siostrę? Pracuje tutaj? – A to nowość. Nigdy wcześniej o niej nie wspominał. No, ale jest dość skryty. – Jest kujonką jak ty?

– W ogóle nie jest do mnie podobna. W pokoju na końcu korytarza, po lewej stronie, prawdopodobnie czeka dzbanek pełen świeżej kawy. – Zaczyna przebierać nogami. Facet nie znosi się spóźniać.

– Idź, Mason. I dzięki za info.

– Nie ma sprawy, Ben. Wrócę za... – Patrzy na telefon. – ...osiemnaście minut.

I wróci. Punktualnie. Przyglądam się, jak pospiesznie odchodzi i kręcę głową. Gość nadal mieszka z ojcem. Przeważnie nosi niedopasowane skarpetki, jakby w ogóle nie rozróżniał kolorów. Gdybym nie podpuścił na niego Kyli, dziewczyny z pierwszego roku, i nie był świadkiem tego, jak zaciągnęła go do pokoju na imprezie w bractwie, postawiłbym całą kasę na to, że jedyną kobietą, która widziała jego fiuta jest jego matka. A znając Kyle, to nie tylko go widziała, ale też zrobiła z niego użytek.

Mimowolnie głośno ziewam, co maskuję jękiem i pomrukiem:

– Tak, kawa brzmi dobrze. – Muszę przywyknąć do porannych pobudek. Po latach zasypiania o świcie i nauki tylko popołudniami, moje ciało dosłownie teraz cierpi. Na początek jednak podnoszę słuchawkę i wciskam kilka klawiszy. Pamiętam ten numer odkąd skończyłem cztery latka, ponieważ używałem go codziennie. Zazwyczaj w porze obiadu.

Mam nadzieję, że siedzi na werandzie, popijając herbatę i sprawdzając e-maile na iPadzie. Uśmiecham się, kiedy sobie przypominam, jak uczyłem swoją pięćdziesięcioletnią matkę korzystania ze współczesnej elektroniki.

Niestety to nie ona odbiera telefon.

Natychmiast się spinam.

– Cześć.

Odpowiada mi pomruk.

– Jest tam gdzieś mama?

– Wyszła do sadu.

Powinna już wrócić. Zawsze o świcie idzie na spacer do sadu, kontrolować drzewa.

– Sprawdziłaś czy wszystko z nią w porządku? – Siedem miesięcy temu przeszła lekki zawał serca i martwię się, kiedy nie wraca zbyt długo.

– Nic jej nie jest.

– To dobrze. Powiedz jej, że dzwoniłem. – I tak nie przekaże. Chyba będę musiał zadzwonić później.

– Skąd dzwonisz?

Zastanawiam się, co wyświetla ekran telefonu. Pewnie dlatego odebrał. Dlatego, że nie wiedział, iż dzwoni jego syn.

– Od Warnera, firmy prawniczej, w której teraz pracuję.

Mama pewnie nie kłopotowała się, by powiedzieć mu, że skończyłem studia.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

Przełykam westchnienie irytacji. Mimo że to mała firma, jest jedną z najbardziej renomowanych w kraju. Zarządza nią piąte pokolenie Warnerów, mając na własność budynki w ścisłym centrum Miami. Według mojego rozeznania, Jack przez dziesięć lat miał partnera – swojego przyjaciela – więc pracowali razem jako Warner&Steel, podwajając liczbę klientów. Jednak kilka lat temu ich drogi rozeszły się, a partnerem Jacka został ktoś z zewnątrz.

W każdym razie nie spodziewam się, by ojciec odróżnił kancelarię prawną od sklepu z paczkami. Po prostu próbuje mi dogryźć.

– Na razie. – Rozłączam się i idę szukać tej kawy, zanim uda mu się wpędzić mnie w zły humor. Jest jedyną osobą, która potrafi to zrobić.

Wnętrze firmy Warnera jest mieszaniną stylów – są tu szare ściany, mahoniowe regały i biurka,

stojące w centralnej części, na wolnej przestrzeni; przeszklone boksy zajmują miejsce pod ścianami, jakby ktoś próbował odremontować ten budynek, ale w połowie prac zabrakło mu kasy i pomysłów. Jack wspominał coś o przebudowie na zimę. Jeśli o mnie chodzi, biuro jest w porządku, ale jestem dwudziestopięcioletnim facetem, który mieszka z pięcioma współlokatorami i gdyby mógł, przychodziłby do pracy w krótkich spodenkach.

Całe piętro nie jest jakoś skomplikowane, więc szybko odnajduję pokój socjalny. Wykorzystując to, że jestem „pierwszy dzień w pracy”, pozwalam się tam zaprowadzić uroczej asystentce, która cały czas się uśmiecha i rumieni, kiedy gapię się na jej kołyszący się przede mną tyłek. Lubię różne kobiece krągłości w każdym rozmiarze. Stara wersja mnie – ta sprzed dwóch dni – prawdopodobnie już miałaby numer telefonu tej dziewczyny. Nowy ja próbuje czegoś innego. Szczególnie, że staram się nie zaliczyć każdej laski, którą uznam za atrakcyjną.

Wracając do swojego gabinetu – z kubkiem kawy w jednej i domowej roboty babeczką w drugiej ręce – oglądam biurka personelu administracji. Sądząc po zdjęciach i innych pierdołach, są to w większości kobiety. Przeważnie zameżne i dzieciate. Po czterdziestce lub coś koło tego. Zupełnie inny świat niż ten w *Penny*, gdzie ciągle otaczały mnie gołe cycki i tyłki! Przynajmniej łatwiej mi tu będzie trzymać zapięte spodnie i zachowywać się jak odpowiedzialny, dorosły człowiek.

Ponieważ właśnie taki jestem. Poważny prawnik Ben Morris. No cóż, prawie.

Tak czy inaczej, już samo brzmienie mi się podoba.

Kiedy mijam niewielki gabinet znajdujący się niemal naprzeciw mojego, moją uwagę przykuwa zdjęcie wiszące na ścianie. Zatrzymuję się, a uśmiech natychmiast gości na mojej twarzy, kiedy zauważam, że to plakat promujący album Pearl Jam, i przypominam sobie o Jill – tej zwariowanej dziewczynie o fioletowych włosach udającej biologa morskiego.

Cholera, ta laska była inna.

Po zdjęciu obrzyganych ciuchów i wywaleniu ich na balkon, wyciągnąłem się na łóżku, czekając, aż wyjdzie z łazienki, pragnąc nad życie skorzystać z prysznica. Myślałem, czy nie iść do pokoju Kenta, ale nie chciałem zostawiać tej dziewczyny samej. Chyba zasnąłem, bo następną rzeczą, którą pamiętam, było słońce świecące mi w twarz i brak Jill.

I żadnej kartki.

Przynajmniej mnie nie okradła. I nie zabiła.

Próbowałem ją znaleźć, ale po zbajerowaniu recepcjonistki w hotelu, by sprawdziła listę gości, okazało się, że żadna Jill w nim nie mieszka. Zapewne pokój był wynajęty na jedną z jej koleżanek, ale ich imion nie zapamiętałem. Sam hotel był za duży na przeszukanie go, zwłaszcza że musiałem się spieszyć, by pozbierać wszystkie rzeczy, które rozrzuciła mi po pokoju i zdążyć na samolot.

Nie będę ściemniał – kilka tygodni później szukałem dziewczyny o fioletowych włosach, imieniem Jill na Facebooku. Głównie dlatego, że chciałem przeprosić za wybuch śmiechu.

Ale też dlatego, że była zabawna i nie miałbym nic przeciwko ponownemu umówieniu się z nią. Oczywiście bez rzygania. Nie opowiedziałem chłopakom, co tak naprawdę zaszło. Myślą, że było bzykanko jak zwykle.

Jasnoróżowy sweterek przewieszony przez oparcie krzesła podpowiada mi, że to gabinet kobiety, jednak wszystko inne temu przeczy. Teczki z dokumentami, poukładane w nierówne stosy znajdują się na biurku, na podłodze, są w pudłach i na wolnym krześle. Tam, gdzie nie ma teczek leżą wydrukowane e-maile i inne śmieci. Kartonowe kubki ze Starbucksa stoją na biurku obok telefonu, a wśród nich otwarta paczka ciastek i torebka suszonej wołowiny. Zmięta torebka po chipsach

i zgnieciona puszka po RedBullu leżą obok kosza na śmieci.

Na monitorze komputera – do którego przyklejone są setki wielokolorowych karteczek – znajduje się tapeta ze starą niebieską ciężarówką zaparkowaną na łące.

Jestem co najmniej zaintrygowany. Nie potrafię sobie wyobrazić, do jakiej kobiety mógłby należeć cały ten bajzel, i po części boję się to odkryć. Nie to, żeby było tu brudno, tylko brak tu ładu i składu. Podchodzę i przyglądam się biurku, szukając czegoś, co opowie mi o jego właścicielce. Dokładnie wtedy zostaję przyłapany.

– Jest jakiś powód, dla którego grzebiesz w moich rzeczach? – pyta ostry głos.

Przywdziewając uśmiech, który powala nawet najbardziej humorzaste kobiety, odwracam się. W drzwiach stoi blondynka w krótkiej, zielonej sukience i kowbojkach, w dłoni trzyma duży kubek kawy, a na jej czole maluje się poprzeczna zmarszczka.

Otwieram usta, by się przedstawić, ale się waham, widząc panikę w jej oczach.

W jej karmelowych oczach.

– Jasna dupa! – *Nie wierzę!* Nie potrafię powiedzieć nic innego prócz: – Wisisz mi nową koszulę!

ROZDZIAŁ PIĄTY

REESE

W poniedziałkowy poranek zostaję wypatroszona. Moje flaki wylewają się na grafitową wykładzinę gabinetu.

I nie mogę złapać tchu.

Co ten gość tutaj robi?

Oczywiście facet jest w takim samym szoku jak ja. To jego donośne „jasna dupa” prawdopodobnie rozniosło się przez połowę piętra i teraz zapewne wszystkie kwoki patrzą na nas sponad swoich okularów, by sprawdzić, co się dzieje. A gość stoi i gapi się na mnie wielkimi, zdziwionymi oczyma.

– Jill? To ty?

– Nie poznajesz swojej prawdziwej miłości? – Być może brzmiałoby to dowcipnie, gdyby głos mi nie drżał, a moje policzki nie paliły ze wstydu. To, że taki lowelas jak ten gość zapamiętał moje fałszywe imię, mówi samo za siebie. Z pewnością wywarłam na nim piorunujące wrażenie.

– Wyglądasz tak... – Urywa, przyglądając się tymi swoimi jasnoniebieskimi oczami mojej blond fryzurze, aż w końcu skupia się na mojej twarzy. – Żadnych kolczyków?

Nie ufając swojemu głosowi, stukam palcem w diamencik w nosie. Chociaż wyjęłam już większość z uszu i z przegrody nosowej. To nowa wersja mnie, którą staram się być.

Ben powoli kiwa głową, jakby nadal próbował to wszystko pojąć. Skupia spojrzenie na mojej klatce piersiowej i mruży oczy. Mogę się założyć, że stara się dostrzec kontury kolczyka, który mam w sutku.

Próbuję stłumić powracające wspomnienie, które nawiedza mnie od tygodni – nie ma mowy, by wymioty wystrzeliwały komuś z ust niczym z węża strażackiego! – podczas gdy chodzący i oddychający dowód mojej najbardziej upokarzającej nocy w życiu stoi w moim gabinecie.

Wtedy czekałam dobre dwie godziny, nim odważyłam się wyjść z łazienki, po czym znalazłam Bena, rozebranego do bokserów, chrapiącego na łóżku. Szybko się ubrałam i uciekłam na paluszkach. A w tej chwili efekt moich nieudanych egzorcyzmów opiera się o moje biurko, krzyżując muskularne ramiona na piersi. Figlarny uśmiech, który ma na ustach, podpowiada mi, że otrząsnął się z szoku i znowu jest zarozumiałym facetem, na którego dwa miesiące temu zwymiotowałam.

– Co tutaj robisz?

– Pracuję. – Udaje mi się z siebie wydusić. Wchodzę do gabinetu i zastępuję jeden z pustych kubków stojących na biurku świeżym, starając się zachowywać nonszalancko, kiedy tak naprawdę walczę z pragnieniem, by odwrócić się na pięcie i uciec. – Myślę, że lepszym pytaniem jest: co ty tutaj robisz? – Jak mogłam nie wiedzieć, że on jest z Miami? Och, tak... nie zawracałam sobie głowy pytaniem o to. Byłam zbyt zajęta, próbując zdecydować czy uprawiać z nim seks. A teraz, gdy ukradkiem zerkam, jak czarna koszula i grafitowe, eleganckie spodnie dobrze leżą na jego

muskularnej sylwetce, przypominam sobie, co mnie w nim tak pociągało. Cóż, tequila z pewnością mi się nie przysłużyła.

Czerwienię się coraz bardziej.

Narzygałam na tego gościa!

Po czym przyglądał mi się, jak z gołym tyłkiem pełzną po podłodze w kierunku łazienki.

Pan Cuervo – i wszyscy jego meksykańscy kuzyni – nie są już moimi przyjaciółmi.

– Pan Warner zaproponował mi pracę.

– Ja... – *Co? Ben będzie tu pracował?*

– Wiosną skończyłem studia prawnicze.

Zaciskając zęby z bólu, ponieważ wzięłam łyk cholernie gorącej kawy – później tego pożałuję – mamroczę:

– Jakoś o tym nie wspomniałeś.

Zaciska usta w zamyśleniu.

– Byłem zajęty, próbując rozgryźć, jaką dokładnie masz specjalizację w dziedzinie biologii morskiej.

– Ostatnio zmieniłam zawód.

– Oczywiście. – Jego oczy błyszczą, gdy przygląda mi się rozbawiony. *Palant.* – Będzie nam się niezręcznie pracować?

– Nie... – odpowiadam, rzucając torebkę na podłogę – bo natychmiast zrezygnujesz.

Głęboko wzdycha.

– Nic się takiego nie stało. Ty...

– Cicho! – Wyciągam rękę, by mu przerwać, a rumieniec znów wypływa mi na policzki. To ostatnia rzecz o jakiej chcę rozmawiać w pracy. – Nic nie mów!

Krzyżujemy spojrzenia na dłuższą chwilę i nie mogę odczytać, o co mu chodzi. Czy żałuje tej nocy tak bardzo jak ja? Ponieważ na liście głupot, jakie popełniłam – a to naprawdę długa lista – ta sprawa znajduje się na samej górze, oznaczona chorągiewką: „idiotka”.

Nagle zaskakuje nas głos:

– A, tu jesteś, Ben. Natasha już czeka.

Przewracam oczami, słysząc oburzony ton mojego przybranego brata, jak i na wspomnienie Natashy, trzydziestoletniej kauzyperdy, która próbuje mnie zabić wnioskami rozwodowymi. Ben widzi moją reakcję i nawet nie próbuje ukryć uśmiechu, gdy mówi:

– Cześć, Mason. Właśnie wracałem do siebie.

– Wiesz, że nikt tu nie sprząta w weekendy. Przez ten bałagan wprowadzą się tu karaluchy – mamrocze Mason i wiem, że kieruje te słowa wprost do mnie.

Mason, nawet gdyby próbował, nie potrafiłby wyrazić w stosunku do mnie jeszcze większej antypatii. Może mieszkamy i pracujemy pod jednym dachem, ale nie przyjaźnimy się ani trochę bardziej, niż kiedy przeprowadziłam się do tego miasta osiem miesięcy temu. Właściwie to żałuję, że nie miałam kamery, by nagrać jego minę, gdy przyjechał z zajęć i zobaczył mnie w kuchni, pijącą mleko czekoladowe wprost z kartonu. Jack nie ostrzegł go, że wróciłam do ich życia. Myślałam, że głowa dosłownie mu eksploduje.

– Ale mam swoje pupilki do wykarmienia – ripostuję. Wszystko u Masona, no może z wyjątkiem niesfornego mopa na głowie, jest nieskazitelnie czyste: koszule, spodnie prasowane w kant, samochód subaru, gabinet znajdujący się zaraz obok gabinetu Jacka, który codziennie pucuje

chusteczkami nasączonymi lizolem. Odzywa się do mnie jedynie wtedy, gdy chce mi wytknąć, że ja nie jestem taką czyścioszką. Nie muszę dodawać, że niezbyt dobrze nam się razem mieszka.

– Nie chcesz rozmawiać z nią tak wcześnie rano. Nie przeszła jeszcze pierwszego karmienia i jest bardziej upierdliwa niż zwykle. – Mason ostrzega Bena.

– Słuchaj Jiminy’ego Świerszcza. On wie, co mówi. – Zajęło mi to ponad dwa miesiące warczenia i posyłania śmiertelnie ostrych spojrzeń, ale w końcu wszystkich wytresowałam. Nawet Jack już wie, by nie zaczynać ze mną rozmowy, póki ten wielki kubek z kawą nie będzie pusty, a ja nie otworzę drzwi gabinetu i nie skończę wyklinać nadawców każdego jednego e-maila, który znajdę w swojej skrzynce. Potem jestem stosunkowo przyjazna. Oczywiście prawnicy to tolerują, ponieważ biegam za wszystkich asystentów prawnych, nawet tych pracujących tutaj od lat. Klienci zgadzają się na pracę prawników za dobrą stawkę, a ja dostarczam im dokumenty w rekordowym tempie, przez co mogą załatwiać więcej spraw i generować większe zyski. Zwalają całą papierkową robotę na innych, a mnie dają sprawy, które wymagają badań, analiz i krytycznego myślenia, rzeczy, które przychodzą mi naturalnie, ponieważ jestem ciekawska i lubię testować granice. Myślę, że pomogło mi to również wtedy, gdy przedzierałam się przez program asystentów, a Jack podrzucał mi wszelakie paragrafy i ustawy oraz inne prawnicze rzeczy, których uczą na studiach. Szukając sposobów na zabicie wolnego czasu, dosłownie je pożerałam. Nikt by nie uwierzył, że jestem tu zaledwie od dwóch miesięcy. To miłe. Po raz pierwszy od lat czuję się mądra.

Śmiejąc się, Ben mija mnie bardzo powoli, zmierzając do wyjścia.

– Może tą właśnie upierdliwością wcześniej mnie ujęła.

– Chwileczkę... Wy się znacie? – pyta Mason ostrożnie.

Szeroki uśmiech Bena mnie nie przeraża.

– Tak. Poznaliśmy się w Cancún.

Mason, patrząc na mnie, poprawia swoje wielgachne okulary.

– Kiedy byłeś w Cancún?

Kręcę głową. Oczywiście, że nie pamięta. Mimo że jest pedantyczny i zdyscyplinowany w pracy, w normalnym życiu jest roztrzepany. Przypomina mi szalonego naukowca, z tą różnicą, że nie ma fartucha i próbowek.

– W lipcu. Moje urodziny. Pamiętasz? Dałeś mi bilety na U2.

W oczach Masona rozpala się iskierka gniewu.

– Nie dałem ci tych biletów. Ukradłeś numer mojej karty kredytowej i je sobie zamówiłaś!

Teatralnie opieram ręce na piersi i udaję obrażę.

– A sądziłam, że to niezapomniany prezent od ciebie na moje wspaniałe dwudzieste pierwsze urodziny.

– Myślałem, że masz dwadzieścia dziewięć lat – rzuca Ben z krzywym uśmiechem.

– A ja myślałam, że się więcej nie spotkamy – odcinam się.

W końcu wydaje się, że Mason zaczyna rozumieć i kiedy skupia się na Benie, widzę, jak przez chwilę obrzydzenie maluje się na jego twarzy.

– Proszę, powiedz, że Reese nie jest dziewczyną o fioletowych włosach, o której opowiadał Kent.

– Reese? – Słyszę w tle głos Bena, ale jestem zbyt zajęta przetwarzaniem ważnych słów.

„O fioletowych włosach”. „Kent”. „Opowiadał”. „Meksyk”.

Po raz drugi w ciągu ostatnich pięciu minut czuję jak krew zalewa mi twarz, gdy nagle poraża mnie zrozumienie. I przerażenie. Ben nie jest po prostu nowym pracownikiem.

– O Boże! Jesteś kumplem mojego przybranego brata?

Spojrzenie Bena przeskakuje na mnie, a jego brwi wędrują do góry.

– Twojego brata?

– O kurwa! – Mason zaczyna kręcić głową. – Poważnie, Ben?

Zerkam na Masona, który nigdy nie przeklina, po czym wzrokiem ciskam sztylety w twarz Bena.

– No, Ben, poważnie? – syczę przez zaciśnięte zęby. – Co mógł powiedzieć Kent o dziewczynie o fioletowych włosach, Ben? – Nie przyznałam się nikomu do tego, co stało się tamtej nocy, z wyjątkiem Nicki i Liny, a i to zrobiłam tylko dlatego, że wróciłam do hotelu kulejąc. Jeśli Ben opowiedział wszystko swoim kumplom... i Mason wie... to chyba umrę... Mason z pewnością wykorzysta to kiedyś przeciwko mnie. Rozpowie o tym w firmie i wszyscy będą plotkować za moimi plecami. Będę powodem nieprzerwanego śmiechu. I w końcu będę zmuszona wszystkich zabić.

Przeskakując zdziwionym spojrzeniem pomiędzy Masonem i mną, Ben wygląda, jakby nie mógł się zdecydować czy wybuchnąć śmiechem, czy uciec z mojego gabinetu.

I oczywiście jest to idealna chwila, by zajrzała do nas Natasha.

– Ty musisz być Ben – ćwierka tym swoim wysokim głosem, który gra mi na nerwach od pierwszego dnia, obdarowując chłopaka promiennym uśmiechem i podając mu dłoń. – Jestem Natasha. Będziemy ze sobą blisko współpracować.

– Na to liczę – rzuca nonszalancko Ben, na oczach wszystkich przyglądając się sylwetce prawniczki i uśmiechając się równocześnie. Nie robi tego jak zboczeniec, lecz mimo to uważam, że to wkurzające. Jeśli został mi na tym świecie choć gram szczęścia, Ben wyleci z tej firmy za molestowanie seksualne.

Niestety nie wygląda na to, żeby Natasha wszczyniała jakiś alarm. Odrzuca długie włosy w kolorze moreli za ramię, chichocząc jak idiotka – którą tak naprawdę nie jest. W rzeczywistość jest ostra i inteligentna, choć nigdy nie mówiłam jej o tym, by nie pompować jej ego – i mówi:

– Świetnie. Więc może powinniśmy już zacząć. Jestem zavalona robotą. Na szczęście miałam Reese do pomocy. – Pokazuje mi swoje bieluśkie ząbki. – À propos, udało ci się dopracować ten plik?

Wiedziałam, że będę wspierać prawników przy pracy. To, z czego nie zdawałam sobie sprawy to fakt, że będę praktycznie odwalala za nich całą robotę, by mogli podpisać dokumenty i zgarnąć bajońskie sumy jako wynagrodzenie. Poważnie, nie zdziwiłabym się, gdyby ktoś niedługo poprosił mnie o podtarcie tyłka.

– Masz na myśli czterdzieści stron umowy, nad którymi ślęczałam do drugiej w nocy? A może sześćdziesiąt stron wniosku, który właśnie znalazłam na biurku? – Kopiuje jej wielki uśmiech, tyle że mój jest tak sztuczny i wściekły, że ślepy pies dałby nogę. Jej oliwkowe spojrzenie osiada na moim pełnym kubku.

– Ben, może przejdziemy do mojego gabinetu i pozwolimy Reese się przygotować?

Genialny pomysł.

Nathasha i Mason nie marnują czasu i znikają z mojej przestrzeni osobistej.

– Rozmiar koszuli to XL... Reese – szepcze Ben, pochylając się do mnie.

Wstrzymuję oddech, obserwując jak wychodzi, po czym zatrząskuję za nim drzwiami. Ukrywam się za nimi, w jedynym miejscu, które jest niewidzialne dla świata, jestem jednak pewna, że wszyscy słyszą łomot, kiedy moja głowa uderza w ich drewnianą powierzchnię.

To musi być karma, która nadchodzi, by boleśnie ugryźć mnie w tyłek.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

BEN

– Nic nie zaszło.

– Kent twierdził coś innego.

– Ale Kenta tam nie było, więc skąd, u licha, może znać szczegóły? – Wzdycham. – Była nawalona.

– A od kiedy to dziewczyna jest zbyt pijana dla Bena Morrisa?

– Facet, no weź. – Piorunuję wzrokiem Masona, gdy z jedzeniem i napojami w dłoniach znajdujemy w parku ławkę w cieniu, by skryć się przed południowym, wrześnieowym żarem. Jack musiał zmienić plany z powodu nagłej sytuacji związanej z klientem. Najwyraźniej często mu się to zdarza.

Mason wyciąga ręce w górę.

– Przepraszam. Wiem, że nie zrobiłbyś tego.

Przyglądam się jak ostrożnie rozwija i rozkłada sobie na kolanach trzy serwetki, po czym z chirurgiczną precyzją wyjmuje jakieś warzywne gówno z tofu i ostrożnie, by przypadkiem nie wypadł mu żaden strzępek sałaty, kładzie je na serwetkach. Od lat bardzo dokuczaliśmy Masonowi z powodu babskiej diety, ale facet jest tak drobiazgowy pod tym względem, że nawet nie popatrzyłby na tłustego burgera. W sumie imponuje mi tym.

– Masz zamiar to zjeść, czy będziesz się nad tym modlił?

– Widziałeś jej gabinet, prawda? – pyta, ignorując mnie. – Ona jest strasznym niechlujem. Mieszkanie z nią pod jednym dachem to pieprzony koszmar. – Mason już drugi raz dzisiaj przeklina.

A zazwyczaj tego nie robi, zgaduję więc, że albo myśl o mnie kręcącym się obok jego przybranej siostry zalazła mu za skórę, albo sama jej osoba.

Mój umysł nawiedza wizja bałaganu o poranku w moim hotelowym pokoju i uśmiecham się do siebie.

– Jestem pewien, że potrafi ładnie posprzątać. – W odpowiedzi Mason przewraca oczami.

– Słuchaj, wiem, że jest twoją przybraną siostrą, ale jest pociągająca. – Mimo że podobał mi się wizerunek dzikiej dziewczyny niepozwalającej wciskać sobie kitu, jaki prezentowała w Cancún, teraz jej nowy wygląd, w jasnych włosach, krótkiej sukience i wysokich butach, jest bardzo podniecający.

– Jest obłąkana. – Zerka na mnie. – Poważnie. W firmie ma ksywkę Rancor^[3].

Cola wystrzeliwuje mi z ust, gdy parskam śmiechem.

– Wie o tym?

– Zgaduję, że przegapiła kartonową postać naturalnej wielkości stojącą w jej gabinecie, co? W dniu, w którym usłyszała, jak to określenie wymusnęło się Nelsonowi, zamówiła ją sobie na stronie *Gwiazdnych wojen*. Stawia ją przy drzwiach w poranki, gdy jest ekstra wkurzona. – Kręci

głową, patrząc na mnie, a ja wybucham śmiechem.

Wszystko, co o niej wiedziałem było kłamstwem. Cieszę się, że chociaż zgryźliwe poczucie humoru jest prawdziwe. Lubię kobiety, które potrafią mnie rozśmieszyć.

– Skoro tak trudno z nią wytrzymać, dlaczego twój ojciec trzyma ją w firmie? Nie zrozum mnie źle, oczywiście cieszę się z tego faktu, ale zbieram informacje, ponieważ będę z nią pracował.

– Nie potrwa to długo – mamrocze pod nosem, po czym wzdycha ciężko. – Mimo że jest wysoce nieprofesjonalna i w którymś momencie firma zostanie pozwana przez jej stosunek do innych współpracowników, muszę przyznać, że jest dobra w tym, co robi. Wszystko, co ma, to matura i dyplom z kursu, mimo to poucza połowę doświadczonych asystentów, jak powinni wykonywać swoją pracę, cytuje paragrafy i ustawy. No i zazwyczaj ma rację. Niepokojące jest to, jak bardzo szybko się uczy.

– Sugerujesz więc, że jest geniuszem? – mówię z pełnymi ustami.

– Tak, może – odpowiada z nutą rozgoryczenia w głosie. – Jest też samolubna, lekkomyślna, impulsywna i nie można na niej polegać. – Odstawia wodę mineralną i mruczy pod nosem: – Ma wszystkie objawy socjopatii.

– Och, do diabła. – Przewracam oczami. Zapomniałem, że Mason studiował również psychologię. – Opuść trochę. Twoja siostra nie jest socjopatką, Mace! Ty jej po prostu nie lubisz, zgadza się?

– Przybrana siostra – poprawia ostrożnym tonem. – To nie tak, że jej nie lubię. Ja... – Lekko wzrusza ramionami. – Muszę przyznać, że nie pałam do niej miłością. I nie ufam jej. Nie odzywała się do ojca chyba z dziewięć lat, a potem nagle zadzwoniła w styczniu z prośbą o wpłacenie kaucji, ponieważ siedziała na posterunku policji w Jacksonville. – Kręci głową i dodaje: – Rzucił wszystko i pojechał do niej. Niemalże stracił przez to najważniejszego klienta.

Hm... a co robiła na komisariacie?

– Ma coś w kartotece?

Nie to, żeby mnie to naprawdę obchodziło. No, chyba że to ma coś wspólnego z odprawianiem egzorcyzmów na facetach, którzy chcą ją przelecieć.

– Jej młodociana kartoteka jest pełna, ale została zamknięta, gdy Reese skończyła osiemnaście lat. W większości to jakieś głupoty, przynajmniej tak mówił tata. Bójki... marycha... wyścigi samochodowe...

Na te słowa podrywam głowę.

– Jednak ostatnim razem zadarła z prawem dość poważnie. Zdemolowała mieszkanie byłego męża. Kanapka zatrzymuje mi się w połowie drogi do ust.

– Były mąż? Czy nie wspominała, że niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat?

Mason kiwa głową.

– Wyszła za niego, gdy miała dwadzieścia lat. Znała tego gościa jakieś sześć tygodni, nim polecili wziąć ślub w Vegas. Dziwi cię to, że jej małżeństwo przetrwało zaledwie cztery i pół miesiąca?

– Cholera... A ten tatuaż, który ma na ramieniu? To dla niego? – Musi tak być. A ja się z niego nabijałem.

– Tak, chyba tak. Podobno kiedy wróciła, by spakować swoje rzeczy, całe mieszkanie oblała czerwoną farbą. – Wybałusza oczy z miną znawcy. – Dostrzegasz symbolizm? Czerwona farba...

– Jest zadziorna. – Znów coś, co wiedziałem. I ponownie coś, co mi się podoba. Mimowolnie kojarzę kolor i zaczynam się śmiać. Moja koszula nigdy nie miała u niej szans.

– Wygląda na to, że rozwód był paskudny.

– Facet ją zdradzał.

– Szmaciarz. – Jeśli ktoś nie potrafi być monogamistą, nie powinien pakować się w związek, a tym bardziej w małżeństwo. Taką wyznaję filozofię. Właśnie dlatego nic nikomu nie obiecuję. – Jack zdecydował się zabrać ją do Miami?

Wolno kiwając głową, Mason odpowiada:

– Tata zawsze bardzo lubił Reese. – Prycha. – Nawet bardziej niż mnie. Ale skąd mogę wiedzieć, czy ona nie planuje go oszukać? Jej matka już raz wyczyściła go z kasy.

Przeżuwam kanapkę w ciszy, czekając, by Mason rozwinął temat, jednocześnie jestem zaskoczony, że w ogóle tak dużo mi opowiada.

– Tata i matka Reese byli małżeństwem przez pięć lat, zanim odkrył, że jego żona romansuje z Barrym Steelem.

Kawałki układanki trafiają na swoje miejsce.

– Warner & Steele... Byli partnerami w interesach?

Mason przytakuje.

– Do bani.

– Tak, cóż, Annabelle jest kłamliwą, egocentryczną dupodajką. Prawie udało jej się zniszczyć majątek mojej rodziny. Tatę kosztowało fortunę, by spłacić Barry'ego, po czym Annabelle i tak próbowała oskubać go do kości jak sęp, jednak Barry jej na to nie pozwolił. Tata nadal wychodzi z finansowego dołka. Właśnie dlatego nie skończył remontu całego biura. – Mason przerywa, by się napić. – W końcu Annabelle rzuciła Barry'ego dwa lata później i przerzuciła się na senatora.

– Jest seksowna?

– Tak, chyba tak. Ale matka Grendela też była – mamrocze, a ja kręcę głową, gdy Mason odwołuje się do *Beowulfa*. Składając ostrożnie serwetki na kolanach, by nie rozsypać okruchów na spodnie, ciągnie dalej: – Tata nie jest głupi, Ben. – Kiedy na mnie patrzy, jego oczy za tymi dużymi okularami wydają się jeszcze większe.

– Co to ma znaczyć?! Do diabła, przecież nie może mnie winić za to, co stało się tamtej nocy! Nawet tu jeszcze nie pracowałem.

– Zna ten typ i wie, gdzie pracowałeś przez poprzednie cztery lata. Z tego powodu ledwie cię zatrudnił. Nim do ciebie zadzwonił z propozycją pracy, wymusił na mnie przyrzeczenie, że będziesz trzymał zapięte spodnie.

Śmieję się.

– No to czeka cię kupa roboty, Mace.

– Ja nie żartuję. Słuchaj, właśnie zakończył sprawę pozwu firmy sprzed trzech lat. Jeden z prawników spotykał się z asystentką. Kiedy ze sobą zerwali, wybuchła wojna. Ona była bardzo wrogo nastawiona i włamała się do jego gabinetu. Jack musiał ją zwolnić, lecz ona uważała inaczej i pozwała go, że zrobił to nielegalnie. Jack nie chce w przyszłości podobnych sytuacji. Właśnie dlatego wprowadził te zasady. Zasady, które mają być respektowane.

Mason jest żarliwym wyznawcą przestrzegania zasad. Dla niego wszystko jest czarne albo białe. Prawdopodobnie dzięki temu jest dobrym prawnikiem. Ja preferuję szarość, zawsze szukam sposobów, by obejść lub nagiąć reguły. To prawdopodobnie uczyni ze mnie cholernie fantastycznego prawnika.

– Jeśli cokolwiek to dla ciebie znaczy... Jack myśli, że jesteś naprawdę obiecujący, Ben, ale nie będzie się zastanawiał dwa razy, czy cię wylać, jeśli przyłapie cię na kombinowaniu z kimkolwiek –

mówi Mason.

Zwolnienie z roboty tuż po ukończeniu studiów prawniczych byłoby do dupy. Znalezienie kolejnej pracy w Miami po czymś takim graniczyłoby z cudem – no i utknąłbym z niepewną przyszłością. A mama potrzebuje, by przynajmniej jedno z jej dzieci mieszkało blisko.

– A jeśli przyłapie cię z Reese... – ciągnie Mason, kręcąc głową.

Klepiąc kumpla w ramię, obiecuję:

– Rozumiem i nie musisz się martwić. Mówiłem ci, że dni beztroski mam już za sobą. Poza tym coś mi mówi, że duma nie pozwoli tej dziewczynie się do mnie zbliżyć. – Rzyganie nie było celem, do którego dążyłem, przyprowadzając tę laskę do swojego pokoju hotelowego, jednak kiedy się jest nawalonym jak stodoła na zimę, różne rzeczy mogą się przytrafić. Do diabła, dwa tygodnie temu wylazłem na scenę w stringach Mercy, z których wystawał mi interes i wszyscy mogli go zobaczyć. Nie był to jeden z moich najlepszych momentów, ale jakoś przeżyłem. Przeczucie jednak podpowiada mi, że Reese tak szybko nie pozbędzie się wyrzutów sumienia. I może nawet nie chodzi o same wymioty. Gapiałem się też, jak z gołym tyłkiem czołga się po podłodze. I kiedy to robiła, zanosłem się śmiechem. Nie sądzę, by którakolwiek kobieta doceniła śmiech w takiej sytuacji. Nawet Kacey by mi nakopała, a ona i tak ma spory dystans do takich spraw.

Mason otwiera usta, by coś powiedzieć, ale się waha, kwaśna mina wykrzywia mu twarz.

– Coś ty jej zrobił?

Unoszę ręce w geście poddania.

– Nie chodzi o to, co ja jej zrobiłem.

Mason wstaje i odchodzi, kręcąc głową.

– Tylko jej nie drażnij, Ben. Bo tego pożałujesz.

Szlag. To, żeby jej nie drażnić, będzie dla mnie naprawdę trudne, skoro właśnie to wychodzi mi najlepiej. Poza tym chciałbym się jej zrewanżować za to, że nie wpuściła mnie do mojej własnej, pieprzonej łazienki.

– Hej – wołam i pytam przezornie: – A ty co zrobiłeś, że ją tak maksymalnie wkurzyłeś?

Zwalnia i kiedy się odwraca słyszę, jak wzdycha ciężko, a na jego twarzy widzę malujące się poczucie winy.

– Nagadałem jakichś głupot o jej ojcu.

[3] Rancor – fikcyjne zwierzę z uniwersum *Gwiezdnych wojen*. Rzadko występujące drapieżniki, powszechnie znane w galaktyce i uważane za bardzo niebezpieczne ze względu na dzikość i agresywność w połączeniu z dużymi rozmiarami i siłą (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ SIÓDMY

REESE

– Następnym razem polecam limonkowe. To nasz specjał – sugeruje kelnerka z uśmiechem, kładąc przede mną kawałek czekoladowo-orzechowego ciasta.

– Zapamiętam – odpowiadam, jak robiłam to wielokrotnie, spoglądając na orzechowe dekoracje na wierzchu mojej porcji. Niełatwo jest znaleźć ciasto czekoladowo-orzechowe. Pewnie, że orzechowe podają wszędzie, ale dodatek czekolady sprawia, że jest tak wyjątkowe. To właśnie dla niego pół roku temu zaczęłam przychodzić do kawiarni Bayside. Pamiętając moją obsesję na punkcie tego konkretnego smaku, Jack przyprowadził mnie tutaj. I tak oto miejsce to stało się moim rajem na ziemi. A ponieważ pracuję tylko kilka przecznic dalej, przychodzę tutaj kilka razy w tygodniu. Kawiarnia z widokiem na morze posiada przepiękne patio ze stolikami z drewna tekowego i niebieskimi parasolami. Pomiędzy nimi wciśnięte są palmy i inne rośliny wszelakiej wielkości, które sprawiają, że taras wygląda jak dżungla, w której można się ukryć, co właśnie teraz robię w towarzystwie krzyżówki prawniczej i podręcznika prawa.

Nie potrafiłam dłużej wysiedzieć w biurze. Ciągle zaglądała do mnie Natasha, albo przewijał się obok Ben, prosząc o jakieś poprawki lub umowy. Mimo że starałam się go unikać, widziałam go przynajmniej kilkanaście razy.

Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie jest bardzo atrakcyjnym facetem. Teraz, gdy jestem trzeźwa, mogę to w pełni potwierdzić. Ratuje mnie tylko fakt, że próbuję wyprzeć z głowy kompromitujące wspomnienia, dzięki czemu nie ślinię się na jego widok, jak dzisiaj połowa kobiet w biurze. To było żenujące. Nawet Natasha wydawała się bardziej rozgadana niż zazwyczaj. A z każdym uśmiechem pojawiającym się w jego policzkach dołączki zdradzały mi, że podobała mu się każda sekunda tego nadszyciwania.

W chwili, w której wkładam do ust pierwszy kęs ciasta, mój telefon zaczyna wygrywać bananową piosenkę Minionków.

– Wesołego poniedziałku – mruczę do telefonu.

– Nienawidzę liczb.

– Zatem dobrze, że nie będziesz miała z nimi do czynienia przez kolejne czterdzieści lat. – Lina zeszłej wiosny ukończyła studia i śpiewająco zdała egzamin z księgowości. Teraz pracuje w niewielkiej firmie księgowej, ponieważ potrzebuje rocznego stażu, nim będzie mogła zdawać wyższy egzamin państwowy.

– Co robisz? – pyta.

– Ukrywam się przed karmą w Bayside.

– Tylko nie pij kawy – ostrzega.

– Za późno – informuję, wychylając z kubka ostatni łyk toksycznej substancji.

Za każdym razem, gdy tu jestem, zamawiam sobie kawę do ciasta. Najwyraźniej to przyzwyczajenie. Nie mam innego wyjaśnienia. Kawa jest słaba, ma słonawy posmak i zawsze pozostawia na dnie naczynia dziwny osad. Żaden smakosz nie skusiłby się na to ohydztwo.

Z ciężkim westchnieniem opowiadam cały horror mojego dzisiejszego dnia.

– Mason jest kumplem faceta od nieudanych egzorcyzmów – stwierdza oschle Lina. Zawsze mogę na nią liczyć. Nie owija w bawełnę. Nie łagodzi nadchodzących ciosów. – A co ci powiedział ten nowy?

– Że wiszę mu nową koszulę.

Lina prycha.

– No, ma trochę racji.

– Dzięki.

– Może zrobię sobie przerwę i wpadnę do ciebie. Mogłybyśmy razem ponabijać się z ludzi – proponuje.

Kolejny plus mojej pracy – mam przyjaciółkę dosłownie cztery przecznice dalej.

– Nie trzeba. Siedzę tutaj już od dwóch godzin. Właściwie to muszę wracać do firmy. Kauzyperda rzuciła mi na biurko trzy sprawy do rozpracowania.

– Jak wolisz. Może wpadniesz do nas na obiad w tym tygodniu? Nicki gotuje.

– Będzie boczek z indyka?

– Niekonwencjonalne mięsa zostały zakazane. – Odkąd Lina jest właścicielką niewielkiego mieszkania, do którego obie się przeprowadziły, jest w stanie powstrzymać Nicki przed testowaniem na innych jej dziwacznych preferencji kulinarnych.

– W takim razie wchodzę w to.

– Dobrze. – Następuje chwila ciszy, po czym Lina wzdycha. – Słuchaj, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Nie brzmi to obiecująco. – Wkładam sobie spory kęs ciasta do ust.

– To zależy od tego, czy chcesz, by twoja przyjaciółka, która trzyma z tobą i kłamie dla ciebie policji, zdradziła ci wszystkie szalone pomysły na własne szczęście.

– Nigdy nie kłamałaś dla mnie policji.

– Ostatnia klasa szkoły średniej. Butelka wódki w bagażniku, gdy zostałaś zatrzymana.

– Dobra. To był tylko jeden raz. – Wzdycham z irytacją. – No mów, co dzisiaj przeskrobałaś.

– Zaczęłam spotykać się z kimś, kto pewnie ci... – Słowa Liny przestają mnie interesować, kiedy dostrzegam dziewczynę z rudymi włosami, która z kołyszącą się na ramieniu torebką paraduje przez patio tak zadowolona, jak tylko może być złodziejka cudzych mężów.

– O mój Boże! – Krztuszę się kawałkiem ciasta, walcząc z kaszlem, który chciałabym stłumić. – To ona! – syczę.

– Jaka ona?

Próbuję przełknąć kęs, obserwując, jak nowa żona mojego byłego męża i – jak zakładałam – jej koleżanka siadają trzy stoliki ode mnie.

– Ona! – Syczę jeszcze ostrzej, zwieszając głowę, by ukryć fakt, że się na nią gapię.

Jest tylko jedna „ona”, o której mogłabym mówić z takim jadem w głosie, więc Lina szybko orientuje się, o kogo chodzi.

– Co? Tutaj, w Miami?

– Nie. W piekle! Bo najwyraźniej tam dzisiaj jestem! – *Najpierw Ben, a teraz Caroline?!*

– Rozpoznała cię już?

– Nie, ale nie patrzyła w moją stronę. – Bez fioletowych włosów i kolczyków oraz w eleganckich ciuchach, no z wyjątkiem kowbojek, których normalnie bym nie założyła – ale Nicki nalegała, że tylko one pasują do sukienki – Caroline może mnie nie rozpoznać. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jednak tak na wszelki wypadek otwieram menu, gotowa za nim zniknąć.

– Idę do ciebie.

– Nie, nie idziesz, bo ona cię pozna. – Lina przez wiele miesięcy była jej sąsiadką, więc nie mogły się unikać. A znając Linę, nie podarowałyaby sobie spiorunowania wzrokiem Caroline. – Dlaczego tutaj jest? – pytam, po czym wzdycham ponownie. – Przeprowadzili się do Miami?

Jared zawsze chciał tutaj pracować przy statkach.

– Nie wiem. A co mówi Facebook?

– Nie byłam na jego profilu od wyjazdu z Cancún. – Mimo że bardzo nie chciałam zrywać z tym nałogiem – moim jedynym połączeniem z Jaredem – nie potrafiłam oglądać dowodu ich małżeństwa. Sama myśl o tym nadal boli, niczym nóż tkwiący w brzuchu.

– Dobra, czekaj chwilę. Zobaczę, czy mi się uda... – Słyszę stukanie palców w klawiaturę. – Tak. Przenieśli się do Miami. Dwa tygodnie temu.

– Szlag – mamroczę bardziej do siebie, a kiedy nieprzyjemne uczucie ściska mi pierś, dodaję cicho:

– Najwyraźniej dostał pracę w porcie. – Mieliśmy w zwyczaju leżeć razem w łóżku przy ściemnionym świetle, wśród cichych dźwięków jego ulubionego zespołu – Muse. Kreślił wtedy na moim ciele kształty różnych łodzi, wyjaśniając poszczególne aspekty jego potencjalnej pracy. Nie interesowały mnie części obiektów pływających, ale leżałam nieruchomo, pozwalając mu się wygadać. Wiedziałam, że jego uwagę prędzej czy później i tak rozproszy moje nagie ciało.

– A możesz powiedzieć, czym ona się zajmuje?

– Poza rozbijaniem małżeństw i wrywaniem ludziom serc? – Odkryłam, że pomaga mi przedstawianie jej jako czarnego charakteru, choć wiedziałam, że powinnam trochę nienawiści skierować również na Jareda.

Ignorując moją gorycz, Lina mówi:

– Miami to wielkie miasto.

– Jednak jaki ten pieprzony świat jest mały, co?

– Oddychaj głęboko, Reese – uspokaja mnie, jakby obawiała się tego, co mogę zrobić. Nie mogę jej winić. Nie unikałam przyłapania dziewczynie, gdy na to zasługiwała.

– Wszystko dobrze – mówię, przyglądając się, jak przyczyna mojego złamanego serca siedzi dosłownie kilka metrów ode mnie, ubrana w sukienkę w drobną kratkę. Serio? Kto, poza pracownikami parków Disneya i obsadą serialu *Kocham Lucy*, nosi w dzisiejszych czasach drobną kratkę? Do tego ma proste włosy spływające na plecy. Kielkuje we mnie dziwna, perwersyjna rozkosz, gdy patrzę jak kobieta, która nie miała żadnych skrupułów, by rozerwać moje życie na strzępy, chichocze z koleżanką, nieświadoma mojej obecności.

Tak właściwie to nigdy z nią nie rozmawiałam. Oprócz kilku szczegółów na jej temat, które zdradził mi Jared na początku naszego związku – byli dziećmi znajomych, po czym chodzili ze sobą w szkole średniej, chociaż ona mieszkała w Savannah – nigdy o niej nie mówił. Myślałam, że dawno zniknęła z jego życia. Najwyraźniej się myliłam.

Co sprawiło, że chciał się z nią ożenić? Oczywiście jest ładna, w przeciętny, nudny sposób. Wydaje się słodka, urocza i zapewne nigdy nie przeklina. Pewnie wie, jak machać pomponami

i założę się o każdą sumę, że była członkinią jakiegoś pieprzonego bractwa. Ale co on w niej widzi? Co jest w niej takiego szczególnego? Jared zawsze twierdził, iż nie znosi tego rodzaju dziewczyn, że byłam dla niego świeżym powiewem po latach duszenia się tym, czego wymagali od niego bogaci rodzice oraz styl życia.

Mówił, że nasz związek ma sens.

Że beze mnie nie mógłby oddychać.

Obserwuję jak dziewczyna przeczesuje dłonią włosy i moją uwagę przykuwa błysk pierścionka z brylantem, na który Jared nie mógłby sobie pozwolić za swoje wynagrodzenie. Przypomina mi to, że nie jest ważne to, czego ja nie widzę. Liczy się tylko to, co widzi Jared.

Wydaje się, że mimo wszystko znalazł sposób, by oddychać beze mnie.

Nieświadomie kręcę pięknym, prostym, srebrnym pierścionkiem z perełką, którym zaskoczył mnie Jared pewnego poranka, gdy spontanicznie postanowiliśmy polecieć do Vegas.

Okazało się, że był to najpiękniejszy dzień w moim życiu.

I jego największy błąd.

Przełożyłam pierścionek na prawą rękę, jednak nie miałam odwagi go zdjąć, ani schować do drewnianej szkatułki, którą trzymam pod łóżkiem.

– Reese? – Głos Liny wrywa mnie z zamyślenia.

– Poważnie, nic mi nie jest. Muszę iść, albo utknę w pracy do północy. Do zobaczenia jutro wieczorem. – Rozłączam się i patrzę na moje nadjedzone ciasto. Nie ma mowy, bym je dokończyła.

Rozważam wyjście z kawiarni, jednak nadal przyglądam się Caroline. Zazwyczaj na patio jest cicho, więc do moich uszu dociera jej wkurzający głosik. Słucham jej paplania, jak to razem z mężem dopiero co wprowadzili się do mieszkania na końcu ulicy i że będzie często przychodziła w to miejsce, bo mają dobrą kawę.

Kolejną godzinę siedzę na swoim miejscu, skubiąc ciasto, choć nie czuję jego smaku. Kiedy dziewczyna wstaje, szybko zbieram swoje rzeczy, czekając, aż wyjdzie. Chwilę później opuszczam kawiarnię, by zrobić to, co zrobiłaby każda była żona, będąca przy zdrowych zmysłach.

Śledzę ją przez pięć przecznic aż do budynku, w którym mieszka z Jaredem.

W taki oto sposób dowiaduję się, gdzie znaleźć byłego męża.

* * *

Super. Jakby nie wydarzyło się dzisiaj wystarczająco wiele złych rzeczy.

Kiedy wracam z łazienki, facet, przed którym się upokorzyłam, próbując go zaliczyć – blondyn metr dziewięćdziesiąt z uśmiechem na ustach – siedzi naprzeciw mnie, opierając nogi o moje biurko.

Reese – zero, wszechświat... *Nienawidzę cię.*

– Dlaczego nadal tu jesteś? – Jest prawie dwudziesta druga i, z wyjątkiem Jacka i Masona, wszyscy poszli do domu.

Otwierając i zamykając szufladę mojego biurka, Ben mówi:

– Szukałem suszonej wołowiny.

– Zjadłam całą. – Nogą zamykam drzwi i rzucam torebkę na biurko.

Ben leniwie taksuje mnie wzrokiem z góry na dół, nawet nie starając się tego ukryć.

– Myślałem, że powinniśmy pogadać. – Zdejmuje nogi z mojego biurka i wstaje, w pełnej krasie prezentując swoją solidną sylwetkę, której staram się jednak nie zauważać. Ben, w przeciwieństwie do Masona, który – gdyby tylko mógł – poszedłby spać w trzyczęściowym garniturze, nie przesadza z eleganckim ubiorem, jednak ma takie ciało, że cokolwiek założy, dobrze na nim wygląda.

Zamieniamy się miejscami, Ben obchodzi moje biurko i zajmuje wolny fotel.

– Nie powiedziałem Kentowi, co stało się w moim pokoju hotelowym. Pozwoliłem im myśleć, że cię zaliczyłem.

Czuję dziwną ulgę. I zaskoczenie. Myślałam, że Ben jest chłopakiem, który nie odpuściłby sobie opowiedzenia kumplom upokarzającej historii. Ale...

– A Masonowi? – Wyobrażam sobie, że wstręt, jaki czuję na myśl o moim przybranym bracie uprawiającym seks, jest wzajemny.

Na szczęście nie widziałam, by kiedykolwiek patrzył z pożądaniem na kobietę.

Ben zbywa to machnięciem ręki.

– Och, on wie, co się stało, ale nic nie powie.

– O mój Boże! – jęczę. Moją wcześniejszą ulgę zastępują płonące policzki. Uderzam czołem o zimny drewniany blat. *Mason niczego nie powie, akurat!*

– Spokojnie. – Słyszę zbliżające się kroki, po czym czuję jego dłoń na karku. Ten dotyk wywiera efekt przeciwny do zamierzonego, ponieważ cała się spinam. – Darowałem sobie kawałek z rzyganiem. I czołganiem się. Podejrzywałem, że pewnie nadal jesteś troszkę przewrażliwiona na tym punkcie. – W jego głosie słyszę rozbawienie. – A tak przy okazji, jak czułaś się następnego dnia? Dość mocno przywaliałaś o ziemię.

– Teraz się tym martwisz? – Przez resztę wakacji w Cancún miałam siniaki na kolanach i czarny paznokciec u nogi przez to, że zahaczyłam nim o łóżko.

– Nie chciałem się śmiać. – Patrzę w górę i dostrzegam wielki uśmiech malujący się na jego twarzy, przez co jakoś trudno mi w to uwierzyć. – A jeśli to jakieś pocieszenie, to masz niesamowitą dupcię. Naprawdę. Miałem dobry widok.

Wzdycham ciężko.

– Dzisiaj nie jest dobry dzień na żarty, Ben.

Unosi ręce w geście poddania.

– W porządku. Chciałem tylko powiedzieć, że mi jest bardzo przykro. – Znowu obchodzi moje biurko, jakby w niegroźny sposób okrążał swoją zdobycz i zatrzymuje się przed zdjęciami, które powiesiłam na ścianie. Wskazuje na fotografię ze starym, zardzewiałym, niebieskim chevroletem. – Dlaczego wszędzie masz zdjęcia tych starych półciężarówek?

– Lubię je – odpowiadam krótko, nie chcąc się rozwodzić na ten temat.

Przygląda się zdjęciom przez kolejnych kilka minut, po czym pyta znienacka:

– Nie chciałabyś jutro pójść na lunch? Wygląda na to, że oboje będziemy dość intensywnie współpracować z Natashą przez kolejne kilka miesięcy, więc może powinniśmy zacząć od początku.

– Odwraca się i spogląda na mnie tymi swoimi niebieskimi oczyma, a jego głos nabiera nagle niespodziewanej miękkości. – Co ty na to? Rozejm?

Jack zawsze mi powtarza, że muszę podejmować decyzje na podstawie zdrowego rozsądku, a nie emocji. Po spędzeniu kilku tygodni z Benem, moje upokorzenie zniknie.

Prawda?

Zatem zawarcie z nim pokoju będzie podwójnym zwycięstwem.

Prawda?

Otwieram usta.

Dostrzegam diabelski błysk w kącikach jego uśmiechniętych ust.

– Na końcu ulicy jest bar Amigo, w którym podają dość mocne margarity. Takie, jak lubisz.

Oczywiście przyniosę ubranie na zmianę.

– Wynocha! – To będzie piekielnie trudne.

– Moglibyśmy poczołgać się wzdłuż deptaka i...

– Odwal się, kurwa, ode mnie!

Nienawidzę go!

Ben uśmiecha się swobodnie, przenosząc uwagę na naturalnej wielkości kartonową postać tego głupiego kosmity, którą kilka tygodni temu zamówiłam w Internecie.

– Och, no weź, Reese. To nic takiego. Musisz nabrać do siebie dystansu.

Może gdyby ktoś – w postaci trolla w sukience w drobną kratkę – ponownie nie wbił mi szpilki w serce, nie przeszkadzałoby mi to aż tak bardzo. Ale weszłam do biura, czując się cholernie żałośnie, a teraz jestem po prostu maksymalnie wściekła.

Chytry uśmieszek rozciąga mi usta, gdy skupiam uwagę na monitorze.

– Powodzenia w pierwszych miesiącach pracy w tej firmie. Będzie ci chyba pomagała June, bo ma najmniej spraw. Myślę, że przypadnie ci do gustu. – *Wcale nie...*

June mówi sama do siebie, a jej oddech nieprzerwanie śmierdzi soloną wołowiną. Ma mało spraw, bo nikt nie chce jej pomocy. Jest powolna i niedokładna.

Ben podchodzi do mnie, aż staje pochylony nad moim biurkiem, marszcząc czoło i ściągając brwi.

– Myślałem, że to ty pracujesz dla Natashy.

Zamykając teczki z dokumentami Natashy i przesuwając je na skraj biurka, wskazuję Benowi, by je zabrał.

– Przykro mi, ale wcześniej wpadł tutaj Nelson, prosząc mnie o pomoc, i się zgodziłam. Będę z nim pracowała, cholera wie jak długo. Nie wiedziałeś, że idę do tego, kto potrzebuje mnie najbardziej?

Uwielbiam Jacka za to, że nie przydzielił mnie do żadnego konkretnego prawnika. Pozwala mi wybierać sobie taką pracę, która mnie interesuje, traktując mnie jak zupełnie niezależną asystentkę. Jestem jedyną osobą, która ma taki przywilej i rozumiem, że inni asystenci nie cierpią mnie z tego powodu, jednak mało mnie to obchodzi. Nie jestem tutaj, by nawiązywać przyjaźnie.

Choć Natasha potrafi być irytująca, najlepiej pracuje mi się właśnie z nią. Jest dość zajęta, zarabia duże sumy dla firmy i zazwyczaj w jej sprawy wplątana jest walka. A ja uwielbiam dobrą walkę.

Kiedy Natasha przyszła dzisiaj do mojego gabinetu, była gotowa dokarmić moje ego, mówiąc, że będę dla niej cennym sojusznikiem, ponieważ ona jest zbyt zajęta i nie będzie miała czasu, by pomóc nowemu prawnikowi. Najwyraźniej mają zamiar rzucić Bena na głęboką wodę i niezależenie od tego, jak jest inteligentny – zgodnie z tym, co mówił, ukończył szkołę z jednym z najlepszych wyników – czeka go niestety brutalne zderzenie z rzeczywistością.

A teraz będę pracować z Nelsonem, bez względu na to, czy mu się to podoba, czy też nie. Już zdecydowałam.

– Aha. – Ben się uśmiecha. Najwyraźniej domyślił się, o co tu chodzi, i że wpadł jak śliwka w kompot.

– Ale wydajesz się dość sprytny i jestem pewna, że świetnie sobie beze mnie poradzisz – mówię z udawaną szczerością.

– Nie martwię się, Reese. Może jestem rozczarowany. Myślę, że podobałaby ci się praca ze mną.

Walcząc z ochotą przewrócenia oczami, mówię:

– Zamknij za sobą drzwi.

Wychodząc, zostawia je otwarte na oścież, a kiedy przechodzi obok mojego okienka, puszcza do

mnie oko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

BEN

Mama zawsze ostrzegała mnie, że jeśli chodzi o kobiety, brak mi zdrowego rozsądku.

Właśnie po raz kolejny udowodniłem sobie, że ma rację.

Dlaczego musiałem być aż tak wielkim palantem?

Gdybym posłuchał Masona i zamknął swoją wielką gębę, Reese pomogłaby mi z częścią tego gówna. A tak utknąłem z June, pięćdziesięciolatką, która codziennie nosi ten sam niebieski sweter, co chwila mamrocze coś pod nosem i której ciągle śmierdzi z ust mielonką.

Dwa tygodnie po rozpoczęciu pracy u Warnera jestem zawałony papierami. Liczba okropnych rozwodów i paskudnych batalii o opiekę nad dziećmi w stanie Floryda, jedynie umacnia moje postanowienie, by trzymać się z dala od wszystkiego, co wiąże się z małżeństwem. W ubiegłym tygodniu siedziałem w gabinecie aż do północy i, o ironio, w sobotni poranek przedzieram się przez gąszcz papierów, czując się bardziej jak wiejski głupek, który powinien wyrzucać pijanych klientów z lokalu *Penny* niż jak gość, który ukończył studia prawnicze z wynikiem najlepszym na roku.

Słyszając pukanie, patrzę w stronę drzwi, w których – z kawą w jednej ręce i z talerzykiem babeczek w drugiej – stoi Jack.

– Słyszałem, że jesteś fanem wypieków pani Cooke. – Stawia talerz na moim biurku. – Boże, kocham tę kobietę, ale chciałbym, by przestała przynosić te łakocie do firmy. Moja nadwaga to jej sprawka. – Dla podkreślenia swoich słów klepie się po miękkim brzuchu.

Pani Cooke, asystentka Jacka, jest pulchną czterdziestopięcioletnią kobietą o krótkich, brązowych włosach, z gigantycznym pieprzykiem nad górną wargą i okularami grubymi jak denka od butelek, która obficie się poci i prawdopodobnie nie dożyje sześćdziesiątych urodzin, jeśli nie zmieni swoich nawyków żywieniowych. Ale, do diabła, jak ta kobieta piecze. Jest w tym niemal tak dobra, jak moja mama.

Spojrzenie szarych oczu Jacka ląduje na stosie dokumentów na moim biurku.

– Jak idzie? Widzę, że Natasha nie pozwala ci się nudzić.

– O tak. – Wolno przytakuję. Mój gabinet zaczyna przypominać archiwum, a moje palce całe pocięte są papierem. – Kto mógłby przypuszczać, że w czasach cyfryzacji nadal jest tyle dokumentów?

– Jak podoba ci się praca?

Oprócz tego, że przynajmniej raz dziennie mam ochotę palnąć sobie w łeb?

– Daję radę.

Jack uśmiecha się życzliwie.

– Pamiętam swój pierwszy rok. To było piekło. Chciałem to rzucić. Nie przejmuj się, z czasem będzie lepiej. Połową sukcesu jest mieć właściwych ludzi w grupie, abyś mógł skupić się na tym, co

naprawdę istotne.

„Pierwszy rok”. Super.

– Będę się tego trzymał. – Śmieję się. Zza okna dochodzi dudnienie potężnego silnika.

– Ach, dobrze. Przyjechała – mruczy Jack, biorąc łyk kawy i podchodząc do okna.

Ona?

– Kto przyjechał? – pytam, wiedziony ciekawością. Dołączam do szefa przy oknie na czas, by zobaczyć jak „ona” zdejmuje kask, a blond włosy rozsypują się jej na ramiona. – Cholera jasna – wyrywa mi się, gdy widzę, jak Reese, ubrana w jeansy i opiętą, skórzaną kurtkę, siedzi okrakiem na harleyu, z rzadkim u niej wyrazem spokoju na twarzy, słuchając silnika pracującego na jałowym biegu. Robi to tak naturalnie, jakby urodziła się, by jeździć na motocyklu. Jest seksowna jak diabli.

Czuję, że Jack na mnie patrzy i zdaję sobie sprawę, że ślinię się na widok jego pasierbicy. Przełykam ślinę i szybko dodaję:

– Te maszyny są cholernie niebezpieczne.

Kręcąc głową na znak porażki, Jack mówi cicho:

– Wiem. Musiałbyś zobaczyć złom, na którym jeździła wcześniej. Dlatego zgodziłem się na ten. Jest najlepszy na rynku dla kobiet.

– Pozwoliłeś jej na tym jeździć?

Prycha.

– Nie można Reese na coś „pozwolić”. Odkąd ją znam, ta dziewczyna sama określa swoje zasady. W ten sposób przynajmniej byłem w stanie wymóc na niej jakieś podstawy bezpieczeństwa. Zazwyczaj chętniej na coś przystaje, jeśli myśli, że samodzielnie podejmuje decyzję.

Zanotowane.

Zastanawiam się, czy to właśnie dlatego ma wolną rękę, jeśli chodzi o sprawy, nad którymi pracuje. Podchodząc z powrotem do mojego biurka, Jack bierze stojące na nim oprawione zdjęcie. To ulubiona fotografia mojej mamy – przedstawia mnie w wieku czternastu lat w biało-niebieskim stroju futbolisty, stojącego obok niej, po wygraniu pierwszego z meczów w szkole średniej. Byłem wtedy rozgrywającym.

– Nie grasz już? – Jack wie, że grałem, bo powiedziałem mu o tym podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

– Czasem, ale dla zabawy. Pomagam w liceum trenować chłopaków, ale nie mogę biegać jak wcześniej. Mam śruby w kolanie. – Wzdycham. – Było fajnie, gdy mogłem grać. – Mam kumpli w tej samej sytuacji: doznali kontuzji, zerwali więzadło. Całe lata później nadal sobie z tym nie radzą, rozpamiętując „co by było, gdyby”, przygnębieni monotonną pracą i małym domkiem z pojedynczym garażem. Staram się tak nie myśleć. Gdybym sobie na to pozwolił, wpadłbym we większą depresję. Dla mnie nie było innej przyszłości. Z moimi wynikami miałem zagwarantowane miejsce w lidze. Wszystko poszło w diabły przez kontuzję prawego kolana, które wykluczyło mnie z gry, ze świata, który kochałem.

Tata mnie dobił mówiąc, że czasem tak się dzieje.

I, rany, cieszył się, mówiąc mi to w twarz.

– Jestem pewien, że dostałbyś się – zgadza się Jack, odstawiając powoli ramkę. Podchodzi do drzwi i wychyla głowę na korytarz, gdy rozlega się dzwonek windy. – Reese? – Jesteśmy sami w całym biurze, więc echo niesie się w pustej przestrzeni. Nie ma wątpliwości, że go usłyszała. Słysząc odgłos zbliżających się kroków. Kiedy dziewczyna pojawia się w drzwiach mojego biura,

dziwne uczucie ekscytacji ścisną mi żołądek. Podczas całego tygodnia w pracy Reese chodzi ubrana elegancko. Dzisiaj ma na sobie przetarte jeansy, które ładnie opinają jej uda i eksponują tyłek. Spod skórzanej kurtki wylania się stary podkoszulek z grupą rockową Mötley Crüe, rozciągnięty na jej cyckach. Nie wiem, czy rano się czesała. Może ma taką fryzurę od jazdy na motorze. To nie ma znaczenia. Podoba mi się to, jak wygląda.

Oczywiście nie poświęca mi zbyt wiele uwagi, choć jestem pewien, że wie, iż stoję i gapię się na nią. W końcu to mój gabinet.

Przez całe dwa tygodnie, od pierwszego dnia, nie odezwała się do mnie ani słówkiem. Dołożyła wszelkich starań, by być zajęta sprawami Nelsona, choć według słów zirytowanej Natashy sama kiedyś twierdziła, że wolałaby sobie wyrwać wszystkie paznokcie, niż z nim pracować.

– Przeczytałaś kartkę? – pyta Jack.

– Dlatego przyjechałam – odpowiada cichszym i delikatniejszym głosem, niż kiedy zwraca się do mnie. – Czym mogę ci służyć?

– Chciałbym, by moja najlepsza asystentka pomogła mojemu nowemu prawnikowi stanąć na nogi. Natasha poskarżyła mi się, że Nelson ma na ciebie monopol. Wspólnie z Benem walczy, by wyrobić się z bieżącymi sprawami, więc obiecałem jej, że przez najbliższy tydzień pomożesz im z prawem rodzinnym, jeśli nie masz nic przeciwko.

Obserwuję, jak Reese kieruje na mnie przenikliwe spojrzenie zmrużonych oczu, wyraźnie sądząc, że mam z tym coś wspólnego. Muszę zacisnąć usta, by się nie roześmiać. Jeśli to zrobię, ona mnie znienawidzi. A tego nie chcę. Właściwie muszę znaleźć sposób, by mnie polubiła. Mam wrażenie, że nie lubi większości ludzi, więc to może być duże wyzwanie.

Jack klepie ją w ramię, po czym mówi spokojnym głosem, jak do przestraszonego zwierzęcia:

– Zrób wszystko co w twojej mocy, by pomóc temu biedakowi. On tu praktycznie sypia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

REESE

– Naprawdę polecam ciasto limonkowe – sugeruje kelnerka, kładąc przede mną moje stałe zamówienie.

– Może kiedy indziej. – Nabijam na widelec orzeszek. Jeśli dalej będę tak zajadać się tym ciastem, mój tyłek zacznie się przelewać przez siedzenie nowiutkiego Harleya SuperLow, którego zobaczyłam na podjeździe, kiedy wróciłam z Cancún. To prezent od Jacka z okazji urodzin oraz ukończenia kursu. Po tym jak pękł przewód hamulcowy w moim starym motocyklu Honda Shadow, ojczym pod moją nieobecność oddał go na złom, po czym wypłacił mi pokaźną zaliczkę na nową maszynę. Resztę spłacam w niewielkich, comiesięcznych ratach. Myślę, że to część jego planu, jak zmienić mnie w odpowiedzialną, dwudziestojednoletnią kobietę, jeżdżącą na motocyklu.

Chętnie przyjąłam prezent, nie mogąc się z nim rozstać od momentu, gdy po raz pierwszy odpaliłam silnik i zasłuchałam się w charakterystyczny huk dudniący głęboko w mojej klatce piersiowej. Planowałam zatracić się w tym dudnieniu, jadąc dzisiaj do Keys, ale na stole znalazłam notkę od Jacka, w której prosił o pomoc w firmie. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobił, jest jedną z niewielu osób, którym nie mogę niczego odmówić, więc zmiana planów była oczywista. Gdybym wiedziała, że kauzyperda i Ben błagają o moją niepodzielną uwagę, nie przyjechałabym tutaj tak chętnie.

Widok uśmiechniętego Bena, przyglądającego się ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, jak zostałam wciągnięta w zasadzkę, z pewnością nie poprawił mi humoru. On doskonale wie, dlaczego przez ostatnie dwa tygodnie pracowałam nad nudnymi umowami spółek. Szczerze mówiąc, uważam, że wbijanie noża w ucho byłoby mniej bolesne, niż słuchanie monotonnego głosu Nelsona, który opowiadał o klauzulach, poprawkach, bla, bla, bla... I mimo że było to dla mnie udręką, odczuwałam swoistego rodzaju satysfakcję, wiedząc, iż – być może – obniżyłam nadęte ego Bena.

Oczywiście przystałam na prośbę Jacka – choć z zaciśniętymi zębami – informując jednocześnie, że wrócę za godzinę, bo mam do załatwienia bardzo ważną sprawę.

Było to prawie trzy godziny temu.

Właśnie dlatego nie jestem zdziwiona tym, że Ben staje przy moim kawiarnianym stoliku z szerokim uśmiechem na twarzy, jakby przyłapał mnie na gorącym uczynku.

– Wygląda na bardzo ważną sprawę.

– Kontroluję jakość żywności – mamroczę pod nosem, gdy Ben przesuwa metalowe krzeselko po wyłożonym kamieniem patio i siada obok.

– Cóż, mam nadzieję, że unikasz tutejszej kawy, bo smakuje jak czyjś tyłek – mówi, sięgając po moje kakao.

Otwieram usta, by jakoś to skomentować, ale szybko je zamykam. Naprawdę nie chcę myśleć, gdzie bywały usta Bena. I o tym, czy mówi tak do wszystkich, czy tylko do mnie.

– Jack powiedział, że prawdopodobnie tutaj cię znajdę.

– Łatwo przewidzieć, co lubię jeść. – Zerkam na pudełko z ciastem, które przed chwilą położył na stoliku. – Też jesteś głodny?

– To dla ciężarnej przyjaciółki, którą mam zamiar później odwiedzić, jeśli uda mi się skończyć pracę wcześniej, oczywiście.

Próbuje poczucia winy. Milutko. Na nieszczęście dla niego dorastałam z mistrzem manipulacji, więc zwykle nie daję się nabrać.

– To dobrze. Cieszę się, że dbasz o szczęście matki twojego dziecka.

Wybucha gromkim śmiechem, przez co wszyscy siedzący na patio odwracają głowy w naszą stronę.

– Nie mogę się doczekać, by powtórzyć jej, co powiedziałaś. – Wrywa mi widelec i nadziewa na niego kawałek mojego ciasta, po czym wkłada je sobie do ust. – Cholernie dobre ciacho. Chociaż następnym razem powinnaś spróbować limonkowego.

– Nie cierpię limonek.

Kręci głową i mówi nieco rozdrażnionym głosem:

– Wcale nie, Reese. Po prostu jesteś przekorna.

– Kto tak twierdzi?

Rozgląda się wokół, przyglądając się dłużej młodym kobietom siedzącym nieopodal.

– Margarity, które skończyły na mojej koszuli.

Szybko odbieram mu widelec i przysuwam sobie swój talerzyk, zasłaniając go drugą ręką na wszelki wypadek.

– Naprawdę nie cierpię limonek. Tamtej nocy chodziło o zmiany.

– I jak poszło?

– Cóż, teraz mam pewność, że nie cierpię limonek i zmian.

Ben odchyła głowę, by spojrzeć z uśmiechem w czyste niebo, a ja nie mogę nie zauważyć, jak jabłko Adama przeskakuje na jego szyi. Chłopak ma naprawdę silny, gruby kark, jednak nie jak jakiś napakowany facet bez szyi. Wręcz przeciwnie.

– Powiedz... czy ślęczenie przy umowach spółek Nelsona przez ostatnie dwa tygodnie, a wszyscy wiedzą, że tego nie cierpisz, naprawdę było warte twego zachodu?

– Uwielbiam pracować z Nelsonem – kłamię. – Ma zachwycający głos.

Opierając się wygodniej na krześle, Ben przez chwilę obserwuje mnie w milczeniu.

– Mason ostrzegł mnie, by cię nie wkurzać.

– Widzisz? Jiminy Świerszcz wie, co mówi.

– Tak, najwyraźniej.

Przełykam ostatni łyk kakao i protekcyjnym tonem mówię:

– Cieszę się, że mnie nie potrzebujesz.

– Och, ale Jack uważa, że jest inaczej, więc... – Uśmiecha się z dumą i rozciąga ramiona nad głową, co sprawia, że rękawki luźnego czarnego podkoszulka podwijają mu się, ukazując efekty czasu spędzonego na siłowni. – Najwyraźniej będziesz mi pomagała, czy ci się to podoba, czy nie.

Wzdycham ciężko, rozglądając się po patio. Wiem, że utknęłam. Jack nigdy nie narzucał mi, z kim mam pracować. Powtarzał, że cieszę się, że ciężko pracuję i nie wpadam w kłopoty. Skoro teraz zmienił zdanie – musi uważać to za konieczne.

– Słuchaj. – Ben opiera ręce na stole i patrzy na mnie przenikliwym spojrzeniem, które prawdopodobnie zachwyca wiele kobiet. – Jeśli obiecuję, że ponownie nie wspomnę o niczym, co

wiąże się z Cancún, będziemy mogli zacząć od nowa? – Przechyliła nieco głowę, jego niebieskie oczy są pełne szczerości. – Czego ode mnie oczekujesz? Mam płakać? Paść na kolana? Zrobię, co zechcesz. Proszę.

Podoba mi się ta strona Bena. Jestem pewna, że nie zdarza się to za często i wiem też, że zapewne zaplanował całą przemowę. Mimo to jest dobrze. Lubię słuchać jego błagań.

– No weź. Zrobię cokolwiek. Chcesz poznać coś żenującego, czym będziesz mnie mogła szantażować?

Iskierka zainteresowania – nie tyle możliwością wyrównania szans, co poznania faktu, który mógłby zawstydzić tego dupka – musi być widoczna na mojej twarzy, ponieważ Ben pospiesznie wyciąga z kieszeni telefon.

– Proszę, popatrz na to. Na twój tyłek pełznący po podłodze przynajmniej nie ma dowodów.

Nie wiedząc, czego się spodziewać, biorę od niego iPhone'a, przy okazji świadoma dotyku naszych palców, i obracam ekran do siebie, po czym widzę zdjęcie faceta wdrapującego się na jakiegoś rodzaju scenę, ubranego w coś, co przypomina zielone bikini wżynające mu się między pośladki, spod którego wystaje...

– O mój Boże! Czy to...? – Krzywiąc się, powiększam zdjęcie na ekranie i dostrzegam Bena z jakże niepochlebnej strony.

– Tak więc wciąż budzę się, dostając te zdjęcia od koleżanki. Musiała ich zrobić chyba z pięćdziesiąt. Uważa, że to zabawne. – Ben wybucha śmiechem i sprawnie wyjmuję mi z dłoni swoją komórkę.

– Muszę poznać tę twoją koleżankę. Już ją lubię.

– Tak, zapewne dogadałybyście się szybko z Kacey. Jesteście do siebie podobne. – Przerywa na chwilę, chowając telefon do kieszeni, po czym nagle poważnieje. – Słuchaj, siedzę w gównie po uszy, Reese. A June... cholera jasna! – Przeciąga dłońmi po twarzy, odsłaniając sfrustrowaną minę. – Jeśli będę musiał siedzieć z nią w tym samym gabinecie choć godzinę dłużej, myślę, że potnę sobie pieprzone nadgarstki. Nie mogę każdego weekendu spędzać w biurze. Mama ma sad cytrusowy i potrzebuje mnie, kiedy nadchodzi sezon zbiorów, więc muszę teraz mieć pomoc. Proszę, pomóż mi.

Wzdycham. Być może dostał już nauczkę. Może... moje myśli zbaczają z toru, gdy obserwuję, jak hostessa prowadzi dwoje ludzi do stolika po drugiej stronie patio. Rozpoznaję zamaszty krok faceta. Kręcone kosmyki włosów, które teraz są nieco dłuższe i zawijają mu się na karku, wzywając moje palce, by się w nich zatopiły. Gdy widzę, jak Jared siada na krześle, kłębią się we mnie różne emocje. Ma na sobie, jak zwykle, granatowe jeansy, które wiszą prowokacyjnie nisko na jego biodrach. Jestem pewna, że gdybym uniosła jego jasnoszary podkoszulek, zobaczyłabym wystającą gumkę slipek Calvina Kleina – nie nosi innej bielizny. Jego naturalnie opalona skóra jeszcze pociemniała, jakby spędzał teraz więcej czasu na słońcu. Zapewne tak właśnie jest, bo pracuje na świeżym powietrzu. Jego ramiona również stały się bardziej muskularne...

– Ziemia do Reese. – Słyszę, jak mówi Ben, po czym dodaje: – Co jest z tym gapieniem się lasek?

Na całe trzy sekundy moja uwaga wraca do twarzy czekającego Bena, po czym znów odpływa w kierunku Jareda.

Patrzę. Niczym wariatka, która zasługuje na koktajl z psychotropów i pokoik bez klamek, obserwuję Jareda po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy, jak splata palce z jej dłonią i unosi ją sobie do ust, całuje czule i mówi jej coś w stylu „kocham cię”. Dokładnie tak, jak robił to ze mną.

– Szlag – mamroczę, przełykając coraz większe nudności i zazdrość, odwracam się do Bena,

starając się jednocześnie dyskretnie zasłonić dłonią swój profil, w razie gdyby Jared popatrzył w moją stronę.

– O co chodzi? – pyta Ben, obracając się na krześle. Natychmiast klepię go w policzek, aby znów na mnie popatrzył.

– Nic. Możemy już iść.

Łatwo przeciwstawia się mojej sile, niebieskimi oczyma skanuje stoły. W końcu trafia na właściwy. Lub nie, zależy jak na to spojrzeć.

– Kim oni są?

– Kto? – Nigdy nie potrafiłam grać idiotki.

– Seksowny rudzielec i ten gość?

– Ona nie jest seksowna! – warczę, po czym gryzę się w język, kiedy uśmiech wypełza na twarz Bena. Wystawił mnie, a ja się złapałam. Nie mogę się powstrzymać, by znów nie spojrzeć w ich stronę. Kurczy mi się żołądek, kiedy obserwuję, jak bawi się jej włosami i szczerze śmieje z czegoś, co powiedziała. Mimo że próbuję, nie mogę oderwać od niego wzroku, a tępy ból wywołany zdradą rośnie w mojej piersi, gdy przypominam sobie jego jasnozielone oczy...

Nagle te same oczy skupiają się na mnie.

Sztynnieję niczym kot złapany w blasku świateł pędzącego samochodu, kiedy przeróżne uczucia – poczynając od obojętności, poprzez rozpoznanie, szok, aż po zmartwienie – odmalowują się na twarzy Jareda, kiedy uświadamia sobie, że jego szurnięta była żona siedzi zaledwie kilka stolików dalej. A kiedy Caroline orientuje się, że straciła niepodzielną uwagę męża, odwraca się, by zobaczyć, co takiego może być ważniejsze od niej.

Na szczęście zdołałam w porę odwrócić głowę, zanim jej wzrok mnie dopadł, więc teraz gapię się na Bena z miną, która, jak mniemam, musi wyrażać panikę.

– Patrz na mnie, proszę – błagam.

– Nic prostszego. – Myślę, że miało to być pochlebstwo, jednak w tej chwili na mnie nie działało.

Cholera. Wiedziałam, że pewnego dnia los wytnie mi tak okrutny numer. Świat jest na to za mały i zbyt bezduszny. Nie przypuszczałam jednak, że stanie się to tak szybko i w taki sposób. Nie kiedy będę w wytartych jeansach, spranym podkoszulku, ciężkich buciorach, mając przyklapnięte od kasku włosy. Powinnam być seksowna.

Uszy mnie pieką, kiedy czuję na sobie ich spojrzenia, które natychmiast odwracają z powrotem ku sobie, z pewnością dyskutując, co robić. Ben musiał zauważyć mój niepokój, ponieważ wziął mnie za rękę. Nawet nie próbuję mu jej wyrwać. Pochylając się lekko nad stołem, mruczy:

– Wszystko dobrze?

– Nie.

W jego spojrzeniu pojawia się mieszanina zaskoczenia i niepokoju.

– Muszę kogoś dla ciebie uszkodzić?

Pomimo tej sytuacji moje serce nieco topnieje. To słodkie z jego strony, że chce mnie chronić. Najwyraźniej lata pracy w ochronie wyrobiły w nim ten instynkt.

– Owszem, ale nie tak, jak ci się wydaje. – Kątem oka dostrzegam, że Jared wstaje z miejsca i idzie w moją stronę, a Caroline depcze mu po piętach.

Szlag by to trafił.

– Jesteśmy na randce, okej? – wypaliłam bez zastanowienia.

Przez moment Ben ma enigmatyczny wyraz twarzy. Po chwili na jego ustach pojawia się zwycięski

uśmiech.

– Potrzebujesz mojej pomocy?

– Proszę, po prostu... – Nie udaje mi się dokończyć zdania, ponieważ staje przy nas Jared.

– Reese? To ty? – pyta kuszącym głosem, dokładnie jak za pierwszym razem, gdy go spotkałam i złapał mnie w swoją pułapkę. Caroline nie traci czasu i chwyta go pod ramię, specjalnie umieszczając dłoń tak, by w moim polu widzenia znalazła się jej obrączka. Na wypadek gdybym jeszcze nie wiedziała, że się pobrali. Zmuszam się do powolnego, głębokiego oddechu, wyczuwając kołatanie w piersi.

– Cześć, Jared. – Chciałabym brzmieć obojętnie, lecz nie mogę usunąć miękkości ze swojego głosu. Obecność Jareda zawsze mnie uspokajała. Kątem oka dostrzegam, że Ben unosi brwi w zaskoczeniu, a jego wzrok przesuwa się na moje ramię, na którym pozostaje widoczny tatuaż z imieniem.

– Wow, wyglądasz... inaczej.

Pociągam za kilka swoich kosmyków.

– Wymogi nowej pracy. – Drżenie mojego głosu przeczy mojej nonszalanckiej odpowiedzi. Nie podoba mi się to.

Jared spogląda na Bena, pospiesznie taksując jego sylwetkę, po czym znów patrzy na mnie.

– Co robisz w Miami?

– Mieszkam. Przeprowadziłam się tutaj dziewięć miesięcy temu. – *Zaraz po tym, jak wyrwałeś mi z piersi serce.*

– Aha, Lina nic nie wspominała. – *Pewnie dlatego, że gdyby mogła, ukręciłaby ci łeb. Moja przyjaciółka ma w sobie ogromne pokłady złośliwości, zapewne jeszcze większe niż ja.* – My przeprowadziliśmy się tutaj... jakiegoś... – Marszczy brwi wyraźnie sfrustrowany.

– Dwa tygodnie temu – kończy za niego Caroline z ciężkim, południowym akcentem, po czym natychmiast dodaje: – Mamy fantastyczne mieszkanie blisko zatoki. – Opiera policzek na jego ramieniu. – Prawda, kochanie?

To wrywa Jareda z odrętwienia.

– Tak. Prawda. – Przygryza wargę. – Dostałem tu pracę spawacza. Pracuję przy statkach.

– Tak jak zawsze tego chciałeś – mamroczę, patrząc mu prosto w oczy, które są wciąż przenikliwe.

– Dokładnie. – Na jego ustach maluje się niewielki uśmiech. Jared nigdy się nie szczerzył. Nie jak Ben. Jest z natury wycofany, woli trzymać się z boku i wmieszać w tłum od bycia liderem.

Następuje dłuższa chwila ciszy, w której Jared po prostu gapi się na mnie, ja zaciskam wargi, a Caroline przestępuje z nogi na nogę. To bardzo niezręczna chwila. Jedyne wyluzowaną osobą jest Ben. Sądząc po wielkim uśmiechu, drania cieszy ta sytuacja.

W końcu wyciąga rękę.

– Cześć, jestem Ben.

Jared, kiwając głową, ściska jego dłoń.

– Jared.

– Były mąż, prawda?

Jared krzywi się lekko z niezadowoleniem.

– A to Caroline.

Ben puszcza do niej oko.

– Kochanka.

Marszcząc nos i zakładając sobie włosy za ucho, Caroline mówi:

– Żona. Byliśmy razem z Jaredem odkąd skończyliśmy dwanaście lat. – *Jakby to wszystko ją usprawiedliwiło. Wyraźnie słyszę podtekst. Moje małżeństwo było tylko niewielką przeszkodą na drodze do ich życiowego szczęścia.*

– Jasne. – Suchość w głosie Bena jest niewątpliwa. Najwyraźniej wszystko mu jedno, czy kogoś obrazi, i cieszy się, mogąc poruszyć niewygodny temat. Jakaś część mnie chciałaby go wyciąłować. Równocześnie mam ochotę przywalić mu w nos.

Na szczęście w okamgnieniu zmienia temat:

– Świetna kawiarnia, prawda? Blisko wody.

– Tak, rewelacyjna. – Spojrzenie Caroline rozpozadza się, przez co zastanawiam się, czy nadal gra. A może naprawdę jest tak wesoła i słodka. – Uwielbiam tutejszą kawę. Przychodzę tutaj każdego ranka.

Już o tym wiem. Wiem, ponieważ w zeszły czwartek niemal godzinę siedziałam na ławce w parku, czekając, aż się pojawi. Codziennie przychodzi tu na kawę o wpół do dziewiątej, po czym idzie cztery przecznice na zachód i wchodzi do starej, lecz odremontowanej kamienicy, gdzie pracuje jako asystentka w firmie zajmującej się pośrednictwem ubezpieczeniowym. Wiem, ponieważ śledziłam ją w drodze do pracy.

I doskonale zdaję sobie sprawę, że to, co zrobiłam, jest całkowicie popieprzone.

– Zatem musieliście się niedawno pobrać. Gratulacje.

Ben nie potrafi odpuścić? Mężczyźni nie powinni zwracać uwagi na takie sprawy. A mężczyźni tacy jak Ben w szczególności. Piorunuję go wzrokiem, ale mnie ignoruje, nadal gapiąc się na szczęśliwą parę.

– Tak. W lipcu, w Savannah. To był piękny, klasyczny ślub.

Perfekcyjnie wymierzone ostrze trafia wprost w moje serce. Jakby tego było mało, widzę, jak Caroline wsuwa kciuk pod rękaw koszulki Jareda, niby niechcący podwijając materiał i ujawniając nowy tatuaż. Zamaskowaną postać trzymającą spawalniczy palnik.

W miejscu, gdzie niegdyś widniało moje imię.

Zamykam oczy, w gardle tworzy mi się bolesna gęła, a tępy ból rozsadza moją pierś. Żałuję, że nie mam na sobie koszulki z długim rękawem lub chociażby narzuconej na ramiona kurtki. Wszystko jedno co, byleby zakryć tatuaż, którego się nie pozbyłam. Jestem pewna, że ruch Caroline był zamierzony. Nie jest słodką brzoskwinką z Georgii, którą stara się grać.

To dla mnie zbyt wiele. Wiedziałam, że stanięcie twarzą w twarz z Jaredem po naszym trudnym rozstaniu będzie przerażające. Nigdy jednak nie brałam pod uwagę ogromu cierpienia, które przeżywałam, widząc, bardzo realnie i boleśnie, jak poukładał sobie życie, czego ja nie potrafiłam.

Jared odchrząkuje i obejmuje Caroline, zasłaniając tym ruchem tatuaż.

– To gdzie pracujesz, Reese?

Próbuję odzyskać zdolność mówienia, gdy skrzypnięcie krzesła Bena wyciąga mnie z piekła.

– Pracuje w mojej kancelarii prawnej – odpowiada za mnie Ben. Wstaje, bierze mnie za rękę i ciągnie, bym wstała. Robię to bez zastanowienia.

– Kancelarii?! – Jared patrzy z niedowierzaniem, a Ben mnie obejmuje. Teraz, kiedy Ben stoi, różnica w ich sylwetkach jest znaczna. Zawsze myślałam, że Jared był duży, ale w porównaniu z Benem to chudzina.

– To jedna z najinteligentniejszych kobiet, jakie w życiu poznałam. Połowa prawników w naszej firmie ma trudności, by za nią nadażyć, wliczając w to mnie. – Patrzy na mnie z figlarnym uśmiechem

i mruczy: – Prawda, skarbie?

Posyłam mu spięty uśmiech.

– Właśnie utknęła w biurze, pomagając mi przez cały weekend. Jest niesamowita. Nie narzeka z tego powodu. Mam rację? – Ben patrzy na mnie i czeka, aż coś powiem.

Zapędził mnie w kozi róg i dobrze o tym wie. Wzdycham.

– Robię, co w mojej mocy.

Mruga do mnie jednym okiem, jakby przypieczętowując nasze porozumienie, po czym ten zarozumiały dupek przyciąga mnie do siebie i całuje w usta. Kompletnie ignorując fakt, że znajdujemy się na środku kawiarni i mamy publiczność, wsuwa bez pośpiechu język między moje wargi, po czym w końcu odsuwa się ode mnie.

W normalnych okolicznościach byłaby to dla mnie miła niespodzianka, ponieważ, mimo iż poprzednio obwinałam tequilę, Ben niesamowicie całuje. Teraz jednak próbuję uporać się z trzęsieniem ziemi, które właśnie nawiedziło mój świat.

Zupełnie nie wiem, co czuję.

Wiem tylko, że jestem nieco oszołomiona, Jared gapi się na mnie, a Caroline na Jareda, z dziwnym, kamiennym wyrazem twarzy.

Ben wolną ręką sięga po portfel. Wyciąga z niego dwudziestkę, którą rzuca na stół, by pokryć mój rachunek. Zabiera pudełko z ciastem i mówi:

– Miło było was poznać, jednak ja i moja dziewczyna musimy wracać do pracy. Czeka nas długi weekend.

Obraca moje sztywne ciało w kierunku wyjścia, a kiedy zaczynamy iść, wkłada mi rękę w tylną kieszeń jeansów, chwytając i ściskając mój lewy pośladek, po czym dodaje głośno i szorstko:

– Myślę, że powinnaś mi pomóc przemalować gabinet na czerwono.

Powietrze ucieka mi z płuc, a policzki oblewają się rumieńcem.

Wypruję mu flaki.

Masonowi też, bo najwyraźniej to on wygadał się o czerwonej farbie i o moim nieudanym małżeństwie, bez wątpienia chcąc mnie postawić w niekorzystnym świetle.

Pogwizdując pod nosem, Ben prowadzi mnie do wyjścia. Nie patrzę za siebie. Koncentruję się wyłącznie na stawianiu równych kroków oraz na tym, by nie poczęstować Bena kuksańcem w żebra.

– Dzięki, że im o tym przypomniałaś! – syczę przez zaciśnięte zęby.

– O czym? O farbie? – prycha cicho. – Serio myślisz, że zapomnieli? – Wyciąga rękę z mojej kieszeni i znów obejmuje mnie za ramiona. – Zakomunikowałem im tylko, że mam w dupie, czy moja dziewczyna jest świrnięta. Chociaż kiedyś chciałbym usłyszeć coś więcej o tym zdarzeniu. Założę się, że to świetna historia.

– A za to, że skorzystałaś z sytuacji, dziesięć punktów do kretynizmu – mamrocę, kiedy stajemy przed przejściem dla pieszych, czekając na zielone światło.

– Nie ma za co, chciałem tylko, żeby twój były mąż był zazdrosny. Nie będę udawał twojego chłopaka. Normalnie byłbym neutralny jak Szwajcaria, ale oszukiwałem dla ciebie, więc powinnaś być wdzięczna.

– I zrobiłaś to z dobroci serca?

– Ach, ten mój cholerny organ. – Słyszę, jak mamrocze pod nosem, po czym widzę łobuzerski uśmiech, gdy dodaje głośnie: – Dokładnie. Nie bądź jak przeciętna laska i nie wyczytuj z mojego zachowania niestworzonych rzeczy, dobrze?

Zabiera rękę, którą mnie obejmował, chwytając mnie za podbródek. Unosi moją głowę, bym spojrzała w jego krystalicznie niebieskie oczy.

– Nadal coś do niego czujesz?

– Nie.

Najwyraźniej mi nie wierząc, dodaje łagodniej:

– Wiesz, że to wina ich obojga, prawda?

– Wiem.

Wzdycha i po raz pierwszy nie dostrzegam w jego minie żadnego rozbawienia.

– Nie jesteś głupia, Reese, więc nie zachowuj się jak jakaś dziewczuszka, która usycha z tęsknoty za jakimś dupkiem. Zwłaszcza za żonatym dupkiem.

Słyszę, co mówi, lecz zastanawiam się nad czymś, co powiedział wcześniej.

– Naprawdę uważasz, że był zazdrosny?

– Jasne, że tak. Widziałem jego minę, tak samo jak tej jego jędzowatej żoneczki. Nie ma mowy, by faceta, który był w tobie zakochany nie zabolalo to, że jakiś inny gość wsadza ci język do ust.

– Powinieneś wysłać to zdanie prosto do Hallmarku. – Ben z pewnością potrafi podnieść dziewczynę na duchu, trzeba mu to przyznać. Gdybym nie była tak bardzo zrozpaczona na widok tego, że Jared trwale usunął mnie ze swojego ramienia, być może nawet bym się uśmiechnęła.

Kiedy Ben patrzy na mnie, powraca jego typowy uroczy uśmiech z dołeczkami w policzkach.

– Przy okazji dzięki, że nie odgryzłaś mi języka. – Urywa na chwilę, po czym patrzy za mnie. – Właśnie wychodzą z kawiarni. Nie, nie odwracaj się. – Mocniej trzyma mnie za podbródek, bym przypadkiem nie obróciła głowy i patrzy mi w oczy. – To byłoby zbyt oczywiste. Chcesz mu naprawdę zaleźć za skórę?! I jej?! Gwarantuję, że nie zaakceptuje sposobu, w jaki on na ciebie popatrzy.

Chęć rozdrażnienia Caroline przeważa. Słabe skinienie jest jedynym zaproszeniem, którego Ben potrzebuje. Odkłada pudełko z ciastem na stojak z gazetami, jedną ręką chwyta mnie za kark, drugą za tyłek, po czym przyciąga mnie do siebie i całuje w sposób, który powinien być zarezerwowany dla intymnej sytuacji za zamkniętymi drzwiami. Pocałunek jest tak intensywny, że trąbią przejeżdżające obok nas samochody.

Ben w końcu mnie uwalnia, zbieram się w sobie, by spostrzec, dlaczego w ogóle mnie pocałował.

– Nadal patrzą? – pytam szeptem bez tchu.

– Cholera. To nie byli oni. Powinienem być lepiej się przyjrzeć. – Krzywi się przez dwie sekundy, po czym na jego twarzy maluje się szelmowski uśmieszek i wiem, że mnie wkręcił.

Biorę ciasto, które odłożył na stojak z gazetami i uderzam nim w tę jego szeroką pierś.

* * *

– Jakim cudem jesteście z Masonem przyjaciółmi?

Ben unosi wzrok znad dokumentów i patrzy na moje ubrane w skarpetki stopy oparte o blat jego biurka. Jeśli o nie mu chodzi, nie mam zamiaru ich zdjąć. Jak mam spędzić w firmie cały weekend, musi być mi wygodnie.

– Co masz na myśli?

Przewracam oczami i mówię:

– Dokładnie wiesz co.

Opiera się o fotel i przeciąga, ofiarowując mi widok napiętych mięśni klatki i ramion.

– Co mogę powiedzieć? Jestem towarzyski. Ludzie mnie lubią. Zwłaszcza seksowne, małe laseczki

z fioletowymi włosami.

– Wiele takich poznałeś w Cancún, czy musiałeś szukać poza miastem? – Super. Właśnie pomyślałam, że miło ze strony Bena, że dotrzymał obietnicy i nie wyciągał tego tematu, a teraz sama o nim wspomniałam.

Mruży nieco oczy, przyglądając mi się i decydując się na odpowiedź.

– Większość z nich była blondynkami. Oprócz jednej Hiszpanki. Och... i tej rudej.

Świetnie. W ogóle mnie to nie dziwi. Nawet przez chwilę nie sądziłam, że byłam czymś więcej niż panienką do zaliczenia. Rzyganie na niego prawdopodobnie mnie uratowało.

– Musiałeś być później strasznie zmęczony – mówię z udawaną troską.

Na jego twarzy ukazują się te cholerne dołeczki.

– Dwie były przyjaciółkami, więc... tak, po tamtej nocy byłem bardzo zmęczony.

Walczę z opadającą szczęką, ponieważ mam przeczucie, że Ben byłby zdolny do czegoś takiego. Uważałam się za rozrywkową dziewczynę – przynajmniej tak mówił o mnie Jared – jednak z pewnością nie wiedziałabym, jak dotrzymać kroku Benowi. Pracował przecież w klubie ze striptizem.

– Zawsze tak siebie uwielbiałeś?

– W pięćdziesiątym dziewiątym trochę mniej, ale szybko mi przeszło – mówi z uśmiechem, patrząc w ekran komputera.

Minęło wiele godzin, odkąd wróciliśmy z feralnego spotkania z Jaredem i Caroline, i przez cały czas siedzieliśmy w biurze. Zajęta byłam przegrzebywaniem się przez liczne sprawy. Robiłam przy nich notatki na temat następnych etapów i zapisywałam ważne terminy. Podzieliłam je na sprawy, z którymi mogę się szybko uporać, na te, które wymagają intensywnego zastanowienia i większego zaangażowania oraz na te, które możemy przekazać June lub innym asystentom. Kiedy zajmuję się pracą i rozmawiam z Benem, udaje mi się nie myśleć o Jaredzie.

Do tej pory z jego ust nie padł żaden docinek lub żart na temat margarity lub mojego czołgania. Nie wspomniał też o publicznych pieszczotach na skrzyżowaniu – dzięki Bogu Jack nie wyglądał przez okno w tej właśnie chwili.

Jest tak, jakby do niczego nie doszło.

Przyglądam się jego opalonej twarzy. Jego promiennemu uśmiechowi. Spędziłam z nim już tak wiele czasu i, choć nie chcę tego przyznać, muszę stwierdzić, że Ben nie jest tak złym facetem, jak myślałam. Tak, jest pewny siebie, wulgarny i czasami mnie irytuje, jednak ciężko pracuje, wydaje się, że naprawdę szanuje Jacka i stara się być dla wszystkich miły. Nawet dla mojego przybranego brata-mądrali.

Zatem być może fakt, że Jack zmusił nas do wspólnej pracy to coś dobrego. I tak mam dużo na głowie, cieszę się więc, że nie muszę unikać Bena w pracy. Nie muszę też więcej siedzieć w gabinecie Nelsona, wymyślając sposoby, jak go udusić i zniknąć.

– Miałam rację. – Chwytam zdjęcie dużo młodszego Bena ubranego do gry w futbol. Drobną brunetką, jak zakładałam jego matka, choć nie jest do niej podobny, stoi obok i z dumą się uśmiecha. – Ile miałaś wtedy lat?

– Czternaście.

Serio?! Dałabym mu przynajmniej szesnaście.

– Już jako dziecko byłeś duży. – I wspaniały. Nawet jako dzieciak Ben musiał sprawiać, że wszystkie dziewczynki trzepotały rzęsami. – Mówiłeś, że miałaś kontuzję, tak? – Pamiętam, że Ben

wspominał coś o tym w Cancún. Kiedy przytakuje, pytam: – Co sprawiło, że jesteś prawnikiem?

– Szczerze? – Milknie, stukając długopisem o blat. – Miałem zostać zawodowym futbolistą. Nie było innych planów. Ale jakiś palant walnął mnie w kolano. Nawet samo uderzenie było nieczyste. Od co najmniej pięciu sekund nie miałem już piłki w rękach. Gość chciał mnie na dobre wykluczyć z gry. Nie pierwszy raz zrobił coś takiego. Nie powinien był w ogóle znajdować się na boisku. – Opiera się w fotelu i przybiera rzadko widywany u niego ponury wyraz twarzy. – W sprawę wchodziła się NCAA^[4] i zawiesiło tego chłopaka na jeden pieprzony mecz. Byłem wkurzony, ale niewiele mogłem zrobić. Kiedy NCAA coś postanawia, nie da się tego zmienić. Mimo to musiałem spróbować. Zatem sam pozwałem tego człowieka, miałem konkretne nazwiska, daty i świadków. I jego historię. – Widzę w oczach Bena iskrę pasji. – Wnosiłem o jego zawieszenie. Dla mnie to nic nie zmieniało, ale kiedy ten debil rok później wyeliminował z gry kolejnego zawodnika, sprawa, którą poruszyłem, pozwoliła zawiesić go na kolejny rok. – Wzrusza ramionami. – Nie mogłem już grać, jednak pomyślałem, że prawo sportowe jest czymś, w czym byłbym dobry. Znam ten zawód od podszewki, sam grałem, potrafię dostrzec talenty, wiem, jakie są wymagania szkół, jakie mają kontrakty i warunki w nich zawarte, znam też cały ten biurokratyczny syf. Myślałem, że z odrobiną szczęścia dobrze sobie poradzę.

– Ale w naszej firmie nie ma działu prawa sportowego, Ben – mówię powoli, nie chcąc gasić podekscytowania w jego głosie tak oczywistym faktem.

Uśmiecha się.

– Wiem, że nie ma, Reese. Przynajmniej jeszcze nie ma. Tak naprawdę dostałem ofertę pracy w kancelarii zajmującej się prawem sportowym na Zachodnim Wybrzeżu, na razie jednak przez wzgląd na mamę muszę zostać w Miami. A Jack gotów jest pozwolić mi spróbować stworzyć tutaj taki dział, kiedy już sobie na to zasłużę.

Ben znów skupia się na pracy, a ja czuję, jak niewielki uśmiech maluje mi się na ustach. Jack zawsze szuka sposobów, by pomagać ludziom. Zastanawiam się, czy dał szansę Benowi, bo jest przyjacielem jego syna, a Mason nie ma zbyt wielu przyjaciół. Jack jest facetem, który byłby w stanie to zrobić.

– Co jeszcze Mason ci o mnie powiedział?

Widzę, że znów ma dołeczki na twarzy.

– Twierdził, że jesteś obłąkana.

– I?

Ben patrzy na mnie.

– Lubię obłąkane.

– No to przepraszam, ale muszę cię rozczarować – mówię z ciężkim westchnieniem, po czym gryzę jedno z jabłek, które wcześniej podrzucił nam Jack, i kontynuuję: – Jestem całkowicie zdrowa na umyśle. Mason po prostu mści się na mnie po tym, jak zniemacka wyskoczyłam z jego szafy, a on złał się w gacie. – Oczywiście nie mówię tego, że miałam na sobie kostium kłowna, a w rękę wyglądający dość realistycznie tasak. No i miałam wtedy osiem lat. Nie mówię mu o tym, ponieważ zabrzmiałoby to, jakbym rzeczywiście była szurnięta.

Ben wybuchając szczerym, ciepłym śmiechem.

– Dobra, pomożesz mi z tą pracą, czy cały dzień będziesz tak siedzieć, wyglądając kusząco?

Przewracam oczami – choć w duchu cieszą mnie jego słowa.

* * *

Nie wierzę.

Osiem godzin po publicznym upokorzeniu w kawiarni siedzę okrakiem na motocyklu przed restauracją Chick-fil-A, wdychając zapach kanapek i wpatrując się w prywatną wiadomość na Facebooku, którą dostałam od byłego męża:

DOBRA BYŁO CIĘ ZOBACZYĆ. JESTEŚ PIĘKNIEJSZA NIŻ KIEDYKOLWIEK.

Czytałam tę wiadomość przynajmniej dwadzieścia razy, a gorzka nostalgia ścisnęła mi pierś. Jared zawsze witał mnie półprzytomnym: „Hej, piękna”, kiedy tylko wyłączałam budzik. Za pierwszym razem znokautował mnie tym powiedzeniem, ponieważ nie słyszałam tych słów od czasu, gdy miałam pięć lat i nadal był ze mną tata. Dorastanie przy matce wyglądającej jak Annabelle – a zupełnie nie byłam podobna do niej tylko do ojca – sprawiło, że wiem, jak wygląda piękno i zdaję sobie sprawę z tego, że zupełnie go we mnie nie ma. Jasne, że mam w sobie to „coś”. Coś, co przykuwa do mnie czyjąś uwagę.

Jednak Jared zawsze sprawiał, że czułam się piękna.

Natychmiast tracę apetyt. Wrzucam do torby resztki posiłku, by zjeść je później, po czym drżącymi dłońmi odpisuję:

TEŻ MIŁO BYŁO CIĘ ZOBACZYĆ.

To proste i bardzo nieszczerze zdanie. Czy „miło” było mi widzieć dzisiaj Jareda? Czy to w ogóle było przyjemne? Nie, wcale. Mimo to czuję w swoim wnętrzu iskrę czegoś, co przekonuje mnie, że było inaczej. I pomimo tego, że chciałabym być wredna, pomimo tego, że chciałabym wykrzyczeć moją litanię „dlaczego” – Dlaczego mnie zostawiłeś? Dlaczego mnie oszukałeś? Dlaczego zламаłeś mi serce? – gapię się na ekran, czekając, by wyskoczyła chmurka „przeczytano”, mając nadzieję na odpowiedź.

Nadal patrzę w ekran komórki, kiedy słyszę obok siebie stukanie szpilek.

– Masz ognia?

Obracam się i widzę na sobie spojrzenie brązowych oczu przesuwające się po mojej sylwetce prawdopodobnie w ten sam sposób, w jaki ja przyglądałam się tej kobiecie. Jest piękna w dość uwodzicielski sposób, ma długie, czarne, proste włosy i pełne, kuszące usta. Jej piersi są zbyt duże i okrągłe, by mogły być prawdziwe.

– Przykro mi, nie palę.

Wzdycha przeciągle z irytacją, opuszcza ręce z papierosem nadal tkwiącym między palcami.

– Dlaczego już nikt, kurwa, nie pali?

– Bo to strasznie niefajne. Do tego i tak mam już czarne serce. Czarne płuca byłyby przesadą.

– Mam tak samo – mamrocze pod nosem, przyglądając się mojemu motocyklowi. – Twój?

– Skąd wiesz?

Przez dłuższą chwilę mierzy mnie zmrużonymi oczyma, nim ruchem głowy wskazuje harleya stojącego obok, z czerwono-żółtymi płomieniami na baku, którego podziwiałam wcześniej.

– Mojego chłopaka. Zaraz wróci. Hej! – Macha do przechodzącego gościa, unosząc papierosa.

Facet wydaje się przeschęśliwy, sięgając do kieszeni po zapalniczkę. Gdy podsuwa dziewczynie ogień, patrzy w jej dekolt. – Dzięki, kotku – mówi cichym, ochryplym głosem, puszczając do niego oko i jednocześnie dmuchając mu dymem prosto w twarz. – A teraz spadaj, zanim wróci mój chłopak.

Co za zołza. Już ją lubię.

Nagle słyszę dźwięk wiadomości, więc odruchowo sprawdzam, co przyszło.

CIEŻKO MI BYŁO WIDZIEĆ CIĘ DZISIAJ Z TYM FACETEM. TO COŚ POWAŻNEGO?

– Jaja sobie ze mnie robisz?! – mruczę, wytrzeszczając w szoku oczy. Serio? Ciężko mu było, bo mnie z kimś widział? A w ogóle dlaczego pyta o Bena? Czy jest...?

Cholera jasna. Może Ben miał rację.

– Złe wieści? – pyta kobieta, po czym zaciąga się papierosem.

Czuję, że się krzywię.

– Nie. Chyba nie. – Urywam, starając się przeanalizować ten dziwny zwrot wydarzeń i chce mi się śmiać. – Najwyraźniej sprawiłam, że mój były mąż stał się o mnie zazdrosny.

Jeśli było mu ciężko, to... nadal mu zależy.

A tak mocno pracowałam, by przekonać samą siebie, że jest wręcz przeciwnie.

Dwa pierwsze tygodnie po tym jak zastałam ich razem pod prysznicem, były straszne. Na początku myślałam, że to musi być jakieś nieporozumienie, że coś mi się przywidziało i przestyszało. Aż pewnego ranka obudziłam się z koszmaru – z zapuchniętymi oczami, emocjonalnie wyczerpana – i zaakceptowałam rzeczywistość. Od tamtej chwili moje myśli przekształciły się w rozpaczliwą nadzieję, że Jared szybko zrozumie swój błąd, uświadomi sobie, że po prostu się pomylił, że to jakiś jednorazowy skok w bok, i że pewnie był pijany. I to bardzo. O jedenastej przed południem. We wtorek. Tak bardzo chciałam wierzyć we wszystko, co może sprawić, że do mnie wróci, błagając, bym mu wybaczyła.

Wiedziałam również, że jeśli to zrobi, wybaczę mu. Mimo iż jestem silna, niezależna i uparta, złamałabym się w sekundę. Tylko tak potrafiłabym zakończyć agonię rozdierającą mi serce przez wszystkie te godziny i dni.

Kiedy Lina znalazła w skrzynce liścik od niego, zaprzeczający moim urojeniom – w którym prosił o rozwód, udowadniając mi tym, jaka byłam głupia – toksyczna gorycz wzięła nade mną górę. To był definitywny koniec.

Miesiące trzymałam się tej goryczy, zanim przekształciła się ona w obojętność. Było to swego rodzaju motywacją: udowodnić, że Jared mnie nie chce i nie potrzebuje, podobnie jak ja jego. Że nie zostałam przez niego upokorzona, bo nie byłam na tyle ślepa, by nie dostrzec, co dzieje się przed moim nosem.

Jednak teraz dał mi odczuć chorą satysfakcję z powodu wiedzy, że może w jego sercu nadal znajdują się resztki jego uczuć do mnie. Niczym przebudzona nadzieja. A może to jedynie moje sponiewierane ego, które dostało zastrzyk nowej energii. Cokolwiek to jest, jest odurzające.

– Chcesz go odzyskać? – mruczy kobieta, wypuszczając dym i uważnie mi się przyglądając.

– Nie... Jest żonaty. Z dziewczyną, z którą mnie zdradzał.

Odzyskać? Mogłabym to zrobić?

– W takim razie po co z nim w ogóle gadasz? – pyta, przygniatając obcasem niedopałek wypalonego w ekspresowym tempie papierosa.

– Nie wiem. – Nie znam tej kobiety i mam gdzieś, czy będzie mnie osądzała. Może dlatego, niewiele myśląc, przyznaję to na głos. – Może chcę, by wrócił. – Urywam, po czym dodaję: – Po tym jak go skrzywdzę. – Po tym jak sprawię, że pęknie mu serce, jak poczuje stratę i żal z powodu swoich decyzji. A wtedy, gdy będzie lkał, pełzał i cierpiał... może przygarne go z powrotem.

Pozwolę wrócić do tego, co mieliśmy kiedyś.

– Wtedy będziecie mogli żyć długo i szczęśliwie. – Nie wiem, czy mówi to z sarkazmem, czy nie. Jednak gdy na moment znika jej maska zgorzknienia, sympatia malująca się na jej twarzy mówi mi, że zna ból, który odczuwam. – Całe lata spędziłam, czekając na kogoś, wierząc, że ten ktoś potrzebuje

czasu. Byłam głupia.

– Ja na niego nie czekam – przyznaję.

Wzrusza ramionami, gdy wysoki facet ubrany w skórzaną kurtkę, podarte jeansy i ciężkie, czarne buty wychodzi z restauracji i zmierza w naszą stronę.

– Twój? – pytam, ruchem głowy wskazując w jego stronę.

Miękki uśmiech rozciąga jej usta i mogę stwierdzić, że to rzadki widok.

– Z Finem od lat się przyjaźniliśmy. Zawsze był przy mnie. Aż w końcu zrozumiałam, ile dla mnie znaczy.

Kiedy do nas podchodzi, nie marnuje czasu, cmoka ją szybko w usta, a ona odpowiada tym samym, ciągnąc go żartobliwie za brodę. Szczerze mówiąc, facet nie wygląda mi na kogoś, na kogo leciałaby taka – mogąca być striptizerką – dziewczyna. Jednak jest jej.

– Podoba ci się? – Patrzy na mój motocykl z szacunkiem kogoś po fachu.

– Mógłby mieć więcej mocy, ale uwielbiam go. – Kiedy Jack zaskoczył mnie ofertą kupna, zdążył zrobić już rozeznanie w temacie. Najwyraźniej jest mniejsze prawdopodobieństwo, że mogę się zabić w tym modelu „dla początkujących”.

– Myślałem o kupieniu takiego Chince – przyznaje, patrząc na swoją partnerkę z uśmiechem – ale lubię ją mieć jako plecak.

– Wow. Slang motocyklistów. Porywające – mruczy oschle kobieta. – Gotowy do drogi, skarbie? – Nakłada kask i dla zabawy klepie go w tyłek, dając do zrozumienia, że mogą ruszać. Mężczyzna przerzuca długą nogę przez siedzenie motocykla. Czarnowłosa idzie w jego ślady, dla równowagi przytrzymując się jego ramion, po czym siada tuż za nim. W końcu patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem i mówi: – Stare przysłowie mówi, że jeśli musisz walczyć o faceta, on nie jest tego wart. Idź do tego, który na ciebie czeka. – Łapie chłopaka w pasie, a on odpala motocykl.

Przyglądam się, jak odjeżdżają.

* * *

Nadal ubrana, leżę w łóżku z ręką podłożoną pod głowę i gapię się w telefon, zastanawiając się, jak trafnie odpowiedzieć na pytanie Jareda o Bena. W końcu decyduję się odpisać:

JESZCZE ZA NIEGO NIE WYSZŁAM.

Kiedy masz wątpliwości, zawsze stosuj humor.

A jednak to wciąż boli.

Czekając na odpowiedź – której mogę się dziś nie doczekać, bo Jared zawsze późno odpisywał na wiadomości – przewracam się na bok i sięgam pod łóżko. Palcami trafiam na gładkie drewno mojej szkatułki – skrzyneczki, w której trzymam przeszłość.

Zapach cedru łaskocze mnie w nos, kiedy otwieram wieko i przyglądam znajdującemu się wewnątrz ślubnemu zdjęciu. Widnieje na nim Elvis w śnieżnobiałym kostiumie, który udzielał nam ślubu, Jared i ja z szerokim uśmiechem, ubrana w fioletową sukienkę pasującą kolorystycznie do włosów. Aparat był ustawiony pod takim kątem, że w świetle jego lampy błysnął diament, który miałam w nosie. Jared ubrany był jak zwykle w wytarte jeansy i koszulkę z logo zespołu Kings of Leon, opinającą jego ładnie zbudowane ciało, jakby została zaprojektowana specjalnie dla niego.

Kiedyś myślałam, że Jared został stworzony specjalnie dla mnie i tylko dla mnie.

Rozumieliśmy się nawzajem. Co ważniejsze, mówił, że mnie kocha. Całą. Zołzowate poranki, sarkastyczny styl bycia przez większość czasu, z wyjątkiem tych chwil, gdy roztapiałam się w czymś miękkim i przystępnym – niemal kruchym – w jego ramionach. Kochał to, że jeździłam na motocyklu,

grałam na gitarze i potrafiłam na całe gardło wyśpiewać Joni Mitchell i Eddiego Veddera podczas smażenia jajecznicy, jednej z niewielu potraw, które potrafiłam przyrządzić w kuchni. Kochał moje fioletowe włosy, moje przekłute kolczykami ciało i fakt, że nie krzywiłam się na jego sugestię wykonania tatuażu „dla pary”. Ani przez chwilę.

Kochał moją niezależność, emocjonalność oraz to, że byłam „inna” niż pozostałe dziewczyny.

Ja z kolei kochałam to, że nie dbał o kasę rodziców i wybrał spawanie, ponieważ uwielbiał pracę z metalem. Podobało mi się, że nie oglądał się za innymi laskami, kiedy z nim byłam. Uwielbiałam, że lubił wychodzić w gronie moich przyjaciółek. Kochałam to, że nie potrafił przeżyć całej nocy beze mnie. Raz nawet próbował. Pojechał do Miami do znajomego, ale skończył, wracając nocą do domu, do którego dotarł o piątej nad ranem i zwinął się obok mnie w kłębek.

Podobał mi się fakt, że wybrał mnie w jednej chwili. I to, że pragnął mnie mieć w swoim życiu. Był jedynym mężczyzną, który był skłonny związać się ze mną na zawsze.

Kochałam sposób, w który mnie kochał.

Wzdycham i wkładam zdjęcie z powrotem do szkatułki. Wyciągam pogniecioną kartkę znajdującą się poniżej, którą Jared wrzucił Linie do skrzynki.

Reese...

Przykro mi, że dowiedziałas się w ten sposób. Wpadliśmy na siebie z Caroline i...nadal ją kocham. To, co było między nami, zawsze będzie dla mnie czymś szczególnym. Zapłacę, ile będzie trzeba. Proszę, podpisz tylko dokumenty, byśmy mogli żyć dalej.

Przepraszam.

Jared

Nigdy nie sądziłam, że cieniutka kartka papieru może tak człowieka zdołować. Towarzyszyły jej dokumenty rozwodowe wykonane przy użyciu jednej z tych aplikacji on-line w rodzaju „zrób to sam”, przygotowanych przez administrację stanu Floryda dla rozwodzących się par, z kolorowymi, małymi karteczkami w miejscach, gdzie mam podpisać. Wiedziałam, że to nie Jared je tam wstawił.

Zatrzymałam jego liścik na pamiątkę tego, jak bardzo mnie zranił i by pamiętać, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. A jednak jest teraz w Miami, teraz, kiedy posmakowałam, co to znaczy móc znów normalnie żyć... Nie wiem, czy umiem tak po prostu odejść. Z pewnością nie potrafię przestać o nim myśleć.

Wzdycham po raz kolejny, sprawdzając telefon. Warto w ogóle czekać? Ta kobieta z Chick-fil-A zapewne miała rację. A przynajmniej mogła ją mieć.

Minęło wiele czasu, odkąd otwierałam tę skrzyneczkę. Kopiając w niej głębiej, odnajduję starsze wspomnienia. Jeszcze bardziej bolesne.

Zdjęcie małej dziewczynki z warkoczykami, wyciągającej rączki jak tylko potrafiła najdalej, by dosięgnąć kierownicy tatusiowego harleya, kiedy udawała, że nim jedzie. Wyciągam je i przyglądam mu się uważnie, podobnie jak robiłam przez lata, aż zaskakuje mnie słabe pukanie do drzwi. Jack zagląda do mojego pokoju, jakby niepewny mojej reakcji.

– Jak ci się dzisiaj pracowało z Benem?

Mimowolnie się uśmiecham. Martwi się, że jestem na niego zła, bo potraktował mnie jak szef pracownicę. No i że kazał mi pracować w sobotę.

– Dobrze. Sporo zrobiliśmy. Powiedziałam mu, że spotkamy się jutro w biurze.

– A zachowywał się... profesjonalnie?

Staram się stłumić parsknięcie. Dokładnie wiem, o co pyta.

– Nie musisz się martwić, Jack. – Myślę, że to właśnie robi. Martwi się.

Zastanawia się, czy ta nowa, lepsza Reese, którą stworzył, to tylko stan przejściowy. Czy to tylko kwestia czasu, gdy wypadnę z szyn sprawiedliwości i będzie musiał znowu wpłacić za mnie kaucję w jakimś areszcie, albo ucieknę i znów wyjdę za mąż.

Zauważam, że Jack nieco się rozluźnia, jakby spadł mu z ramion jakiś ciężar. Wchodzi do mojego pokoju i wyciąga rękę po zdjęcie, które trzymam.

– Kiedyś z nim zasypiałaś. Zawsze chowałem je dla ciebie, żeby nie widziała go twoja matka. Spaliłaby je.

– W takim razie dobrze, że Anabelle nigdy nie przychodziła sprawdzać, co się ze mną dzieje – mamrocę oschle, jednak wyznanie Jacka sprawia, że ciepło rozchodzi się w mojej piersi. Właściwie nigdy nie pamiętałam, czy nie chowałam tego zdjęcia własnoręcznie. I nie wiedziałam, że Jack przychodził nocami mnie doglądać.

Odchrząkuje, gdy przez chwilę patrzy na zdjęcie, zanim mi je oddaje.

– Hej, Jack, naprawdę nigdy nie masz zamiaru ponownie się ożenić? – pytam, chowając zdjęcie do szkatułki i wsuwając ją pod łóżko.

– Och... – Głęboka zmarszczka pojawia się na jego czole. – Pomyślałem, że dwa małżeństwa mi wystarczą.

– To przez Annabelle? Aż tak zalazła ci za skórę?

– To przez wiele spraw, Okruszku. – Uśmiecha się smutno. – Pogodziłem się z tym dawno temu. Trzymanie się człowieka, który nie chce twojej miłości nie jest zdrowe. – Wzdycha ciężko. – Może gdybym poznał właściwą kobietę, sprawy miałyby się zupełnie inaczej.

– Z pewnością pani Sexton ma na ciebie oko – droczę się z uśmiechem, wiedząc, że się nie obrazi. Jack jest niefrasobliwym i tolerancyjnym facetem.

Krzywi się.

– Wolałbym kogoś bardziej... wyrafinowanego. – Pomimo tego, co może sugerować jej nazwisko, z przewlekłym kaszlem i papierosem zawsze zwisającym jej z ust, pani Sexton jest tak daleka od bycia seksowną sąsiadką, jak tylko to możliwe. Dwa razy się rozwiodła, a jej nosowy głos z bostońskim akcentem sprawia, że jest zdecydowanie nieatrakcyjna. Zazwyczaj można ją spotkać, gdy podlewa trawnik. Ma wtedy na sobie jaskrawozielone legginsy i sportowy biustonosz, a na nogach gumowe crocsy. To, że urodziła czworo dzieci przy pomocy starej metody cesarskiego cięcia, po której zostały jej pionowe blizny na brzuchu, wcale nie przeszkadza tej pięćdziesięcioletce eksponować tego, co miała ładne może dwadzieścia pięć lat temu. Dziwi mnie, że mieszkańcy nie skarżą się na nią. To okolica wyższej klasy średniej, z okazałymi domami jednorodzinnymi i wielkimi ogrodami.

Jack pochyla się, by pocałować mnie w czoło.

– Dobranoc.

– Dobranoc, Jack – mówię cicho, po czym wołam: – Jack?

Zatrzymuje się i obraca z pytającą miną.

– Wierzysz w walkę o to, czego się pragnie?

– Jestem prawnikiem, Reese. Wszystko, co robię, to walka – przyznaje z uśmiechem, ale marszczy brwi. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu. Z ciekawości.

Trzymając rękę na klamce, przygląda mi się przez chwilę.

– Trzymasz się z dala od kłopotów, prawda?

Opuszczam głowę na poduszkę.

– Jak do tej pory.

Następuje chwila ciszy, po czym westchnienie irytacji.

– Dobranoc, Reese.

– Dobranoc, Jack.

Kiedy drzwi się zamykają, przewracam się na bok i sięgam po laptopa, by zrobić coś, czego nie robiłam od miesięcy.

– Dobry, stary Facebook. Pomaga podglądać ludzi od dwa tysiące... – mamroczę, otwierając stronę z profilem Jareda, po czym zagryzam zęby w oczekiwaniu.

Tak jak się spodziewałam. Same zdjęcia kwiatów, kokardek, gigantycznej, pieprzonej białej sukni. Wszystkie zamieszczone przez Caroline. Serio? Ślub kościelny? Jared jest ateistą. Z pięciuset gości musiało oglądać, jak ateista bierze ślub przy ołtarzu. Jared nienawidzi takich tłumów.

Uśmiecha się na każdym zdjęciu. Temu nie da się zaprzeczyć. Wygląda bardzo przystojnie w smokingu. Mimo to...

Kiedy przeglądam jego profil, publikuje się nowe wydarzenie. Niespodzianka, Caroline uderza ponownie!

MÓJ WIELKI I SEKSOWNY MĘŻCZYŻNA ZAMIERZA MNIE RANO CHRONIĆ! CO POWINNAM ZAŁOŻYĆ? Jest też link do parku ekstremalnego paintballu w Miami.

Ściska mnie w dołku. Uwielbiam paintball. Często grywaliśmy z Jaredem, zapraszając do zabawy Linę i Nicki. Mam nawet swój strój i automatyczny karabinek na kulki.

Klikam w link, by przeczytać o tym coś więcej – rodzinny interes, zarządzany przez dwudziestopięciolatka. Zawsze to jakiś plus. Oznacza, że wie, jak wszystko ma działać i będzie nadzorował imprezę. Teren gry znajduje się na wielkim polu na północ od miasta, w zalesionej okolicy. Wolę otwartą przestrzeń od tych miejskich zabaw w zamkniętym budynku jakiegoś starego magazynu. To również oznacza, że zapewne będzie wielu uczestników. W tym całym stroju kamuflującym i z maskami na twarzy naprawdę ciężko kogoś rozpoznać...

Nie mogę jechać sama. To znaczy, to byłoby przegięcie, a nie jestem szalona.

Nie, muszę jechać z kimś. Szybko piszę SMS-a do Liny i Nicki:

PAINTBALL. JUTRO. DZIEWIĄTA RANO. WCHODZICIE W TO ZE MNĄ, ZDZIRY, PRAWDA?

Nie piszę im dlaczego. To nie ma znaczenia. Będziemy się dobrze bawić bez względu na powód.

Nicki odpisuje natychmiast:

WCHODZĘ.

Linie zajmuje to nieco więcej czasu, nawet jeśli wiem, że odczytała wiadomość.

WCHODZĘ, JEŚLI MOGĘ PRZYPROWADZIĆ FACETA.

Kiedy się zgadzam, bo naprawdę mam gdzieś, kogo przyprowadzi, dopóki mam szansę strzelenia Caroline w łeb kulką z czerwoną farbą, robimy konferencję i skupiamy się na logistyce naszej grupy. W końcu kładę się na łóżku i wzdycham.

Cholera jasna.

Zapomniałam o Benie. Zanim pojedziemy i wrócimy, wykąpiemy się, zjemy i w ogóle... będę musiała siedzieć później w pracy całe pieprzone popołudnie.

Przewijam kontakty w telefonie, by znaleźć numer Bena, wdzięczna w duchu, że wymieniliśmy numery, zanim się dzisiaj rozstaliśmy.

Piszę:

PRZEPRASZAM, ALE NIE BĘDĘ MOĞŁA CI JUTRO POMÓC. COŚ MI WYPADŁO.

I wyłączam całkowicie telefon.

[4] National Collegiate Athletic Association (NCAA) – organizacja zrzeszająca około 1200 instytucji, zajmująca się organizacją zawodów sportowych wielu uczelni wyższych w Stanach Zjednoczonych (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

BEN

– Coś jej wypadło? – Co to, do cholery, znaczy?! Nie ma mowy, bym jej odpuścił. Tak wiele dzisiaj udało nam się zrobić.

Do diabła, nie!

Leżąc w łóżku, odpisuję:

NIE WYWINIESZ SIĘ. NADAL JESTEŚ MI WINNA PRZYSŁUGĘ ZA DZISIAJ, A JA POTRZEBUJĘ TWOJEJ POMOCY.

Brak odpowiedzi. Nawet nie dostarczono wiadomości. Musiała wyłączyć telefon. Przesuwam kontakty i wybieram numer Masona. Odbiera po drugim sygnale.

– Idź i powiedz Reese, by sprawdziła swój cholerny telefon – mówię zirytowany, co rzadko mi się zdarza.

– Ee... – Wyobrażam sobie, jak szuka okularów. – Nie jestem w tej chwili w domu.

– Szlag – mamroczę do siebie. – A gdzie jesteś? W bibliotece? – Mason jest przewidywalny. Bywa w firmie, w domu albo w bibliotece.

– A po co ci Reese?

– Bo... Miała pomagać mi jutro w biurze, a próbuje mnie spławić.

Z słuchawki dobiega syk, po czym kobiecy chichot w tle, sprawiając, że sprawdzam na wyświetlaczu, czy na pewno dodzwoniłem się do Masona Warnera. Wygląda na to, że dobrze wybrałem numer.

To nie może być prawda, potrafię jednak rozpoznać kobiecy chichot, gdy taki słyszę.

– Stary, ty się z kimś bzykasz?

Chrząka głośno, po czym mówi:

– Nie wiem, gdzie Reese jest w tej chwili, ale wiem, gdzie będzie jutro.

– Dobra, dawaj.

– Wyślę ci link. Przyjedź jutro o dziesiątej rano.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

REESE

Jestem gotowa zapolować na tę sukę.

Po uiszczeniu opłaty, dopuszczeniu mojego karabinka do gry, wypożyczeniu elementów wyposażenia i podpisaniu regulaminu, zabieram Nicki z rejestracji, byśmy gdzieś na uboczu poczekały na Linę. Nie wiem, czy Jared i Caroline już przyjechali, jednak nie chcę wpaść na nich, zanim się w pełni nie zakamufluję.

– Fajnie, że wymyśliłaś ten paintball. Po całym tygodniu muszę się odstresować – mówi Nicki, przeciągając się i kładąc pod nogi wypożyczony karabinek. Zawsze rozgrzewa mięśnie. Ubrana w czarne spodnie i czarny golf, opinający jej wysportowaną sylwetkę, tak naprawdę nie pasuje mi do wizerunku pracownika socjalnego, który zajmuje się trudną młodzieżą. Założę się jednak, że jest w tym lepsza od innych.

Ja mam na sobie nieformalny strój – spodnie khaki i pasującą koszulkę z długim rękawem. Jest luźna i z pewnością nieatrakcyjna, ale to przecież paintball. Jeśli ktoś chce się tu stroić, jest idiotą. Ściągacze w ubraniach też się przydają.

– Gdzie jest Lina i ten jej tajemniczy facet? – mówię cicho. – Jeśli będziemy musiały czekać jeszcze chwilę dłużej, chyba się tu ugotuję. – Jednak nie mam zamiaru zejść z pola gry, póki nie wpakuję w Caroline przynajmniej jednego magazynka amunicji.

– Dobre pytanie. Lina się nigdy nie spóźnia – potwierdza Nicki. – Za to ty zawsze przychodzisz po czasie. Właściwie to trudno mi uwierzyć, że czekałaś pod drzwiami, gdy po ciebie przyjechałam.

– Nie chciałam sprawiać kłopotu. – Postanowiłam nie jechać motocyklem. Za bardzo rzucałabym się w oczy. Wolę, by Jared i Caroline nie wiedzieli, że tu jestem, zanim się to wyda. – I najwyraźniej ja też potrzebuję się odstresować.

– Jasne, bo miałaś ciężki tydzień, świat cię nienawidzi i takie tam – mówi ze współczuciem. Podczas jazdy tutaj wtajemniczyłam Nicki w sprawę z Benem oraz w to, że Jared i Caroline są w mieście. Spośród dwóch moich przyjaciółek to z Nicki łatwiej mi się rozmawia. Zadaje pytania, jednocześnie rozumiejąc moje niewypowiedziane emocje. Jest też lepszą słuchaczką od Liny. Lina mówi, co myśli, wali prosto z mostu i bez litości.

Oczywiście żadna nie wie, że będą tu dzisiaj Jared z Caroline. Każda szczerowość ma swoje granice.

– Cóż, spójrz, kto w końcu zaszczyił nas swoją obecnością! – mówi Nicki z udawaną irytacją, unosząc ręce w górę. Nie umyka mojej uwadze jej napięty uśmiech i ukradkowe spojrzenie rzucone w moją stronę, choć zupełnie nie wiem dlaczego.

W chwili, w której się odwracam, już wiem.

– Mason? – Czuję, jak moją twarz wykrzywia grymas. – Co ty tu... – I nagle wszystko układa się w całość. – O mój Boże! – Dostaję zadyszki, gdy moja przyjaciółka obejmuje go, jakby chciała go

chronić.

– Pamiętaj, jestem twoją najlepszą przyjaciółką i mnie kochasz – stwierdza Lina rzeczowo. Gapię się tylko, a ona mówi: – Spotykam się z Masonem.

Co? Co?! Patrzę to na nią, to na Masona – który zerka na karabinek do paintballu, który trzymam w rękach – i znów na nią.

– Serio? Uprawiasz seks z moim przybranym bratem? – Mimowolnie się krzywię.

– Powiedziała, że się z nim spotykam.

Spoglądam na czerwoną jak burak twarz Masona. Wszystko co widzę to niezdarny dzieciak z grubymi okularami, który uwielbia teleturniej *Va banque* i wrzeszczy na mnie, gdy zostawiam na umywalce ślady po paście do zębów. Jeśli nie sypiają ze sobą, może nadal być prawiczkim. Mam nadzieję, że Lina nie liczy w najbliższym czasie na jakiś świetny seks.

Mason i Lina? Ale... Ale...

– On nosi piżamy dla dziadków! – wypalam, jakby dwuczęściowa piżama w paski z kołnierzykiem, kieszeniami i zapięciem na guziki miała wszystko zmienić.

Lina zakłada krótkie, jasne włosy za ucho. Na jej twarzy widoczny jest spokój, jakby spodziewała się mojej reakcji.

– Jest inteligentny, uroczy i miły. Nie bądź wredna.

Jestem w pełni świadoma swojej wrednej natury, więc się nie obrażam. Poza tym nadal jestem w szoku. Moja przyjaciółka spotyka się z moim wrogiem z dzieciństwa?!

– Ale... jak?

Lina zakłada ręce na piersi.

– Miałam powiedzieć ci przy kolacji, ale olałaś nas, bo byłaś zbyt zajęta pracą. – Lina patrzy na mnie wnikliwie swoimi szarymi oczyma, starając się wzbudzić we mnie poczucie winy.

– Ale... jak? – pytam ponownie.

– Pamiętasz jak przyjechałyśmy do ciebie pożyczyć od Jacka narzędzia? – Kiwam głową. To był weekend po przeprowadzce Liny i Nicki. Potrzebowały młotka i wiertarki. Byłam wtedy zajęta nauką do poniedziałkowego egzaminu końcowego, więc nie mogłam im pomóc. – Mason zaoferował nam pomoc.

– A czy Mason w ogóle wie, jak się używa wiertarki?

– Tak, Mason wie, jak się używa wiertarki – odpowiada Mason z irytacją w głosie.

W tym samym czasie Lina wyznaje:

– Nie. – Mason patrzy na nią, a ona wzrusza ramionami. – Naprawdę nie potrafisz wiercić, kochanie. – Aby złagodzić cios dla jego ego, przysuwa się i całuje go w policzek, co sprawia, że opada mi szczęka. Nicki zbyt zajęta jest tłumieniem śmiechu, by cokolwiek powiedzieć.

– W każdym razie... spędził u nas cały dzień, starając się pomóc... – Mason przewraca oczami. – ...a później zaprosiłam go na kolację, by mu podziękować. Następnie zaczęliśmy rozmawiać przez Facebooka, po czym...

– Pieprzony Facebook. Popycha do głupot – mamroczę pod nosem.

– ...po czym zaprosił mnie do kina i na kolację – kończy Lina. – Nie powiedzieliśmy ci od razu, bo chcieliśmy się upewnić, że warto dla tego uczucia przecierpieć twój nieuchronny atak.

– I? – Patrzę na nich. Rezygnacja wyraźnie brzmi w moim głosie, bo i tak znam już odpowiedź, biorąc pod uwagę, że są tu razem.

– I możesz na placu gry strzelać do swojej przyjaciółki i przybranego brata, ile tylko dusza

zapragnię. Ale później ani słówka. Łapiesz? – beszta mnie Lina.

Ściśle rzecz biorąc to nie mogę w nich strzelać, bo są w mojej drużynie, ale... unoszę karabinek w górę.

– Dobra. Możemy już iść? Czy może czeka na mnie dziś jeszcze jakaś niespodzianka?

Nagle od tyłu obejmują mnie silne ramiona, po czym zostaję przyciśnięta do czyjejś klatki piersiowej, a po chwili ktoś odrywa mnie od ziemi. W tym samym czasie czuję silny, męski zapach.

– Olałaś mnie dla paintballu?

ROZDZIAŁ DWUNASTY

BEN

– Dzień dobry, słoneczko! – Z przyklejonym do twarzy szerokim uśmiechem stawiam Reese na ziemi, po czym obserwuję, jak z mieszaniną zaskoczenia i irytacji w oczach obraca się do mnie.

– Co ty tu robisz?!

Wskazuję na znoszone jeansy i brzydką, szarą koszulkę.

– Masz szansę na ubaw.

Te karmelowe oczy wpatrują się we mnie i obawiam się, że będę musiał się wytłumaczyć. Cofam się nieco, gdy podchodzi do mnie, zastanawiając się, czy powinienem przestać się szczerzyć jak idiota i zacząć myśleć, jak uchronić się przed ciosem.

– Chodzi mi o to skąd wiedziałeś, że tu będę?

Ruchem głowy wskazuję Masona.

– Kiedy wysłałaś mi wieczorem SMS-a... co – tak przy okazji – było żenujące, zadzwoniłem do Masona, by skopał ci tyłek. Ale on był u twojej koleżanki i powiedział mi, gdzie cię znajdzie. Dlatego... – Wzruszam ramionami i posyłam jej zadowolony uśmiech. – Jestem. Pomyślałem, że w drodze powrotnej możemy razem pojechać do firmy. – Nie czekając na jej odpowiedź, ponieważ jeśli będę musiał, przerzucę ją sobie przez ramię i zaniosę do swojego samochodu, mówię do Masona: – To ta, z którą spędziłeś noc? Jeśli tak... – Kiwam głową z uznaniem – ...dobry wybór.

Policzki Masona robią się czerwone, gdy chłopak próbuje powstrzymać uśmiezek dumy. Dobrze, że ma dziewczynę. Facet musi zaliczać. A laska – poznaję, że to niekoreańska Koreanka, przyjaciółka Reese – jest ładna.

– Hej, dawno się nie widzieliśmy!

– Pamiętasz mnie? – Głos dziewczyny jest płytki i pełen wątpliwości.

– Nie zapominam ładnych twarzyczek, złotko.

– Żartowniś – mruczy Reese, przygwoźdzając mnie dziwnym spojrzeniem. – To Lina, a to Nicki, bo pewnie nie pamiętasz imion, które należą do tych ładnych twarzyczek.

Otwieram usta, szybko je jednak zamykam. Zatem... tak wygląda zazdrosna Reese.

– Podaliście wtedy fałszywe imiona?

Reese krzywi się, patrząc na koleżankę po prawej, dzięki której zarobiłbym sporo kasy, gdybym postawił na nią w siłowaniu się na rękę, a ona wybucha śmiechem.

– Tak. Byliśmy wtedy aniołkami Charliego.

Reese jednak się nie śmieje.

– Zdrajcy. Wszyscy! – Zakłada maskę, odwraca się i maszeruje w kierunku wejścia na pole gry, jakby szła na tajną misję.

A ja przez cały czas gapię się na jej zakamuflowany tyłek, wiedząc, że przynajmniej jedna kulka

z farbą, która na nim wyłazuje, będzie moja.

* * *

– Nie robiłem tego, odkąd miałem około piętnastu lat – mówię, gdy cała nasza piątka przemierza zalesiony teren, a ja rozglądam się za naszymi przeciwnikami. Gra dzisiaj kilka drużyn jednocześnie, a my – drużyna fioletowa, jak zdecydowała Reese – polujemy na tych z czerwonymi opaskami na ramieniu.

Jak uroczo.

Zestrzeliliśmy już czwórkę przeciwników, a po naszej stronie, jak do tej pory, nie było ofiar.

– Świetne miejsce – mówi cicho Nicki. – Te całe „Igrzyska Śmierci” mogłyby się tutaj spokojnie odbywać.

Ma rację. Okolice naprawdę przypominają arenę – las jest wystarczająco gęsty, a trawa na tyle wysoka, żeby był to idealny teren na polowanie. Mają nawet niewielkie opuszczone budynki rozproszone po całej okolicy. Żałuję, że wcześniej nie wiedziałem o tym miejscu. Zaprosiłbym Nate’a i chłopaków do gry. Może nawet Kacey.

– Szkoda, że nie można wspinać się na drzewa – mamroczę, kręcąc głową na widok Reese chwytającej za gałąź i podciągającej się w górę. Podaję Masonowi karabinek, oplatom ramię wokół jej wąskiej talii i ściągam w dół tuż przed tym, jak zarzuca na konar nogę. – Mam wrażenie, że z przestrzeganiem zasad jesteś bardziej na bakier niż ja.

Odpowiada wymierzeniem broni w moją pierś.

– Nie przeszkadza mi również strzelanie do członków własnej drużyny.

Śmiejąc się, odsuwam lufę. Wiem, że nie ściemnia.

– Chcesz wylecieć z gry? Wszędzie są sędziowie. – Pole jest tak wielkie, że muszą jeździć na quadach.

– Chciałam tylko mieć lepsze... – Urywa, słysząc dźwięk półautomatycznego karabinka, po czym niedaleko od nas rozpryskuje się farba.

– Kryć się! – krzyczy dziewczyna Masona. Brzmi niczym żołnierz, gdy rzuca się w kierunku małego budynku znajdującego się niecałe dziesięć metrów dalej. Depczemy jej po piętach, wbiegając do chatki, podczas gdy atak nie ustaje. Mason jęczy z bólu, gdy wypada zza rogu, osłaniając nas, po czym informuje, że mamy pierwszą ofiarę. Lina obraca go i potwierdza, że z tyłu kraciastej koszuli ma wielką niebieską plamę z farby.

– Tak, nie żyjesz.

– Boli – marudzi.

– Mięczak – mówi Reese, udając kaszel, po czym wygląda przez niewielkie okienko.

Nicki szturcha chłopaka w ramię.

– Co znowu zrobiłem? – pyta Mason, ignorując przybraną siostrę.

Ktoś z zewnątrz woła do nas:

– Facet w koszuli w kratę! Nie oszukuj i nie próbuj ścierać farby!

– Nie oszukuję! – odpowiada Mason z oburzeniem. – Nie oszukuję!

– Jasne, nieważne – dochodzi zza ściany. – Wyjdź z uniesionymi rękami, tak, byśmy cię widzieli.

– Oni są jacyś nawiedzeni – mówi cicho Nicki, mierzając do nich przez dziurę i strzelając kilka razy.

– Poczekam na was przy wyjściu – mówi Mason, zdejmując fioletową opaskę i wychodzi z nieco spuszczoną głową. Myślę, że naprawdę dobrze się bawił. Poza tym prawdopodobnie świadomość bycia pierwszą ofiarą w grupie, nawet przed dziewczynami, trochę go mierzi.

– Nie martw się, zaopiekuję się paniami – ogłaszam, rozciągając ramiona, by objąć wszystkie trzy dziewczyny jednocześnie, po czym razem obserwujemy przez okienko, jak Mason zmierza w stronę przeciwników, machając uniesioną bandanką w geście poddania.

W tym samym momencie cała tamta grupa strzela do niego, a on, ponieważ jest szczupły, zasłania pierś, starając się bronić przed strzałami padającymi z tak bliska.

– Co za sukinsyny! – krzyczy Lina, przepychając się obok mnie i wypadając z chatki. Nicki spieszy za nią, obie trzymają przed sobą karabinki i strzelają z głośnym okrzykiem „Banzai!” na ustach, a ja i Reese przyglądamy im się z wnętrza szopki.

Kiedy jakieś dwadzieścia sekund później jest po wszystkim, czterech mężczyzn z drużyny przeciwnej – podobnie jak Lina i Nicki – zostaje wyeliminowanych z gry.

Mason jest pokryty farbą od czubka głowy po koniuszki palców u stóp.

– Biedaczysko. – Śmieję się. – Ta laska chyba naprawdę go lubi.

– Nie, taka jest Lina. Było nieuniknione, że w którymś momencie zrobi z siebie kamikadze. I tak się dziwię, że wytrzymała aż tak długo.

– Wygrajcie dla nas! – krzyczy Nicki i macha do nas. – Poczekamy na was przy bramie!

Reese wzdycha i szturcha mnie ramieniem.

– Pewnie nie będzie to długa gra.

– Zawsze możemy tu zostać przez chwilę i się przegrupować. – Uśmiecham się, patrząc na jej fajny strój kamuflujący. Spodnie ciasno opinają jej tyłek, przez co wydaje się bardziej okrągły i atrakcyjny.

Jej maska porusza się, gdy dziewczyna kręci głową.

– Nawet jeśli nie widzę twojej twarzy, wiem, że się na mnie gapisz.

Wybucham śmiechem, a ona mnie popycha.

– Ciii! Jesteśmy na polowaniu! – Pochyliła się, by wyrzeć przez okno, przy czym mamrocze pod nosem: – Zachowujesz się zbyt głośno!

– Dobra. Ty idź i poluj, a ja zostanę i się poprzyglądam. – Zdejmuję maskę i unoszę brzeg koszulki, by otrzeć pot z twarzy.

– Nie powinieneś ściągać maski, kiedy trwa gra. Myślałam, że chcesz ściśle przestrzegać zasad – drwi Reese, ściągając swoją maską i ujawniając pokryte potem, zaczerwienione policzki i potargane włosy związane w niechlujny kucyk. Przez chwilę patrzy na mój odsłonięty brzuch, po czym, z dziwną miną, znów spogląda mi w twarz.

Nie potrafię sobie darować i pytam:

– Myślisz o tym, co się wczoraj stało, prawda?

Przewraca oczami, ale nie uchodzi mojej uwadze słaby uśmiech malujący się na jej ustach.

– Nie. A ty?

– Nieustannie. – Nie wstydzę się tego przyznać. Te wygłupy były dobrą zabawą. Zwłaszcza na oczach palanta, za którego głupio wyszła za mąż. Co jest z laskami, że lecą na ciemnowłosych, wytatuowanych smutasów? Bo to właśnie ten typ, widać na pierwszy rzut oka. I nawet z żoneczką truchtającą tuż za nim dostrzegłem, jak krzywo na mnie patrzył. Co wcale mnie nie zdziwiło. Nie wiem, jak ktokolwiek mógłby nie tęsknić za całowaniem dziewczyny takiej jak Reese, zwłaszcza gdy sam ma niezbyt wartościową u boku.

Reese, cóż... jest wkurzająca i wredna, przynajmniej dopóki nie całuje, ale kiedy to robi, człowiek jest pewien, że jej język jest narkotykiem, bo nie ma dość słodczy jej ust.

Przyglądam się jej twarzy, gdy przez chwilę nad czymś się zastanawia. Jej klatka piersiowa wznosi

się i opada szybciej niż przed momentem. Nie miałbym nic przeciwko dobraniu się tu i teraz do jej majtek.

– Cholera – mamroczę, wstając.

– Co?

Wzdycham.

– Nic. Nienawidzę ochraniaczy na krocze.

Czuję, jak lufą karabinu stuka mnie w ochraniacz, który mam między nogami.

– Po co go założyłeś? Sądziłeś, że ktoś będzie chciał dobrać się do tej twojej cennej części ciała?

Już mam jej odpowiedzieć, że chciałbym, by to ona dobrała mi się do tej cennej części ciała, tyle że bez broni, kiedy z zewnątrz słyszymy kobiecy chichot. Szybko nakładam maskę i wciskam się tuż obok Reese, by wyjrzeć przez okienko.

Walczę, by stłumić śmiech, gdy obserwujemy parę wchodzącą na nasze wzgórze. Dziewczyna ubrana jest w spodenki wykonane z obciętych jeansów i koszulkę wiązaną z przodu.

– Jak można ubrać się w ten sposób na paintball? Co za pieprzona kretynka. Dlaczego ten facet nie kazał jej ubrać więcej ciuchów? Kiedy dostanie kulką, będzie zwijała się z bólu. – Jej chłopak rozgląda się na boki, szukając wzrokiem wrogów.

– Dokładnie, kretynka – zgadza się Reese i słyszę w jej głosie dziką satysfakcję, gdy para zbliża się do naszej kryjówki. – Chodź. – Nie czekając na mnie, wypada przez dziurę z tyłu chaty na zewnątrz i czai się za rogiem z karabinkiem gotowym do strzału.

– Oni są źółci! – syczę cicho, starając się, by nie usłyszeli mnie czerwoni, którzy mogą być w pobliżu. Jednak Reese mnie nie słyszy. Albo nie chce słyszeć. Rusza w bok, niczym mały ninja, cicho przeskakując krzaki i omijając gałęzie, które mogłyby z trzaskiem pęknąć. Przyspieszam, lecz nie idzie mi tak zgrabnie i doganiam ją w chwili, w której przystaje z drugiej strony chatki. Trzyma palec na ustach maski, by mnie ostrzec.

Nie sądzę jednak, byśmy musieli się martwić tym, że nas usłyszą. Z dochodzących dźwięków wnioskuję, że są zajęci.

Robią to, co miałem ochotę zrobić jeszcze pięć minut temu z Reese.

A skoro o niej mowa, Reese wygląda zza winkla, udowadniając, dlaczego powinienem się jednak martwić.

Cholera, uwielbiam tę laskę.

Unosząc broń gotową do strzału, podchodzę bliżej, kiedy z wnętrza dochodzą miękkie, rytmiczne uderzenia o ścianę. To jasne, że facet posuwa tę laskę, przez co tylko zwiększa się mój dyskomfort w ochraniaczu. Nic nie mogę na to poradzić. To normalne, że facetowi staje, kiedy słyszy takie dźwięki.

Wydaje się, że Reese na moment opadnie z sił. Oddałbym wszystko, by zobaczyć teraz wyraz jej twarzy i zorientować się, co siedzi jej w głowie. Jednak szybko się otrząsa z otępienia i na wyciągniętych palcach pokazuje odliczanie od pięciu w dół.

Po czym oboje wskakujemy przez drzwi.

Para jest przynajmniej na tyle bystra, by nadal mieć na twarzach maski.

Spodenki dziewczyny leżą na ziemi, jej gołe nogi oplecione są wokół bioder gościa, który ją posuwa ze spodniami zwieszającymi się poniżej tyłka. W sumie mamy na wierzchu dość dużo delikatnej skóry.

Z opóźnionym okrzykiem wojennym otwieramy ogień i ostrzeliwujemy ich z góry na dół. Ja

skupiam się bardziej na plecach tego faceta, ale Reese nie ma skrupułów, ładuje mu kulki z farbą prosto w dupę. W powietrzu słychać wycie bólu i pracę naszych karabinków.

Amunicja kończy mi się dużo wcześniej niż Reese, która nie wygląda na kogoś kto ma ochotę rezygnować. W końcu łapię ją za rękę i wyciągam z chatki. Zbiegamy ze wznesienia wśród niosących się przez las okrzyków:

– Co za gnoje!

Nie puszczam jej, gdy biegniemy dolinką, aż budynek znika nam z pola widzenia i nie mogę już dłużej biec, bo tak mocno się śmieję.

Opieram się plecami o drzewo i próbuję złapać oddech.

– Nie wierzę, że tak po prostu to zrobiliśmy. – Zostaniemy wyrzuceni z gry i zapewne dostaniemy zakaz wstępu do tego miejsca, kiedy ta para na nas doniesie. Ale najpierw musieliby się przyznać, co oni tam robili, a w regulaminie wyraźnie stało „żadnego seksu”, więc myślę, że na to też sędziowie nie patrzyliby przychylnie.

– Sami są, cholera, winni! – mówi, jej oddech jest tak samo płytki jak i mój. – Widziałeś ją? A gdyby grały z nami dzieci? Co za szmata!

Znów parskam śmiechem.

– Od lat nie słyszałem, by ktoś tak mówił. Najwyraźniej obraża cię jej stosunek do ryzyka.

– To nie ryzyko. To całkowity brak rozumu – warczy przez zęby. – Co za idiotka ubiera się w taki sposób?!

W upalne przedpołudnie, z powodu biegu w masce, leje się ze mnie pot. Rozpaczliwie chcę ją zdjąć, ale nie mam zamiaru ryzykować utraty oka.

– Chodźmy. Ruszmy się, zanim dopadnie nas prawdziwy przeciwnik.

Wzdycha.

– Mam dość tej zabawy na dzisiaj.

– Co? Zapomnij! Nie poddam się, póki nie zdobędziemy flagi lub ktoś mnie nie zastrzeli. – Z natury lubię wyzwania. Poza tym od dawna tak dobrze się nie bawiłem.

W odpowiedzi Reese celuje karabinkiem w moje krocze.

I strzela.

* * *

Stoję z rękami założonymi na piersi i obserwuję, jak Reese wymyka się z szatni i rozgląda na boki, po czym podbiega do mojego samochodu i wrzuca torbę z brudnymi ubraniami i bronią do bagażnika. Zakładając kosmyk świeżo umytych włosów za ucho, przechyla głowę na bok i patrzy na mnie nieśmiało.

– Przeżyłeś?

– Nie wiem. Będziesz musiała mnie wypróbować. – Uśmiecham się, przyciągając ją do siebie, zapach jej żelu pod prysznic drażni mój nos, udowadniając jednocześnie, że owszem, mój fiut wciąż potrafi stać.

Reese uśmiecha się słabo, odsuwając się ode mnie.

– Powinieneś napisać skargę do producenta.

– I co dokładnie w niej zawrzeć? Że ich miękkie ochraniacze nie radzą sobie za dobrze, gdy dziewczyna w szale strzela facetowi w krocze z gazowego karabinka do paintballu? – Tak naprawdę ból rozproszył się w ciągu kilku minut, ale, jasny szlag, jaki był z początku wielki. Pewnie nie cierpiałbym tak bardzo, gdyby w tamtej chwili nie stał mi jak maszt, przez co dodatkowo będę miał

sine jaja. Mimo to wyolbrzymiłem sprawę dla Reese, mając nadzieję, że w poczuciu winy pomasuje mnie troszkę, kiedy będziemy w drodze do pracy.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Coś wymyślisz. Jesteś prawnikiem. Dobra, jedźmy już. – Wsiada do mojego samochodu, nie dając mi szansy na odpowiedź. Szczerze mówiąc, myślałem, że będę ją musiał siłą zaciągnąć do firmy, ale spakowała broń, odczytała wiadomości od koleżanek, które już pojechały, i wcale ze mną nie walczyła. Właściwie wydaje mi się, że jak najprędzej chce stąd odjechać.

– Dobrze się czujesz? – pytam, wskazując za kierownicę i włączając klimatyzację. Mimo że wziąłem szybki prysznic w szatni, już jestem zlany potem. – Co się stało? Masz wyrzuty sumienia, że zniszczyłaś magiczny moment tamtej parze?

Zaciska usta i milczy przez chwilę.

– Nie. Po prostu myślałam, że będę się po tym lepiej czuła. To było... – Kręci głową. – Nieważne. Jedźmy, zanim zmienię zdanie na temat pracy.

– Po moim trupie. – Wsuwam kluczyk do stacyjki i odpalam samochód. – A swoją drogą, umieram z głodu.

– To jest nas dwoje.

– Dobrze. Zatrzymamy się po drodze i kupimy ci jakieś małe dziecko do zjedzenia, niedobra kobieto. – Już mam ruszyć, gdy widzę rudą laskę i wysokiego, czarnowłosego gościa idących niedaleko nas przez parking, stawiających powolne, sztywne kroki. Spodenki dziewczyny są czyste, ale jej nogi noszą ślady zaschniętej, czerwonej farby. Wzdłuż jej ud ciągną się ciemne pręgi.

– Czekaaj. – Wychylam się, by lepiej przyjrzeć się ich twarzom. – Czy to nie...?

– Jedź! – nalega Reese, zakładając okulary przeciwsłoneczne i kuląc się nieznacznie.

Kiedy ich mijamy, Reese odwraca się w tym samym czasie, w którym ja mam dobry widok na wielki tatuaż na ramieniu faceta, wcześniej zakryty rękawem.

– No chyba sobie jaja robisz. – Wybucham śmiechem. – Czy właśnie ostatecznie wyładowałaś się na swoim byłym mężu i jego nowej żoneczce?

Reese nie odpowiada, włącza radio i przełącza na stację alternatywną. Z głośników dobiega charakterystyczny głos Chrisa Cornella.

– Jasna dupa – mamrocze, śmiejąc się. – Przypomnij mi, bym cię nigdy nie wkurzał. – Pozwalam jej pomilczeć przez chwilę. Wyjeżdżam na autostradę, rozmyślając, a kawałki układanki znajdują swoje miejsce. To ma sens. Reese musiała wiedzieć, że tu będą. Musiała się domyślić, kim jest ta skąpo ubrana idiotka. W końcu pytam: – Skąd wiedziałaś?

Nie spodziewam się odpowiedzi. Jednak po chwili, wzdychając ciężko, wyznaje:

– Z Facebooka. Napisał do mnie w nocy. Miałaś rację. Był o ciebie zazdrosny. A wtedy ona umieściła na jego tablicy wiadomość, że będą tutaj i, cóż... nie mogłam sobie darować. – Niewielki uśmiech zakłopotania rozciąga jej usta, gdy zwiesza głowę. – Czy możesz mi wyświadczyć przysługę i nikomu o tym nie mówić?

Ryzykuję:

– Pewnie zabolalo, gdy ich zobaczyłaś w takiej sytuacji, co? – Musiało ją zaboląć. Ja myślałem, jak fajnie było przyłapać parę na seksie, ale dla Reese to nie byli jacyś przypadkowi ludzie. To był facet, którego kochała. Ktoś, na kim, sądząc po jej wyrazie twarzy, nadal jej zależy.

Po dłuższej chwili milczenia przyznaje cicho:

– To nie pierwszy raz, gdy ich tak zastałam, ale tak, to nadal boli. – Choć naprawdę lubię jej

zadziorność, muszę przyznać, że jej gorycz sprawia, że mam ochotę ją przytulić albo pocałować, albo... do diabła, sekundy dzielą mnie od złapania jej za rękę.

W tej właśnie chwili mój zestaw bluetooth wycisza radio i informuje, że dzwoni telefon. Na jego wyświetlaczu pojawia się wielki napis: „Mamuś”.

Cholera.

Reese patrzy to na wyświetlacz, to na mnie.

– Nie odbierzesz?

– Oddzwonię, gdy już będziemy w firmie.

Szybko niczym atakująca zmija Reese wciska zieloną słuchawkę znajdującą się na kierownicy.

Jęczę.

– Naprawdę jesteś cierniem w...

– Halo? – Spokojny głos mamy rozlega się w głośnikach.

– Cześć, mamuś. – Piorunuję zirytowanym wzrokiem pasażerkę, której kwaśna mina nagle zostaje zastąpiona szerokim uśmiechem.

– Do kogo mówiłeś?

Biorę głęboki wdech. Właśnie dlatego nie chciałem odbierać. Moją jedyną koleżanką, którą poznała mama, była Brittany Jo, z którą, będąc w drugiej klasie szkoły średniej, umawiałem się przez dwa tygodnie i musiałem ją przedstawić po jednym z meczów. Zapamiętałem imię tej dziewczyny tylko dlatego, że mama ciągle o nią wypytywała jeszcze przynajmniej z pół roku po tym, jak zakończył się nasz związek, gdy zostałem przyłapany na bzykaniu jej siostry bliźniaczki na jakiejś imprezie.

Do licha, byłem pijany, a one były identyczne, no, może inaczej ubrane, co pewnie powinienem był zauważyć. Chociaż jej siostra nie pisnęła ani słówka, gdy zaciągnąłem ją do garderoby.

– Do koleżanki – odpowiadam z wahaniem.

– Dzień dobry, pani Morris! – odzywa się Reese niczym niewinna dziewczynka z kościelnej ławki, żartobliwie do mnie przy tym mrugając. – Jestem Reese.

Cisza panuje przez dwie, trzy sekundy, po czym pada:

– Ach, witaj, moja droga.

Kurwa. Już słyszę to przeciąganie. To moja mama ekscytująca się tym, że jakaś dziewczyna może usidlić jej synka. Gdy się rozłączymy, będzie szukała chińskiej zastawy lub myślała o rychłym ślubie swojego synalka.

– To tylko koleżanka, mamuś – powtarzam. – Graliśmy w paintball ze znajomymi, a teraz jedziemy do pracy, ale najpierw coś zjemy. – Na dokładkę dorzucam: – Nie powinna sama jechać. Jej motocykl nie działa zbyt dobrze. – Być może to wywróci fantazję mamy do góry nogami.

– Och, cóż, może wpadniecie?! I tak chciałabym, byś zerknął na traktor, Ben. Wydaje jakieś dziwne dźwięki, a nie chcę wzywać Berta, póki nie będę musiała. Wiesz przecież, ile on bierze.

„Wpadniecie”? Kocham mamę, ale jej sad nie znajduje się tuż za rogiem. Po części w tym tkwi jego urok.

– A może to poczekać do następnej niedzieli? Mam kupę roboty.

– Chyba tak. – W jej głosie słychać rozczarowanie. – Ale gdybyście przyjechali dzisiaj, przygotowałabym wam obiad...

– Miło z twojej strony, mamuś, ale...

Wcina się Reese:

– Z przyjemnością przyjedziemy, pani Morris. Do zobaczenia niedługo.

– Cudownie!

Tak, cudownie. Jestem pewien, że w jej tonie dźwięczały weselne dzwony.

Połączenie telefoniczne dobiega końca i muzyka Deadmau5 wypełnia samochód. Reese panuje nad sobą przez całe pięć sekund, po czym wybucha śmiechem.

– Mówisz do niej „mamuś”? Masz dziesięć latek?

– Zdajesz sobie sprawę, że mieszka kilkaset kilometrów stąd? Utknęłaś ze mną w samochodzie na ponad dwie godziny.

Układa się na siedzeniu i zamyka oczy.

– Obudź mnie, jak dojedziemy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

REESE

– Nie tego się spodziewałam – zauważam cicho, gdy samochód Bena skręca obok wielkiej tablicy „Sad Bernard-Morris”, po czym sunie najdłuższym podjazdem, jaki w życiu widziałam, wzdłuż którego rosną dęby na tyle duże, że tworzą nieprzenikniony tunel. Z ich konarów opada oplątwa brodaczkowa, co sprawia, że wyglądają jak kadr wyjęty z filmu. To jedno z tych bajkowych miejsc, które wydają się magiczne i z pewnością przygotowane przez scenografów.

– Robi wrażenie większego, niż jest w rzeczywistości – słyszę w odpowiedzi.

– Wygląda jak rezydencja w gaju pomarańczowym – nie daję za wygraną, gdy naszym oczom ukazuje się duży, biały dom z dwupoziomowymi tarasami, okazałymi filarami i oknami z otwartymi, czarnymi okiennicami. W rogu wisi flaga Konfederacji przypominająca żołnierza stojącego nieruchomo w oczekiwaniu na nasze przybycie.

– To wielkie domiszcze – przyznaje Ben. – Po Bernardach, pradziadkach mamy. Przeprowadzili się tutaj z Luizjany i chcieli się poczuć jak w domu, więc wybudowali tę posiadłość. Dom wygląda, jakby był nie z tego świata, ale fajnie było w nim dorastać. Chociaż dużo w nim roboty.

Podjeżdżamy bliżej i już widzę, o co mu chodzi. Fasada jest w złym stanie i potrzebuje malowania, dachówki zaczęły się podnosić, a ganek pochyła się lekko w lewo. Założę się, że ten dom jest pełen opowieści – zarówno dobrych, jak i tych złych.

Ben wyłącza silnik, po czym obraca się do mnie z rzadko widywaną u niego poważną miną.

– Denerwujesz się tym, że mam poznać twoją mamę, prawda? – Wiedziałam, co jest grane już wtedy, kiedy nie chciał odebrać przy mnie telefonu. Kiedy wzdycha, mimowolnie parskam śmiechem i mówię: – Proszę, tylko mi nie mów, że twoja mama sądzi, iż jesteś skromnym naśladowcą Jezusa.

– Nie, z pewnością tak nie myśli, odkąd przyłapała mnie z córką sąsiada za stodołą – odpowiada, po czym z krzywym uśmiechem dodaje: – Ale proszę, nie narób mi wstydu, MacKay. – Jego spojrzenie kieruje się na drzwi domu, w których staje drobna kobieta ubrana w letnią sukienkę i fartuszek, identyczna jak na zdjęciu Bena, tyle że starsza.

Idę w jego ślady i wysiadam z samochodu. Na nasz widok ogar szczeka przeciągle, po czym kaczkowatym chodem schodzi z ganku i kieruje się w stronę Bena, niemal ciągnąc brzuch po ziemi.

– Mamuś, czym ty karmisz tego psa? Cześć, Quincy! – Ben kuca, a pies opiera się przednimi łapami na jego kolanie. Mój towarzysz drapie go za uszami i mówi cicho coś, co brzmi jak „grzeczna sunia”. Po tym powitaniu suczka zwraca uwagę na mnie. Jest trochę ostrożniejsza, gdy wyciągam do niej rękę. Obwąchuje mnie, a ja głaszczę ją po głowie. Po chwili, po zaakceptowaniu moich przyjacielskich pieszczot, odwraca się i toczy w kierunku domu. Matka Bena cały czas uważnie mi się przygląda.

Zastanawiam się, co myśli o mnie ta kobieta. I czemu nagle mi na tym zależy. Na pewno nie

rozważałam tego, pakując się w tę historię.

Nie przerabiałam zbyt wielu scenariuszy „poznaj moich rodziców”. Właściwie zdarzyło mi się to tylko raz: z rodzicami Jareda, już po naszym ślubie. Biorąc pod uwagę fakt, że ich syn nie miał serca uświadomić ich, że zerwał z Caroline – przyszłą synową, którą wybrali dla swojego jedynaka – muszę przyznać, że spotkanie nie przebiegło dokładnie tak, jak się tego spodziewałam. To była katastrofa.

Dyskretnie, jak tylko mogę, przeczesuję palcami włosy, które wyschły mi w samochodzie, gdyż po grze wzięłam prysznic. Niewiele mogę zrobić z jeansami i podkoszulkiem, które aktualnie mam na sobie.

– No i kto jest teraz zdenerwowany? – rzuca Ben przez ramię z uśmiechem, idąc w kierunku matki. Ma na sobie niebiesko-żółty podkoszulek drużyny Dolphins i znoszone niebieskie jeansy, więc nie tylko ja nie jestem elegancka. Z tą różnicą, że Ben dobrze wygląda.

– Całe tygodnie cię nie widziałam! – narzeka mama Bena, choć nie słysząc w jej głosie goryczy. Ben porywa ją w ramiona, unosząc nad ziemią i obracając kilka razy, a ona piszczy i się śmieje. Trudno pojąć, jak taka drobna kobieta może być mamą takiego wielkiego mężczyzny. Nie może mieć więcej niż metr pięćdziesiąt. – Benjaminie Morris! Postaw mnie, nim dostanę kolejnego zawału!

Na ten komentarz chłopak przestaje się śmiać i wykonuje polecenie. Jego mama wygładza sukienkę, po czym obraca się i patrzy na mnie identycznymi jak u Bena niebieskimi oczami.

– Ty musisz być Reese. – Niewielka dłoń pojawia się przede mną, więc błyskawicznie ją ściskam.

– Ma pani przepiękny dom, pani Morris.

Macha ręką.

– Och, proszę! Mów mi Wilma, a ta stara chałupa zaraz się rozpadnie. Czasami chciałabym, żeby walnął w nią piorun i ją spalił, bo tyle z nią roboty. Wejdźcie. Mam dla was herbatę i kanapki. – Klepie syna po brzuchu. – Ulubione Benjaminina.

Ben przyłapuje mnie, jak zaciskam usta, by nie parsknąć śmiechem. Zarzucając mi rękę na ramiona, pyta:

– Co?

– Ale z ciebie maminsynek! – syczę, posyłając mu szeroki uśmiech.

Wilma rzuca na nas okiem i się uśmiecha.

I wszystko nabiera sensu. Już wiem, czym się tak denerwowałam. Nie chodziło o to, by jego „mamuś” widziała, jak mu dogryzam. Chodziło o to, żeby nie pomyślała, iż jesteśmy parą.

Ben daje wszystkim jasny przekaz, że nie jest zainteresowany niczym poważnym. Z nikim. Nigdy. A jeśli ta ręka obejmująca moje ramiona należałaby do kogoś innego, ludzie mogliby pomyśleć, że jesteśmy razem. Jednak ponieważ to Ben, nie zadaję sobie trudu, by go odepchnąć.

Poza tym muszę przyznać, że to fajne uczucie.

Za domem, na całym falistym terenie, jak okiem sięgnąć, rzędami rosną drzewa. Po lewej mijamy brązową stodołę, która musiała powstać dużo później niż dom. Jej wielkie wrota z przodu są zamknięte, a po ich obu stronach znajdują się małe okienka. Wydaje mi się, że za jednym z nich widzę czyjaś twarz. Ta jednak szybko znika, więc nie mam pewności.

– Możemy zjeść w pokoju przy werandzie – proponuje Wilma, prowadząc nas do domu. Jego wnętrze jest rustykalne i osobliwe. Są tu zużyte, drewniane podłogi, kwieciste tapety – niektóre zaczynają się odklejać – ciągnące się pod sam znajdujący się wysoko i wykończony sztukaterią sufit.

– Ben mówił, że ta ziemia należy do was od pokoleń – mówię, przeciągając palcami po słojach

drewnianego blatu. Gdziekolwiek spojrzeć, znajdują się drewniane meble. Każdy z nich jest inny, domyślam się, że to nie produkcja masowa – a mimo to jest w nich coś, co sprawia, że do siebie pasują.

– Od ponad stu lat – potwierdza Wilma. – Dość długo tu mieszkamy.

Gdy wchodzimy do białego pomieszczenia wypełnionego szkłem i drewnem, czuję na plecach rękę Bena. Znajduje się tutaj ogromne okno tarasowe z widokiem na sad, którego fragment udało mi się dojrzeć z podjazdu. Nie potrafię oderwać spojrzenia od pięknego, dębowego stołu, na którym stoją chleb, wędliny i sałatki, częściowo dlatego, że burczy mi w brzuchu, ale głównie przez ilość jedzenia. Wystarczyłoby go, by wykarmić z dziesięciu ludzi. I nie mam wątpliwości, że wszystko jest domowej roboty, przygotowane specjalnie dla syna.

– Maniery, Benjaminie! – Wilma klepie Bena w rękę, którą chwycił za kanapkę. – Poczekaj na Reese.

– Ona mnie lubi takiego, jakim jestem – mówi, uśmiechając się, obejmuje mamę po raz kolejny i całuje ją w czoło. To słodkie.

I tak kompletnie mi obce.

Kiedy siadamy do jedzenia, słucham, jak Wilma cicho opowiada o nadchodzącym sezonie – obawia się rozprzestrzeniających się chorób i niekorzystnej pogody oraz wysokich cen opakowań, przez które musiała zredukować liczbę pracowników – po czym przechodzi do hydrauliki w domu, która wymaga naprawy. W tym czasie szukam u niej wad, dwulicowości, podstępności, egoizmu. Wszystkich tych cech, które przypominają mi o Annabelle. Jednak nic takiego nie znajduję.

Mama Bena jest przemiła i oczywiście bardzo kocha syna.

Przypuszczam, że każda matka powinna tak kochać swoje dziecko.

Gdy po posiłku zanosimy brudne naczynia do zlewu, mój brzuch jest pełny do granic możliwości, ale czuję się już jak stary bywalec domu Morrisów.

– Reese, widziałaś kiedyś sad? – pyta Wilma, zakładając lok krótkich, kasztanowych włosów za ucho. Siwizna dopiero zaczyna przedzierać się przez jej naturalny kolor.

– Nie, nie widziałam.

Matka klepie Bena po plecach.

– A może weźmiesz koleżankę na spacer?

Spodziewam się, że zaprzeczy i wykręci się tym, że musimy wracać, jednak tego nie robi. Kiwa głową i znów zarzuca mi rękę na ramiona. Przechodzimy przez dom w kierunku holu, a ja patrzę w górę i dostrzegam słaby uśmiech rozciągający mu usta.

– Skąd pochodzą te wszystkie meble? – Ośmielam się zapytać.

Wilma patrzy na Bena, po czym mówi:

– Są piękne, prawda?

– Tak – potwierdzam, przeciągając palcami po rzeźbionej nodze niewielkiego biurka.

– Ojciec Bena zrobił je wszystkie. Jest stolarzem.

– Serio? – Ben słowem nie wspominał o ojcu, a ponieważ żaden mężczyzna nie przyszedł się jeszcze przywitać, podejrzewam, że go po prostu nie ma. Poza tym Ben w ubiegłym tygodniu rzucił komentarz, że musi pomagać matce, ponieważ jest sama – kiedy błagał, bym pomogła mu z pracą.

Jednak Wilma użyła czasu teraźniejszego, zatem oczywiście jest, że ojciec przebywa gdzieś w pobliżu. Inaczej po co trzymałaby cały dom wypełniony rzeczami przypominającymi jej o nim? Szturchając Bena w żebra, pytam:

– Odziedziczyłeś talent po tacie?

– Nie. W żadnym wypadku. Chodźmy. – Ramieniem obejmuje moją szyję, przyciągając lekko do siebie. Czuję jego miękką koszulkę pod moim policzkiem. – Idziemy, MacKay.

– Nie dręcz jej! Nie jest twoim bratem. – Obejmując jego twarz, Wilma staje na palcach i całuje syna w policzek. – A teraz idźcie miło spędzić czas. Spakuję wam jedzenie na drogę, byście nie musieli gotować.

Tłumię parsknięcie. Ben nie trzusi się gotowaniem. Codziennie widywałam go w firmie z torebką z Subwaya w ręce. Równie dobrze mógłby otworzyć jedną z tych restauracji. Ta biedna, nieświadoma kobieta... Obserwuję, jak znika w korytarzu, po czym, nie mogąc się powstrzymać, szepczę:

– Twoja mama w ogóle ma pojęcie, jaki naprawdę jest jej słodki, mały Ben?

Z aroganckim uśmiechem wyprowadza mnie na zewnątrz.

– O co ci chodzi?

– O to, że częściej klepiesz biedę, niż opływasz w dostatek.

– Ostatnio nie bardzo. – Opuszcza wzrok na moje ciało, wywołując we mnie niespodziewaną falę emocji, po czym prowadzi mnie w kierunku stodoły. – I nie ma to nic wspólnego z tym, że weźmiemy do domu jedzenie od mamy.

– W porządku. – Wbijam mu palce w żebra, aż mnie puszcza. – Masz brata? – Zdaję sobie sprawę, że Ben zbyt wiele o mnie wie, a ja o nim praktycznie nic.

– Trzech. Jake'a, Roba i Josha.

Czterech Morrisów.

– I wszyscy są tacy jak ty? – Natychmiast wyobrażam sobie czterech postawnych blondynów, siedzących przy stole, uśmiechających się i gadających głupoty, doprowadzając tym matkę do szału.

– W jakim sensie?

– Duzi, zarozumiali, lubiący podrywać laski maminsynkowie?

Śmieje się.

– Cóż, z wyglądu jesteśmy podobni. Chociaż oczywiście to ja wyglądam najlepiej.

– Oczywiście. – *Dobry Boże, czterech facetów podobnych do Bena?*

– Rob jest żonaty, Josh rozwiedziony. Obaj mają dzieci. Jake od dwóch lat ma dziewczynę. Spodziewają się dziecka.

– To tylko ty masz problemy z ustatkowaniem?

Śmieje się.

– Najwyraźniej. Mam też starszą siostrę, Elsie.

– Niech zgadnę... jesteś najmłodszy? – Odpowiada mi uśmiechem. To ma sens. – Masz w sobie wszystko, co najlepsze, prawda?

– Czy można mnie za to winić? – W policzkach Bena ukazują się głębokie dołeczki.

– Chyba nie. – Kiedy przechodzimy obok stodoły, znów dostrzegam ruch w jednym z okien. Jakby ktoś nam się przyglądał. – Ben, ktoś tam jest?

– Pewnie ojciec. – Ben łapie mnie za rękę i odciąga na bok.

– Nie wyjdzie do nas? – Mimowolnie myślę, że to jednak dziwne, iż rodzic nie chce przywitać się z własnym synem. No, chyba że matka jest wariatką trzymającą ojca przykutego łańcuchami w stodole, jakby był chory na jakąś nieuleczalną chorobę. Chyba widziałam to w jakimś serialu.

– Wyjdzie dopiero wieczorem. Lubi tam siedzieć.

Gdy znajdujemy się z boku stodoły, Ben zdejmuje niebieską plandekę z ukrytej pod nią maszyny, a ja natychmiast zapominam o jego osobliwym ojcu, gdy moim oczom ukazują się grube opony oraz czerwono-żółte relingi.

– Tak, wyjdę za ciebie – wypalam, spiesząc wprost do fotela kierowcy pojazdu typu buggy.

– Hej... – Silne ramię zatrzymuje mnie, po czym pociąga w tył. – Myślisz, że tak po prostu dam ci prowadzić? Jest szybki.

– Z pewnością! – Wiem, że moje oczy promienieją. Podczas gdy inne dziewczynki ustawiały się w kolejkach, by na festynach jeździć na karuzelach, ja byłam krnąbrnym diableciem, które cały czas spędzało na torze gokartowym. Zawsze byłam chłopczycą. Nie wiem, ile razy wróciłam do domu z zielonymi od trawy kolanami i błotem we włosach.

– Nie wiem, czy mogę ci zaufać. Jeszcze rozniesiesz pół sadu i nas przy tym zabijesz.

– Jestem bardzo odpowiedzialnym kierowcą!

– To właśnie powiedziałaś gliniarzom, gdy złapali cię na wyścigach podrasowanych samochodów?

– To nie były wyścigi podrasowanych samochodów i nie postawiono mi żadnych zarzutów! – odcinam się.

– Co innego mówił Mason – kłóci się.

Skąd Mason...?

– Cholera! – Lina musiała mu powiedzieć. *Zmiana planów.* Odwracam się w jego ramionach i przyciskam do jego klaty.

Wybuch śmiechu przerywa moją oczywistą próbę uwiedzenia.

– Och, do licha, jestem głupi, ale nie aż tak. – Odwraca mnie i mocno klepie w tyłek, po czym zajmuje miejsce za kierownicą, poruszając się dosyć płynnie jak na człowieka o tak dużej sylwetce. – Wskakuj.

Robię to, ale niechętnie, już planując w duchu, jak go zdekoncentrować i podwędzić kluczyki.

– Lepiej się trzymaj. Ten rzęch jest stary i rozklekotany. – Odpala maszynę i głęboki, niski pomruk budzącego się do życia silnika, aż wibruje w moim wnętrzu, gdy siadam w fotelu pasażera. Kiedy Ben wrzuca jedynkę, pojazd rusza z kopyta, bucząc i trzęsąc się, gdy jedziemy przez wysoką trawę.

Ben kieruje pojazd w dół, po piaszczystej ścieżce między drzewami, po czym wrzuca dwójkę, a następnie trójkę. Cieszę się z przyspieszenia. Jest za głośno, by rozmawiać, więc siedzę szczęśliwa, obserwując mijane drzewa i chmurę piasku, która tworzy się tuż za nami. Nierówności na drodze powodują, że głowa mi podskakuje i kołysze się na boki. Mam to gdzieś. Na dole skręcamy w inną dróżkę, po czym w jeszcze inną, aż jestem pewna, że znajdujemy się w cytrusowym labiryncie. Nie rozumiem, jak Ben może wiedzieć dokąd ma jechać.

Musimy być jakiś kilometr od domu, gdy Ben po raz kolejny ostro skręca w lewo, co sprawia, że wpadam prosto na jego klatkę piersiową, a pasy wrzynają mi się w szyję. Ben zjeżdża na bok i nagle naszym oczom ukazuje się widok na morze drzew, inne posiadłości, a za nimi, w oddali, na niebieską wodę.

– Wow. – Zachwygam się hipnotyzującą panoramą. Nie zwracam już uwagi na to, gdzie jedzie Ben, aż przystaje na piaszczystym miejscu obok żółtej, gospodarczej półciązarówki, z kapciem w jednym kole i wielką, wyżartą przez rdzę dziurą w przednim błotniku. Ben wyłącza silnik i wysiadamy.

– Niesamowity, prawda? – mówi, a ja czuję na sobie jego spojrzenie, kiedy stoję i podziwiam widoki.

Ben podchodzi do najbliższego drzewa, z którego zrywa małą zieloną kulkę.

– Powinnaś zobaczyć to miejsce wiosną, kiedy wszystkie drzewa kwitną, a w powietrzu unosi się kwiatowo-miodowy zapach. To coś nie z tego świata. – Zerkając przez ramię, musiał zauważyć mój uśmiezek, ponieważ szybko dodał: – I nie śmieję się, że to powiedziałem, dopóki sama tego nie zobaczysz. I nie poczujesz.

– Brzmi fajnie – przyznaję, nadal zachwycając się tym, że istnieje takie miejsce i to wcale nie tak daleko od mojego domu. – Dużo wiesz o hodowli cytrusów, prawda?

Od niechcienia, wkładając ręce w kieszenie, obraca się i chodzi tam i z powrotem.

– Wychowywałem się tutaj, no i pomagaliśmy mamie, więc tak, sporo wiem. – Kopiąc kępki trawy, które na próżno próbują zakorzenić się w piasku, mówi: – Dziadek mawiał, że to miejsce jest idealne do szybkiej uprawy. Jest tu dobra gleba, teren nasłoneczniony, panują ciepłe noce, a ocean znajduje się dość blisko. To wszystko razem wzięte sprawia, że to najlepsze miejsce w kraju do uprawy cytrusów. – Ben podnosi gałąź i powoli obchodzi stary samochód, uderzając kijkiem w jego blachę i opony. – Mama ma trzydzieści pięć hektarów drzewek. To głównie grejpfruty i pomarańcze. I mandarynki. Sezon rozpoczyna się w październiku i trwa aż do maja. Nie ma magazynu, nie ma chłodni. Kiedy przychodzą zamówienia, zrywamy owoce i wysyłamy do firmy pakującej. To proste. W sezonie pomagam tu przez większość weekendów. To obniża koszty zatrudnienia pracowników.

Oczywiście, że pomaga. Bez względu na inne jego cechy, Ben jest dobrym synem Wilmy i – choć pewnie go drażnię, nazywając maminsynkiem – jego zaangażowanie jest ujmujące.

Odrzuca kijek na bok i mamrocze, bardziej do siebie niż do mnie:

– Hmm. Normalnie znajduję w nim przynajmniej jednego grzechotnika.

Drzę, gdy Ben otwiera tylną klapę, która w proteście głośno skrzypi. Jestem zaskoczona, że w ogóle się otwiera, chociaż cały ten samochód jest stary i pordzewiała.

– Należał kiedyś do dziadka. – Siada na skraju paki i wyciąga do mnie rękę, bym podeszła. Robię to, a Ben łapie mnie w tali, podnosi, po czym sadza obok siebie, zupełnie jakbym nic nie ważyła. – Jake i ja spędzaliśmy całe dnie na ściganiu się, a czasami wymykaliśmy się z naszych pokoi, by całe noce spędzać tutaj z przyjaciółmi i imprezować pod gwiazdami. To były stare, dobre czasy. – Ben przesuwa swoje ciało do tyłu, kładąc się. Wyciąga ramiona nad głowę, przez co jego koszulka unosi się, ukazując napięte mięśnie brzucha tuż nad paskiem spodni. Nie mam pojęcia, kiedy Ben znajduje czas na treningi, ale nadal musi często ćwiczyć. Może powinnam bardziej o siebie zadbać, biorąc pod uwagę fakt, że wydaje się naprawdę zdesperowany, by ponownie ujrzeć mnie nago.

Dlaczego jednak myślę o zaimponowaniu mu? Nie jestem gotowa na kolejny związek, a kiedy będę, to z pewnością nie z kimś takim jak on. Od Bena otrzymałabym dokładnie to, czego szukałam w Cancún.

Byłoby to coś prostego. Zabawnego. Nieszkodliwego. Coś krótkiego i bez żadnych zobowiązań.

– Często widzisz się z rodzeństwem? – pytam, starając się oderwać myśli od jego klatki piersiowej, którą ciasno opina koszulka, ujawniając zarys twardych mięśni.

– Nie, co jest dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że byliśmy zżyci, gdy dorastaliśmy. Między Joshem i mną jest tylko siedem lat różnicy. Jake jest zaledwie o jedenaście miesięcy starszy ode mnie. Mieszka w Missisipi, pracuje w kasynie. Gadamy raz na jakiś czas przez telefon, ale nie widziałem go od... – W zamyśleniu marszczy czoło. – Trzech lat, jak mniemam.

Czy to normalne? Myślę, że chyba nie, zwłaszcza po tym, jak poznałam mamę Bena. Wydaje mi się, że rodzina jest dla niej priorytetem.

– A inni?

– Elsie wyjechała do San Diego na studia i nie wróciła. Dzwonimy do siebie raz na miesiąc lub jakoś tak. – Słyszę nutę żalu w jego głosie. – Rob i Josh mieszkają w Chicago. Nie widziałem ich od lat, ale przysyłają zdjęcia dzieciaków.

– To dziwne, nie sądzisz? To znaczy... – Spoglądam przez ramię w kierunku domu, choć tak naprawdę nie wiem, gdzie jest. – Myślę, że mama cieszyłaby się z wielkich rodzinnych świąt. – Wydaje mi się, że święta u Wilmy byłyby takie jak na filmach, dom pachniałby piernikami i byłby przystrojony jemiolą.

– Tak, bywały wielkie imprezy – mówi, po czym wzdycha. Wyczuwam, że to kłopotliwy temat. – Ale ojciec narobił gówna. Nikt już nie przyjeżdża. – Myślę, że Ben ma jeszcze wiele do opowiedzenia, ale kończy temat.

– Nawet by zobaczyć się z mamą?

– Parę lat temu pojechała do Kalifornii, by spotkać się z Elsie. I na Wielkanoc do Chicago, do Roba. Ta wizyta skończyła się niewielkim atakiem serca. To był fuks, że nie dostała go tutaj, gdy była zupełnie sama. – Ben zamyka oczy. – Wszyscy za nią tęsknią, ale nie na tyle, by tu przyjechać.

– Dlaczego? Co się stało? – Wiem, że wkładam nos w nie swoje sprawy, ale chodzi o Bena. Jeśli nie będzie chciał mi odpowiedzieć, znajdzie sposób, by tego uniknąć.

– Po prostu... rodzinny dramat. Ojciec jest dupkiem i nie traktuje mamy za dobrze. Kiedyś traktował ją naprawdę źle. No wiesz, zdradzał ją i takie tam. Teraz jest po prostu żalonym, nienawidzącym świata pijaczyną. – Ben ciężko wzdycha. – Nie cierpię dramatów. Trzymam się od nich jak najdalej.

– Szwajcaria.

– Tak, masz rację. Szwajcaria – mruczy i, pozornie spokojny, zamyka oczy. Jednak nawet cień uśmiechu nie pojawia się na jego ustach, a to dla Bena rzadkość. Przez to myślę, że może naprawdę być smutny.

– A co z tobą? – pyta. – Bracia? Siostry? Poza Masonem, oczywiście.

– Nie. – Annabelle twierdziła, że nie chce rujnować ciała bardziej, niż już to zrobiła, rodząc mnie.

– A tak w ogóle, to co jest między tobą a Masonem? Nie wiem, czy wy tylko gracie, czy rzeczywiście się nienawidzicie.

– Tak to wygląda, prawda? – Sama często zadaję sobie to pytanie. – Wiem, że doprowadzam go do szału, nie wieszając kurtki tam, gdzie trzeba albo zostawiając płamy z kawy na blacie. Nie jestem pewna, może jest jakimś pedantem czy coś?

Ben się śmieje.

– Tak, ja też lubię wkurzać tego gościa. Przychodzę do jego gabinetu i przestawiam mu rzeczy.

– To ty? Ściga mnie o to od co najmniej dwóch tygodni! – Szturcham go w odsłonięty brzuch, tuż nad paskiem spodni. Wiem, że tylko na to czekał, bo obejmuje mnie i ciągnie w tył, aż leżę na plecach z głową w zagięciu jego łokcia. Śmieje się cicho.

– Trzymaj ręce przy sobie albo powiem mamusi, że próbujesz mnie zbałamucić.

– I tak ci nie uwierzy – rzucam, próbując uwolnić się z jego uchwytu. Kiedy uświadamiam sobie, że Ben nie ma zamiaru mnie puścić, poddaję się i opieram głowę na jego klatce piersiowej. Leżymy w ciszy przez dłuższą chwilę, obserwując popołudniowe słońce i słuchając grania cykad. Wiem, że wielu ludzi nie lubi ich dźwięków, ale mnie podoba się melodia, którą tworzą.

– A jak było kiedy byliście dziećmi? Dogadywaliście się wtedy?

– Och, wtedy to mnie z pewnością nienawidził – przyznaję. – Pamiętam, kiedy wprowadziłyśmy się

do domu Jacka. Widziałam Masona wcześniej zaledwie kilka razy i wydawał się spokojny. Naiwnie pomyślałam, że będzie fajnie... że miło będzie mieć brata... – Uśmiecham się na wspomnienie dziewięcioletniego chuderlaka w okularach i z potarganymi, czarnymi włosami. Zabawne, zmieniło się jedynie tyle, że teraz jest mężczyzną, a nie dzieckiem. – Jack twierdził, że Mason jest na niego zły za „zastępowanie” matki inną kobietą i dlatego cały czas nie wychodził z pokoju. Matka Masona zmarła na tętniaka mózgu kilka lat wcześniej. – Wzruszam ramionami, ponieważ odczuwam dziwny smutek, przypominając sobie dzień, kiedy zdałam sobie sprawę, że Mason nigdy nie będzie jednym z tych starszych braci, z którymi można oglądać telewizję, przytulać się i liczyć na ich ochronę. – Pewnego ranka, kiedy miałam z osiem lat, wrzuciłam jego trzy rybki bojowniki do jednego akwarium. Nie wierzyłam, że naprawdę się pozabijają. Jednak kiedy wróciliśmy ze szkoły i Mason wszedł do swojego pokoju... cóż, powiedzmy, że została mu tylko jedna rybka.

– Zatem byłeś jednym z takich dzieciaków. – Czuję, że Ben z dezaprobatą kręci głową, ale kiedy patrzę w górę, widzę jego rozbawiony uśmiech.

Ponownie opieram policzek na jego piersi i kontynuuję:

– Mason był na mnie tak wściekły, że następnego dnia poszedł do szkoły i powiedział Chase’owi Butlerowi, temu głupiemu gadule, że tata porzucił mnie w przydrożnej restauracji jak bezpańskiego psa. Cóż, dziesięć sekund po tym jak Chase wszedł do stołówki, wszyscy wołali za mną „Bezpańska MacKay”. Natychmiast wiedziałam dlaczego. Od tamtej chwili również nie darzyłam Masona sympatią. – To przezwisko ciągnęło się za mną przez całe gimnazjum. Dzieciaki potrafią być wredne.

– Hmm, więc to o tym mówił... – mamrocze Ben. – To prawda o twoim ojcu?

Milczę, w myślach dobierając słowa. To nie jest coś, o czym mówię każdemu, a jeśli Ben zacznie mi w tym temacie dokuczać...

– Tak, chyba tak. To znaczy tata rzeczywiście zostawił mnie w restauracji, ale nie pamiętam, by był przerażający czy zły. Pamiętam jedynie długą podróż furgonetką i ganień kurczaków i świnek na jakiejś farmie. I wiele śmiechu. Jednak Annabelle opowiada tę historię tak, jakby ojciec był okrutnym człowiekiem i jakbym ja znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Najwyraźniej, kiedy się pokłócili, zabrał mnie do samochodu, informując, że ze mną odchodzi i nigdy nie wróci. Annabelle zadzwoniła na policję i zgłosiła porwanie. Tata był już notowany za jakąś głupią bójkę w barze, przez którą facet trafił do szpitala, więc dodanie do tego uprowadzenia nie było dla niego korzystne. Zawsze wierzyłam, że to dlatego mnie tam zostawił – urywam, po czym dodaję miękkiem głosem, by przekonać samą siebie: – Tylko to ma sens. – Milczymy, a ja słucham silnego bicia serca Bena tuż pod moim uchem, pozwalając, by popołudniowe słońce ogrzewało mi skórę. Mam nadzieję, że odstraszy mrok, który pojawia się zawsze, gdy myślę o ojcu i o tym, że porzucił mnie, jakbym była psem, którego już nie chciał.

– Myślę, że układ z Jackiem jest dla ciebie dobry – mówi w końcu Ben, delikatnie wodząc palcami w górę i w dół mojego ramienia.

Uśmiecham się do siebie.

– Tak, jest super. – Zawsze wiedziałam, że Jack jest dobrym człowiekiem, który szczerze i dobrowolnie troszczy się o mnie. Chyba właśnie dlatego bolało tak bardzo, kiedy lata temu odwrócił się ode mnie. Wiedziałam oczywiście, że to, co zrobiła mu Annabelle, mocno go zabolowało. To właśnie dlatego po ich rozwodzie moje relacje z nią się pogorszyły.

– A Mason jest dobrym facetem. Wiem, że w pewnych sprawach zachowuje się jak dziwak, ale jest też kimś, na kim można polegać. Może teraz, kiedy zaczął uprawiać seks, nieco wyluzuje.

Jęcę i się krzywię.

– Zapomniałam o tym, a ty mi przypomniłeś. Dzięki. – Przewracam się na bok przy piersi Bena, wdychając jego zapach: mydło, proszek do prania i lekki pot od słońca, i próbując zablokować dręczącą mnie nagle wizję. – Myślisz, że był prawiczkim?

Ben się śmieje.

– Nie, jestem pewien, że nie był. To znaczy, nie byłem tego świadkiem, ale wydaje mi się, że bzykał się na imprezie, gdy byliśmy na pierwszym roku studiów.

Kulę się z powodu tych wieści.

– Jezu, Ben! Wilma wie, że używasz takich słów w rozmowach z dziewczynami?

– Mama złałaby mi tyłek, gdyby kiedykolwiek usłyszała, że mówię w ten sposób do dziewczyny – przyznaje ze wstydem. – Możesz mi wierzyć, że potrafię się hamować.

– Nie wierzę. – Jeśli takie rzeczy wychodzą z jego ust, nawet nie chcę wiedzieć, co kryje się w jego głowie.

Śmiejąc się, Ben łapie kosmyk moich włosów i zaczyna się nim bawić.

– Może opowiesz mi historię o czerwonej farbie?

Nagła zmiana tematu trochę mnie zaskakuje, ale po kilku chwilach milczenia dochodzę do siebie.

– To krzykliwy kolor. Niektórzy twierdzą, że to barwa diabła.

– I twoja?

Wzdycham.

– Rany, wyciągniemy wszystkie trupy z mojej szafy w ten piękny dzionek? – Właściwie nie przejmuję się tym, czy Ben pomyśli o mnie, że jestem walnięta. Biorąc pod uwagę fakt, że sprawiłam, by pomógł mi ostrzelać farbą mojego byłego męża i jego nową żonę, pokazałam mu się z najlepszej strony. Mimo to jesteśmy tutaj. To mówi mi, że albo Ben nikogo nie osądza, albo jest na tyle napalony, że może bzykać walniętą laskę. Najprawdopodobniej obie te rzeczy jednocześnie. – Wprowadziła się do mojego mieszkania, Ben. Spakowała moje rzeczy w pudła i zostawiła przy drzwiach. – Ben opiera drugą rękę na mojej talii, słuchając opowieści o tym, jak tamtego dnia przeszłam przez każde pomieszczenie w mieszkaniu, w którym nie zastałam nic, prócz zapachu wybielacza i jej śladów. Ich śladów, razem. Czerwone, dekoracyjne poduszki były ułożone na kanapie, zastępując moje wielkie, wysiedziane, szare. Na ścianach, gdzie poprzednio wisiały moje zdjęcia starych pickupów, teraz znajdowały się krajobrazy toskańskich pól.

Każdy nowy przedmiot był ukłuciem w mojej piersi. Nie istniałam już w życiu Jareda. Zaledwie dwa tygodnie po tamtej katastrofie. I wszystko wyglądało na takie łatwe. Pamiętam, że trzymałam się za bolący brzuch, gdy odważyłam się podejść do drzwi sypialni, gdzie poczułam zapach świeżej farby. Wiedziałam, że to bardzo zły pomysł, że skończy się to tragedią. Ale musiałam sprawdzić, by się przekonać. To było jak wyjście na spotkanie z nadjeżdżającym pociągiem. A kiedy otworzyłam drzwi...

Pociąg znajdował się tuż za nimi.

Wszystko w naszej sypialni zostało zmienione. Było na opak. Od innych mebli, przez pościel w czerwone maki, do zdjęcia przedrzeźniającego mnie sponad metalowej ramy łóżka. Ramy, której się trzymałam, kiedy Jared leżał pode mną, tak wiele razy, patrząc mi w twarz tymi swoimi zielonymi, pełnymi pożądania oczyma, mówiąc, że mnie kocha.

Nie mogłam oderwać wzroku od wielkiego, czarno-białego zdjęcia przedstawiającego ich razem w łóżku. Białe prześcieradło zasłaniało ich nagość w strategicznych miejscach, ich ciała splecione

były razem, a spojrzenia utkwione we mnie. Wiedziałam, że to stare zdjęcie, jeszcze zanim byliśmy razem, ponieważ Jared nie miał na ramieniu mojego imienia.

Świeżo pomalowana na karmazynowo ściana dodawała intymności fotografii, aż wydawało się, że w tej chwili leżą na tym łóżku. Zagryzając zęby, otworzyłam drzwi garderoby, gdzie niegdyś bez ładu i składu wisały moje ubrania, a teraz starannie były poukładane jej rzeczy.

Zazgrzytałam zębami, gdy otworzyłam górną szufladę komody i znalazłam koronkowe majki i biustonosze wymieszane z bielizną Jareda.

Wszystko stało się oczywiste. Ta suka się wprowadziła.

Ze spływającymi po policzkach łzami, walcząc ze zbierającym się w gardle krzykiem, zatrzasnęłam szufladę. Powinna mieć przynajmniej tyle przyzwoitości, by poczekać, aż się wyprowadzę! Nie powinna ruszać moich pieprzonych rzeczy! Kiedy leżałam zwinięta w kulkę w sąsiednim mieszkaniu Liny, zalewając się łzami nad utratą miłości mojego życia, Caroline zabawiała się we wzorową panią domu, która szybkimi paluszkami popakowała moje drobiazgi. Która przejęła moje życie.

W tamtym momencie, gdy patrzyłam na jej ubrania, na łóżko, na jej bieliznę, wściekłość zdetonowana w moim wnętrzu miała tylko jeden cel. I nie chciała słuchać rozumu, ani rozważać konsekwencji.

Wszystko, czego w tamtej chwili pragnęłam, to ukoić moje zszargane nerwy, zaspokoić zranioną dumę.

A drwiąca ze mnie puszka czerwonej farby, stojąca w rogu pokoju, okazała się idealnym antidotum.

Następuje dłuższa chwila ciszy, gdy kończę opowiadać Benowi szczegóły. Nie wiem, dlaczego powiedziałam mu o tym wszystkim. Jednak kiedy już to zrobiłam, uświadamiam sobie, że czuję ulgę. Ben dokładnie wie, kim jestem. Do czego jestem zdolna.

Przyciąga mnie do siebie mocniej i wzdycha.

– Nadal go kochasz?

– Nie wiem. Chyba – odpowiadam zgodnie z prawdą. – I możesz mi wierzyć, wiem, jak wielka to głupota, więc nie musisz mi o tym przypominać. – Pustka nieustannie pęcznieje mi w piersi za każdym razem, gdy myślę o Jaredzie, za każdym razem, gdy sprawdzam, czy odpowiedział na moją ostatnią wiadomość. Kochałam tego ciemnowłosego faceta tak bardzo, że nawet kiedy już pogodziłam się z jego odejściem, to bolało. Kochałam go bardziej, niż myślałam, że to możliwe, bardziej niż to normalne i zdrowe. Kiedyś nabijałam się z dziewczyn, które nie potrafiły się powstrzymać przed wskakiwaniem chłopakom na kolana w miejscach publicznych, które gapiły się, chichotały i trzepotały do nich rzęsami.

Jednak gdy poznałam Jareda, zmieniłam się w jedną z nich.

– Cóż, myślę, że ten gość jest idiotą.

– Nie prześpię się z tobą.

– Oj, no weź! Bez ściemy, bez zobowiązań. Bez obaw o miłość. Tylko najlepszy dzień w twoim życiu z miłym facetem, który, tak się składa, jest bosko przystojny.

Wybucham głębokim, gardłowym śmiechem.

– Jesteś wielką, arogancką świnią.

– W porządku. Możemy się przynajmniej popieścić? – Podnosi się i obraca, przysuwając atrakcyjne usta do mojego ucha. – Przecież wiem, że chcesz.

Drzę, gdy jego głęboki głos przechodzi przez moje ciało. Odmowę – kłamstwo, z którego powoli zdaje sobie sprawę – mam już na końcu języka, gdy dzwoni mój telefon. Ben z jękiem opada w tył,

a ja wyjmuję komórkę z kieszeni, sprawdzam, czyje imię pojawi się na wyświetlaczu.

– Po co, u diabła, ona do mnie dzwoni?

– Annabelle Lecter? – Ben odczytuje na głos wyświetlającą się nazwę kontaktu.

– Ta kobieta pożera męskie serca. Ta ksywka do niej pasuje. – Wciskam „ignoruj” i wkładam telefon do kieszeni. Z uchem opartym na kłacie Bena słyszę jedynie bicie jego serca i donośny śmiech. Mimowolnie zastanawiam się, czego chciała. Wyjechałam z Jacksonville dziewięć miesięcy temu, a ona nawet nie pofatygowała się, by ze mną porozmawiać aż do dzisiaj. To nie jest zachowanie normalnej matki. Jednak w przypadku Annabelle wcale mnie to nie dziwi.

– Rozumiem, że nie jesteście ze sobą blisko? – pyta Ben lekko, już nie próbując dobrać mi się do majtek.

– Nie rozmawiałam z nią, odkąd przeniosłam się do Miami, a i wtedy to Jack kazał mi do niej zadzwonić, by dać jej znać o sobie.

– Ale to było...

– Tak, w styczniu minie rok.

Prycha.

– Jak to w ogóle możliwe? Ja z mamą rozmawiam codziennie.

– Dlatego że ty masz kochającą rodzicielkę, a ja jakiegoś potwora. – Bez wątpienia to po niej odziedziczyłam charakter. Kiedy Annabelle jest wściekła, po pokoju latają talerze. Chociaż doskonale się kamufluje, nie chcąc, by ktokolwiek wiedział, że nie jest tak wyrafinowana i dystygowana, jaką udaje.

– Klóciłyście się?

Wzdycham.

– Całe moje życie wyglądało jak jedna wielka kłótnia. Chciała mieć córkę debiutującą na salonach, a miała... – Wskazuję na siebie.

– Córkę z kolczykami na całym ciele i fioletowymi włosami, która jeździła na motocyklu i potrafiła szczegółowo opisać wnętrze radiowozu – kończy za mnie.

– Annabelle nosi Gucciego i je wołowy tatar. Chodzi do opery i kolekcjonuje wina.

Ben przytakuje, rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Musiałaś być bardzo zbuntowaną nastolatką.

– Nasze ścieżki rozeszły się jeszcze, zanim stałam się nastolatką. Annabelle nigdy nie była dla mnie matką. Wszystko, na czym jej zależało, to pozory, pieniądze i ona sama. – Zamykam oczy i wzdycham, pragnąc zakończyć ten temat. – Czuję się tutaj zrelaksowana. To miejsce jest jak skrzyżowanie scenerii z *Forresta Gumpa* z tą z *Ani z Zielonego Wzgórza*.

– Nie przypominam sobie, by Tom Hanks hodował pomarańcze.

– Nie, chodzi mi o to... No wiesz, duży dom, stare drzewa, wiejskie powietrze... Spadaj, dobrze wiesz, o co mi chodzi.

Ben znów zaczyna bawić się moimi włosami.

– Tak. Teraz tak. Ale niedługo zacznie się sezon i czeka nas praca. Zamówienia spływają z całego kraju. Odkąd kilka lat temu zmodernizowałem stronę internetową, jest ich sporo. – Wzdycha. – Między sprawdzaniem, badaniem i zbieraniem... do licha, sama inspekcja w sadzie, by sprawdzić, czy drzewa nie chorują, to kłopot. Zwłaszcza dla pięćdziesięcioletniej kobiety, która miała atak serca i musi radzić sobie sama. Chciałbym, żeby to sprzedała i rozwiodła się z tym żalonym człowiekiem.

– A nie chce tego zrobić?

– Nie. To miejsce jest całym jej życiem. Chciałaby być tutaj pochowana, gdyby to było możliwe. A jeśli chodzi o ojca, to trzyma się kilku słów, które wypowiedziała dawno temu przed ołtarzem, więc pozwala mu zostać.

– Myślę, że to się nazywa „ślub”, Ben – przypominam mu oschle, obracając głowę, aż mój podbródek spoczywa na jego piersi, bym mogła zobaczyć jego twarz.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. Zestaw słów będący pułapką, przez którą ludzie są nieszczęśliwi do końca życia.

Nie wszyscy.

– Rozumiem więc, że nie masz zamiaru wkrótce powiedzieć „tak”? – pytam lekko.

Znów zamyka oczy, a na policzku pojawia mu się dołeczek.

– A jak myślisz?

– Miałaś kiedyś dziewczynę, Ben? – Czy trzymał kiedyś kogoś w objęciach całą noc i dzielił z tą osobą najgłębsze tajemnice? Czy kiedykolwiek pozwolił wypłakać się komuś na ramieniu lub tulił mocno, gdy życie dawało mu w kość? Czy zaufał bezgranicznie i chciał być kimś, komu można ufać? Czy kiedykolwiek odliczał minuty, by móc się z kimś spotkać?

– Raz, przez dwa tygodnie, w szkole średniej.

Nie, pewnie nie.

– Naprawdę się starałeś – drażnię się z nim.

– Związki nie są dla mnie – mówi tak zwyczajnie, jak zdanie: „nie jadam brokułów”.

– Szkoda. Myślę, że jakaś głupia kobieta mogłaby którego dnia zarzucić na ciebie haczyk.

Otwiera jedno oko i patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Tak, a gdyby była diabłem wcielonym, jak ty? Nie chciałbym ryzykować, że ją rozszuszcę i zarobię kulkę w dupę. – Szczypie mnie w bok, by zaznaczyć, że mówi to tylko po to, by się ze mną podroczyć.

– Bardzo śmieszne. – Wiedziałałam, że Ben nie zapomni szybko dzisiejszego incydentu na paintballu. Jednak w tej chwili nie chcę pamiętać tych kilku sekund, zanim otworzyłam ogień, gdy mogłam ich razem usłyszeć i kiedy wiedziałam, że Jared jest w niej.

Do mojej klatki piersiowej powraca tępy ból. Potrzebuję skutecznego rozproszenia uwagi.

– A mówiąc o diable wcielonym... – Z kieszeni wyciągam kluczyk do naszego pojazdu, który zwędziłam ze stacyjki i macham nim Benowi przed twarzą. – Czeka cię długi spacer do domu, kiedy cię tu zostawię samego.

– Cholera, jaja sobie robisz...? – Śmiejąc się, próbuje wyrwać mi kluczyk, ale wkładam go z powrotem do kieszeni. – Serio? Jeszcze nie wiesz, jaki jestem? – Jakby chcąc udowodnić prawdziwość swoich słów, dosłownie w sekundę przygwoźdża mnie plecami do podłogi półciężarówki, w kolejnej jedną ręką z łatwością przytrzymuje mi ręce nad głową. – A, czekaj. Tak na wszelki wypadek... – Przesuwa się, kolanami rozsuwając mi nogi. – To jakbyś chciała dzisiaj zranić te dobra po raz drugi. Nie rób im krzywdy, póki z nich nie skorzystasz.

– Nigdy bym się nie zniżyła do tego poziomu – mówię z udawaną odrazą.

– Serio? – Jego jasne brwi unoszą się w górę.

Obdarowuję go słodkim uśmiechem. Chociaż tak naprawdę przygotowuję kolano.

Czując się pewnie – a wiem to, ponieważ patrzy na mnie z uśmiechem tak uroczym, że połowa kobiet w biurze, wolnych jak i mężatek, zdjęłaby przed nim majtki – wolną ręką sięga w dół. Wkłada palce do kieszeni moich spodni i zaczyna w niej grzebać, po chwili czuję szarpnięcie. Mogłabym

spróbować go z siebie zrzucić, ale biorąc pod uwagę moją pozycję, szczerze mówiąc, nie mam co liczyć, że mi się uda. Zatem leżę nieruchomo, podczas gdy on niespiesznie wyjmując srebrny kluczyk i zawieszając go na palcu, kołysze nim przed moim nosem.

– A czy teraz możesz już ze mnie zejść? – przypominam mu.

Wzdychając, przenosi nieco swój ciężar, wsuwając wolną rękę pod moją głowę, bym miała miękko i nie leżała na twardym metalu.

– Mogę – przytakuje, a jego błyszczące, niebieskie oczy patrzą w moje, po czym na mój nos i usta, jakby oceniając sytuację.

Następnie Ben pochyla głowę i całuje mnie. Bez żadnego wahania, jakby nie istniała możliwość, że mogę sobie nie życzyć w ustach jego języka. Problem w tym, że w tej chwili, pośrodku spokojnego sadu, chcę tego. Teraz już wiem, dlaczego był tak chętny, by mnie oprowadzić, zamiast wracać do pracy.

Odsuwa się i patrzy na mnie z porozumiewawczym uśmiechem.

– Wiesz, że znajomi i koledzy z pracy normalnie nie robią takich rzeczy, prawda?

– Lubię naginać zasady. – Uwalnia moje nadgarstki, po czym unosi przód mojej koszulki. Wyraźnie, wie czego chce, bo w ciągu kilku sekund rozpina mi biustonosz i odsuwa go na bok. – Dzięki Bogu – jęczy, pochylając głowę, by ustami złapać mój kolczyk.

Kiedy sięgam pod jego koszulkę i gładzę napięte mięśnie pleców, kiedy język Bena tańczy wokół mojego przekłutego sutka i mnie łaskocze, w mojej głowie pojawia się echo jego słów. *Tak, dzięki Bogu.*

Unosi się lekko, po czym naturalnym, wprawnym ruchem odpina guzik i zamek moich spodni.

– Nie przyjrzałem się nigdy wszystkim twoim kolczykom.

Kiedy nie nadchodzi moja odpowiedź, szeroki uśmiech maluje mu się na twarzy i już wiem, co planuje, jeszcze zanim czuję szarpnięcie za jeansy. Są zbyt opięte, by włożyć pod nie dłoń. Nie marnuje czasu i staje przede mną z zamiarem wypisanym na twarzy. Sięga w dół, łapie za moje spodnie i zaczyna je zsuwać.

Wtedy właśnie rozlega się warkot silnika, a tuż po nim rozbrzmiewa pisk hamulców.

– Kto to? – pytam, gdy Ben patrzy w lewo. Czuję rozczarowanie i lekki ból w podbrzuszu.

Odchyła głowę w tył i gapi się w niebo.

– A jak myślisz? – jęczy, patrząc jednocześnie na moje piersi. Po raz ostatni pochyla się, całuje mnie w usta, po czym odchodzi, zostawiając mnie, bym mogła zapiąć spodnie, poprawić biustonosz i naciągnąć bluzkę. W tym samym czasie podjeżdża czerwony pickup z białym paskiem, który ciągnie się przez całą długość karoserii.

Wilma, jak na kogoś w jej wieku, z łatwością wyskakuje ze znajdującej się wysoko kabiny.

– Benjaminie Jamesie Morris, przywiozłeś tę młodą damę na taki skwar bez kropli czegoś do picia?

Pocierając wolno kark, Ben mamrocze:

– Najwyraźniej. Przepraszam.

Zaciskam mocno usta. Biorąc pod uwagę, po co mnie tu przywiózł w taki skwar, przypuszczam, że zimna woda definitywnie nie zaprzętała jego myśli.

– Czasami mam wrażenie, że w ogóle cię nie wychowywałam. – Obchodzi samochód dookoła i z fotela pasażera wyciąga turystyczną lodówkę. Ben w sekundzie znajduje się przy niej, pomagając z ciężarem.

– Mamuś, wiesz, że nie powinnaś dźwigać takich ciężkich rzeczy.

– Oj, cicho tam. Nie jestem inwalidką. Jeden mały zawał nie może mnie zabić. – Ben piorunuje ją pełnym dezaprobaty wzrokiem, przez co jej uśmiech tylko się poszerza. Już wiem, po kim Ben ma swój łobuzerski urok. Czuję również jego strach z powodu słów Wilmy. Zaledwie w jedno popołudnie zrozumiałam, że gdyby zabrakło tej kobiety, w wielu ludzkich piersiach powstałyby ogromne dziury. – Nie byłam pewna, co lubisz, Reese, więc przyniosłam wodę, herbatę i colę. Spakowałam wam też na przekąskę bułeczki z dżemem domowej roboty. To ulubione Bena.

– Pewnie, że tak – drocę się, wyciągając rękę i szczypiąc go w policzek, kiedy stawia lodówkę na pace samochodu. – Bardzo dziękujemy.

– Skąd wiedziałaś, gdzie nas znaleźć? – pyta Ben, grzebiąc w lodówce.

Pewna siebie Wilma się uśmiecha.

– Ponieważ to twoje ulubione miejsce w sadzie. Serio sądziłeś, że nie wiedziałam, że to właśnie ty i Jake zostawialiście tutaj puszki po piwie? – Patrzy na mnie i kręci głową. – Wiesz, Ben i jego brat wymykali się nocami, myśląc oczywiście, że nie mam o niczym pojęcia, po czym rano przekonywali mnie, że to pracownicy sadu piją podczas pracy. Mój mały chłopiec bardzo obawiał się przez to potencjalnych pozwów.

Ben, biorąc łyk wody, ma przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby się lekko zawstydić.

– I tylko dlatego tu przyjechałaś, mamuś?

Posyła mu znaczące spojrzenie, po czym mówi:

– Naprawdę potrzebuję, byś przed wyjazdem zerknął na ten traktor.

– Jasne, popatrzę – mówi, wyciągając z kieszeni telefon, by sprawdzić, która godzina, po czym ciężko wzdycha. – Nie wiedziałem, że już tak późno.

– Cóż, może powinniście zostać na kolację. – W głosie Wilmy słyszę nadzieję. Wydaje się, że lubi mieć syna przy sobie. Założę się, że chciałaby mieć tutaj również pozostałe dzieci i wnuki.

– No tak, ale przepraszam, mamuś, mam w mieście naprawdę dużo pracy. Już i tak straciliśmy dzisiaj zbyt wiele czasu.

Jego mina i szczerść w głosie mówią mi, że jest rozczarowany. Wnioskuje, że się do tego przyczyniłam, wyłącznie dla własnej zemsty zmieniając rano jego plany.

– Bardzo chętnie zostaniemy – mówię, lekko szturchając Bena łokciem w żebra. – I tak utknęłam z tobą w pracy na cały tydzień. Najwyraźniej to będą bardzo długie dni.

Przez moment patrzy na mnie z zupełnie nieczytelnym wyrazem twarzy.

Po czym puszcza do mnie oko.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

BEN

– Przypomnę ci o tym, kiedy następnym razem będziesz się nabijać i zaproponujesz, bym zabrał od niej jedzenie. – Lekko klepię Reese w tyłek, gdy z rękami pełnymi naczyń przechodzi obok mnie na ganku.

– Nie nabijałam się z jedzenia. Wyśmiewałam się z ciebie, że jesteś maminsynkiem, co w dalszym ciągu podtrzymuję – mówi i pokazuje mi język.

Od mojego śmiałego posunięcia w sędzie korci mnie, by znów położyć na niej rękę. Już mam ją gonić po schodach, gdy pojawia się za mną mama trzymająca domowej roboty dżem.

– A to dla Reese – mówi, podając mi koszyk. – Zanieś jej, kochanie.

– Ale dla mnie zostało, prawda? – pytam, patrząc na osiem słoików w koszyku.

Dostaję ręką w głowę. Nie mam pojęcia jak mama, licząca troszkę ponad metr pięćdziesiąt, zawsze jest w stanie dosięgnąć mojej głowy na wysokości metra i dziewięćdziesięciu centymetrów, ale kiedy tego potrzebuje, daje sobie radę.

Z pustymi już rękoma schodzi z ganku, by spotkać się z Reese.

– Nie wstydź się przyjeżdżać do nas. Zapraszamy ponownie. – Mama odgarnia jej włosy z twarzy, po czym obejmuje ją i przysuwa się, by pocałować w policzek. Jedynie dwa razy widziałem Reese zdenerwowaną – w dniu, w którym spotkaliśmy się w firmie i wczoraj, gdy wpadliśmy na jej byłego męża. Teraz jednak patrzy na mnie wielkimi, pytającymi oczyma, przy czym wygląda, jakby była mocno spięta. Jednak to nie zniechęca mamy, która pociera jej plecy i dodaje: – A mówiąc „my” mam na myśli Bena i mnie.

Och, do diabła. Dlaczego musiała to powiedzieć? To prawda, jednak nie musiała tego robić.

Karmelowe spojrzenie nadal utkwione jest we mnie, jednak w tej chwili błyszczą w nim psota.

– Przyjadę tylko, jeśli Ben da mi poprowadzić buggy.

– Och, Ben. Nie dałeś jej prowadzić? – strofuje mnie mama, marszcząc czoło.

Reese oczywiście udaje obrażę, wydyma dolną wargę, przez co wygląda na smutną.

– Błagałam, by dał mi się przejechać, ale rzucił coś na temat tego, że kobiety nie powinny wsiadać za kierownicę.

Opada mi szczęka, a Reese wybucha śmiechem, kiedy dostaję ponownie – tym razem delikatnie – ręką w głowę.

– Wydaje mi się, że spotkałeś pokrewną duszę – mamrocze mama pod nosem, po czym dodaje: – Już ją lubię.

– Pewnie dlatego, że śmiałyście się, przeglądając album ze zdjęciami z mojego dzieciństwa.

– Następnym razem będę pamiętać, byśmy przejrzały ten, kiedy byłeś nastolatkiem – odpowiada rozpromieniona.

Nie powinienem na to pozwalać.

– To tylko koleżanka, mamuś – przypominam.

– Tak, już mówiłeś, synku – wytyka lekko. Niemal lekceważąco.

– Serio. Nie biegnij do kościoła rezerwować terminu. Reese jest pasierbicą mojego szefa, a jeśli on nas przyłapie na czymkolwiek więcej niż przyjaźń, wyrzuci mnie na bruk. Przecież nie chcesz, by mnie zwolnił, prawda? Skończę wtedy jako prawnik rozstrzygający spory wśród rybaków na Alasce.

– Przyciągam jej drobną postać do siebie, przypominając sobie, jak przed wschodem słońca woziła mnie na treningi, musząc jednocześnie zajmować się sadem i piątką nastoletnich dzieci. Ta kobieta dała mi tak wiele. – Kto tu wtedy będzie przyjeżdżał i ci pomagał? – To pewne, że żaden z moich braci. Wszyscy umywają od tego ręce.

– Nie musisz się o mnie martwić. Wolałabym, byś był szczęśliwy.

– Jestem szczęśliwy.

– Z żoną – dodaje natychmiast.

– Cóż, mogę ci zagwarantować, że Reese nie ma w planach rychłego ponownego zamążpójścia.

– Ponownego? – powtarza mama, unosząc brwi.

– No tak. – Posyłam jej porozumiewawcze spojrzenie i dodaję: – Po tym jak pierwszy mąż ją zdradził.

Mama cmoka z dezaprobatą. Po chwili dodaje ironicznie:

– Dzisiaj w sadzie jakoś nie martwiłeś się możliwością utraty pracy. – Już otwieram usta, ale mnie ucisza. – Och, Benjaminie. Widziałam, jak uganiaś się za dziewczętami, odkąd skończyłeś sześć lat, więc nie udawaj, że jest inaczej. Mogę sobie jedynie wyobrazić, co wyprawiałeś przez tyle lat, pracując w klubie nocnym. Chociaż ta dziewczyna jest inna, prawda?

– Nie. – Dzwony. Pieprzone kościelne dzwony już dzwonią jej w głowie. Po prostu to wiem.

– Jestem twoją matką, Ben. Wiem, kiedy kłamiesz. – Urywa na chwilę. – Od lat nie byłeś tak wyluzowany, będąc w domu.

Mogę jedynie westchnąć. Prawdę mówiąc, ma rację. Przeważnie, gdy znajduję się na tym podjeździe, mogę myśleć wyłącznie o tym, jak samotne jest to miejsce i jak wiele radości w nim kiedyś było. Jednak dzisiaj zobaczyłem ten dom na nowo oczami Reese, które rozpromieniły się, kiedy się tutaj znalazła.

Zerkam przez ramię i dostrzegam jej tyłek wystający z samochodu, gdy pakuje na tylne siedzenie prowiant, przez co śmieję się, ponieważ przypomina mi się Cancún.

– Myśl, co chcesz, mamuś, ale nie chcę, żebyś robiła sobie zbyt wielkich nadziei.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo nie chcesz się ustatkować.

– Dokładnie wiesz dlaczego – odpowiadam cicho, pochylając się, by pocałować ją w czoło. – Do zobaczenia w następny weekend. – Jestem w połowie drogi do samochodu, gdy przypominam sobie, o co mnie prosiła. – Traktor wymaga jedynie porządnej regulacji. Nie pozwól, by Bert naciągnął cię na zbędne wydatki. – Ciągnik ma tyle lat co ja. Lata obserwacji dziadka, a później Josha, nauczyły mnie podstaw naprawy tej maszyny.

– Dobrze. Dzięki synu.

– Żaden problem. – Mama nie powinna się tym zajmować. Ten żaloszny cień człowieka, ukrywający się w stodole, powinien to załatwić. Niestety już wiele lat temu udowodnił, jakim jest mężczyzną.

Podchodzę do Reese i wsuwam koszyk na tylne siedzenie.

– Powinna to sprzedawać – mówi Reese, podnosząc jeden ze słoików. – Mogłaby otworzyć własny

sklepik z wyrobami wiejskimi czy coś takiego.

– Tak, mogłaby – zgadzam się. – Ostatnimi czasy na wielu farmach otwiera się takie sklepiki. Nawet coś o tym wspominała, ale to dodatkowa praca, a ona jest sama.

Reese zastanawia się przez moment, po czym krzywy uśmieszek maluje się na jej twarzy.

– Szkoda. Stodoła byłaby do tego świetna. – Wskazuje na stary budynek.

Walczę, by nie zdrzeć. Robię to za każdym razem, gdy mam tam wejść.

– Jest tam pełno pił i innego gówna. Stoją w niej maszyny ojca do obróbki drewna.

Powoli kiwa głową, a ja słyszę niewypowiedziane pytania. „Dlaczego nie jadł z nami?”, „Dlaczego nie przyszedł się przywitać?”. Już i tak powiedziałem jej więcej, niż mam w zwyczaju mówić ludziom.

– Powinniśmy się zbierać. – Machając ręką w kierunku tylnego siedzenia, dodaje: – I będziemy udawać, że dostaniesz to wszystko. Chociaż jeśli będziesz naprawdę miła podczas powrotu, może pozwolę ci zatrzymać przynajmniej jeden słoik. – Spojrzeniem omiatam jej ciało. Nie potrafię nawet myśleć o popołudniu w sadzie. To tortura. Tak naprawdę większość dzisiejszego dnia jest nią wypełniona. Chociaż w przeważającej części jest to zabawne.

Psotny uśmiech rozciąga jej usta.

– Wilma! Ben mówi, że nie podzieli się jedzeniem...

Chwytam ją od tyłu, przyciągam do siebie i dłonią zasłaniam usta, blokując jej krzyki.

– Ty padalcu! – Reese liże moją dłoń. Zaczynam się śmiać.

– Po Cancún myślisz, że obrzydzi mnie odrobina twojej śliny? – Chwilę później ostre zęby wgryzają się w moje palce, przez co odskakuję w tył, sprawdzając, czy krwawią, a przekleństwo wyrywa mi się spomiędzy zaciśniętych warg.

– Nie zrobiłby czegoś takiego, moja droga. A jeśli zrobiłby, możesz natychmiast do mnie zadzwonić. Masz już numer – woła mama z ganku.

Co? Wymieniły się numerami? Ach, cholera. Już mam zapytać, kiedy, u diabła, mama dała Reese swój numer, kiedy do moich uszu dociera dźwięk przesuwanych wrót. Włosy na karku natychmiast stają mi dęba. Odwracam się i widzę ojca wytaczającego się ze stodoły, trzymającego w ręce butelkę wódki, a za nim widniejący w mroku warsztat. To przypomina mi o jego drugiej ręce, kikucie, który kończy się tuż przed łokciem, teraz dumnie owiniętym starym, granatowym podkoszulkiem.

Zazwyczaj zasłania go długim rękawem, nawet w najgorętsze dni roku, wiem zatem, że teraz to zamierzony ruch. Chce mi o czymś przypomnieć.

– Joshua, chodź przywitać się z Reese – woła mama. Mam nadzieję, że Reese nie słyszy napięcia w jej głosie. Mama boi się, że zaczniemy się kłócić, ale nie musi się martwić. Nie czuję nic do tego człowieka. Ani nienawiści, ani tym bardziej miłości. Wszystko to zniknęło już dawno temu. Nie przejmuję się nim.

Joshua Morris senior podchodzi do nas wolnym krokiem, po czym kiwa głową do Reese, taksuje ją przy tym spojrzeniem, po czym znów patrzy na mnie.

– Witam, panie Morris. Pracuję z Benem – wyjaśnia Reese. Po głosie można by sądzić, że jest wyluzowana, ale zmrużone oczy, którymi mu się przygląda, sugerują mi, że jest wręcz przeciwnie. Rozumiem dlaczego. Być może jestem podobny do ojca, lecz zimne, ostre spojrzenie jego oczu zdecydowanie nas różni. Niemal wahając się, dodaje: – Jack Warner to mój ojczym.

Powolny, złośliwy uśmieszek wkrada się na usta taty.

– Dostanie się na szczyt kariery ciężką pracą nie jest dla ciebie, Ben? – drwi.

– Joshua! – Matka krzykiem ściąga na siebie jego uwagę.

– Moje naczynia są w stodole, Wilmo – mamrocze ojciec niemal niezrozumiale, zwieszając głowę i odwracając się w kierunku domu. Po chwili, zataczając się, wchodzi po schodach i znika w jego wnętrzu.

Mina mamy wyraża smutek i wstyd.

– Przepraszam, Reese. Ben i Joshua tylko... On... Chyba ma zły dzień. – Mama jąka się, próbując wymyślić stosowne przeprosiny, choć w tym wyjaśnieniu nie znajdzie sensu człowiek z choćby połową mózgu. Nie potrafię się powstrzymać i wrywa mi się prychnięcie. Tak, naprawdę miał ciężki dzień, wnosząc po narzędziach i butelce whisky, jak i po nienawiści do świata i tego „gównianego życia”, którą w sobie nosi. Mama żegna nas machnięciem ręki i wchodzi za nim do domu, jednak wcześniej przekazuje mi bezgłośnie:

– Kocham cię.

Wsiadamy do jetty, a kiedy odpalam silnik, Reese stwierdza:

– Twój ojciec jest czarujący.

Zastanawiam się, jak do tego doszła.

– Ostrzegałem cię, prawda?

Wydaje się, że przez chwilę się nad tym zastanawia.

– Annabelle do czasu kolacji zazwyczaj wlewa w siebie cztery martini z ginem. Jednak nie ma z tym „problemu” – wyjaśnia, machając palcami, by zaznaczyć cudzysłów, po czym dodaje: – W jaki sposób stracił rękę?

– Wypadek w warsztacie jakieś dziewięć lat temu. – Naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać. Reese ma własne rodzinne problemy, więc jeśli dorzucę jej jeszcze moje, zaczniemy się nad sobą użalać, zamiast dobrze się bawić.

Gwiżdże cicho.

– Stolarz stracił w pracy rękę? Poważna sprawa.

– Tak. – Wrzucam jedynekę i ruszam podjazdem obok dębów, na które wspinałem się jako dziecko. – Ciężko to przeżył.

* * *

– Nie wierzę, że dajesz mi to wszystko z wyjątkiem lodzika. – Oczy Reese błyszczą, gdy ponownie przegląda zawartość koszyka, tym razem stojąc na swoim ganku.

– Może nie żartujmy w ten sposób, gdy Jack jest w domu, co? – Jego samochód stoi na podjeździe, więc wiem, że gdzieś tutaj jest. Nie chcę, by słyszał coś takiego. Poza tym Reese mówiąca słowo „lodziak”, jest dla mnie w tej chwili powalająca. – Możesz to wziąć jako rekompensatę wielu godzin, które spędzisz ze mną w tym tygodniu.

– Wiesz, kto uwielbia dżem malinowy? – Unosi pytająco brwi, trzymając w ręku słoik. – Mason.

Śmieję się, wiedząc, dokąd zmierza jej złośliwy rozumek.

– Niech zgadnę...

– Może zjem go wprost ze słoika na jego oczach. Wielką łyżką. – Uśmiecha się łobuzersko, więc muszę stłumić gromki śmiech.

– On jest teraz chłopakiem twojej najlepszej przyjaciółki, więc może spróbowalibyście się dogadać?

Krzywi się.

– Prawda. Zapomniałam. Dzięki za przypomnienie... ponowne.

Wiedząc, że stoję tu już przez jakiś czas, cofam się o kilka kroków.

– Lepiej już pójdę, zanim Jack mnie zwolni. – Jeśli nie odjadę, gotów jestem zrobić coś głupiego.

Na przykład pocałować ją, bo tylko o tym myślałem przez całą drogę powrotną do domu. Rany, muszę kogoś przelecieć. Od ostatniego razu minęły tygodnie. To mój nowy rekord.

– Z tym żarciem na pewno nie. – Reese macha zawiniątkiem folii aluminiowej, w której znajduje się wędlina. – Właściwie to, jeśli pomyśli, że mogę przywieść więcej domowego żarcia twojej mamy, sam wyśle mnie do ciebie, bo oprócz tego, co ugotuje Mason, w tym domu je się rzeczy odgrzewane w mikrofalówce.

– Mason dla was gotuje?

Przewraca oczami.

– Czasami. Tofu, wodorosty i... – Krzywi się z obrzydzeniem. – Nie jadam tego. – Sięga za siebie i łapie za klamkę, a następnie z wahaniem mówi: – Dzięki, że pojechałeś dzisiaj ze mną postrzelać do mojego byłego i jego żoneczki.

– Polecam się na przyszłość.

– Dobrze się dzisiaj bawiłam. – Marszczy brwi, jakby sama była tym zaskoczona.

– Bo było fajnie – przyznaję z uśmiechem. – Nie pamiętam kiedy ostatnio spędziłem z kobietą cały dzień i nie skończyło się to w łóżku. Do licha, nawet z seksem w pakiecie nie sądzę, bym z którąś wytrzymał cały dzień.

Patrząc na mnie, kręci głową, ale ostatecznie uśmiech pojawia się na jej twarzy.

– Co będziesz później robił?

– Wezmę zimny prysznic – przyznaję, stawiając kilka kroków do tyłu. Nigdy w życiu tak bardzo nie chciałem zrobić sobie dobrze. – Widzimy się jutro rano?

Mrużąc oczy i udając pożądanie w głosie, mruczy:

– Pomyśl o mnie pod tym prysznicem. – Otwiera drzwi i wchodzi do domu.

A mnie... znów staje jak maszt.

Jakbym już wcześniej nie zamierzał o niej myśleć.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

REESE

– Przynoszę domowej roboty wyroby z sadu z rejonu Indian River. – Kładę koszyk przed Jackiem na blacie.

Z gazetą w jednej ręce i pałeczkami w drugiej patrzy na specjały, po czym na mnie.

– Zapłaciłaś za to, prawda?

– Zapłaciłam? – Urywam dla większego efektu, po czym puszczam do niego oko. – To prezent.

To zwiększa jego zainteresowanie. Jack wiele potrafi, jednak gotowanie nie jest jego pasją. Wkłada rękę do koszyka i wyciąga słoik.

– Co robiłaś dzisiaj w Indian River? – Marszczy brwi, czytając etykietę i dodaje: – W sadzie Bernard-Morris? – Wnosząc po podejrzliwej minie, zdołał się domyślić.

– Och, no wiesz... pomagałam przyjacielowi. – Urywam temat i sięgam do lodówki po mleko czekoladowe, przy czym czuję wwiercające się w moje plecy intensywne spojrzenie Jacka. – Mason i Lina są w domu?

Wzdycha, odpuszczając sobie pytanie, które ma na końcu języka i odpowiada na moje:

– Poszli na kolację i do kina. Wydaje się, że dobrze im razem. Wzięła go nawet dzisiaj na zakupy, by sprawić mu jakieś nowe ubrania i takie tam.

– Nie rozpędzaj się. Lina wkrótce odkryje, jakim dziwakiem jest twój syn i ucieknie od niego.

Jack się śmieje.

– No cóż, z tobą się przyjaźni, więc musi być ekstremalnie tolerancyjna. – Milknie, przyglądając się, jak napełniam mlekiem szklankę, bo wprost z kartonu piję wyłącznie na oczach Masona, w końcu mówi: – Rozmawiałaś ostatnio z matką?

– Nie. Dlaczego pytasz?

Zdejmuje okulary.

– Dzisiaj po południu dzwoniła do firmy i szukała ciebie. Prosiła, byś oddzwoniła do niej, jak tylko wrócisz do domu. – Uważnie mi się przygląda. – Brzmiało, jakby to było coś ważnego.

– Aha. – Najpierw dzwoniła do mnie na komórkę, a teraz do Jacka? Gdyby chodziło o normalną kobietę, można by się niepokoić. Jednak to, co jest ważne w świecie Annabelle, nie przekłada się na to samo w naszym świecie. Choć muszę przyznać, że jestem zaintrygowana.

– Właśnie... „aha”. Dokładnie to samo pomyślałem. – Krzywi się z niesmakiem, po czym nakazuje: – Proszę, oddzwon do niej kiedyś. Nie życzę sobie odbierać codziennie telefonów od byłej żony. – Kiedy Annabelle coś sobie ubzdura, jest wytrwała jak pies polujący na kość.

Właśnie dlatego natychmiast wyciągam telefon.

– Zobaczmy, czego może chcieć ode mnie najukochańsza matula.

Jej cichy, nadal uwodzicielski, choć czterdziestoletni, głos natychmiast wypełnia moje ucho.

– Reese?

– Tak.

– Nie miałaś przy sobie dzisiaj komórki?

– Miałam.

Chwila ciszy.

– Więc mnie zlekceważyłaś.

– Ciebie też miło słyszeć. Minęło trochę czasu. Właśnie wróciłam i Jack powiedział mi, że dzwoniłaś.

– Jestem zaskoczona, że przekazał ci wiadomość.

Czuję nagle ostry ból w szczęcie i zdaję sobie sprawę, że zbyt mocno zagryzam zęby. Zawsze to robiłam przy Annabelle. Kiedyś nawet na noc zakładałam ochraniacz na zęby, bo podświadomie nimi zgrzytałam. Dopiero kiedy się od niej wyprowadziłam, ten nawyk zanikł.

Zapewne sączy teraz martini. Ciężko to jednak stwierdzić, bo ma mocną głowę.

– Czego chcesz? – Przecież po to dzwoniła, więc bądźmy szczerze.

Wzdycha przeciągle.

– Razem z Ianem urządzamy w listopadzie bal charytatywny i pomyśleliśmy, że dobrze by wyglądało, gdyby pojawiła się na nim cała nasza rodzina. – Zatem chodzi o salonową politykę. Zgaduję, że znalazła kogoś, kto doskonale do niej pasuje i kto jest równie zaniepokojony swoją prezencją, co ona własną. – Przyślę ci odpowiednią suknię. Przybrałaś na wadze? Mam nadzieję, że nie masz już na włosach tego nedorzecznego koloru. Jeśli tak, będziesz musiała coś z tym zrobić.

Przewracam oczami, jednak nic nie odpowiadam.

– Mam dla ciebie idealnego partnera. Jest...

– Nie. – Już to przerabialiśmy. Kiedy miałam szesnaście lat, zmusiła mnie, bym poszła na przyjęcie świąteczne do jakiegoś klubu country z synem jednego z partnerów z kancelarii Barry'ego. Chłopak był dwudziestoczteroletnim studentem medycyny z aspiracjami, by zostać ginekologiem. Nazwijcie mnie szowinistką – naprawdę mam to gdzieś – ale w dzisiejszych czasach, gdy kobiety również mogą bez większych przeszkód studiować medycynę, naprawdę dziwię się facetom decydującym się na karierę zawodową, dzięki której całymi dniami będą musieli grzebać w pochwach. Oczywiście całe przyjęcie spędziłam na przepytywaniu go o intencje i motywy wyboru kierunku.

Ku przerażeniu Annabelle.

– Cóż, trudno mi zaufać twoim wyborom w kwestii partnerów. Zobacz, kogo wzięłaś sobie za męża.

– Nie przyjadę, Annabelle.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie przyjedziesz? – Wymyka jej się charakterystyczny jęk. Zdecydowanie jest pod wpływem alkoholu.

Chociaż zawsze chciałam, nigdy nie sprzeciwiłam się Annabelle. Pewnie, że miałam fochy, zachowywałam się jak bogaty, rozpieszczony bachor, zazwyczaj robiłam ogromne postępy w niszczeniu naszych relacji, jednak nigdy prosto z mostu nie powiedziałam jej „nie”. Najwyraźniej nie wierzyłam, że mogę coś takiego zrobić.

A teraz, kiedy najnormalniej w świecie odmówiłam, ona nie wie, jak sobie z tym poradzić.

– To niemożliwe. Całe wydarzenie będzie nagłośnione w mediach, wszyscy będą patrzeć na nas, na mnie, na naszą rodzinę i jej wartości.

Annabelle i wartości rodzinne? To oksymoron.

– Jestem pewna, że poradzisz sobie beze mnie.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam...

– Przemyślę to i dam ci znać. – Nie ma mowy, bym poszła, ale nie jestem w nastroju, by się z nią kłócić. Ta kobieta jest mistrzem w kreowaniu siebie na bohatera wojennego. A kiedy jest pijana, ta tendencja wzmagą się dziesięciokrotnie. Nie poradzę sobie z tym teraz. Mieszkam cztery godziny jazdy od niej. *Powodzenia, Annabelle.* – Muszę kończyć.

– Dobra. – Połączenie zostaje przerwane, pozostawiając mnie wpatrzoną z niedowierzaniem w komórkę.

– Coś ważnego? – pyta Jack, udając nonszalancję.

– Tak. Trzęsienie ziemi. Annabelle urządza imprezę i chce, żebym się tam pokazała, by mogła wyglądać jak troskliwa, kochająca mateczka.

– Nie musisz robić czegoś, czego nie chcesz, Reesie. Jesteś już dorosła.

Uśmiecham się.

– Wiem. Dzięki, Jack. Jestem zmęczona. Idę się położyć. – Biorę dwa słoiki dżemu malinowego z koszyka. – W razie, gdybyś zobaczył dzisiaj Jiminy'ego Świerszcza, powiedz mu, że mam coś, co bardzo lubi, i jestem otwarta na negocjacje.

Jack zerka na mnie, kiedy wychodzę i kręci głową.

– Kiedy zaczniecie zachowywać się jak dorośli?

– Niedługo.

* * *

Leżąc w łóżku, przez dobrą godzinę gapię się w sufit, starając się uśmierzyć ból wywołany myślami o Jaredzie i o tym, co zobaczyłam w szopie podczas gry w paintball. Jednak były dzisiaj i dobre chwile – kilka godzin spędzonych w sadzie z Benem – kiedy czułam się dobrze, jakbym wysiadła z emocjonalnej kolejki górskiej, którą od dłuższego czasu jechałam. W powietrzu, w ścianach tego wielkiego, starego domu była magia. Czułam ją. Magia, chroniona przez całe pokolenia, od cennego początku aż do kruchej końca, która widziała rozkwit i śmierć miłości, przysłuchiwała się rozpaczem złamanego serca i ponownej radości. I, podobnie jak ludzie żyjący w nim, ten dom nadal stoi dumny, witając u siebie nowych gości.

Wśród siły ciszy, komfortowego domu i przestrzeni sadu zorientowałam się, że potrafię wziąć głęboki wdech świeżego powietrza, po miesiącach wypełniania płuc czymś jałowym i czerstwym.

A może to wcale nie była magia ani świeże powietrze. Może chodziło o towarzystwo.

Pod wpływem impulsu chwytam telefon i wciskam klawisz szybkiego wybierania.

– Już się za mną stęskniłaś? – pyta zaspany Ben.

Moje usta mimowolnie rozciągają się w uśmiechu.

– Jak prysznic?

Wzdycha ciężko.

– Szybki i owocny. Już prawie zasypiałem. – Natychmiast go sobie wyobrażam rozciągniętego na łóżku. Nagiego. To niebył dobre. Tego rodzaju fantazje zawsze zarezerwowane były dla jednego, jedyne faceta. – Co tam?

– Nic. Tylko... – Waham się. – Dzięki za dzisiaj.

– Już to mówiłaś. – Słyszę śmiech w jego głosie.

– A tak, prawda. – Pomyśli, że jestem idiotką.

Zapada między nami chwilowa, kłopotliwa cisza, po czym Ben pyta:

– Co masz na sobie?

Przewracam oczami. To taki tandetny tekst, jednak chce mi się śmiać, ponieważ zapytał mnie o to Ben.

– Zupełnie nic. Dobranoc – mówię i klikam w czerwoną słuchawkę, nim ma szansę cokolwiek odpowiedzieć.

* * *

W poniedziałkowy poranek na biurku czekają na mnie wielki kubek kawy ze Starbucksa – nadal gorącej – i pomarańcza z doczepioną karteczką:

CZARNA MAŻ DLA CZARNEGO SERCA.

Uśmiecham się.

Nadal się szczerzę, gdy słyszę pukanie do drzwi mojego gabinetu.

Otwieram i oczy wychodzą mi z orbit.

To Mason. Tyle że nie Mason. Mason to kujon w zapiętej po szyję koszuli, z wąskim krawatem, grubymi okularami i przylizanymi włosami. Facet przede mną wygląda co najmniej uroczo. Jego niesforne loki zostały wystylizowane, a w połączeniu z nowymi ubraniami wydaje się trochę mniej sztywny. Zniknęły też okulary, ujawniając duże, oliwkowe oczy. Nigdy nie widziałam go bez denek od butelek na nosie.

– Jak minął ci wczorajszy dzień? Poza uprowadzeniem przez kosmitów, oczywiście? – pytam, delektując się bogatym, głębokim smakiem kawy i zerkając na niego podejrzliwie.

Mason oblewa się rumieńcem.

– W porządku. Mogę z tobą przez chwilę porozmawiać?

Mason zawsze był aż nazbyt chętny, by rano trzymać się ode mnie z daleka.

– To musi być coś ważnego. Siadaj. I powiedz, co zrobiłeś z moim ukochanym, przybranym bratem.

Zamyka drzwi i podchodzi do biurka, przygląda się krzesłu, zanim na nim siada, zdenerwowany trzyma ręce na kolanach. Jego spojrzenie wędruje po moim blacie.

– Musisz mieć tutaj połowę spraw całej firmy.

– Dlatego że jestem inteligentna i skuteczna. Daję radę. Poza tobą i Benem wszyscy zaczynają myśleć, że moje poranki są niczym otwarty sezon. – Już dwa razy widziałam przechodzącą kauzyperdę. Jej głowa podskakiwała na boki jak u jakiegoś gołębia, kiedy starała się zerknąć, nad którą sprawą aktualnie pracuję.

– Jack pytał, co dzieje się między tobą a Benem.

Czuję nagle zdenerwowanie. Jeśli Mason kiedykolwiek chciałby się na mnie odegrać, teraz ma ku temu świetną sposobność.

– I co powiedziałaś?

Wzrusza ramionami.

– Powiedziałem, że tylko się przyjaźnicie.

– Aha. To dobrze.

– Zakładam, że to kłamstwo.

– Nie, tylko się przyjaźnimy. – To ten rodzaj przyjaźni, w której trochę się całujemy i obmacujemy, ale... Jack nie musi znać szczegółów.

Niewielki grymas podpowiada mi, że Mason jednak mi nie wierzy.

– Dobra, spoko, bo Ben nie jest facetem, z którym chciałabyś się umawiać. Lubię go. To znaczy, jest dobrym kumplem, ale nie nadaje się na stały związek i nie chciałbym, by ktoś przez to cierpiał.

– Ktoś... czyli ja? – Masonowi na mnie zależy?!

Wierci się na krześle, mimowolnie chce poprawić okulary, których aktualnie nie ma na nosie.

– Wiem, że przechodziłaś przez... trudne chwile.

Mimo iż jestem skrupowana, muszę przyznać, że ta nowa wersja Masona po wprowadzeniu przez kosmitów jest nawet fajna. Kiwam głową, ale trzymam buzię na kłódkę z obawy, że jeśli coś powiem, zniszczę ten moment wprost ze *Strefy mroku*.

– To... – Urywa, przeciągając palcami po podłokietnikach krzesła.

Mogłam się domyślić, że był miły, bo miał powód.

– Czego chcesz, Mason?

Odchrząkuje i w końcu przechodzi do rzeczy.

– Co Lina naprawdę lubi robić? No wiesz, dla zabawy.

– A dlaczego sam ją o to nie zapytasz? To znaczy, przecież jesteście ze sobą od..., ile to już będzie?

Trzy miesiące?

Wzrusza ramionami.

– Chciałem ją zaskoczyć. Pomóż... mi z tym.

– Mógłbyś ją zabrać do Vegas, do kaplicy ślubów. To byłaby niespodzianka.

Jęczy z irytacją, ale kiedy ponownie na mnie patrzy, dostrzegam w jego oczach przebłysk czegoś innego. Smutek, żal – nie jestem pewna. Zaciskam usta. Decyduję, że jeśli Lina jest z nim szczęśliwa, to cóż, muszę być lepszą przyjaciółką...

– Uwielbia samoloty. Zabierz ją do muzeum lotnictwa.

Wolno przytakuje.

– Fajnie. – Urywa, po czym mruży oczy. – Hej, nie kłamiesz, prawda? Jeśli dowiem się, że samoloty wywołują u niej jakąś fobię, to wcale nie będzie śmieszne.

Prycham.

– Nie, jeśli chciałabym cię wkręcić, powiedziałabym, żebyś zabrał ją na wystawę motyli.

Marszczy czoło.

– Motyli? Myślałem, że wszyscy lubią motylki.

– Lina nie lubi. Przerażają ją.

– Och. – Prycha. – Dobra, dzięki. – Wstaje i odchrząkuje. – Jeśli to może coś zmienić, przepraszam, że nazwałem cię diabelskim pomiotem, gdy twoja matka i Jack się rozstali.

Elementy układanki trafiają na swoje miejsce. Lina kazała mu to zrobić. O to właśnie chodzi. Musi o to chodzić.

Mason podchodzi do drzwi.

– Och, a czerwona substancja, którą ktoś napisał na ekranie mojego komputera „morderstwo” to...?

– Dżem malinowy.

– Aha. – Powolny uśmiech wypływa mu na usta. – Uwielbiam dżem malinowy.

– Wiem. – Pod wpływem impulsu sięgam do szuflady i wyciągam słoik. Rzucam mu go, po czym obserwuję, jak łapie go niezdarnie tuż nad podłogą.

Z nieśmiałym uśmiechem unosi zdobycz w górę.

– Hej, naprawdę złapałem!

– Och, i to Ben przestawia ci co rano rzeczy w gabinecie, nie ja.

Przewraca oczami, w bardzo nie-Masonowy sposób.

– Dzięki.

W chwili, w której wychodzi, wybieram numer Liny.

– Planujecie z Masonem mnie zabić, czy tylko tak dobrze wam w łóżku?

– To drugie, ale jeśli nie zaczniesz być dla niego miła, dam mu tyle amunicji, że zniszczy cię – odpowiada śmiertelnie poważnie, jakby była przygotowana na mój telefon.

– Niebezpiecznie jest ze mną zadzierać.

– To działa w obie strony. Powiedziałam mu, że nie mam zamiaru być między wami mediatorem, więc musicie zachowywać się jak normalne rodzeństwo.

– Powiedziała jedynaczka. – Moją uwagę przykuwa pukanie w szybę. Stoi za nią Ben, wskazując na czerwony golf, który ma na sobie, a na jego twarzy maluje się szeroki uśmiech. Chwytam pomarańczę i rzuca w szybę, w miejsce, gdzie znajduje się jego głowa. Bezgłośnie mówi:

– Celny rzut. – Puszczą do mnie oko i odchodzi. Jego uśmiech jest tak irytujący, że mam nieodpartą potrzebę chichotania.

Nadal się śmieję, gdy zagląda do mnie Natasha.

* * *

JESTEŚ WOLNA W PORZE LUNCHU?

Gapię się na wyświetlacz telefonu, by stwierdzić, czy rzeczywiście dobrze odczytałam wiadomość Jareda. *Cholera! Co mam zrobić?!* Wyciągam rękę po słuchawkę telefonu stacjonarnego, by po raz drugi tego ranka zadzwonić do Liny, ale szybko się rozmyślam. Nie ma sensu dzwonić do niej lub do Nicki. Ani do kogokolwiek. I tak wiem, jaka byłaby odpowiedź.

Stuk, stuk, stuk... Długopis w moich palcach stuka o górę dokumentów, gdy się zastanawiam, co odpisać. Mam wiele roboty dla Bena, naprawdę nie powinnam wychodzić na lunch...

KAWIARNIA W POŁUDNIE?

Odpowiedź przychodzi w sekundę.

TAK.

* * *

– Powinna pani spróbować limonkowego – sugeruje ciemnowłosa kelnerka, kładąc przede mną kawałek ciasta czekoladowo-orzechowego. Przysięgam, że tak intensywnie namawiają klientów na to limonkowe, że można pomyśleć, iż to klucz do ich sukcesu. Posyłam jej krzywy uśmiech i proszę o rachunek, cały czas patrząc na wejście. Jared notorycznie się spóźniał, ale pół godziny to ostre przegięcie, zwłaszcza bez wcześniejszego SMS-a.

Już zaczynam myśleć, że mnie wystawił, gdy słyszę znajomy, głęboki głos.

– Wciąż nie chcesz próbować czegoś nowego?

Natychmiast zostaję wyciągnięta z uzalania się nad sobą i przeniesiona wprost do miejsca, gdzie krzyżują się ścieżki nieba i piekła, gdzie miętowo-zielone tęczęwki sprawiają, że moje serce gubi rytm na dwa, trzy uderzenia, zanim zdecydowanie przyspiesza, pomimo moich starań, by nic nie czuć.

– Trzymam się tego, co znam.

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Przepraszam za spóźnienie.

Wstrzymuję oddech, obserwując, jak odsuwa krzesło, by na nim usiąść.

– Żaden problem. Ale niedługo muszę wracać do pracy. – I tak planowałam użyć pracy jako wymówki, gdybym potrzebowała się ewakuować. Patrząc teraz na jego twarz, wiem, że tak zapewne

będzie. Po raz kolejny czuję ból, tym razem wymieszany z konsternacją, strachem i... niecierpliwością.

Krzywi się, gdy siada i poprawia się na krześle.

– Byłem wczoraj na niesamowitym polu do paintballu na północ od miasta i ktoś z bliskiej odległości strzelił mi w tyłek.

Chyba ze trzydzieści razy, jeśli chcesz być dokładny.

Zaciskam usta, by powstrzymać mściwy uśmiezek.

– Powinnaś tam kiedyś pojechać. Spodobałoby ci się.

– Będę pamiętała. – Udaje mi się odpowiedzieć z drzeniem w głosie. Przed parsknięciem śmiechem powstrzymuje mnie jedynie wspomnienie momentu, zanim zaatakowaliśmy, kiedy byłam gotowa odwrócić się i uciec, słuchając dźwięków, które wydawali. Dzięki Bogu, że miałam maskę, inaczej Ben widziałby moje łzy.

Następuje długa chwila ciszy, gdy Jared rozgląda się po stolikach, nerwowo bawiąc się palcami opartymi na blacie. To taki jego tik nerwowy.

– To trochę niezręczne, nie sądzisz? – przyznaje w końcu, lekko się uśmiechając. To kolejny znak jego zdenerwowania.

– Nie tak niezręczne jak ostatnim razem. – Moje spojrzenie natychmiast wędruje do jego ramienia, do tatuażu wystającego mu spod rękawka koszulki.

Widząc, w którym miejscu skupia się mój wzrok, Jared pociera ramię, po czym mówi nieśmiało:

– Przykro mi, że dowiedziałaś się w taki sposób.

Wzdycham, zastanawiając się, czy ma na myśli tatuaż, czy też to, że mnie zdradzał. A może jedno i drugie.

Patrzy na moje włosy.

– Naprawdę dobrze wyglądasz, Reese. I nie to, że wcześniej nie wyglądałaś. Tylko że teraz wydajesz się... doroślejsza. Bardziej odpowiedzialna.

Czuję, że się rumienię, kiedy bez apetytu przyglądam się talerzowi przede mną.

– Jak dla mnie to trochę nudne.

– Nigdy nie byłaś nudna. – Zerkam i dostrzegam błysk w jego oczach. Czy on ze mną flirtuje? Patrzy na mnie, po czym wzdycha. – Spieprzyłem to, Reese. Przepraszam.

Metaliczny posmak wypełnia mi usta, gdy przygryzam język, by powstrzymać się od mówienia, bo wiem, że z emocji wybuchnę i czymś mu dogryzę. Muszę zachować spokój.

– Kochałem Caroline odkąd mieliśmy sześć lat. Kiedy ni stąd, ni zowąd zerwała ze mną, byłem załamany. Tydzień później nagle pojawiłaś się ty i zobaczyłem, że byłaś jej idealnym przeciwieństwem.

– Nadal jestem – mamroczę oschle.

To sprawia, że na jego przystojnej twarzy pojawia się uroczy uśmiech.

– Pewnie, że jesteś. – Ale szybko znika. – Byłem rozbity. Bardzo chciałem wyrzucić ją z głowy, nie myśleć o niej, żyć dalej, więc z tobą się pospieszyłem. I nim się zorientowałem, byliśmy małżeństwem. Następnie, jakiś miesiąc po Vegas, zapłakana Caroline zadzwoniła do mnie. Nie rozmawiałem z nią od rozstania, więc nie miała o tobie pojęcia. Najwyraźniej moi rodzice zatelefonowali do niej, by jej o tym powiedzieć, tuż po naszych odwiedzinach.

Przewracam oczami, wspominając tamtą katastrofę. Przysięgam, że jego matka w duchu rzucała na mnie klątwy.

– W każdym razie zadzwoniła zapłakana i powiedziała szczerze, jak się czuje, że potrzebowała czasu, ale zawsze myślała, że się zejdziemy. Umówiliśmy się na kolację i... – Wzrusza ramionami. – Rzeczy między nami po prostu nabrały tempa, a ja nie wiedziałem, jak je powstrzymać. Napłynęło tyle starych uczuć i nie wiedziałem, co z nimi zrobić. A wtedy przyłapałaś nas pod prysznicem i...

Zaciskam powieki na wspomnienie orgazmu, który przeżywał, gdy weszłam. To właśnie dlatego mnie nie słyszeli. Jednak jest coś ważniejszego w tym, co powiedział.

– Zdradzałeś mnie już miesiąc po ślubie? – Ledwo słyszę własny głos, kiedy dociera do mnie prawda. Jak mogłam nazywać to, co było między nami, małżeństwem? To była totalna fikcja!

– Nie! W ten pierwszy wieczór powiedziałem jej, że nie mogę się z nią widywać i nie robiłem tego przez miesiąc. Ale potem spotkałem ją na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu moich rodziców. – Na tym, na które nie chciałam iść.

Czy gdybym jednak poszła, siedzielibyśmy teraz przy stole, rozmawiając o naszym nieudanym małżeństwie?

Patrzy na swoje dłonie.

– Zawsze była słodka, troskliwa i... – Odchrząkuję, by się gorzko nie roześmiać. Oszukała go. – ... idealnie pasuje do mojej rodziny i... – Tak, jego rodziny, która była załamana, gdy do nich przyjechaliśmy. – ... pewnego dnia będzie dobrą matką. – Brzmi, jakby powtarzał słowa rodziców, ale im dalej w nie brnie, tym bardziej się pograża. Jeśli tego właśnie oczekiwał od żony, to my nigdy nie mieliśmy szans na szczęście. „Słodka”, „troskliwa”, „pasująca do rodziny”, „przyszła dobra matka”. Żadna z tych etykietek do mnie nie pasuje, bez względu na to, czy Caroline udaje, czy też nie.

Czuję się, jakby to Jared trzymał karabinek do paintballu wycelowany w moje serce i bez litości naciskał spust. Nie przyszłam tutaj, by tego wysłuchiwać. Już mam wstać z krzesła, gdy słyszę:

– Ale tęsknię za tobą, Reese.

Opada mi szczęka, kiedy nadchodzi niespodziewane zakończenie „Ody do Caroline”.

W oczach Jareda dostrzegam ciężkie emocje.

– Było nam zajebiście dobrze, prawda?

Chwyta moją dłoń.

Wciąż świeże wspomnienie ich razem z wczoraj zaciska swoją pięść wokół moich wnętrzności, przypominając, bym nie odpływała w nostalgię, bym nie pozwoliła się nabrać na jego słowa. Chciałabym wykrzyknąć: „Tak, było nam razem zajebiście dobrze, a ty to spieprzyłeś!”. Powinnam dziabnąć go w tę dłoń widelcem. Zamiast tego pozwalam na ten kontakt przez dłuższą chwilę, aż w końcu zamykam usta, zabieram dłoń i skubię widelcem ciasto. Jest nietknięte, ale podziurawionego widelcem nie podadzą komuś innemu.

Czeka w milczeniu, kiedy biorę trzy głębokie, uspokajające oddechy.

– Caroline wie, że jesteś ze mną tutaj?

Rozglądam się pobieżnie po patio, sprawdzając, czy mała rudowłosa złodziejka mężów nie ukrywa się za jakąś rośliną. Jared marszczy czoło.

– Co? Myślisz, że skądś podgląda?

– Nie, tylko jakaś psycholka byłaby w stanie to robić.

W końcu się uśmiecha.

– Nie, nie wie. Teraz to nawet ze mną nie gada.

– Ach tak? Pokłóciliście się? – Moje sumienie zaczyna rechotać, to niegodziwy, tryumfalny, szyderczy śmiech w mojej głowie.

– Tak. O coś głupiego, co stało się na paintballu – mówi cicho, z roztargnieniem przechylając głowę. – Nie ciesz się tak bardzo z tego powodu, dobrze?

– Postaram się – przyznaję śmiertelnie poważnie.

Składa ręce.

– Właściwie ostatnio często się kłócimy. Znam ją od przeszło osiemnastu lat, a mimo to wydaje się, że po ślubie zmieniła się w całkiem inną kobietę, która dodatkowo chce zmienić i mnie. – Przez chwilę zaciska szczękę i przygląda mi się uważnie. – Ty taka nie byłaś.

Pewnie dlatego, że znaliśmy się przed ślubem zaledwie sześć tygodni. I nie, nie byłam taka. Akceptowałam go takiego, jaki był. Patrzę mu w oczy – wytrzymując pożądlive spojrzenie, które widywałam tak wiele razy, choć nigdy w miejscu publicznym – ale nic nie mówię.

– A ten prawnik, z którym się spotykasz, to coś poważnego?

– Widuję się z nim od kilku miesięcy – kłamię.

Przytakuje powoli, łapie za pusty kubek, po czym przesuwa go tam i z powrotem po stole.

– Pomyślałem, że czasami moglibyśmy pójść w czwórkę na jakąś kolację czy coś.

Teraz nie jestem w stanie powstrzymać gorzkiego parsknięcia. Wiem, że Jared potrafi być czasami lekkomyślny – dobrym przykładem braku logicznego myślenia może być fakt, że pozwolił mi wejść do swojego mieszkania, bym zabrała moje rzeczy – ale to?! Jedzenie... rozmowa... nie poderżnięcie gardła Caroline nożem do steków... te rzeczy wydają się niemożliwe.

Zielone oczy patrzą mi w twarz, oceniając.

– Zbyt dziwne?

– Tylko trochę.

Wzrusza ramionami.

– Dobra, cóż... może na początek jakiś drink czy coś mniej oficjalnego. Nawet tylko my we dwoje. Naprawdę chciałbym być twoim przyjacielem, Reese. Przynajmniej przyjacielem.

„Przynajmniej”?! A kim, u licha, mógłby być?! Jest żonaty! Czy robi to, co myślę, że robi? Chce wybierać między mną a Caroline, kiedy mu wygodnie? Chce mieć ciastko i zjeść ciastko? Gdybym była obiektywna, wyśmiałabym tę blond idiotkę za samą rozmowę z tym palantem. Gdybym była postronnym widzem, a nie tą blond idiotką, która jeszcze niedawno miała nadzieję, że ten palant coś do niej czuje, po tym, jak zostawił ją ze złamanym sercem i upokorzoną dumą.

– Będę to musiała przemyśleć – mówię, wstając. On również wstaje, więc znajdujemy się twarzą w twarz w dość niekomfortowej sytuacji. Mamy się po prostu rozejść? Uściskać? A może powinnam walnąć go w brzuch, żeby zaczął w końcu używać szarych komórek, które wypełniają mu czaszkę?

– Masz nowy numer, prawda? – Wyjmuje telefon z kieszeni i zaczyna przewijać kontakty.

Waham się.

– Tak, lokalny z Miami.

Marszcząc brwi, mówi:

– Dziwne. Miałem cię zapisaną. Nie wiem, co się stało.

– Myślę, że ja wiem. – *Zapytaj swoją słodką i troskliwą żonkę.*

– W takim razie wpiszę go raz jeszcze. Możesz dyktować.

Znów się waham.

Zgodzić się?

Dać mu mój numer?

W końcu podaję.

– Świetnie. Cóż... – Marszczy brwi, podchodzi do mnie i zamyka mnie w uścisku, którego nie odwzajemniam. – Do zobaczenia niedługo. Mam nadzieję. – Kiedy się odsuwa, cmoka mnie w policzek. Obserwuję, jak wychodzi, pogwizdując z zadowoleniem.

Wypuszczam powietrze, które mimo woli wstrzymywałam.

Nie wiem, jak się mam czuć w tej sytuacji. Jared nie jest z Caroline szczęśliwy. Ta słodka świadomość łagodzi okropny ból, który czuję od miesięcy. A do tego otwarcie powiedział, że za mną tęskni. Pokazał, że nadal coś do mnie czuje. Gdybym kiedykolwiek chciała, by Jared...

By cierpieć.

By go zranić.

By ponownie mnie kochać.

Miałabym teraz idealną ku temu okazję.

Najpierw jednak muszę sprawdzić, co na to Szwajcaria.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

BEN

– No proszę, wielki pan prawnik.

Cholera... Na sam dźwięk jej powabnego głosu krew napływa mi do pachwiny. Nie potrafię tego kontrolować. Mercy zawsze tak na mnie działała. A po mojej pożegnalnej imprezie w *Penny* jest tylko gorzej. Reguła Caina, by nie bzykać striptizerek, poszła się bujać tamtej nocy, spędzonej z Mercy i Hannah. Jednocześnie. Nie to, że je namawiałem, ale przecież nie mogłem przepuścić takiej okazji.

Mina Masona na widok striptizerki o platynowych blond włosach w moim biurze jest niemal komiczna. Jego twarz w sekundę z poblądłej staje się czerwona. Spojrzenie tego biedaka niekontrolowanie przesuwa się po jej ciele – od twarzy, przez cycki, do ściany za nią i znów na cycki, nim odwraca się, by błagalnym wzrokiem spojrzeć na mnie.

– To mój serdeczny przyjaciel, Mason. Masonie, to Mercy.

Dziewczyna, chichocząc, podaje mu rękę. Skrępowany Mason ściska ją, po czym mamrocze coś o kopiach dokumentów i znika z mojego gabinetu.

Obchodzę biurko, by porwać drobną striptizerkę w objęcia, a zapach jej kwiatowych perfum – odrobinę zbyt silny – dociera do moich nozdrzy.

– Cześć, mała.

Nigdy nie interesowałem się nią bardziej niż jako przyjaciel, z kilkoma korzyściami, które trzymaliśmy w sekrecie przed wszystkimi w *Penny*. Szanuję Caina i jego zasady... do pewnego stopnia. A jeśli kiedykolwiek przeszłoby mi przez myśl, że ta dziewczyna chce ode mnie czegoś więcej, trzymałbym się od niej z daleka.

Teraz zaczynam się martwić, czy przypadkiem coś się nie zmieniło. Niemal codziennie otrzymuję od Mercy SMS-y, żebym wpadł ją odwiedzić w klubie.

Dużymi, niebieskimi oczyma taksuje mój gabinet i niekończącą się górę papierów. I mnie – jej wzrok prześlizguje się po mojej piersi, a jej palce bawią się kołnierzykiem mojej koszuli.

– Wyglądasz tak dojrzałe. – Założyła na siebie więcej, niż zwykłem na niej oglądać, jednak patrząc na jej opiętą sukienkę, bez trudu można zgadnąć, jak zarabia na życie. Jej krągłości, jej twarz, jej sposób bycia... to wszystko aż krzyczy: „rozbieram się dla pieniędzy!”

I zgadując po wielu spojrzeniach rzucanych przez współpracowników w stronę mojego gabinetu, wszyscy w budynku to dostrzegli. Biorąc pod uwagę słowa Masona, że Jack martwi się, iż moje poprzednie miejsce pracy może negatywnie odbić się na mojej teraźniejszej karierze, to pojawienie się tutaj Mercy prawdopodobnie nie wróży dla mnie nic dobrego. Mimo to przecież nie mogę jej wyrzucić. Pozostaje mieć nadzieję, że niedługo wyjdzie.

– Przynajmniej staram się tak wyglądać. Co tu robisz?

Wymyka się jej słodki chichot.

– Byłam w okolicy i pomyślałam, że zajrzę. *Penny* bez ciebie, to już nie to samo co kiedyś. – Delikatna dłoń przesuwana się po mojej klatce piersiowej, a pomalowane paznokcie drapią mnie po brzuchu, zatrzymując się na pasku od spodni. *Mercy* zawsze lubiła się tak droczyć. Podoba jej się świadomość, że potrafi wzbudzić moją natychmiastową reakcję.

– Wejdz. – Używam wymówki, by zamknąć drzwi i odsunąć się od jej zmierzających na południe rąk. Prowadzę ją do wolnego krzesła, po czym wracam na swój fotel, pozwalając, by dzieliło nas biurko.

– Myślałam, że w weekend odwiedzisz mnie w *Penny* – mówi z lekkim żalem.

– Cały czas tkwiłem tutaj. – Szczerze mówiąc, pomiędzy pracą a czasem spędzonym z *Reese* nawet nie pomyślałem o *Penny*. Byłem zmęczony. Nie mogę uwierzyć, że nie przekroczyłem progu tego klubu od trzech tygodni. To mój nowy rekord.

– Teraz już nie jest tam tak zabawnie. – Jej uśmiech blednie. – Nie wiem, co się stało, *Ben*. *Charlie* zniknęła, *Chinka* wyleciała z pracy... – Krzywi się. – Nigdy nie widziałam tak nieszczęśliwego *Caina*.

– Tak, ja też nie wiem, co się dzieje. – To kłamstwo. Wiem więcej niż reszta, ponieważ mój przyjaciel, szef ochrony, zadzwonił do mnie i wtajemniczył w tę całą sprawę. Wygląda na to, że *Cain*, mój dobry przyjaciel i właściciel klubu, zakochał się w striptizerce, która miała więcej sekretów, niż był w stanie odkryć swoimi nie do końca legalnymi metodami, o których oczywiście nic nie wiem. Zniknęła w nocy, a *Cain* się załamał, choć zawsze był ostrożny i opanowany.

Mercy z westchnieniem zakłada nogę na nogę, przez co całkowicie rozprasza mnie czarna koronka jej majteczek. Przynajmniej jakieś dzisiaj założyła. Tego nigdy nie można być pewnym. Cholera, minęły również trzy tygodnie, odkąd ostatni raz z kimś spałem. To dla mnie nienaturalne. A teraz siedzę naprzeciw dziewczyny, która z przyjemnością się rozbiera. Nie mam pojęcia, jakim cudem uchowała się wśród amiszów. Najwyraźniej muszę odwiedzić jakąś ich wspólnotę, by się przekonać, czy u nich to normalne, czy też jednak jest odmieńcem.

Po dziesięciu minutach uprzejmej rozmowy *Mercy* nagle wstaje.

– Powinam już iść i pozwolić ci wrócić do roboty. Chciałam tylko zobaczyć, jak pracujesz. – Pochyla się nad biurkiem i całuje mnie w usta. – Zjemy później kolację?

Kolacja znaczy seks? Przecież nigdy nic razem nie jedliśmy. Wzdycham przeciągle, patrząc w jej spory dekolt, i mówię:

– Dobra, zobaczę, czy uda mi się stąd wcześniej wyrwać. – Nic nie mogę na to poradzić. Przy *Mercy* nie można nie czuć się sfrustrowanym.

Wychodzi, a ja zauważam *Reese* stojącą w drzwiach mojego biura. Trzyma przytulone do piersi co najmniej kilkanaście żółtych teczek z dokumentami, a cyniczny wyraz maluje się na jej twarzy, gdy przygląda się mojej towarzyszce.

Patrząc w stronę wyjścia, *Mercy* posyła *Reese* sztywny uśmiech – może i jest słodka, ale nie jest idiotką. Potrafi odczytać dezaprobatę w karmelowych oczach *Reese* – po czym wychodzi, nucąc pod nosem.

Reese wchodzi do mojego gabinetu i bezceremonialnie rzuca mi dokumenty na kolana. Jestem pewien, że celowała w moje fiuta.

– Spotykasz się z tym Ciasteczkiem? Zawiozłeś mnie do domu, przedstawiłeś mamie, więc byłam pewna, że jesteś we mnie zakochany. – Brzmi tak nonszalancko, że nie muszę się martwić, iż

naprawdę w to wierzy.

Gryzę się w język, myśląc nad odpowiedzią. Odpowiadanie Reese czasem jest trudne. Właściwie to zależy mi, bym nie zabrzmiał jak kretyn, podczas gdy normalnie mam to gdzieś. W końcu decyduję się i przyznaję:

– Jesteś bezpieczna, przysięgam. – Rzucam dokumenty na biurko. – I co znalazłaś?

– Zrobiłam notatki do spraw, które chciałbyś przejrzeć i opisałam te priorytetowe, które kauzyperda będzie chciała wziąć do sądu. Rozwiązałam też dla ciebie sprawę Kensingtona. Nie ma za co.

Mimowolnie przesuwam wzrokiem po jej sylwetce. Wizyta Mercy sprawiła, że widzę, jak naturalnie piękna jest Reese. Jak prawdziwa. Bez silikonu. Ciało jędrne, ale bez przesady. Zabiłbym, by ponownie ujrzeć ją nago. Gdyby mama nie pojawiła się w sędzie, trzydzieści sekund później miałbym Reese na pace starej ciężarówki.

Z teczki leżącej na wierzchu wyciąga kartkę papieru i kładzie mi ją na biurku.

– Sprawa doktorka wypada. Widzisz? – Stuka smukłym palcem w kartkę. – Pół roku temu firma jego żony wpłaciła na konto prywatnej kliniki sto tysięcy dolarów.

Zwracając uwagę na akta sprawy, przeglądam dokumenty finansowe.

– Szlag. Masz rację. – To wystarczająca suma, by zdyskredytować biegłego próbującego przedstawić naszego klienta jako psychopatycznego ojca, który znęcał się nad dzieckiem. Jego była żona stara się uzyskać wyłączną opiekę nad trzyletnią córeczką, a co za tym idzie, wysokie alimenty. – Bez zeznań tego palanta będzie musiała się poddać.

– Dobra, gdzie, u diabła, to znalazłaś?

Wzrusza ramionami.

– Nie było tak trudno.

Natasha była w kropce. Ja też. Myśleliśmy, że będziemy tak długo szukać czegoś, czym moglibyśmy wygrać tę sprawę, że w końcu ją przegramy. Ponownie zerkam na pełen satysfakcji uśmiech Reese. Naprawdę rozważam zabranie jej w kąt sali konferencyjnej, by podziękować tak, jak mam na to ochotę. Do pomieszczenia z żaluzjami i zamykanymi na zamek drzwiami. Jack wyjechał z miasta w interesach. Tylko Natasha mogłaby nam przeszkodzić w „pracy”.

Cholera, ta myśl wcale nie pomaga na kłopot w spodniach, który staram się ukryć pod biurkiem.

Rzucam długopis na blat i opieram się w fotelu.

– Jesteś niesamowita. Wiesz o tym, prawda?

– Wolę określenie spektakularna. – Zakłada kosmyk włosów za ucho, a na jej twarzy maluje się przepaszający wyraz twarzy. – Słuchaj, wiem, że obiecałam zostać do późna, ale dzisiaj był zwariowany dzień i nie czuję się za dobrze. Mam zamiar jechać do domu, zdrzemnąć się i popracować dopiero wieczorem.

Gdy tak się jej przyglądam, to rzeczywiście jest blada.

– Dobra, jak chcesz.

– Jest jeszcze coś, do czego jestem ci niezbędna? – Jej spojrzenie jest przykute do mojego krocza, po czym mówi oschle: – Poza problemem, którym z pewnością zajmie się Ciasteczko? – W jej głosie słychać drwinę.

– Zazdrosna? – Sama ta możliwość sprawia, że uśmiecham się od ucha do ucha. Zaplątam palce za głowę i przyznaję: – Bo wolałbym, żebyś to ty się tym zajęła. – I mówię to szczerze.

Reese zaciska usta w zamyśleniu, gdy wzrokiem drapieźnika przygląda się mojej sylwetce.

Zazwyczaj jest bardziej dyskretna, gdy na mnie spogląda – woli to robić, gdy sądzi, że tego nie widzę. Ścisza odrobinę głos i mówi:

– Dobrze. Sala konferencyjna?

– Co? – Natychmiast unoszę brwi. *Cholera*. Tego się nie spodziewałem. Natychmiast rozglądam się w poszukiwaniu kogoś, kto mógł być świadkiem tych słów, ponieważ drzwi nie są domknięte. Mówi poważnie?! Nie potrafię tego stwierdzić! Wiem tylko, że będę cierpiał, jeśli żartuje.

Prycha nikczemnym śmiechem.

– Pani Cooke! – woła asystentkę Jacka przechodzącą obok mojego gabinetu.

Pani Cooke wkłada głowę przez szparę w drzwiach, chusteczką ocierając pot z czoła.

– O co chodzi?

– Ben właśnie opowiadał, że w weekend jadł pani babeczki i zastanawiał się, jak pani to robi, że są takie pyszne.

Spojrzenie kobiety rozpogadza się i ląduje na mnie.

– Och, miło z twojej strony. Dam ci przepis dla mamy. Możesz teraz zapisać? – Macha rękami i się śmieje. Wchodzi do mojego gabinetu, wciska się w krzesło – tak, dosłownie się wciska – a ja piorunuję wzrokiem Reese.

– Pomogłam? – pyta Reese słodziutko.

Mimowolnie się uśmiecham.

– Tak, bardzo. – *Niczym wiadro z lodem*.

– To dobrze. Może mimo wszystko nie będziesz potrzebował Ciasteczka – mówi i wychodzi.

* * *

Odpywam w zapomnienie, gdy rozlega się pukanie do drzwi.

– Tak? – mówię ochryple, otwierając oczy i zerkając na czerwone, świecące cyfry na wyświetlaczu zegara. Pierwsza w nocy. Jestem cholernie zmęczony.

Drzwi otwierają się i w świetle lamp korytarza widzę platynową blondynkę ubraną w połyskującą, niebieską sukienkę.

– Cześć – mówi Mercy, wypinając tyłek, by zamknąć nim drzwi. – Travis mnie wpuścił.

Przewracam się na plecy i mamroczę:

– Miło z jego strony. – Od niemal sześciu lat mieszkam w tym domu z pięcioma chłopakami. Zawsze któryś jest obecny i nikt nigdy nie odmówił Mercy wstępu. Biorąc pod uwagę sytuację, chyba będę musiał wprowadzić jakąś nową regułę.

Podchodzi, jak ma w zwyczaju – wolno i z wdziękiem niczym kotka – aż dociera do łóżka. Przestałem zaciągać na noc zasłony, bo poranne słońce pomaga mi wstawać. Teraz mam wystarczająco dużo światła z ulicznych latarni, by przyjrzeć się jej sylwetce.

– Mówiłeś, że zadzwonisz.

– Musiałem zostać w pracy. – Tak naprawdę zapomniałem o Mercy. Kiedy już dostałem od pani Cooke przepis na babeczki, który mam zamiar przekazać mamie, spędziłem wiele godzin na przegrzebywaniu się przez dokumenty, które dała mi Reese.

Spojrzenie Mercy wędruje po mojej nagiej piersi i brzuchu, jej brwi unoszą się, gdy trafia niżej, w miejsce, gdzie pod kołdrą tworzy mi się namiot. Nic nie mogę na to poradzić. Dziewczyna wyciąga dłonie, wkłada palce pod ramiączka sukienki, zsuwając ją, aż, połyskując, ląduje na podłodze. Pracując sześć dni w tygodniu w *Penny*, widziałem nagą Mercy tak wiele razy, że niemal mógłbym w ciemności nakreślić wszystkie jej piegi.

– Pomyślałam, że może... – mówi wolno, odsuwając kołdrę i wchodzi do łóżka, przerzucając nogę przez moje ciało, by usiąść mi okrakiem na udach. – ...mogłabym zostać u ciebie na noc i... – Pochyla się, opiera przedramiona na mojej poduszce, a jej silikonowe piersi spoczywają na mojej klatce piersiowej. – ...skonsumować tę kolację do syta. Okej?

Mimowolnie się śmieję. Mercy wie, jak używać słów. Nigdy nie przechodzi od razu do rzeczy i nie mówi nic sprośnego, jednak podtekst jest jasny. Mój umysł łatwo pomija część o pozostaniu na noc i od razu przechodzi do tej, w której dziewczyna zsuwa się w dół mojego ciała. Jej długie włosy laskoczą mnie po brzuchu i czuję ciepło jej ust.

Następnie, z głębokim jękiem, mój umysł całkowicie się wyłącza.

* * *

– Wszystko w porządku? – pyta Mason od drzwi gabinetu.

– Pewnie dostanę w tyłek, na co w sumie zasługuję – mamroczę, spoglądając na telefon.

CHCESZ IŚĆ ZE MNĄ NA ŚLUB STORM I DANA W TEN WEEKEND?

Wiedziałem, że nie powinienem na to pozwolić. No ale co miałem zrobić, gdy piękna striptizerka pojawiła się w mojej sypialni w środku nocy? Żaden facet by nie odmówił. Nieważne, kim by był. Gdyby odmówił, musiałby albo kłamać, albo być gejem.

Mercy nigdy nie zostawała na noc. Wstałem i wyszedłem do pracy, zanim się obudziła, przynajmniej nie czekało nas kłopotliwe pożegnanie. A teraz napisała, byśmy razem poszli na ślub? Tak, to ceremonia naszych wspólnych znajomych, Storm i Dana, ale... bez przesady. Nie podoba mi się to. Przeczucie podpowiada mi, że Mercy zdecydowanie chce ode mnie czegoś więcej. Stwierdzenie, że chcę, byśmy byli tylko przyjaciółmi, nie zda egzaminu. Przechyli tę swoją śliczną główkę i powie: „Och, Ben”, po czym złapie mnie za penis. Jeśli nie przyjdę na ten ślub z kimś innym, szybko skończę w łazience ze spodniami wokół kostek.

Cholera. Muszę znaleźć sobie jakąś inną laskę. Ale kogo? Kogo mam zabrać? Nie mogę zaprosić kogoś, kogo w przeszłości bzykałem – to sprowadzi się do tego samego kłopotu, co z Mercy. W końcu to ślub. Laski świrują na ślubach. Zaciekle próbują złapać bukiet. Potrzebuję iść z kimś, kto nie będzie miał wobec mnie oczekiwań. Potrzebuję...

– Gdzie jest dzisiaj twoja siostra? – pytam znieczeka Masona. Cały rano gapiałem się na gabinet Reese, ale nie było w nim oznak życia. Obiecała, że przyjdzie mi pomóc. Poza tym, choć nie chcę tego przyznać, potrzebuję mojej codziennej, porannej dawki Reese. Jest dla mnie jak narkotyki.

– Przybrana siostra – poprawia. – I jest w domu, chora.

– Serio?! – Cholera. Mówiła wczoraj, że chce wcześniej wyjść, by się przespać.

Kiwa głową.

– I wzięła ze sobą dokumenty, przez przypadek także moje. Jadę, by je odzyskać – mówi, po czym dodaje pod nosem: – Do tego zainfekowanego domu.

No tak, Mason unika chorych ludzi, jakby roznosili dżumę.

– Ja pojedę. Ja się nie boję – rzucam szybko.

– Ben, możesz mi wierzyć, nie chcesz...

– Nie szkodzi. Poza tym i tak mnie lubi bardziej.

W jego zielonych oczach widzę przeblysł jakiejś myśli, po czym jego usta rozciąga uśmiech. Dzieje się to jednak zbyt szybko, bym mógł zgadnąć, o co chodzi. Mason wyciąga z kieszeni klucze i kładzie je na moim biurku.

– Muszę mieć te dokumenty w południe. Możesz jej przy okazji kupić jakieś leki na przeziębienie?

Obiecałem Jackowi, że to zrobię.

– A czego jej potrzeba?

Wzrusza ramionami.

– Paracetamol? Ibuprofen? Valium?

– Dobra. – Biorę kluczyki, adres i czekam. I czekam. W końcu się poddaję. – Stary, nie ostrzeżesz mnie, że mam nie kombinować z twoją siostrą?

– Przybraną siostrą! – poprawia ostro, ale natychmiast wraca cień jego uśmiechu. – I nie, nie martwię się o to. – Mason wychodzi, po czym rzuca przez ramię: – Do dwunastej. Muszę mieć te dokumenty do dwunastej.

Cóż, to daje mi prawie dwie godziny na wymyślenie, jak przekonać Reese, by poszła ze mną na ten ślub.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

REESE

– Dlaczego w całym tym pieprzonym domu nie ma żadnych leków?

– A wiesz, że te sztuczne rzeczy niszczą tylko system odpornościowy? – Rozbrzmiewa głos Liny z głośnomówiącego telefonu stojącego przy moim łóżku. – Właśnie dlatego powtarzam ci, żebyś codziennie pamiętała o żeńszenu.

– Ty i Jiminy Świerszcz jesteście siebie warci – mamrocę pod nosem, gapiąc się w ścianę naprzeciwko. Głowę opieram na trzech poduszkach tak, że prawie siedzę. Inaczej się duszę. Zdążyłam przegrzebać szafkę łazienkową Masona. Ma w niej witaminy i suplementy, ale nic przydatnego. Jack, ze swoim przeświadczeniem, że kieliszeczek wódki dziennie trzyma choroby z daleka od niego, też nie pomaga. Znalazłam jedynie niewielką tubkę maści rozgrzewającej z mentolem, którą posmarowałam sobie klatkę piersiową, plecy, a nawet górną wargę.

– A czy Jiminy Świerszcz choruje? Bo ja nie.

– Podejrzewam, że nie jesteście w stu procentach ludźmi. Pewnie dlatego jesteście razem – mamrocę. Ubrałam szary szlafrok, który, szczelnie owinięty niczym kokon wokół mojego ciała, nie pozwala mi dygotać. Myślałam, że jestem przemęczona i niewyspana przez cały ten syf związany z Jaredem. Wyszłam z pracy, planując się zdrzemnąć i nadrobić zaległości wieczorem. Równie dobrze mogłam zostawić te dokumenty w biurze, ponieważ odpłynęłam, gdy tylko moja głowa dotknęła poduszki i spałam nieprzerwanie przez trzynaście godzin. W tej chwili trzęsę się jak osika na wietrze, a głowa pęka mi od bólu zatok. Wszystko, czego chcę, to wyzdrowieć, ale oprócz przeterminowanych tabletek – których zażycie rozważam – w domu nie ma żadnych innych leków.

– Widziałam u Masona w szufladzie trochę imbiru. Mogę go wziąć? – Tak, Mason ma odrębną szufladę w lodówce i tak, dostanie zawału, kiedy odkryje, że w niej grzebałam.

Lina wzdycha głośno z irytacją, po czym mówi:

– Imbir bierze się, by nie zachorować. Jeśli chcesz coś naturalnego, zjedz czosnek.

– Czy to kolejne koreańskie dziwactwo?

– Nie, to kolejne homeopatyczne dziwactwo. – Lina czasami brzmi na przemądrzałą, szczególnie dla tych, którzy jej nie znają. – Zazwyczaj kroję go w plasterki i kładę na chleb, wtedy jest znośniejszy.

– W tym domu nie ma chleba, oprócz ryżowego pieczywa należącego do Masona, a gdy go jem, chce mi się rzygać – narzekam.

Mogę przysiąc, że słyszę, jak przewraca oczami.

– Zapomniałam, jak wkurzająca jesteś, kiedy chorujesz.

– A nie możesz mi czegoś przywieźć?

– Niestety nie mogę wyjść jeszcze przez kilka godzin. Cały dzień mam klientów. Prosiłaś Nicki?

– Dzisiaj jest poza miastem.

– Jack? Mason?

– Jack jest w sądzie, a co do Masona... Serio?! Nie przyjdzie tutaj bez skafandra ochronnego. Nie zdziw się, jeśli wprowadzi się do ciebie na tydzień. – Stękam i jęczę, by podkreślić swoje cierpienie.

Kiedy się w końcu zamykam, wkurzona na samą siebie, Lina mówi:

– Jest jeszcze ten nowy w pracy, którego chyba lubisz.

– O rany boskie, Lina. To naprawdę nieodpowiedni moment.

Ciągnie dalej, ignorując mnie całkowicie. Razem z Nicki są w tym mistrzyniami.

– Pomyślałam, że w sobotę moglibyśmy iść na podwójną randkę. Ty z nim, a ja z Masonem.

– Nie.

– To przez Bena, prawda? Spotykacie się?

Wzdycham.

– Nie. Nic się nie dzieje między mną a Benem. – Nic poważnego. A to, że udawał mojego chłopaka, wcale się nie liczy.

– Serio? Nic a nic? – Jej słowa są pełne wątpliwości.

– Nic, Lina. Nadal jestem zgorzkniałą, starą wiedźmą, a Ben wyparowałby jak kamfora na samo słowo „randka”. Do tego on nie jest w moim typie! Wiesz przecież. – Lina widywała facetów, do jakich mnie ciągnie. Smętnych, wytatuowanych motocyklistów. Szczupłych, z ciemnymi, długimi włosami. Dobrze zbudowany, uśmiechnięty blondyn, który swego czasu grał w futbol i wie, jak uprawiać pomarańcze w sadzie, nie jest facetem, którego szukam.

– No wiem, ale daj spokój. Nawet troszkę ci się nie podoba? Ja myślę, że jednak tak. Nicki też tak uważa. Nawet Mason stwierdził, że gdyby był gejem, Ben by mu się podobał.

Jakby wyobrażanie sobie Masona z Liną nie było wystarczająco złe... Walczę z zamykającymi się oczami, ale przegrywam. Może podczas rozmowy odpłynę w sen.

– Tak, jest atrakcyjny – mówię, po czym dodaję niechętnie: – Właściwie jest dość seksowny. I świetnie całuje. I wie o tym. Ma też niewyparzoną buźkę, ale to nic, czego szeroka taśma klejąca nie byłaby w stanie naprawić.

– I? Pościągał już te pajęczyny, których nie wolno mu ruszać? – Najwyraźniej Mason powiedział Linie o bezrandkowej polityce, więc nie bardzo wiem, co jej odpowiedzieć.

– Trochę się obmacywaliśmy, ale pajęczyna jest nadal cała i bezpieczna. – Skłamałabym mówiąc, że nie czuję się inaczej po weekendzie. Trochę mnie dotknął widok striptizerki w jego gabinecie. I nie dlatego, że jestem feministką i reaguję tak na kobiety sprzedające swoje ciało. Interesowało mnie raczej to, ile razy z nią spał, czy nadal sypia i jak mogę sprawić, by przestał to robić.

– Tylko nie rób niczego, przez co któreś z was straciłoby pracę. Mason naprawdę się o to boi. Lubi Bena, ale też dobrze go zna.

– Jack nigdy mnie nie zwolni.

– Reese...

– Nie sprawię, by wylał Bena – mruczę z irytacją, po czym dodaję: – Ale dziękuję, że tak się troszczysz o naszego przyjaciela.

– Mówię poważnie. Nie chcę, byś była zgorzkniała, jeśli coś nie wypali.

– Nie przejmuj się. Cały czas jestem zgorzkniała. No i żartujesz? Nie chcę związku z Benem! On przeważnie jest jak śwędząca wysypka, która nie chce zniknąć.

– Dobra, dobra. A wiesz, że siostra Nicki urządza teraz domowe pokazy zabawek erotycznych? Powinnaś coś od niej zamówić.

Wzdycham.

– Przyjaciółka sugeruje, że powinnam sobie na urodziny sprawić wibrator? Kompletnie we mnie nie wierzysz. Cudownie.

– Zapamiętam – wcina się nagle znajomy, męski głos. Otwieram oczy i tuż przed sobą widzę niebieskie tęczęwki oraz ogromny uśmiech. Robię więc to, co zrobić powinna każda na wpół żywa dziewczyna z grypą, kiedy zostaje zaskoczona przez faceta w sypialni. Jęczę, a moja pięść pędzi na spotkanie z jego nosem.

– Jezus, Reese! – Ben odskakuje w tył, jedną ręką zasłaniając się przed ponownym atakiem, drugą trzymając za twarz.

– Cholera – mamroczę, widząc niewielką stróżkę krwi na jego górnej wardze.

Patrzy na umazane nią palce.

– Myślisz?!

– Reese?! – pyta Lina nieufnie.

– Wszystko z nią dobrze. Jednak z dość seksownym prawnikiem, któremu chciałaby zakleić usta taśmą, nie – mamrocze Ben.

Fantastycznie. Słyszał całą rozmowę. Natychmiast oblewam się rumieńcem. Z szafki nocnej porywam chusteczkę i wciskam mu do ręki, a nie mogąc powstrzymać zgryźliwości w głosie, mówię:

– Co ci odbiło, żeby zakradać się do mojej sypialni?!

Wkładając chustkę do nosa, wyjaśnia:

– Przyjechałem po dokumenty Masona. – Sprawdza krew na chusteczce, po czym dodaje: – Dlaczego jesteś taka brutalna?!

Przewracam oczami.

– A przywiozłeś jakieś lekarstwa? – Mason wie, że ich potrzebowałam.

– Czy to twój sposób na przeprosiny?

– Żądasz przeprosin za włamanie się do mojego domu, wślizgnięcie się do sypialni i przestraszenie mnie?

Unosi klucze Masona.

– Semantyka – mamroczę, opadając z powrotem na mój stos poduszek, bo czuję się wyczerpana.

Lina odchrząkuje, przypominając mi, że nadal jest na linii.

– Muszę iść na spotkanie. Później do ciebie zadzwonię. Dobrej zabawy, Ben. Kiedy jest chora, jest jeszcze miłsza. – Połączenie zostaje przerwane, a Ben nadal mociuje się z chusteczką.

Mam trochę wyrzutów sumienia.

– Złamany?

– Nie, nic mu nie będzie – odpowiada po chwili. – Mason mówił, że masz gripę.

Zamykam oczy.

– Nie wiem. Może to ebola. Albo dzuma. Jest zbyt wcześnie, by to stwierdzić. Chociaż wiem, że to mocno zaraźliwe.

Kiedy ryzykuję ponowny rzut oka na Bena, zauważam, że mi się przygląda i już wiem, co widzi: rozczochrane włosy, bladą twarz, przekrwione oczy, szare dresowe spodnie i wielki, sprany podkoszulek z Depeche Mode, który sięga mi prawie do kolan. To koszulka Jareda, którą ukradłam podczas incydentu z czerwoną farbą. Ben odchyła głowę i ukradkiem się uśmiecha.

– No co? – warczę, w pełni świadoma, jak nieatrakcyjnie teraz wyglądam, a także wkurzona tym, że mój przybrany brat wysłał do mnie naszego seksownego, pyskatego współpracownika, by zobaczył mnie w takim stanie. – Jesteś na mnie gotowy?! – pytam kpiąco, naciągając na siebie kołdrę.

Chichocząc, wrzuca chusteczkę do kosza.

– Daj mi te dokumenty i możesz wrócić do gadania o wibratorach i pajęczynach.

Moje policzki znów robią się czerwone, kiedy w duchu wyklinam Masona.

– Podaj tamte teczki. – Macham ręką w kierunku podłogi i obserwuję, jak się po nie schyla, w myślach podziwiając, jak dobrze układają się na nim spodnie.

Czuję, że Ben na mnie patrzy, gdy przegrzebuję dokumenty. Znajduję te należące do mojego przybranego brata i przyczepiam do nich karteczkę samoprzylepną, na której piszę:

Małymi oczkami wypatrzyłam coś twójego, co polizałam.

Zgadnij, co to!

Zemsta jest słodka, Masonie. Myślałam, że już się tego nauczyłeś.

Ben śmieje się cicho.

– Nie wiem, czy podoba mi się ten twój diabelski uśmieszek.

– Spokojnie. Nie ty jesteś celem. – Zamykam teczkę z dokumentami i rzucam na podłogę, pod nogi Bena. Krzywiąc się, naciągam kołdrę na głowę. Trudno mi przez to oddychać, ale kiedy jestem chora, zachowuję się jak ranne zwierzątko, szukając odosobnionej jaskini, w której mogłabym umrzeć. Mason był tego świadom, kiedy wysłał tu Bena. Gdy następnym razem zobaczę swojego przybranego brata, mam zamiar skrócić mu kark.

– Zamknij za sobą drzwi.

Słyszę tupanie po podłodze. Wychylając się chwilę później z ukrycia, widzę, że chodzi po moim pokoju, przeciągając palcami po starej niebieskiej gitarze elektrycznej.

– Nie kłamałaś – mamrocze pod nosem.

Mam ją od piętnastego roku życia, kiedy gwizdnęłam sto dolarów z torebki Annabelle i udałam się prosto do lombardu. Byłam dość sprytna. Poczekalam, aż wtoczy się do domu po nocy spędzonej w klubie country, wiedząc, że nie będzie wiedziała, skąd ten brak gotówki i założy, że kupiła tam niebotycznie drogą butelkę wina. Kiedy miałam już gitarę, dzieciak o imieniu Len siadywał ze mną codziennie na trybunach boiska pobliskiej szkoły i uczył mnie grać. Z łatwością potrafiłam grać ze słuchu i nim minął rok, umiałam już wybrzdąkać utwory Led Zeppelin. – Nieproszone uśmiech maluje mi się na twarzy, gdy przypominam sobie uwagę Bena z Cancún. – Tak, jestem w pełni świadoma, że jestem przez to diabelnie seksowna.

– O tak – mamrocze Ben, po czym dodaje z uśmiechem: – Chociaż może nie w tej chwili.

– Zamknij się!

Jego wzrok ślizga się po reszcie moich rzeczy: fotografiach starych ciężarówek wiszących na ścianach, wielkiej pufie, na której uwielbiam siedzieć, z roztargnieniem robiąc notatki; zabawce harleya stojącej na półce w szafie, w której na chybił trafił wiszą ubrania. Wszystko to pokazuje, kim jestem i sprawia, że w pokoju, który dał mi Jack, czuję się jak w domu. I wszystko to chciałam spalić po tym, jak Caroline położyła na tym swoje łapska.

– Jesteś dziwna, MacKay. Nadal próbuję cię zrozumieć. Harleye, stare pickupy i Depeche Mode. – Urywa. – Lubisz szary kolor, co?

– To mój ulubiony. – Przyglądam się uważnie, jak Ben podchodzi do mnie, obraca się, po czym

kładzie się obok mnie na łóżku, a materac ugina się i skrzypi pod jego ciężarem. Wydaję cichy jęk, kiedy wkłada mi rękę pod plecy.

– Chodź do mnie. I nie bij. – Pomimo protestów i grymasów, natychmiast przysuwam się do niego i opieram na jego umięśnionej kłacie.

– Nie marudź, kiedy się rozchorujesz – ostrzegam, krzywiąc się i zamykając oczy. Walczę z jękiem rozkoszy, gdy palcami zaczyna gładzić mnie po włosach. Jeśli to pomysł Bena na grę wstępna... Poddam mu się. Nawet z zatkanymi zatokami jestem w stanie wyczuć ten silny, męski zapach. Przypomina mi o weekendzie. Uświadamiam sobie również, że mam pod nosem maść rozgrzewającą, z powodu której mi nie dogryzał... jeszcze.

– Słuchaj. – Odchrząkuje głośno. – Mam do ciebie prośbę, a wiem, że się specjalnie rozchorowałaś, by przez tydzień unikać pracy ze mną ... – Mimo że tego nie widzi, przewracam oczami. – No i pamiętasz, jak pomogłem ci z byłym mężem?

– Liżąc mi migdałki? Tak, przypominam sobie.

– A potem zrobiłaś ze mnie współnika w strzelaninie. Nie zapominaj o tym. Cóż, mam coś w planach na sobotę i przydałaby mi się twoja pomoc.

– Coś?

– No tak. Taką jakby imprezę. W domu kumpla. Muszę wyglądać, jakbym był zajęty.

Zaczynam rozumieć.

– Szwajcaria chce oszukiwać?

– Mniej więcej.

Och. Czyżby choć raz świat nie był przeciwko mnie? To może działać na moją korzyść. Jeśli jest naprawdę zdesperowany...

– No nie wiem – zacznę mówić z udawaną ostrożnością.

– Och, no daj spokój, Reese! Ja ci pomogłem. Proszę. – Uśmiecham się, opierając o jego pierś. Lubię, kiedy Ben o coś błaga. – Potrzebuję, byś weszła na boisko.

Świetnie. Futbolowy żargon.

– Dlaczego ja?

– Ponieważ nic złego nie strzeli ci do głowy.

– Tak, bez obaw. Dokładnie wiem, o czym mówisz – szydę cicho. – Do soboty prawdopodobnie będę martwa.

– A co jeśli przyniosę coś, co utrzyma cię przy życiu?

– Mów dalej.

Ben odpycha mnie od siebie, po czym wstaje z łóżka. Już się przyzwyczajałam do jego dotyku. Ta jego nagła nieobecność jest dziwnie niewygodna.

– Dokąd idziesz? – pytam, obserwując, jak wychodzi z pokoju. Chwilę później wraca, trzymając reklamówkę z lekami i styropianową miseczkę. – Połowa apteki i rosół w zamian za jedną udawaną randkę.

Wyciągam rękę, ale nie jestem na tyle szybka, bo Ben odsuwa siatkę poza mój zasięg, huśtając nią na palcu.

– Umowa stoi?

– Nie grasz fair.

– Zapewne bardziej fair niż ty.

To dla mnie szansa.

– Połowa apteki i obowiązki fałszywego chłopaka przez jeden wieczór w zamian za udawaną randkę na tym twoim czymś.

Jego uśmiech blednie.

– Co? Mam udawać twojego chłopaka? Dlaczego?

– Nie ma znaczenia dlaczego. Ważne jest tylko kiedy, a o tym cię poinformuję.

Jego nozdrza poruszają się, gdy oddycha głęboko.

– Coś kombinujesz, prawda? – Nie odpowiadam, obserwując, jak rozważa ofertę, a jego wzrok opada na moje usta. Po chwili jego łobuzerski uśmieszek powraca. – Obowiązki fałszywego chłopaka w pełnym zakresie?

– Bardzo wątpliwe. – Chociaż moje dotychczasowe doświadczenia z tym facetem mogą temu przeczyć.

Uśmiecha się, dając znać, że mi nie wierzy, ale marszczy też czoło.

– Jakie szanse, że wylecę przez to z pracy?

– To będzie nasza mała tajemnica. – Kreślę na piersi krzyżyk.

Stawia supę na szafce nocnej i rzuca mi reklamówkę z lekami.

– Przyjadę po ciebie w sobotę o piątej. Ubierz sukienkę. Czerwoną.

Przewracam oczami. Ben naprawdę lubi odgrzewane żarty.

Waha się przez chwilę, ale pochyla się i całuje mnie w czoło.

– Wyzdrowiej i zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała.

Z mieszaniną niezadowolenia i zachwytu obserwuję, jak idzie do drzwi.

– Uściskaj Masona, po czym poinformuj go, że mam bardzo zaraźliwą wysypkę.

W korytarzu rozlega się donośny śmiech Bena, a ja sprawdzam zawartość reklamówki. Musiał kupić każde lekarstwo na przeziębienie, jakie tylko stało na półce.

I prezerwatywy.

Z wymalowaną na pudełku uśmiechniętą buźką.

Nie mogę się powstrzymać i pomimo że fatalnie się czuję, zaczynam spazmatycznie chichotać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

BEN

Nie jestem przyzwyczajony do cichej Reese. W tej chwili siedzi na miejscu pasażera w mojej jetcie, zerkając na mnie znad okularów przeciwsłonecznych, które założyła, by nie oślepiła ją późne, popołudniowe słońce, i milczy, przez co myślę, że ktoś odciął jej język.

Oczywiście nie przeszkadza mi to znów błędzić wzrokiem po jej ciele, które odziane jest w białą sukienkę. Jedyne damski styl, który znam, to „krótkie i obcisłe”, ale i tak podoba mi się we wszystkim, co na siebie założy. Dekolt sprawia, że jej cycki wyglądają na większe, a choć nie widzę spod materiału tyłeczka, potrafię go sobie bez trudu przypomnieć. W sumie, jako facet ze zdrową wyobraźnią, nie potrafię nie skupiać na niej uwagi.

Nie tylko dlatego, że jest powalająca. Ale też dlatego, że się za nią stęskniłem. Nie widziałem jej, odkąd cztery dni temu byłem w jej domu, kiedy się rozchorowała. Cieszę się, że jest zdrowa. Nie sądziłem, że jej się to uda.

Odchrząkuje i unosi brwi, co mówi mi, że ma dość mojego spoglądania.

– Musi ci być gorąco.

– No tak – mówię, wysiadając w słoneczny żar, przypominając sobie po raz dziesiąty, że do końca ceremonii nie mogę zdjąć krawata.

– Przepraszam, nie mam czerwonych rzeczy – wyjaśnia z uśmiechem, wysiadając i wygładzając sukienkę.

– Żadnych?

Wzrusza ramionami i rusza przed siebie, dając mi piękny wgląd na jej długie nogi. Nadal dręczy mnie pytanie, czy kolczyk w sutku jest jedynym, który chowa pod ubraniem.

– Nic, co mógłbyś zobaczyć – rzuca przez ramię.

– Aha. Myślałem, że dość seksowny prawnik mógłby rzucić na coś okiem. – Niemal pogryzłem się do krwi, tak mocno przygryzałem język, by się nie roześmiać, kiedy podsłuchiwałem, jak rozmawiała przez telefon z koleżanką. Kiedy zaczęły mówić o wibratorach... Niech to szlag! Byłem z kilkoma laskami, które wyciągały z szuflady zabawki, kiedy się nimi zajmowałem. Te noce na zawsze pozostaną w mojej pamięci.

Reese patrzy na mnie przez ramię. Jej policzki są szkarłatne, więc unoszę ręce w geście poddania. Już nauczyłem się, że Reese może grać trudną, ale nie lubi być speszona. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, to wkurzenie tego małego komandosa.

– Możesz powtórzyć, co to za imprezka? – pyta Reese, przyglądając się dwóm striptizerkom z *Penny*, idącym przed nami w sukienkach tak obcisłych, że pobudziłyby martwego.

Nie było mowy, bym powiedział jej prawdę. Za żadne skarby by ze mną nie poszła.

– Taka, na której będziesz się dobrze bawiła. – Zarzucam rękę na jej ramiona i prowadzę do

posiadłości z widokiem na plażę. Boże, nadal jest gotowa uciec. Na razie jednak drepcze obok mnie.

– Więc, żeby było jasne, jestem okazjonalną partnerką czy nową dziewczyną?

– Okazjonalną partnerką. Wszyscy, którzy mnie znają, w nic innego by nie uwierzyli. – Obdarowuję ją uśmiechem zadowolenia i dodaję: – Chociaż bardzo we mnie zakochaną, oczywiście. Innej bym nie przyprowadził.

Kiedy wychodzimy zza rogu, widzę, jak zerka na mnie nieśmiało. Nagle, na widok ozdobionego kwiatami łuku i ustawionych przed nim składanych krzesełek, staje niczym spłoszony kot przed wanną wody.

– Przywiozłeś mnie na pieprzony ślub? – syczy i natychmiast zrzuca z ramion moją rękę.

– Nie przeklinaj, to przynosi pecha.

Wbija mi paznokcie w rękę w taki sposób, że zaczynam żałować, iż ją zaskoczyłem.

– Mam białą sukienkę, Ben!

– I wyglądasz cholernie dobrze – zapewniam, ona jednak zamyka oczy i kręci głową, jakby mówiła: „Boże, ale z ciebie idiota”.

– Nie można przychodzić na ślub w białej sukience! Będę wyglądała, jakbym chciała konkurować z panną młodą.

– Do diabła. Nie przejmuj się tym. Nie możesz z nią konkurować. – Cholera. Wzdycham. – To znaczy... – Już wiem, że mówiąc to dałem ciała, a ostre spojrzenie tylko to potwierdza. – Źle to powiedziałem. No wiesz, o co mi chodziło. Chodź. – Szturcham ją, by się ruszyła. – Chodź, napijemy się. Pewnie mają dobre drinki. – Znając Storm, barek będzie wypełniony samymi najlepszymi.

– Powiedz proszę, że znasz tych ludzi, Ben. I czy wiedzą, że przyjdę. Bo w tej chwili czuję się, jakbym miała rozwalić im ten ślub.

– Spokojnie. Storm i Dan to dwójka moich bliskich przyjaciół. I tak, wiedzą, że przyjdiesz. – Kiedy wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Storm, by poinformować, że przyprowadzę kogoś ze sobą, oczywiście zaczęła fuczeć, że czekałem z tym do ostatniej chwili, ale potem zaśmiała się, mówiąc, że nie może się doczekać, by poznać moją partnerkę. Jest naprawdę świetna.

Reese unosi idealnie wyprofilowane brwi.

– Ma na imię Storm?

Spodziewałem się tego pytania.

– To stary przydomek sceniczny. Pamiętasz ciężarną, dla której tydzień temu kupowałem ciasto? To ona dzisiaj wychodzi za mąż. – Witając się z barmanem, zamawiam dwa kieliszki tequili i butelkę piwa.

– Żadnej tequili – mówi Reese, ostro kręcąc głową.

– Och, no daj spokój, przecież będziesz musiała znosić moje towarzystwo. – Będzie lepiej, jeśli Reese przestanie być taka sztywna.

– Dlaczego? My też bierzemy ślub? – Uwielbiam, kiedy żartuje, by ukryć rozdrażnienie. Zwłaszcza niepotrzebne, jak w tym wypadku.

– Skarbie, jedyna okazja, by ktokolwiek założył mi obrączkę na palec nadarzy się dopiero wtedy, gdy będę leżał w trumnie.

– Co może się stać pod koniec dzisiejszego dnia – mamrocze bardziej do siebie, po czym zwraca się do oczekującego barmana: – Poproszę czystego Jim Beama. Dzięki.

– Rany. Gra na gitarze... jazda motocyklem... Burbon... Podobają ci się w ogóle faceci? – drażnię się z nią, gdy barman podaje jej drinka.

– Nie w tej chwili – rzuca oschłym tonem, po czym bierze łyżeczek. Przynajmniej jeszcze ode mnie nie uciekła. I dobrze. To daje Mercy – którą widzę kątem oka, jak stoi ze swoją przyjaciółką, Hannah – mniej pola do popisu. Chociaż nie na tyle, by zupełnie się do mnie zniechęciła.

– Ta w niebieskim to nie Ciasteczko?

– Tak. Chcesz ją poznać? – Przysuwam usta do jej ucha i, zauważając, że znów dzisiaj pachnie truskawkami i śmietaną, szepczę: – Chociaż ta po lewej będzie bardziej w twoim typie. – Słowa ledwie opuszczają moje usta, gdy kościsty łokieć Reese łąduje między moimi żebrami.

Widzę, że przygląda się dziewczynom, mruży lekko oczy i palcami wygładza sukienkę. Zawsze jest taka ostra, że ten nagły brak pewności siebie to miła odmiana.

– Naprawdę podoba ci się cały ten silikon? – pyta w końcu.

– Ma swoje zalety – przyznaję, jednak błyskawicznie dodaję: – Dziewczyny takie jak one szybko się nudzą. I wolę twoje cycki. Chociaż przydałoby mi się przypomnienie, jak wyglądają. – Nie mam zamiaru kłamać. Oba stwierdzenia są prawdziwe.

– To kolejny romantyczny tekst rodem z Hallmarku? – Patrzy na mnie karmelowymi oczyma, jakby ważyła moje słowa i zastanawiała się, jakiej kolejnej ciętej riposty użyć. Kiedy rozchyła usta, by coś powiedzieć, kusi mnie, by wykorzystać okazję tej udawanej randki i zamknąć je pocałunkiem, bo dobrze wiem, że cieszyłaby się nim. Jednak nim mam szansę wcielić mój plan w życie, znajoma dłoń łąduje na moim ramieniu.

– Już myślałem, że twoje truchło leży w jakimś rowie – rozbrzmiewa głęboki głos Nate'a.

Zawsze zabawnie jest przyglądać się, jak osoba, która nie zna Nate'a, ocenia jego posturę. Reese w tym względzie nie zawodzi, jej oczy robią się wielkie jak spodki, gdy przygląda się szefowi ochrony *Penny*. Nie winię jej za to. Ten facet to około stu trzydziestu kilo żywych mięśni. To właśnie on posadził mnie na plastikowym krześle i przesłuchał, zadając pytanie za pytaniem, zanim pozwolił mi spotkać się z Cainem w sprawie pracy. Jego rozmiary – był większy niż jakiegokolwiek zawodnik na boisku w czasach mojej studenckiej kariery – sprawiły, że trzymałem gębę na kłódkę i odpowiadałem jedynie „tak” lub „nie”.

Ściskam mu rękę.

– Wiem, stary. Nie mam na nic czasu. Ciągłe się uczyć. – Przywykłem do oglądania go co noc, jednak teraz, oprócz paru krótkich rozmów telefonicznych i wymiany kilku SMS-ów, nie rozmawiałem z nim od tygodni. To jedna z wad dorastania i wchodzenia w kolejny etap życia. – Nate, to Reese. – Przyciągam ją do siebie. – Moja partnerka.

– Partnerka? – Śmieje się. – Najwyraźniej jeszcze nie znasz Bena zbyt dobrze.

Reese nie odpuszcza.

– Kłamał i odurzył mnie środkami farmaceutycznymi, by mnie tu ściągnąć, więc myślę, że teraz tu ze mną utknął.

Nate odchyła głowę w tył i parska głębokim śmiechem, co sprawia, że spogląda na nas kilka zaniepokojonych osób.

– Gdzie się poznaliście?

Reese przechyla głowę na bok, przyglądając mi się z diabelskim uśmiechem.

– Pracuję u Warnera.

– Prawniczka?

– Tak. Niedługo zostanę współniczką. Tak naprawdę to go szkole. – Otwarcie okłamuje mojego przyjaciela, co pewnie powinno mi przeszkadzać, jednak w rzeczywistości mnie bawi. Jest w tym

przekonująca.

Nate znów się śmieje. Wydaje się, że już polubił Reese.

– I jak radzi sobie nasz chłopczyk?

– Jeśli mam być szczerą, jest trochę powolny. Właściwie to nie wiem, czy da radę.

Cóż, dobrze widzieć, że już się tak nie stresuje.

Nate ponownie wybucha śmiechem, a ja unoszę ręce w górę w geście poddania, zaczynając się irytować.

– Dobra, wystarczy tego. Macie całą noc. Nie zmęczcie się za wcześnie moim kosztem. Kacey! – krzyczę, machając do zadziornej laski, którą jako jedyną brałem pod uwagę jako kandydatkę do trwalszego związku. Gdyby tylko już wtedy nie leciała na Trenta.

– Co? – pyta, kiedy do nas podbiega, szybko cmoka mnie w policzek, po czym zabiera mi z ręki piwo i upija łyk.

– Wyglądasz apetycznie.

Na jej pięknej twarzy maluje się uśmiech. Nadal nie mam go dosyć. Nie mogę zapomnieć, że kiedy ją poznałem, te uśmiechy były rzadkie i fałszywe.

– Nie czas na flirtowanie. Muszę wracać do panny młodej. Poczekaj chwilę, okej? Niedługo przyjdzie Trent i będzie mógł skopać ci tyłek.

Oddaje mi piwo, a ja śmieję się, przypominając sobie, jak kilka lat temu spiliśmy się z Trentem, i jak ten skończony debil wyśpiewałem mu, co stało się między mną a Kacey w damskiej szatni na siłowni. Powiedziałem to wyłącznie jako komplement podkreślający, jaka laska mu się trafiła.

Trent ma mocny prawy sierpowy, gdy się wkurzy.

Zwracając spojrzenie krystalicznie niebieskich oczu w kierunku Reese, Kacey nie traci czasu i pyta:

– Kto to?

– Reese. Ślubna zakładniczka. – Reese wyciąga zwodniczo delikatną dłoń.

– I twoja nowa przyjaciółka – dodaje. – Obie lubicie dręczyć moje jaja, więc myślę, że się dogadacie. – Ze swoim ciętym językiem i ostrym humorem, Reese bardzo przypomina mi Kacey, więc albo natychmiast się pokochają, albo powyrywają sobie kłaki. Jedno i drugie powinno być zabawne.

Twarz Kacey się rozpromienia.

– Brzmi dobrze. Mam mnóstwo kompromitujących zdjęć, które sprawią, że ponownie przemyślisz kwestię waszego związku. To co, później zacieśnimy znajomość, doprowadzając go do rozpaczy?

– Cudnie. – Wiedziałem, że ta noc odbije mi się czkawką.

Kacey spędzała wiele godzin na siłowni, trenując kickboxing, teraz błyskawicznym ruchem wyciąga rękę i szczypie mnie w sutek przez koszulę, po czym odchodzi, a jej złowieszczy chichot wypełnia powietrze.

– Przysięgam, przy was dwóch wkrótce wyląduję w szpitalu – mamroczę, pocierając pierś.

Gdzieś za naszymi plecami zaczyna grać skrzypek, oznajmiając, że pora zająć miejsca. Nate odchyła się poza zasięg słuchu Reese i szepcze:

– Wygląda na to, że Mercy nie mogła się doczekać, by się z tobą dzisiaj spotkać.

– Cholera jasna – odpowiadam cicho, kręcąc głową, po czym wzdygam. – Zna mnie na tyle, że nie powinna niczego oczekiwać.

Ostre spojrzenie Nate'a – białka jego oczu kontrastują z jego hebanową skórą – sugeruje, że moje

wymówki są do bani.

– Wygląda na to, że jednak oczekuje, więc lepiej wyjaśnij sprawę. To, że nie pracujesz już dla Caina, wcale nie oznacza, że nie spuszcze ci łomotu.

Nie żartuje. Obaj z Cainem pilnują, by mężczyźni nie traktowali źle tancerek z *Penny*. Przyjacieli czy nie, z dobrymi intencjami czy też nie, nie mam zamiaru skończyć z podbitymi oczami, nawet jeśli to nie ja przylazłem do jej sypialni.

– Rozumiem, stary. Zaufaj mi, nic się nie dzieje.

Kiedy Nate odchodzi, słyszę określenie „kretyn”, które wyslizguje się z jego ust, poprzedzone śmiechem.

– Twój kolega wyglądał, jakby miał ochotę cię zabić – zauważa Reese, kiedy idziemy zająć miejsca. Po drodze kiwam głową i uśmiecham się do znajomych twarzy. Jest tutaj niemal cała załoga *Penny*, a przynajmniej ci, którzy znają Storm.

– Właśnie po to tu jesteś. Bym miał pewność, że tego nie zrobi. – Reese pozwala mi trzymać się za rękę, gdy prowadzę ją na prawo, w stronę dwóch wolnych krzeseł w tylnym rzędzie, tak daleko od Mercy, jak to możliwe. – Pamiętasz dziewczynę, która odwiedziła mnie w firmie?

– Ciasteczko?

– Mercy, tak. Muszę przystopować sprawy między nami, a ty mi w tym pomożesz. Tylko nie możesz być dla niej złośliwa, dobrze?

– Ja?! – pyta Reese z udawaną niewinnością, wolną ręką łapiąc się za serce i szybko rozglądając się po zgromadzonych w poszukiwaniu Mercy.

– Mówię poważnie. Jest koleżanką, ale myślę, że odniosła ostatnio błędne wrażenie.

Spojrzenie Reese pełne jest niedowierzania, kiedy pyta ironicznie:

– A dlaczegoż to miałyby odnieść błędne wrażenie, Ben?

Posyłam jej znaczące spojrzenie.

– Jakoś trudno mi było odmówić, gdy się na mnie rzuciła.

Kręcąc głową, mówi cicho:

– Nawet nie próbujesz ukrywać tego, jaki jesteś, prawda?

Mogę jedynie wzruszyć ramionami.

– Jednak uratowałeś mnie, gdy wpadliśmy na mojego byłego męża – mówi z westchnieniem, choć wyraźnie rozczarowana.

– I podobało ci się, prawda? – przypominam jej z uśmiechem. Podobało jej się również popołudnie spędzone u mojej mamy.

– Boże, jaki ty jesteś cholernie pewny siebie. – W jej głosie słychać wesołość. Wzdychając głośno, opiera dłoń na moim policzku. Przyciąga moją twarz do siebie aż na ucho czuję jej ciepły oddech. Jej wargi ocierają się o płatek mojego ucha, gdy szepcze: – Czy to wystarczająco romantyczne?

– Ee... – Odchrząkuję, czując na plecach gęsią skórę. – Tak, powinno zadziałać. – By stanął mi w spodniach, jeszcze zanim panna młoda pójdzie do ołtarza. Jeśli incydent z panią Cooke nauczył mnie czegoś, to tylko tego, że pożałuję proszenia Reese o pomoc. Ta dziewczyna uwielbia mnie torturować.

Przesuwając palcem po moim karku i nadal muskając ustami moje ucho, śmieje się cicho:

– A co powiedziałyby na to twoja mama?

Opieram rękę na jej ramieniu, gdy Dan i Trent, ubrani w garnitury, zajmują miejsce pod łukiem ozdobionym kwiatami.

– Nauczyła mnie, że mam być miły dla dziewczyn. Nie określiła dokładnie w jaki sposób. – Myślę, że mama dobrze wie, jak to robię.

Reese odsuwa się i patrzy na mnie z nieczytelną miną.

Wzruszam ramionami.

– Co?

– Jesteś niemożliwy, Benjaminie Morris – mówi w końcu, chociaż nadal nie mam pojęcia, o czym myśli.

Jednak kiedy ryzykuję i przyciągam ją do siebie, by cmoknąć w usta, nie odsuwa się. Ani nie szturcha mnie w brzuch.

– Ciasteczko nie patrzy – informuje mnie oschle, nawet nie wysilając się, by spojrzeć w jej stronę.

– Serio? A teraz? – Nie waham się, tylko kradnę prawdziwego buziaka. I znów mi nie odmawia.

Chociaż, gdy się odsuwam, obserwuje mnie spod przymrużonych powiek.

Nim ta noc się skończy, definitywnie przyjdzie mi za to zapłacić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

REESE

– Lubię twoich przyjaciół! – wołam, trzymając w ręce buty, podczas gdy palcami nagich stóp rozkoszuję się chłodnym, mokrym piaskiem na plaży.

– Bardziej niż mnie?

– Tak, ale to nie jest trudne. – Odwracam się i zaczynam iść tyłem, przyglądając się uśmiechowi Bena, który nietrudno dostrzec przy pełni księżyca. Może to zasługa Jim Beama, ale dzisiaj uważam, że Ben jest jeszcze bardziej uroczy. Właściwie cały jego dzisiejszy wygląd sprawia, że nie tylko ciągle poprawiam fryzurę, ale przez cały wieczór czuję ukłucie pożądania. Nawet z wyciągniętą ze spodni koszulą i bez krawata, mając na sobie garnitur, wygląda seksownie. Cieszę się, że nie nosi go cały czas w firmie. To byłoby dekoncentrujące.

– Tak? To dlatego przez cały wieczór się do mnie kleisz? – pyta, unosząc brwi, jakby znał jakiś sekret.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Co?! Dałeś mi zadanie, więc wcieliłam się w rolę. – To zabawne, bo kiedy wyszliśmy z za rogu wprost na ślubną scenerię, przed złapaniem go za szyję i uduszeniem powstrzymał mnie jedynie fakt, że miałam za małe ręce, by mi się to udało. Szybko jednak przywykłam do tej sytuacji i z chęcią poznałam kilku jego przyjaciół – których naprawdę polubiłam.

Zwłaszcza tę rudą, Kacey, która była druhną. Ma pokręcone poczucie humoru. Wywiązała się z obietnicy i przez dobre piętnaście minut przerzucała w komórce zdjęcia z pożegnalnej imprezy Bena, by pokazać mi „najlepsze z najlepszych”. Okazały się jednak „najgorszymi z najgorszych”. Było też kilka, których nie chciała pokazać, więc myślę, że widniały na nich striptizerki. Wydaje mi się, iż założyła, że partnerka Bena nie powinna widzieć, jak obmacuje go inna kobieta. Kiedy przypadkowo dostrzegłam jedno, na którym Ciasteczko wywija przed nim gołym tyłkiem, a mój żołądek się ścisnął, pomyślałam, że może mieć rację.

Kiedy Ben przysunął się i tuż przed ślubem mnie pocałował, nie potrafiłam go odepchnąć. Mogłam to zrobić, ale nie zrobiłam. Dałam się porwać. To była niespodziewanie łatwa decyzja, zwłaszcza że widziałam ukradkowe spojrzenia, które posyłała mu Mercy. Wiedziałam, że jeśli odsunę się od niego przynajmniej na metr, uwiesi się na nim, starając się złapać go na swoją pokręconą waginę, czy co tam mają striptizerki, by przyciągnąć do siebie facetów takich jak Ben.

Więc zamiast tego sama się na nim uwiesiłam.

I pozwalałam, by mnie całował.

Odczuwałam te pocałunki bardziej jak nieodpowiednie testy mojej osobowości niż cokolwiek innego, głównie dlatego, że Ben wiedział, jak za ich pomocą zaleźć mi za skórę oraz to, że nigdy nie przyznam, iż w duchu cieszę się nimi tak bardzo jak on.

– Myślisz, że się udało?

– Nadal mam portki na tyłku, więc tak. Uratowałaś mnie dzisiaj przed niezręczną sytuacją.

– Tylko dzisiaj? – Wzdycham z irytacją.

Ben stawia pięć długich kroków i nagle porywa mnie w ramiona. Pisk strachu wymyka się z moich ust, gdy wiruję w powietrzu, jakbym zupełnie nic nie ważyła. Szok pogłębia się, gdy tylko palce moich stóp dotykają piasku, a Ben wyciska na moich ustach idealnie zgrany w czasie pocałunek.

Odsuwam się od jego ust, jednak nadal pozostaję w jego ramionach.

– Wiesz, że ona nie widzi w ciemności, prawda?

– Nie, to zdecydowanie nie należy do jej talentów – zgadza się.

– Dupek – rzucam, nim potrafię się powstrzymać.

Obdarowuje mnie krzywym uśmiechem.

– No co?! Robię to odruchowo. To fajne. Ty też się dobrze bawisz, prawda?

– Tak – przyznaję niechętnie, wpatrując się w linię jego szczęki, jednocześnie trzymając ręce na jego bicepsie. Naprawdę chciałabym, by był nieco mniej atrakcyjny. Jednak wtedy bym się na to wszystko nie zgodziła, więc...

– Nadal przyjaciele?

– Tak myślę.

– I nie będziesz próbowała zaciągnąć mnie przed ołtarz tylko dlatego, że kilka razy cię pocałowałem, prawda?

– Kilka razy? – Unoszę brwi. – Jesteś niczym niegrzeczny sąsiad, który podrywa wszystkie dziewczyny, całuje je i doprowadza do łez.

– Dzisiaj tylko jedną – poprawia, przysuwając się i kradnąc mi kolejny pocałunek, przynajmniej dwudziesty tego wieczora. – I jakoś nie widzę, byś płakała.

Nie wiem, co jest takiego w Benie. Zazwyczaj jest flirciarzem, ale jakiejś małej części mnie, choć to głupie, schlebia, że chłopak uważa mnie za pociągającą, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że mógłby być teraz ze striptizerką, która, mimo całego tego silikonu, jest bajecznie piękna. To jedna z tych dziewczyn, z którymi człowiek chciałby się choć na chwilę zamienić, by sprawdzić, jak to jest być tak pożądaną.

Chociaż nie wydaje się dzisiaj rozchwytywana. To mógłby być problem.

– Biorąc pod uwagę poszukiwania sposobów zemsty na moim byłym mężu, nie wydaje mi się, bym miała w harmonogramie miejsce na kolejny niezdrowy związek. Jednak dziękuję za troskę.

Jego głośny śmiech wypełnia pustą plażę.

– To dobrze. Nie potrzebuję więcej uganiających się za mną lasek.

Prycham, choć jego słowa przywodzą nową myśl.

– A kiedy ostatnio próbowałaś Ciasteczka?

Ściągając brwi w głębokim zamyśleniu, mówi:

– Chyba w poniedziałek? A może wtorek? Nie wiem. Ostatnio dni mi się mieszają.

– Kiedy miłość twojego życia leżała na łożu śmierci trawiona ciężką chorobą? – pytam z dramatyзмом. Właściwie to dziwi mnie, że odpowiedział tak otwarcie. Inny facet z pewnością skłamałby na taki temat. Jednak szokuje mnie fakt, że spał z nią zaledwie kilka dni temu, niedługo po tym, jak obściskiwał się ze mną w sadzie matki. To znaczy wiem, że spał z nią, bo, powiedzmy sobie szczerze, to Ben. Myślałam jednak, że ona jest kimś z jego przeszłości. – Wiesz, że jesteś futem, prawda? – mówię, gdy niespodziewana żółć zbiera mi się w gardle.

Wzrusza ramionami.

– To nie była moja wina.

Niemal się potykam.

– Nie, nie powiedziałaś tego.

– No co? – Patrzy na mnie poważnie. – Zasyphiałem, kiedy stanęła w moich drzwiach i zdjęła ciuchy. Wskoczyła mi do łóżka i zrobiła lo...

– Dobra! – przerywam mu i zirytowana szturcham w pierś.

– Hej, zapytałaś, a ja chciałem być uczciwy, więc...

– Dobrze, cieszę się, że nadal wyznajesz harcerskie wartości. Jednak naprawdę musimy popracować nad filtrowaniem zbędnych szczegółów.

Drapie się po karku, nieśmiało się przy tym uśmiechając.

– No, co miałem zrobić?

– Cóż, oczywiście, że musiałeś się z nią przespać – zgadzam się z udawaną powagą, uwalniam się z jego objęć i schylam po butelkę Jim Beama, którą wcześniej podprowadził z baru i odstawił na piasek, nim porwał mnie w ramiona. Biorąc pod uwagę, że jestem gościem na weselu ciężarnej dziewczyny – na które przyszedłam w białej sukience – dobrze się dzisiaj bawiłam, zostałam miło przyjęta, lekko się upiłam, ale nic więcej. W tej chwili jednak, biorąc duży łyk alkoholu, akceptuję fakt, że ten drobny „romantyczny” spacer z flirciarzem, który jest dzisiaj moim chłopakiem na niby, zapewne zaraz to zmieni.

– Dlaczego straciłaś humor?

– Rany, nie wiem. Może dlatego, że wychodzę na kretynkę, która ciągle całuje się ze swoim chłopakiem, chociaż wszyscy wokół wiedzą, że on się puszcza i zapewne przeleciał każdą znajdującą się tutaj laskę?! Jakby nie wystarczała mi świadomość, że jestem ślepą żoną, która przez trzy miesiące nie potrafiła zauważyć, że mąż ją zdradza?! – Gryzę się w język, nim głębsze myśli wymkną się z moich ust, jednak jest już za późno. Szkoda już powstała.

Wiem to, ponieważ widzę, jak Ben patrzy na mnie smutnym wzrokiem zbitego szczeniaka.

– Wróćmy na przyjęcie – mamroczę, obchodząc go. Chociaż on nie ma zamiaru się dostosować. Chwyta mnie w talii i przyciąga do siebie, po czym opiera czoło na moim w dość przyjacielskim, choć intymnym, geście. W geście, o który bym Bena nie posądzała. Jego bliskość jest zarówno kojąca, jak i dezorientująca.

– Tylko z nią byłem spośród nich wszystkich. Cóż... – Krzywi się nieznacznie. – ...i z Hannah, ale tylko raz i chyba tylko minutę. Tamtej nocy zdecydowanie chodziło jej o Mercy. – *O rany boskie.* – I przepraszam. Nie pomyślałem o tym w taki sposób, kiedy poprosiłem cię, byś mi towarzyszyła.

Przez dłuższą chwilę przetwarzam wizję, o którą wcale się nie prosiłam, po czym głęboko wzdygam.

– Moja duma chyba nie może sobie poradzić z całym tym bałaganem.

Z diabelskim błyskiem w oku Ben pochyla się, by – po raz kolejny – skraść mi pocałunek. Tym razem jednak nie odsuwa się pospiesznie, tylko nurkuje w moje usta. Niespiesznie podtrzymuje moją głowę, jego język płacze się z moim, a ja się nie wzbraniam. Ben jest w tym naprawdę dobry.

To takie łatwe. Proste i bezbolesne, ponieważ oboje wiemy, że tylko fizyczne, a żadne z nas nie oczekuje czegoś więcej. I, co dziwne, czuję się, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Ben jest jak dzieciak, z którym lubiłam bawić się w piaskownicy, przypominający mi zenujące chwile i rozśmieszający mnie do łez.

Który w tej chwili ma jednoznaczne intencje, przyciskające się do mojego uda.

Nagle się odsuwa.

– Naprawdę jesteś zazdrosna o Mercy? – Przez chwilę patrzy na mnie błyszczącymi oczyma, po czym mnie puszcza i zaczyna rozpinąć guziki swojej koszuli, ukazując pięknie zbudowane ciało. Nie jestem pewna, co robi, aż jego koszula ląduje na piasku, a on sięga do paska spodni, przy czym pogłębiają się dołeczki w jego policzkach. – Bo nie musisz być. Jestem bardziej niż chętny, by...

– Nie!

Ręce zatrzymują się na chwilę, chociaż porozumiewawczy uśmiešek rozciąga mu usta.

– Jesteś pewna?

– Tak?

Ben przechyla głowę i patrzy na mnie zdziwiony. Stoimy tak, gapimy się na siebie, woda pluska o brzeg, a ja zastanawiam się, dlaczego się waham. Jestem pewna, że on również to rozważa. Natychmiast też zauważam u niego to pełne żaru spojrzenie, jakby właśnie się zorientował, że będzie mnie miał.

Więc się odwracam i biegnę co tchu przed siebie.

– Gdzie się wybierasz?! – krzyczy za mną.

Przede mną połyskują światła z wesela. Rzucam okiem przez ramię i widzę, że Ben niewzruszony biegnie za mną. Chociaż nie stara się za bardzo. Nie potrafię szybko biegać i zapewne dogoni mnie, nim dotrę do domu.

Cholera. I co wtedy?!

Waginalny egzorcyzm, próba druga – i to tutaj?! W przeciwieństwie do tego, co mówią ludzie, tarzanie się nago po piasku nie jest ani romantyczne, ani przyjemne.

Tuż po lewej mijam domy – bogate budynki z wielkimi, przepięknymi oknami i zadbanymi, oświetlonymi ogrodami. We wszystkich prócz drugiego... trzeciego... liczę szybko... piątego od rezydencji Storm i Dana palą się światła. Tylko kilka lamp oświetla przód i bok posiadłości, ale jej tył i wewnątrz pogrążone są w ciemności. I wtedy to do mnie dociera, pomysł zupełnie znikąd, tak złośliwy, że nie sposób go zignorować. Zwłaszcza po alkoholu.

Wbiegam na tę posesję, przeskakuję przez niski żywopłot i biegnę boso po miękkiej trawie.

– Reese – szepcze ostro Ben.

– Tak?

Chwilę później jest tuż za mną.

– Jezu, powiedz, że nie chcesz nikogo okraść.

Odwracam się i widzę, że stoi za żywopłotem, a rzadki wyraz paniki maluje się na jego twarzy.

– Nie jestem przestępcą!

– To co robisz?

Sięgam za plecy, rozpinam sukienkę i pozwalam jej opaść, ujawniając tajemnicę ukrytą pod cienkim, białym materiałem.

Z ust Bena wymyka się słowo „Jezu”, poprzedzone dźwiękiem wciąganego przez zęby powietrza, gdy chłopak obserwuje pasującą do siebie czerwoną bieliznę. Tak naprawdę uwielbiałam ten kolor, a ten komplet był ulubionym Jareda. Po przeprowadzce do Miami wyrzuciłam go, po czym gapiałam się na niego chyba przez godzinę, zanim wyciągnęłam go na powrót z kosza. Ten konkretny biustonosz czyni cuda z moimi piersiami.

– Wiesz, że blisko jest nienależący do nikogo ocean?

– Jest zimny. – Walczę z nagłym zdenerwowaniem, gdy rozpinam biustonosz. – Nigdy nie zakradałeś się do czyjegoś basenu?

Nakrywając usta dłonią i gapiąc się na moje, teraz już nagie, piersi, Ben mamrocze:

– Nie do jakiegoś przypadkowego domu multimilionera z Miami.

– Przekładkowego domu multimilionera z Miami, który nie ma ochrony i znaków surowo zabraniających wejścia. Według mnie właściciele sami się o to proszą. – Biorę głęboki, uspokajający oddech i zsuwam majteczki, przez co Ben nie jest w stanie nie spojrzeć w dół. – Wiedziałam, że jesteś mięczakiem. – Nieruchoma tafla wody ledwie się marszczy, gdy delikatnie się do niej wślizguję.

Ben przez chwilę zaciska usta, jakby decydował, co robić dalej.

– Nie jestem mięczakiem. Tylko nie chcę wylądować dzisiaj w areszcie.

– Wow. Ale tu fajnie – droczę się celowo uwodzicielskim tonem, starając się nie chlapać, kiedy przepływam na drugi koniec basenu.

– Pieprzyć to. – Słyszę za sobą. Po czym trzy... dwa... słyszę szelest żywopłotu i Ben rzuca koszulę na ziemię. – Cholera, Reese. Mason miał rację. Sprawiasz same kłopoty. – Ignoruję jego komentarz i w ciszy przyglądam się, jak na ziemi lądują kolejno buty i skarpetki, po czym spodnie wraz z bokserkami.

Dobra. Muszę to przyznać. Ben ma się czym pochwalić. Muszę też przyznać, że prawdopodobnie zrobię z nim coś głupiego. A ten mały pstryczek w mojej głowie, który powinien się przełączyć na opcję „nie powinnam” – chyba nazywają to morale, sumienie albo... nie jestem pewna – nie robi nic poza tym, że cieszy się tym widowiskiem.

Ben wchodzi do wody po drugiej stronie basenu, dużo ciszej, niż oczekiwałam po kimś jego rozmiarów. A kiedy zaczyna zbliżać się do mnie z intencjami wyraźnie wymalowanymi na twarzy, nieruchome motyle w moim brzuchu, które dawno temu zmasakrował Jared, znów jak szalone podrywają się do lotu.

Przy Benie czuję się dobrze. Sprawia, że czuję się ważna.

Może chcę, by to się stało.

Jednak nie mam zamiaru mu tego ułatwiać. Śmiejąc się lekko, odpycham się od ścianki i płynę na drugą stronę. Uciekam mu tak jeszcze dwa razy, ale ponieważ Ben ma długie i silne ręce, moja zabawa w kotka i myszkę kończy się uwięzieniem mnie przy ścianie w ramionach mojego drapieźnika. Jego gorący oddech muska mój policzek, kiedy szeroka pierś przyciska się do mojej. Stoimy na stopniu, w głębokiej części basenu, gdzie woda sięga mi do obojczyka.

– Czuję się jak jakiś szesnastoletni gówniarz. Dzięki.

– Lubiałam mieć szesnaście lat, więc proszę. – Ciężko mi mówić spokojnym głosem. Nie jestem pewna, czy to emocje, czy też nerwy.

Ben prychnie i odsuwa mi włosy z ramion.

– Dlaczego? Bo mogłaś być sądzona jako nieletnia?

– Nie byłam sądzona za żaden z zarzutów. – Cholera, naprawdę byłam kulą u nogi Barry’ego. I Jacka. Chyba powinnam obu przeprosić za przedwczesną siwiznę.

Ben opiera rękę o krawędź basenu i opuszką palca ściera kropelki wody z mojego policzka.

– Jeśli zostaniemy dzisiaj przyłapani, to ja będę miał więcej do stracenia. Obchodzi cię to w ogóle?

– Och, weź wyluzuj! To tylko wykroczenie drugiego stopnia, a tutaj nigdzie nie było zakazów.

Możemy zagrać nieporozumienie i wyjść z tego zupełnie bez szwanku. No, chyba że masz przy sobie broń, wtedy to będzie napad. Jak możesz nie wiedzieć, że jesteśmy bezpieczni?

– A skąd ty to wiesz?

Przesadnie przewracam oczami, po czym ujawniam tajemnicę:

– Właściciele są na weselu. Pamiętasz faceta, który wyglądał jak starsza wersja Michaela Sorrentino? – Przyglądam mu się, jak przeszukuje wspomnienia. Zupełnie nie ma pojęcia, o kim mówię. – I kobietę z kaczymi ustami i burzą blond loków?

W jednym policzku Bena pojawia się dołeczek, gdy chłopak krzywo się uśmiecha.

– Tak, widziałem ją. – *Oczywiście, że widział.* – Serio? To ich dom?

– Tak. A bliźniacy chowający się pod stołem z deserami to ich dzieci.

Ben patrzy na mnie.

– A co, jeśli wrócą zaraz do domu? No i co z cichym alarmem powiadamiającym ochronę? Nie pomyślałaś o tym?

– Zaufaj mi. Przy dzieciakach podkradających słodycze, żonie pragnącej się pokazać i mężu, który zajęty jest rozmową ze striptizerkami, nie wrócą za prędko. A... – Przeciągam palcem po ramieniu Bena, po czym zsuwam go na jego klatkę piersiową, by zatrzymać się na sutku. – ...poza tym słyszałam, jak żona marudziła mu, by nie pił za dużo, bo rano przyjdzie firma naprawiać alarm przy basenie. – Posyłam mu uśmiech zadowolenia. – Bo jest zepsuty.

Ben w końcu daje się przekonać.

– Aha... więc nie ma mowy, by nas przyłapano? To mi chcesz powiedzieć?

– Dokładnie.

Jego pierś wznosi się i opada z ulgą, po czym Ben przysuwa się do mnie, trącając żartobliwie nosem w policzek.

– Cóż, to wszystko zmienia.

– A... woda jest naprawdę ciepła, prawda? Nie to co zimny ocean? – drocę się z nim.

Śmieje się, tłumiąc naturalnie donośny głos, by być cicho.

– Tak, w innym wypadku mielibyśmy tu problem. – Przyciska się do mojego brzucha, stąd wiem, że z pewnością go nie mamy. Następnie Ben wkłada ręce pod wodę i łapie mnie z tyłu za uda. Unosi mnie, układa sobie moje nogi wokół pasa, po czym opiera mnie plecami o bezpieczną ścianę basenu. Drugą ręką chwytą za mój przekłuty sutek, przez co natychmiast czuję podniecenie.

– Mówiłem ci już, jak bardzo się cieszę, że zatrzymałaś ten kolczyk? Nie powinnaś go usuwać.

– Jack o nim nie wie, więc pomyślałam, że może zostać.

Ben opuszcza głowę do mojej szyi i mruczy pod nosem:

– Możemy nie rozmawiać o gościu, który wyrzuci mnie z roboty, jeśli się kiedykolwiek o nas dowie?

– Dobra – zgadzam się, kiedy dłonią pieści mój kark, a ustami trafia na obojczyk. Odchylam głowę w tył i opieram ją na krawędzi basenu, a mój oddech staje się szybki i urywany. Dawno nie czułam się w taki sposób.

– A jeśli już mówimy o kolczykach w ukrytych miejscach... – Jakby bojąc się stracić ponownie okazję, Ben przesuwa dłoń po mojej piersi, brzuchu i niżej. Wymyka mi się niewielkie westchnienie, gdy palcami zaczyna szukać piercingu.

To kolejna rzecz, w której Ben wydaje się utalentowany.

– Rozczarowany? Stchórzyłam – przyznaję, starając się brzmieć normalnie.

Dłoń oparta na moim karku zmusza mnie, bym popatrzyła w błyszczące niebieskie oczy.

– Nic mnie w tobie nie rozczarowuje, Reese. – Wkładając rękę między moje plecy a ścianę basenu, przyciska mnie do siebie, jednocześnie całując namiętnie, przez co tracę myśli.

Poza jedną.

– Masz gumki? – szepczę, zastanawiając się, jak zadziałają w basenie, wiedząc, że wkrótce będzie musiał jedną założyć.

Śmieje się, a ja czuję na brzuchu jego rosnące podniecenie.

– Myślisz, że ruszam się gdziekolwiek bez...

Przerywa mu padające z domu ostre światło reflektora, które jest skierowane prosto na nas. Oboje odwracamy się i widzimy starszą panią stojącą za szklanymi drzwiami tarasu, z wałkami na głowie, grubymi okularami na nosie, ubraną w różowy szlafrok i trzymającą w rękach wycelowaną w nas broń.

– Cholera jasna – mamrocze Ben. – Rozumiem, że babunia nie dostała zaproszenia na ślub?

– Nie ruszać się! – krzyczy staruszka, mrużąc oczy. Ręce jej drżą. Nie jestem pewna, czy ze strachu, złości, a może z powodu podeszłego wieku. Muszę przyznać, że boję się, iż któreś z nas skończy z raną postrzałową.

– Proszę dać nam się ubrać i natychmiast znikniemy – mówi Ben, jednak babcia najwyraźniej nie zamierza nam odpuścić, bo entuzjastycznie kręci głową.

– Dlaczego wy, młodzi, myślicie, że to w porządku gzić się w basenie, w którym moje wnuki... – Porusza wargami, jakby nie miała założonej sztucznej szczęki. – Policja już jedzie!

Ben przeklina pod nosem, po czym z rezygnacją opiera czoło na moim.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

BEN

– Mogę jechać z wami? – pyta Dan, kiedy policjanci szykują się do wyjścia. Jeden z nich leniwie mi salutuje i uśmiecha się, przechodząc obok. Rozpoznaję go jako klienta *Penny*. Nie żeby ta znajomość pomogła nam w kłopotach.

Zadzwoiłem do Dana i poprosiłem, żeby pogadał z gliniarzami, w razie gdyby Reese się myliła i jednak chcieliby zaciągnąć nas na posterunek. Chociaż jestem prawie pewien, że ma rację i nie mogą nas o nic oskarżyć. Nie mam jedynie stuprocentowej pewności co do zarzutu obrazy moralności, ale nie chciałbym tego sprawdzać, będąc w kajdankach.

Chyba już wiem, jak do tej pory Reese udawało się wymykać wymiarowi sprawiedliwości: jest dobrą kłamczuchą. Kiedy babcia oznajmiła, że policja już jedzie, a Reese zobaczyła moją minę, natychmiast zaczęła udawać, że płacze i zarzekać się, że Sara – nie jestem w stanie zrozumieć, jakim cudem zapamiętała imię tej kobiety, no chyba że wszystko to było wcześniej ukartowane, co, biorąc pod uwagę reputację Reese, mogło się zdarzyć – powiedziała, że możemy tutaj przyjść i sobie popływać. Starowinka była sceptyczna, jednak w końcu pozwoliła mi przynajmniej wyciągnąć telefon z kieszeni spodni i zadzwonić do Dana.

A wszystko to, gdy nadal znajdowaliśmy się w basenie, ponieważ nie pozwalała nam wyjść. Powiedziała, że nam nie ufa, i że uciekniemy. Pewnie, że tak byśmy zrobili, ale wiem też, że przez świecący centralnie na nas cholerny halogen, nawet przez swoje grube okulary miała niezłe widowisko.

Gdybym wiedział, że celuje do nas z jedenastoletniej gazówki, już dawno wyciągnąłbym Reese z wody i uciekł.

Dan przyjechał zaledwie kilka chwil po gliniarzach, przywiózł ze sobą pijanych właścicieli domu i ich dzieci. Sara wypadła z samochodu i zataczając się podeszła do kanapy w salonie, na której natychmiast zasnęła, więc nie mogła potwierdzić wersji Reese. Jim, jej mąż, na szczęście był nieco bardziej trzeźwy. Szybko wręczył nam ręczniki i wysłał swoją matkę wraz z dziećmi do środka, zarzekając się, że jego żona rzeczywiście zaprosiła nas do basenu. Myślę, że wszyscy znajdujący się w ogródku wiedzieli, że to wierutne kłamstwo, jednak nikt, wliczając w to policjantów, nie chciał tego kwestionować. Ponieważ nikogo nie skrzywdziliśmy, nie byliśmy nadzy na publicznym terenie i nie obraziliśmy nikogo oprócz babci, policjanci udzielili nam jedynie upomnienia.

A wszystko dlatego, że nie potrafię myśleć właściwą głową, kiedy w pobliżu znajduje się naga dziewczyna.

– Czy mogę już wracać do mojej żony? – pyta mnie Dan tonem pełnym irytacji.

– Przepraszam, stary – mamroczę, zapinając koszulę. Kurwa, później będą się ze mnie nabijać!

– Dziękuję, Dan – mówi nieśmiało w pełni ubrana Reese.

Dan wzdycha i nieco łagodnieje.

– Nie przejmuj się. – Przeczesując ręką krótkie, postawione na jeża włosy, dodaje zawodowym głosem: – Ale niech to będzie przestroga na przyszłość, młoda damo. Właśnie takie rzeczy się dzieją, gdy zadajesz się z mężczyzną takim jak Ben.

Zerkając na Reese widzę, że mocno zaciska usta, jakby próbowała się nie roześmiać. Przytakuje tylko bez słów.

A ja mogę jedynie pokręcić głową z niedowierzaniem.

* * *

JACK WIDZIAŁ JAK MNIE RANO ODWIOZŁEŚ.

Wiadomość od Reese nie mogła do mnie trafić w lepszym momencie. Lub w gorszym.

– Ben! Pozwolisz na moment? – woła Jack, kiedy przechodzę obok jego drzwi, mając nadzieję, że mnie nie zauważy.

– Cholera – mamroczę pod nosem. Wzdychając, wkładam komórkę do kieszeni i obracam się, by wejść do przestronnego gabinetu Jacka. Liczyłem na to, że w niedzielne przedpołudnie nikogo nie będzie w firmie. Powinienem był się lepiej rozeznać.

Jack wskazuje na krzesło przed nim.

– Usiądź, proszę. – Mężczyzna wygląda tak źle, jak ja się czuję, ma bardziej niż zwykle podkrążone oczy. Gość jest po pięćdziesiątce i pracuje do bardzo późna. Coś mi mówi, że w jego wieku będę wyglądał tak samo. Od niechcienia zadaje pytanie: – Jak minął ci wieczór?

Mimowolnie wzdycham, kiedy żal ściska mi pierś. Reese mogła być bardziej wylewna w kwestii tego, co powiedziała Jackowi. Zaraz zostanę przyłapany na kłamstwie. Chodzi o to, że nic się takiego nie stało, oprócz tego, że prawie uprawiałem w basenie seks z jego pasierbicą i niemal wylądowaliśmy przez to w areszcie. Kiedy wróciliśmy na wesele, Dan zdążył już wszystkich wtajemniczyć w „kolejną noc kretynizmu Bena”. Nie przebierali w słowach, naśmiewając się ze mnie. Jedyńm plusem sytuacji było to, że usłyszała o tym Mercy i w końcu do niej dotarło, że teraz liczy się dla mnie tylko Reese.

Kiedy większość ludzi wyszła, w stałym składzie przenieśliśmy się do jaskini, by poczekać, aż wypity alkohol wyparuje z naszych ciał. I wyszlibyśmy, gdybyśmy na kilka godzin nie zasnęli na kanapie, Reese zwinięta przy mnie z policzkiem na mojej piersi. To było słodkie. Gdyby Nate i Ginger nie spali po drugiej stronie pokoju, z chęcią obudziłbym Reese i byśmy dokończyli to, co przerwała nam babcia.

Tak więc, podsumowując, to była dla mnie stosunkowo niewinna noc. Teraz jednak zupełnie tak się nie czuję – raczej jak mały chłopiec przyłapany na podkradaniu ciasteczek. Postanawiam odpowiedzieć:

– Dobrze.

Fotel Jacka ugina się, gdy ten się przesuwają i zaczyna się śmiać.

– Czasami zapominam, jaki byłem w waszym wieku.

Postanawiam milczeć, by zobaczyć, dokąd zmierza ta rozmowa. Mam nadzieję, że nie do zwolnienia z pracy.

– Pamiętam dzień, w którym matka Reese, Annabelle, przyszła do mojego biura, szukając prawnika, który pomógłby jej rozwieść się z pierwszym mężem. Natychmiast wpadła mi w oko. Była niesamowicie piękną kobietą. Kiedy zaczęła ze mną flirtować, natychmiast zabrakło mi słów. Kobieta wyglądająca jak ona, zainteresowana kimś takim jak ja? – Wskazuje na siebie. – Jednak

wydawało się, że tak było, więc już rok później byliśmy małżeństwem. – Jackowi wymyka się szydercze parsknięcie, kiedy wstaje i zaczyna chodzić. Mijając globus stojący na biurku, kręci nim w zamyśleniu. – Jednak nie ułożyło nam się. Wróciłem wcześniej z podróży służbowej i wpadłem po jakieś dokumenty. Niechcący zastałem ją z moim partnerem biznesowym. – Wskazuje na imponujące biurko, przed którym siedzę. – Na tym stole.

Prostuję plecy i przyglądam się meblowi z całkiem nowej perspektywy.

– I nie wyrzuciłeś go?

– Pięć pokoleń Warnerów siedziało przy tym biurku – mówi cicho, podchodząc do niego i przeciągając palcami po jego wypolerowanym na gładko mahoniowym blacie. – Nie mogłem pozwolić, by ta diaboliczna i to mi zepsuła. Zrujnowała prawie wszystko inne. – Wzdycha ciężko, jakby męczyło go mówienie o tym. – Natychmiast się rozwiedliśmy. Przez połączenie sił z Barrym podwoiliśmy liczbę naszych klientów, więc musiałem zaryzykować wszystkim, by wykupić jego udziały. – Kręci głową. – Ojciec ostrzegwał, bym nie wchodził w spółkę z partnerem, nawet jeśli byliśmy z Barrym przyjaciółmi od kołyski. Powinienem był go posłuchać. – Siada w fotelu i kontynuuje: – Mimo iż to doświadczenie było bardzo bolesne, jedyną rzeczą, której żałuję, jest fakt, że pozwoliłem Annabelle odciąć ode mnie Reese, kiedy ta miała zaledwie dwanaście lat. Z pierwszą żoną chcieliśmy mieć córeczkę, ale po Masonie już nie mogła rodzić dzieci. A potem zmarła. Poddałem się, a wtedy w moim życiu pojawiła się Reese. Znałem ją, odkąd miała sześć lat. Często o niej myślałem, ale... – Zwiesza głowę. – Wiele straciłem podczas rozvodu, jednak najbardziej boli mnie utrata kontaktu z tą dziewczyną.

To gówno, z którym nigdy nie chciałbym mieć do czynienia. Kiedy unika się zobowiązań, podpisów, metali szlachetnych i mieszania DNA, nie powstają wielkie szkody.

Ale dlaczego Jack mówi mi to wszystko? Czy to scena, w której wyjaśnia mi, że mnie wyleje za deprawację pasierbicy, którą w końcu odzyskał i którą bardzo kocha? Scena, w której lata studiowania prawa zostają spuszczone w kiblu, ponieważ potrafię myśleć wyłącznie fiutem?

– Zapewne zastanawiasz się, po co ci to wszystko mówię.

Odpowiadam wzruszeniem ramion i ze ściśniętym żołądkiem rzucam coś w stylu:

– Tak jakby.

Zaczyna się lekko śmiać.

– Nie będę udawał, że Reese była słodką, małą dziewczynką. Jest nieznośna już od czasu, kiedy skończyła sześć lat i nadal jest dzika, chociaż odkąd przywiozłem ją z Jacksonville, to wydaje się, że nabrała nieco ogłady.

Nie za bardzo, jeśli brać pod uwagę wczorajszy incydent w basenie.

– Uwielbia czerwoną farbę – ośmielam się dodać.

Jego śmiech jeszcze się wzmaga.

– Powinieneś był ją widzieć umazaną nią od stóp do głów, jakby wyszła z planu serialu *Dexter*, siedzącą na posterunku w sali przesłuchań. Cieszę się, że wtedy do mnie zadzwoniła, nawet jeśli tylko po to, bym wpłacił kaucję. Właściwie to byłem zaskoczony, że to zrobiła. W drodze do Jacksonville zadzwoniłem do Barry'ego, bo nie mogłem uwierzyć, że Annabelle nie zmusiła go do ratowania jej reputacji, kiedy córka została aresztowana. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że dwa lata temu się rozwiedli. Pogadaliśmy sobie trochę. – Jack wstaje i patrzy przez okno, kiedy to rozpamiętuje. – Tak czy inaczej, wyjazd do Jacksonville potraktowałem jako swoją szansę na zadośćuczynienie. – Marszczy czoło. – Reese jest sprytna. Jak i jej matka. Potrafi być też samolubna

i złośliwa. Znów tak jak Annabelle. Jest pełna energii i zbyt często pakuje się w kłopoty. Wiele czasu spędziłem, tłumacząc jej, co znaczy odpowiedzialność, kontrola, konsekwencje. Starałem się traktować ją jak osobę dorosłą. Stąd harley. – Urywa na chwilę. – Jej ojciec jeździł na motocyklu, mówiła ci?

Kręcę głową.

– Zawsze mówiła, że kiedyś sobie taki kupi i będzie jeździła tak jak on. Odkąd miała sześć lat.

Aha... Tajemnica zwana Reese zaczyna się wyjaśniać.

– Córeczka tatusia?

Jack prycha.

– Na wskroś. Wygląda na to, że nim odszedł, spędzała z nim wiele czasu. Kiedy zniknął, złamał jej małe serduszko. – Wzdycha ciężko. – Nawet kiedy mieszkaliśmy już ze mną, ciągle pytała, co robi jej tatuś. Czy wróci. Dlaczego po nią nie wraca. To łamało i moje serce.

– Tak, kiedyś coś mi wspominała o swoim ojcu.

Jack odwraca się i przez chwilę bacznie mi się przygląda.

– Serio? Normalnie tego nie robi.

– Co się w ogóle z nim stało?

Jack wzrusza ramionami.

– Zostawił ją w przydrożnym barze i odjechał. Był notowany. Wydaje mi się, że nie chciał trafić do paki za porwanie. Z tego, co mi wiadomo, nigdy ponownie nie starał się nawiązać kontaktu z Annabelle, jednak ona nie lubiła rozmawiać o czymkolwiek, co wiązało się z jej pierwszym małżeństwem. – Milknie na moment. – Cokolwiek się stało, Annabelle chyba tego do końca nie przeboleła i przez to stała się taka zgorzkniała. Kiedy usłyszałem, co przydarzyło się Reese, w mojej głowie rozdzwonił się ostrzegawczy alarm. Nie chcę, by skończyła jak matka, łamiąc jakiemuś biedakowi serce, bo jakiś inny debil zranił ją mocno w przeszłości. Właśnie w ten sposób ludzie wpadają w kłopoty.

– Ona lubi się w nie pakować – przytakuję cicho.

Krzywiąc się, Jack dodaje:

– I nie mam wątpliwości, że dałeś jej się wmanewrować w jakieś nieczne plany we wczorajszą noc, co sprawiło, że odwiozłeś ją do domu o szóstej rano.

Zaskakuje mnie nagła zmiana tematu. Nachodzi mnie wspomnienie smukłej, nagiej sylwetki Reese, przez co muszę spuścić głowę, bo boję się, że Jack zobaczy w wyrazie mojej twarzy odzwierciedlenie sprośnych myśli krążących mi po głowie.

– Słuchaj, znasz moją politykę, która dotyczy związków między pracownikami. Miałem dobre powody, by te zasady ustanowić. Przez emocjonalny bałagan straciłem już niejednego dobrego pracownika. Powiedziałem ci to wszystko, byś zrozumiał, że Reese jest porywczą, uczuciową, młodą kobietą, która w końcu jest na właściwej drodze. Nie pozwolę jej upaść z powodu nieudanego romansu z jednym z moich prawników.

– Nie szukam nikogo na stałe – mówię zgodnie z prawdą, unosząc ręce w geście poddania.

Jack obdarowuje mnie przez to surowym spojrzeniem.

– Cóż, gwarantuję ci, że nie pochwalam również innych rzeczy, których możesz szukać, Ben. Mogę sobie jedynie wyobrazić, do jakich doświadczeń w pracy przywykłeś, biorąc pod uwagę twoje ostatnie miejsce zatrudnienia.

Już otwieram usta, by zaprzeczyć jego założeniom, by wyjaśnić, że Cain zwolniłby mnie

natychmiast i do tego sprął na kwaśne jabłko, gdyby tylko usłyszał, że zadają się z jego tancerkami. Jednak Jack unosi rękę, nie dając mi dojść do słowa.

– Twoja pozycja w mojej firmie jest bezpieczna. Na razie. Reese twierdzi, że tylko się przyjaźnicie i nie mam powodu, by jej nie wierzyć. Jeszcze.

– Tak jest.

– A Mason to potwierdził. Obaj wiemy, jak ściśle przestrzega zasad.

– Tak. Z pewnością. – Ten gość jest niczym zaprogramowany robot. Jest mocno sfrustrowany, gdy ma funkcjonować poza programem.

Pocierając policzek z lekkim zarostem, Jack mówi:

– Lubię myśleć o Reese jak o dzikim koniu, który musi przywyknąć do ludzi. Będzie cię tolerowała, podejdzie do ciebie, z pewnością cię zauroczy, ale nigdy nie będziesz wiedział, co zrobi później. Ma bardzo głęboko sięgające problemy z zaufaniem.

– Jednemu facetowi zaufała w wystarczającym stopniu, by za niego wyjść za mąż – przypominam mu.

– Po sześciu tygodniach... i zobacz jak się to skończyło dla tej szalonej dziewczyny – mówi cicho.

– Tam nie chodziło o zaufanie. Chodziło o potrzebę miłości. O kogoś, kto ją wybrał, postawił na pierwszym miejscu. Każdy, kto miał ją wspierać, zawiódł, zostawił ją leżącą na ziemi, próbującą się pozbierać. Ojciec, Annabelle, ja... po czym ten żartowniś, za którego wyszła.

Zastanawiam się, czy Jack wie, że ten żartowniś mieszka teraz w Miami, a Reese już szykuje się do zemsty. Bazując na sprawie z udawanym chłopakiem, w którą mnie wrobiła, nie sędzę, żeby to sobie odpuściła. Zresztą cokolwiek planuje, nie chcę o tym wiedzieć.

– Ta biedna dziewczyna w kółko doświadcza odrzucenia. – Jack znów siada w fotelu, splata palce przed twarzą i mówi spokojnym, moralizatorskim głosem: – Jeśli cokolwiek wydarzy się między wami, a potem się rozpadnie, stanę po jej stronie. Nieważne, jak dobrym prawnikiem czy przyjacielem Masona się okażesz. Ona zawsze będzie dla mnie priorytetem. Wyrażam się jasno?

– Jak słońce. – Wyleje mnie, jeśli ją skrzywdzę w jakikolwiek, choćby najmniejszy, sposób. Na szczęście Reese wydaje się interesować mną wyłącznie w jednym celu i jest to coś, co z łatwością mogę jej ofiarować.

Jack lekko kiwa głową i opiera się w fotelu.

– Chciałbym, by ta pogawędka została między nami, jeśli nie masz nic przeciwko. Reese niezbyt dobrze znosi, kiedy mówi się jej, co ma robić, a nie chcę dawać jej powodu do buntu przeciwko mnie.

– Nie pisnę ani słówka.

– To dobrze. A teraz spadaj stąd.

Salutując, błyskawicznie podrywam się z krzesła, z radością przyjmując odroczenie wyroku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

REESE

Jest tak zajęty dokumentami zalegającymi na biurku, że nie widzi, iż opieram się o futrynę drzwi jego gabinetu, więc przez moment po prostu tak trwam i mu się przyglądam. Być może Ben nie potrafi przejść dwóch kroków bez tego swojego uroczego uśmiechu, ale kiedy się nad czymś koncentruje, zazwyczaj ma ściągnięte brwi, a jego usta są raczej zakrzywione ku dołowi. Niemniej jest przystojny. Aż nie chcę mu przeszkadzać.

– Skończyłam to dla ciebie.

Niebieskie spojrzenie natychmiast na mnie łąduje, przesuwając się po moim ciele, zanim wraca do mojej twarzy, jakby Ben nie mógł się powstrzymać, by tego nie zrobić. I być może tak jest. No ale ja też, kiedy już widziałam wszystko, co ma pod ubraniem, korzystam z każdej nadarzającej się okazji, by przyjrzeć się jego sylwetce. Najczęściej kończy się to przyspieszonym biciem serca i utratą skupienia. Ben stał się niezwykle szkodliwy dla mojej koncentracji.

Odkłada długopis, opiera się w fotelu i wzdycha.

– Cześć, Reese. – Uśmiecha się, jednak na jego twarzy maluje się coś jeszcze. Coś, co widzę za każdym razem, gdy w tym tygodniu przechodzę obok jego gabinetu. Jakiegoś rodzaju nieufność.

Jeśli miałabym zgadywać, to Jack powiedział mi coś po tym, jak odwiózł mnie w niedzielny poranek. Jednak kiedy napisałam w tej sprawie do Bena, wszystkiemu zaprzeczył, twierdząc, że nie było żadnej rozmowy. Po czym zapytał, co mam na sobie.

Wchodzę i kładę teczkę z dokumentami na jego biurku.

– Zazaczyłam strony. Przygotowałam też dodatkowe dokumenty do podpisu dla twojego klienta.

– Napracowałaś się. – Słowa, które wcześniej wypowiedziałby uwodzicielsko, teraz brzmią niemal obojętnie. Chcę, by tamten flirciarz powrócił. I chyba chcę, by znowu mnie pocałował. – Zmęczona?

– Tak. Ta robota nie ma końca. – Siadam na krześle i opieram nogi na jego blacie. – Jak mogę pomóc?

Mojej uwadze nie uchodzi rzut jego oka na drzwi po lewej, gdzie znajduje się gabinet Jacka. Ben pochyla się w przód i ścisza głos niemal do szeptu, niemal, bo nie sędzę, by potrafił szeptać:

– Słuchaj, dwa razy widziałem cię kompletnie nagą. Twoja obecność powoduje u mnie wzwód, którego nie będę potrafił ukryć, jeśli zostanę wezwany na zebranie, co zapewne zaraz nastąpi. Musisz zabrać stąd swój śliczny tyłeczek, żebym mógł skupić się na pracy.

Zsuwam nogi z blatu i pozwalam im głośno opaść na podłogę.

– Jak sobie życzysz. – Wraz z jego słowami przepływa przeze mnie dziwna mieszanka rozczarowania i ekscytacji.

Jack definitywnie mu groził.

To moja wina. Powinnam powiedzieć Benowi, by wysadził mnie na końcu ulicy. Jack zawsze wcześniej wstaje, więc wiedziałam, iż istnieje możliwość, że będzie biegał na bieżni znajdującej się w pokoju nad garażem, z widokiem na podjazd.

Wstaję i podchodzę do drzwi. Kiedy chwytam za klamkę, w powietrzu rozchodzi się ciężkie westchnienie Bena.

– Słuchaj, nie mogę ryzykować, że przez to stracę pracę.

Obracam się i patrzę na niego.

– Przez co? Jesteśmy tylko przyjaciółmi, prawda?

Myśli o tym przez chwilę, bawiąc się trzymanym długopisem. I znów się uśmiecha.

– Tak, tylko przyjaciółmi.

Wyciągam w górę palec.

– Ale nie zapominaj, fikcyjny chłopaku, mamy umowę. – Nie rozmawiałam z Jaredem od tamtego dnia w kawiarni, czyli już od ponad tygodnia. W głowie nieustannie słyszę cieniutki głosik powtarzający, bym go sobie odpuściła, jednak po części – tej części, która kiedy tylko otworzy oczy, sprawdza co rano jego konto na Facebooku – nie jestem jeszcze na to gotowa. I nie do końca rozumiem dlaczego. Czy to duma? Chęć zemsty? A może wie, że w raju Caroline nie jest tak różowo? Czy chcę odzyskać mój własny raj?

– Tak... – Pojedyncze słowo wychodzi z ust Bena, gdy ten znów patrzy na drzwi Jacka i z dziwnym wyrazem twarzy kręci głową. – Tylko nie załatw fikcyjnemu chłopakowi wypowiedzenia z pracy.

* * *

– Proszę. – Kładę na biurku babeczkę od pani Cooke. Czuję iskrę podniecenia na widok ramion Bena, które uwypuklają się pod srebrzystoniebieską koszulką polo. Myślę, że najbardziej lubię go w niebieskim. Podkreśla barwę jego oczu. – Szybko się kończą.

Ben patrzy na prezent, a następnie na mnie.

– Bo dzisiaj zjadłem już trzy. – Chwyta babeczkę, po czym uśmiecha się ironicznie i mówi: – Ale dzięki. Z przyjemnością zjem i tę.

– Jeśli z nimi nie przyhamujesz, wyhodujesz sobie brzuch jak Jack.

Gryząc, przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Nadal będziesz mnie kochać, jeśli nie będę już taki piękny?

– Oczywiście, że nie. – Odwracam się i odchodzę, a jego głośny śmiech sprawia, że sama się uśmiecham.

Jednak przystaję w drzwiach, gdy słyszę:

– Wiesz co? Jesteś ostatnio dla mnie bardzo miła. To dziwne. Ludzie zaczną coś podejrzewać. Pomyślą, że Rancor się we mnie durzy. – Zerkam przez ramię i widzę, że puszcza do mnie oko. – A tego byśmy nie chcieli, prawda?

Nie wiem, czy żartuje, czy ludzie rzeczywiście coś gadają na temat zmiany w moim charakterze. Wiem jednak, że definitywnie nie chcę takich plotek.

– Przecież wiesz, że to nie potrwa długo, prawda?! – Brzmi to niemal jak ostrzeżenie.

Uśmiechając się szeroko i unosząc babeczkę, mówi:

– Bez obaw, Reese. Dzięki.

Nawet nie wiedziałam, że wstrzymuję oddech, jednak tak było, ponieważ wzdychając, ciężko wypuszczam powietrze. Kiedy już jestem bezpieczna na korytarzu, dodaję spokojnym lecz donośnym – na tyle, by cała firma słyszała – głosem:

– Mam nadzieję, że się nią udławisz i umrzesz! Miłego dnia!

Reese MacKay nie „durzy się” w nikim.

Śmiech Bena odprowadza mnie, pośród wzroku wścibskich współpracowników, aż do mojego gabinetu.

* * *

Życie w pracy stało się nudne. Nie to, żebym się wcześniej nim ekscytowała, ale przez ostatnie kilka tygodni czułam się tutaj inaczej. Bardziej żywa. Teraz czuję się pusta i znudzona. Mimo że nie brak mi kawy i teczek z dokumentami.

Pewnie dlatego, że pewien wysoki blondyn pilnuje, by nigdy nie zostawać ze mną sam na sam w gabinecie. Nadal pełną uwagę poświęcam sprawom jego i Natashy, ale on prosi o pomoc również innych asystentów, którzy nie są nawet w połowie tak szybcy i skuteczni jak ja.

Przez chwilę myślałam nawet, że dał wiarę plotkom, że niby się w nim podkochuję i unika mnie, ponieważ nie chce podsycać mojego „uczucia”. Jednak cały czas czuję na sobie spojrzenie jego niebieskich oczu. Nie wstydzi się tego. Wiem to, ponieważ puszcza do mnie oko za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się krzyżują.

Nie mogę go złapać nawet u niego w gabinecie, bo cały czas jest na spotkaniach z Natashą.

Zaczynam popadać w paranoję, że coś się dzieje między nim a kauzyperdą – nawet jeśli ona jest zaręczona, jestem pewna, że zgodziłaby się na niezobowiązujący seks. Zapewne w łóżku jest równie bojowa jak w innych kwestiach. Chociaż jakoś wątpię, by coś takiego kręciło Bena.

No, chyba że jest jedną z tych kobiet, które lubią wiązać mężczyzn i ich chłostać. Na to Ben może mieć ochotę.

Nie podoba mi się to.

Nie chcę z Benem niczego więcej poza tym, co już mamy. Po prostu nie chcę, by miał to coś więcej z kimś innym.

Szukam więc teraz każdej możliwej wymówki, by wejść do jego gabinetu. Dlatego właśnie stoję w kolejce, kupując drożdżówki i kubek tej diabelnie dobrej – żart, naprawdę – kawy.

– Już cię tu widziałam. Nie mogę uwierzyć, że nie skojarzyłam, kim jesteś.

Ludzie mawiają, że południowy akcent jest piękny i odprężający. O dziewiątej rano, słysząc go wprost ze źródła, bardziej opisałabym go jako podobny do dźwięku paznokci drapiących tablicę.

Obracam się przez ramię i widzę kwaśną minę Caroline, co każe mi się zastanowić, dlaczego jest spóźniona. Cztery razy czekałam na nią na ławce w parku, więc wiem, że przychodzi na kawę o ósmej trzydzieści, jak w zegarku. Chociaż dzisiaj, wnioskując po jej ostrym spojrzeniu, myślę, że to ona mogła czekać na mnie.

– Przepraszam, ale ja ciebie nigdy nie zauważyłam. – Płacę i odsuwam się od lady. – Miłego dnia!
– rzucam najbardziej denerwującym piskliwym głosikiem, jaki potrafię wyczarować, po czym mijam ją i udaję się do drzwi.

Przypominający imadło uchwyt zaciska się na moim ramieniu.

– Myślisz, że nie wiem, co robisz?! – syczy Caroline.

Patrzę na jej dłoń, którą błyskawicznie zabiera, jak gdyby nagle zrozumiała, co zrobiła.

– To podchwytliwe pytanie?! Idę do pracy. To nie jest żadna tajemnica.

Piorunuje mnie lodowatym wzrokiem.

– Chyba się zgodzisz, że jest tu zbyt wiele zbiegów okoliczności, co?!

– Poza tym, że mamy ten sam gust co do mężczyzn i kawiarni, żadnego nie dostrzegam. – Stoi tak

blisko mnie, że czuję jej oddech. Pachnie arbuzem. Dziecięcą gumą do żucia symulującą smak. Nie znoszę arbuzów. Oczywiście.

Mruży oczy.

– Jakim cudem twój numer telefonu znów znalazł się w komórce Jareda?!

Walczę, by ukryć zdziwienie. Jared jest przewrażliwiony na punkcie prywatności i trzymania innych z dala od swojego telefonu. A może tylko mnie nie pozwalał go dotykać, ponieważ pisał ze swoją byłą.

Jej następne słowa rozwiewają moje wątpliwości.

– Tak właśnie jest, jeśli zna się kogoś od szóstego roku życia. Ta druga osoba staje się dość przewidywalna. Nawet kiedy chodzi o hasła.

– Ale o czym ty mówisz?! Nie ufasz mu?! – Nie sądzę, by Jaredowi podobało się to, że jego zazdrosna żona grzebie w jego rzeczach, mimo że jej zazdrość może mieć solidne podstawy. Czuję w sercu ukłucie radości.

– Nigdy go nie odzyskasz – mówi powoli i dobitnie, z pewnością, która nie może być udawana. – Jared kocha mnie całe swoje życie. Kiedy zerwaliśmy, był tak załamany, że pocieszyłby się czymkolwiek. A myślisz, że czemu ożenił się z jeżdżącą na motocyklu psychopatką, taką jak ty?! Byłaś błędem, którego codziennie żałuje. Jest i zawsze będzie mój.

Wybuchają we mnie emocje – niebezpieczna mieszanka gniewu, upokorzenia i bólu, który pali w oczy i sprawia, że mam ochotę wylać jej wrzącą kawę na głowę. Ani na moment nie zapomniałam jej miny, kiedy tamtego dnia odsłoniłam kurtynkę prysznic. Przysięgam, że czekała na tę chwilę, ponieważ natychmiast popatrzyła mi w oczy spojrzeniem, w którym połyskiwał triumf.

A teraz rzuca mi wyzwanie na środku kawiarni, wśród tych wszystkich ciast i nieznanym ludzi. Dostrzegam lekkie drżenie jej rąk i uświadamiam sobie, że może się mnie trochę obawiać. Nie bezpodstawnie, biorąc pod uwagę, że wbiłam nożyczki w jej oczy na wielkim zdjęciu w ich sypialni. Prawdopodobnie powinna się bać, że jej przyleję, tutaj, w tłumie ludzi. Może nawet na to liczy. Ponieważ właśnie na to mam ochotę. Wie, że mam gorący temperament. Mogłaby wnieść przeciwko mnie oskarżenie i się mnie pozbyć. Jest tutaj przecież tylu świadków.

Sprytna dziewczucha.

– Ale dlaczego tak bardzo martwisz się, że ma mój numer? – pytam wymuszonym, spokojnym głosem, czując jak drożdżówki, które trzymam, zaczynają się kruszyć.

– Nie martwię się – rzuca, wydawałoby się zaskoczona. – Musisz tylko wiedzieć, że jestem tego świadoma i że się z ciebie śmieję. Wszystkie moje koleżanki mają z ciebie niezły ubaw. Jesteś żałosna.

Tak, na pewno mnie prowokuje.

Gryzę się w język, by nie spytać, jak tam jej nóżki po niedzieli. Nie ma sensu dawać jej pretekstu do tego, by dostać zakaz zbliżania się do niej.

– Dobrze wiedzieć, że Jared zamienił jedną wariatkę na inną. Miłego dnia! – mówię głośno z wymuszoną wylewnością i odwracam się do niej plecami, by odejść, mocno zagryzając przy tym zęby.

Wyciągam telefon i wciskam klawisz szybkiego wybierania.

– Reese?! Wszystko w porządku?! – pyta natychmiast Jack.

Marszczę brwi, patrząc na pieszych i przejeżdżające ulicą samochody.

– Tak...

Ze słuchawki płynie głębokie westchnienie.

– Dobrze, dobrze. Myślałem tylko... No bo dzwonisz... – mówi, śmiejąc się. – Zazwyczaj rano zaszywasz się w gabinecie i nie chcesz nikogo oglądać przynajmniej przez dwie godziny.

– A tak. Nic mi nie jest.

– No to co tam?

– Wspominałeś coś o imprezce dla Bena i Masona? – Od zeszłego tygodnia to oficjalna wiadomość. Ben i Mason otrzymali wyniki egzaminów, które obaj zdali. Teraz są już dyplomowanymi prawnikami.

– Tak. Dlaczego pytasz?

Trybiki w moim przebiegłym umyśle nabierają prędkości.

– Mam coś zaplanowane na piątek.

– Cóż, pani Cooke już...

Przerywam mu:

– Nie, Jack. Nie zrobimy tego przyjęcia w podziemiach kościoła. Znajdę coś odpowiedniejszego. – Zwykły bar, wyluzowana atmosfera. Neutralny teren. Gdzieś, gdzie będę mogła wejść i wyjść bez zbędnych ceregieli.

I przypomnieć mojemu byłemu mężowi, jak bardzo za mną tęskni.

Kiedy tylko kończę rozmowę z Jackiem, wysyłam SMS-a do Jareda:

W PIĄTEK, KOŁO ÓSMEJ WIECZOREM BĘDĘ Z PRZYJACIÓŁMI W BARZE GRILL. BEZ ZOBOWIĄZAŃ.

Po chwili dodaje:

BYĆ MOŻE POWINIENES ZMIENIĆ HASŁO DO SWOJEGO TELEFONU. WEDŁUG TWOJEJ UROCZEJ ŻONKI, NA KTÓRĄ WŁAŚNIE WPADŁAM, JESTEŚ DOŚĆ PRZEWIDYWALNY.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

BEN

Dzięki Bogu już weekend.

Dni tutaj wydają się ze sobą zlewać. Najwyraźniej popchnąłem drzwi gabinetu zbyt mocno, bo trzasnęły, przez co kilkanaście głów uniosło się znad biurka jak jakieś surykatki na pustyni. Przepraszam ich machnięciem ręki i rzucam na biurko kolejne dokumenty.

Cholera, co ja bym dał, by mieć przy sobie Reese w dzień i w nocy! Lubię z nią pracować. Nie, uwielbiam z nią pracować. Gdy jest blisko w jakiś sposób sprawia, że wszystko wydaje się bardziej zabawne.

Właśnie dlatego cały tydzień jej unikałem. I to było do bani.

Jack ma rację: ta dziewczyna jest na swój sposób urzekająca. Idioci jak ja mają przerabane.

Okrażam biurko i na fotelu znajduję czerwoną, ozdobną, papierową torebkę, z której wystaje biała bibuła. Po tygodniach ukrywania się w gabinecie i zajmowania sprawami Natashy, dostałem wyniki egzaminów. Obaj z Masonem je zdaliśmy. W końcu jestem stuprocentowym prawnikiem. Zakładam, że to pewnego rodzaju prezent gratulacyjny.

Zaglądam do środka i widzę karteczkę:

Gratulacje! Teraz już oficjalnie jesteś kauzyperdą.

Gdyby autora nie zdradzało zastosowanie tego szczególnego określenia, mógłbym się wszystkiego domyślić po samym tekście, napisanym jak kura pazurem. Reese pisze gorzej niż niejeden lekarz, którego poznałem. Myślę, że to dlatego, iż żyje w ciągłym pośpiechu.

Przekopuję się przez torebkę z bibułą, w której znajduję jasnoczerwoną koszulkę z napisem:

NARZYGANO NA MNIE W CANCÚN.
NA DOWÓD ZOSTAŁA MI BRZYDKA,
CZERWONA KOSZULA.

Jestem pewien, że cała firma słyszała mój wybuch śmiechu.

Cholera, uwielbiam jej poczucie humoru.

I jestem rozczarowany, znajdując w jej gabinecie jedynie tekturowego Rancora. Jej komputer jest wyłączony. Zapewne to nic takiego. Będę mógł jej podziękować na niewielkiej imprezce po pracy, zorganizowanej dziś dla mnie i Masona.

Mimo to nie chcę czekać aż tak długo.

* * *

– Świetny wybór! – przekrzykuję tłum w *Grillu*. Rozglądając się wokół, zauważam kilka brunetek,

które już zdążyły mnie namierzyć, co okazują śmiało machając i puszczając do mnie oko.

– Reese to zorganizowała – przyznaje Mason z niewielkim zdziwieniem w głosie, stukając swoją szklanką o moją. – Zdrowie. Za dyplomowanych prawników.

– A właśnie, gdzie jest ta mała spryciara? – Cała załoga, łącznie z Jackiem, zjawiała się tu dzisiaj, by razem z nami świętować. Lokal wydzielił nam osobną przestrzeń, w której znajduje się kilka stolików zastawionych jedzeniem. Przynajmniej od trzech godzin krążę między nimi, zbyt często patrząc na zegarek i drzwi wejściowe.

– Jest z Liną i Nicki. Lina niedawno napisała, że wkrótce się zjawia.

– I jak tam? To Lina stoi za zmianą twojego wyglądu? – Mason nigdy nie miał wycucia stylu, jednak aktualnie ma nowe ciuchy i zaczął się inaczej czesać. Nosi nawet soczewki kontaktowe. Kiedyś nabijaliśmy się z jego ciężkich, grubych okularów, ale wtedy się nimi nie przejmował.

Oblewa się rumieńcem i wzrusza ramionami.

– Chciałem spróbować czegoś nowego, a ona mi w tym pomaga.

Bzykanie z pewnością wyczynia cuda z tym gościem.

– Jak wam się układa?

Uśmiech zakłopotania maluje się na jego twarzy.

– Dobrze. Jest... – Uśmiech blednie, kiedy Mason porusza głową w górę i w dół. Kończy, mówiąc:

– To skomplikowane.

– Och, do diabła, chyba się w niej nie zakochałeś, co?

– Nie! To znaczy, lubię ją. Bardzo. Ale... – Cichnie i patrzy na swoje piwo.

– Ale co? Tylko pamiętaj, że nie gadam o uczuciach, więc się za bardzo nie wywnętrzaj – ostrzegam.

– Jest przyjaciółką Reese, więc... – Waha się, jakby wolał nie kończyć. – Czekam, by przekonać się, co z nią jest nie tak.

Nie wygląda na zadowolonego, gdy wybucham śmiechem.

– Myślałem, że w jakimś stopniu dogadujecie się z Reese. – Widziałem w firmie, że częściej ze sobą rozmawiają. Kiedyś nawet Reese zaproponowała, że pomoże mu z listami do klientów.

– Myślę, że tak – przyznaje, wzruszając ramionami. – Powoli.

– No, z tego co mówił Jack, Reese nie zniknie ponownie z waszego życia. Nigdy. A tak na wszelki wypadek, jeśli znowu będziecie w stanie wojny, postawię na nią.

Ponownie wzrusza ramionami i bierze spory łyk piwa. A ja uśmiecham się pod nosem. Mason ma lekką głowę. Kiedy dojdzie do dna kufła, będzie chichotał jak gimnazjalistka. A skoro mowa o alkoholu, sam muszę zwolnić, inaczej zrobię coś głupiego, zupełnie nieprofesjonalnego i... cóż, mojego. A to pewnie nie jest najlepszy czas i miejsce. Później, kiedy już wrócę do domu, gdzie chłopaki też szykują niewielką imprezkę, będzie na to lepszy moment.

– A co dzieje się między tobą a Reese? – pyta zniecierpliwiona Mason.

– Już ci mówiłem. Nic.

– Ben. – Przysuwa się i ścisza głos. – Nie chcę, byś wyleciał z firmy. – Ściąga brwi. – Wiem, że tak naprawdę nie pasuję do reszty chłopaków, ale zawsze sprawiałeś, że czułem się członkiem ekipy. Zawsze byłeś moim przyjacielem. Staram się ciebie pilnować.

To zabawne, że Mason mówi mi o tym teraz. Kiedy zacząłem studia prawnicze, czułem się, jakbym to ja tam nie pasował. Zmieniając kierunek nauki, ze znanego rozgrywającego, gwiazdy futbolu – nawet jeśli już nie grałem – stałem się nikim, człowiekiem, który nie był nawet w połowie tak mądry

i wyrafinowany, jak wydawali się być pozostali studenci prawa. To znaczy miałem odpowiednią ilość punktów za oceny, dobry wynik egzaminu wstępnego oraz listy polecające, ale przez chwilę myślałem, że popełniłem wielki błąd, chcąc uczęszczać na ten kierunek.

Klepię go mocno w ramię, a stojąca za Masonem platynowa blondynka przykuwa moją uwagę.

– Nie martw się. Nie wylecę. – Obserwuję, jak Mercy i Hannah zacierają się do nas, a każdy facet w lokalu obraca głowę w ich stronę. – Cholera – mamrocze. Nie potrafię na ich widok nie wspominać mojego wieczoru pożegnalnego w *Penny*. Wydaje się, że to będzie cholernie długa noc. Mam nadzieję, że Reese niedługo się zjawi.

– To te dwie? – Gapiąc się na dziewczyny, Mason opiera palec na nasadzie nosa, gdzie powinny być jego okulary.

– Tak. – Uśmiecham się. Opowiadanie Masonowi szczegółów tamtej nocy było bardzo zabawne. Słuchał każdego mojego słowa z uwagą, jakbym zdradzał mu, gdzie ukryto Świętego Graala.

– Ben! – Ledwie udaje mi się odstawić szklanke, nim Mercy rzuca się na mnie, łapiąc za szyję i całując prosto w usta. – Gratulacje! – Wiem, że naprawdę dobrze mi życzy, więc nie sposób jej odepchnąć. To byłoby okrutne.

Mimo to wskazuję przed siebie, starając się pozbyć jej jakoś dyplomatycznie.

– Pamiętasz mojego przyjaciela, Masona?

– Tak. – Oczy jej błyszczą, gdy się ode mnie odsuwa. Przyglądam się temu z uśmiechem, wiedząc, co nadchodzi. Mogłaby poprzestać na uściśnięciu jego dłoni i przywitaniu się. Ale ponieważ Mercy już go poznała, teraz przysuwa się i całuje go w policzek, przez co chłopak natychmiast oblewa się szkarłatem.

– Hej, Ben, fajnie, że tu jesteśmy, prawda? – mruczy obok mnie Hannah. Jest o wiele bardziej zdystansowana niż Mercy. – Staralam się grzecznie ubrać, by nie wyróżniać się spośród twoich kolegów prawników. Myślisz, że widzą różnicę?

Parskam śmiechem, zanim potrafię go stłumić. Hannah mogłaby wejść tutaj ubrana w worek na ziemniaki, a i tak wszyscy wiedzieliby, jaką wykonuje profesję. W przeciwieństwie do Mercy, Hannah jest świadoma tego, co robi, i nie może się doczekać, aż skończy szkołę pielęgniarstwa. Jej pacjenci będą szczęśliwi.

Łapię ją za ramiona i po przyjacielsku przyciągam do siebie.

– Nie mają pojęcia. Dobrze się spisałaś.

– To dobrze. Chciałyśmy ci tylko pogratulować i powiedzieć, że za tobą tęsknimy. – Przysuwa się i mocno całuje mnie w policzek. Wiem dobrze, że tamta noc nie znaczyła dla niej nic więcej poza dobrą, przyjacielską zabawą. Od lat zakochana jest w barmance z *Penny*, Ginger.

– Zamów sobie coś do picia – proponuję z uśmiechem, prowadząc ją do baru, jednocześnie rozglądając się za Reese.

Wszyscy asystenci od Warnera spoglądają na mnie z zazdrością. Przewiduję, że w poniedziałek rozzwoni się mój telefon i każdy z nich będzie chciał mnie do siebie zaprosić. Przywykłem do tego. Kent i chłopaki zawsze błagają, bym przyprowadził dziewczyny z *Penny* do domu na jakieś prywatne show.

Dzisiaj jestem im to winny.

Tłum rozstępuje się niczym morze czerwone, gdy zbliża się do mnie Nate, by uściśnąć mi dłoń.

– Ginger nie dała rady przyjść, ale prosiła, bym mocno ucałował cię od niej.

– Przekaż jej, żeby przestała nas swatać.

Nate się uśmiecha.

– Wpadłem tylko na chwilę. Sam zajmuję się dzisiaj *Penny*, choć wydaje się, że połowa tancerek zamiast do pracy idzie do jakiegoś kretyna na domówkę.

Śmieję się z jego słów.

– Gdzie Cain?

– Wyjechał. – Marszczę brwi. Nate jest lojalny i cokolwiek robi Cain, nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział. Mam tylko nadzieję, że ma to coś wspólnego z Charlie. Coś dobrego. Ten facet zasługuje na szczęście.

Nate przechodzi na drugą stronę baru, gdzie siedzi jakiś jego znajomy, odsłaniając dużo niższego mężczyznę stojącego za nim.

– Dobrze mieć takiego przyjaciela – mówi cicho Jack, przez chwilę przyglądając się sylwetce Nate'a, nim jego wzrok przeskakuje na Mercy i Hannah, które otoczyły Masona. Hannah kokietuje go spojrzeniem, a Mercy bawi się jego kołnierzykiem.

– Jak i te dwie przyjaciółki, jeśli zapytałbyś w tej chwili swojego syna – żartuję.

– Tak. – Jack uśmiecha się i upija łyk piwa. – Miło byłoby widzieć, że trochę mniej pracuje, a więcej cieszy się życiem. – Waha się, po czym dodaje: – Chociaż nie jestem tego pewien.

– Mason powinien robić to małymi kroczkami – zgadzam się z uśmiechem.

Rozglądając się, pyta:

– A nie widziałeś przypadkiem mojej nieobliczalnej pasierbicy? Przygotowała cały ten wieczór, ale nie przyszła.

Dobre pytanie. Jakaś część mnie chciałaby mieć ją u boku, by odeprzeć umizgi Mercy. Inna część wolałaby jednak, by Mercy znajdowała się po drugiej stronie baru, bym nie wpadł w kłopoty przy Jacku. Zaczynam myśleć, że to tylko kwestia czasu.

– O wilku mowa! – woła Jack, a jego twarz natychmiast się rozpogadza.

Mimowolnie zauważam, że czuję ekscytację na dźwięk tych słów. Ścisną mi się żołądek, gdy w drzwiach zauważam blondynkę w seksownej czerwonej sukience i z niebezpiecznym uśmiechem na twarzy.

– O kurwa... – mamrocę pod nosem.

Ona z pewnością coś kombinuje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

REESE

– Zapomniałam wam o czymś powiedzieć – krzyczę do Liny i Nicki, gdy przepychamy się przez tłum ludzi. *Grill* w piątkowe wieczory zwykle jest zatłoczony. Zlokalizowany na plaży, przypomina hawajski bar z dachem pokrytym trawą, otwartymi przestrzeniami i wieloma płaskimi telewizorami. Dziś wieczorem pełen jest pracowników kancelarii Warnera.

Zbyt pełen. Nikt jeszcze nie wyszedł. Mówiłam, że impreza potrwa od piątej do siódmej. Jest ósma, a oni nadal tu są.

– Znów wyszłaś za męża? – pyta Lina śmiertelnie poważnie, jakby to z góry zakładała.

– Niezupełnie – mamroczę pod nosem. Zaraz wpadną we wściekłość.

Ja też się wkurzę.

– Gdzie ci prawnicy, o których opowiadałaś? – pyta Nicki. Jak zawsze wygląda zjawiskowo; tym razem ma na sobie fioletową sukienkę z gorsetem. – Myślisz, że uwierzą, jeśli powiem, że też jestem prawnikiem?

– Są tuż przed nami. Wystarczy, że bardzo wolno wypowiesz słowa „przesłuchanie świadka”, do tego zamachasz rękami i uwierzą ci we wszystko. Ale muszę wam powiedzieć...

– Wow! Co za fryzura! – Nieproszone palce pojawiają się na mojej szyi, by dotknąć wiśniowego ombre, które zrobiłam sobie po pracy u fryzjera. Całe włosy koloru blond były nudne, więc wymyśliłam, że ciemnoczerwone końcówki będą prawie akceptowalne jak na standardy biurowe. – Zarąbista. Podoba mi się! – zachwyca się Natasha, cała w skowronkach, co podpowiada mi, że jest pijana. Bez czekania na moją odpowiedź, ciągnie dalej: – Kim są twoje koleżanki? – Wyciąga rękę. Idealnie wyregulowana lewa brew Liny unosi się, gdy dziewczyna podaje dłoń.

– Lina, to kauzyperda. Kauzyperdo, to Lina.

Natasha tak wiele razy słyszała, że ją tak nazywam, iż nie sądzę, by nadal się o to gniewała. Poza tym jest teraz zbyt zajęta gapieniem się na wytatuowane ręce Nicki.

– Wow, bolało? – Przeciąga palcami po ramieniu mojej przyjaciółki.

– Można przywyknąć – odpowiada grzecznie Nicki, choć zaciska zęby. Nienawidzi, gdy ktoś dotyka ją w taki sposób.

Patrzę na dziewczyny wielkimi oczami i bezgłośnie mówię:

– Idziemy.

– O czym to ja...

W morzu ludzi dostrzegam głowę Bena górującą nad innymi. Obok niego stoi Jack. Ben uśmiecha się do mnie, chociaż nerwowo. Jednak jego spojrzenie mimo to przykleja się do moich piersi i błyszczy aprobatą na widok czerwonej sukienki bez ramiączek, którą dzisiaj kupiłam. Jest obcisła, krótka, u dołu w kształcie dzwonka, i ładnie eksponuje moje nogi. Jest nieco formalna jak na wieczór

– zwłaszcza w połączeniu ze szpilkami – jednak w rozpuszczonych włosach i bez biżuterii, myślę, że wyglądam dobrze. Po prostu dopuszczam do głosu swoją wewnętrzną *femme fatale*, jak to robi Nicki.

Podchodząc do Bena, pobieżnie się rozglądam. Jared odpisał, że będzie tu dzisiaj, ale jeszcze go nie zauważyłam.

Jack odwraca się, gdy stoję za nim.

– Witaj Reesie. – Obejmuje mnie i całuje w policzek. Instynktownie przysuwam się do niego, czując się znów jak mała dziewczynka. Wtedy dostrzega moje włosy i marszczy brwi. – Coś się zmieniło.

Jack jest szczery. Unosząc kolorowe końcówki, mówię z uśmiechem:

– Przynajmniej nie zafarbowałam ich całych.

– No... tak. – Po chwili dodaje: – Wyglądają dobrze. Niezbyt dziko. – Spoglądając przez moje ramię na dziewczyny, uśmiecha się i mówi: – Miło was znowu widzieć. Jak nowe mieszkanie i praca?

– Mieszkanie w porządku. Praca nie za bardzo. – Lina nie trwoni słów. Jeśli potrafi powiedzieć coś przy użyciu siedmiu wyrazów, z pewnością to zrobi. Niektórzy uznaliby ją za nieprzyjemną czy humorzystą.

Ja sędzę, że jest urocza.

– No to w połowie nie jest aż tak źle. Zrób dyplom i będziesz mogła dla mnie pracować. – Jestem pewna, że nie żartuje, co byłoby świetne, bo uwielbiam pracować z Liną.

Wracając do mnie spojrzeniem, Jack mówi:

– Pójdę już, ale dzięki za zorganizowanie tej imprezy. – Przysuwa się i dodaje nieco ciszej: – Miałaś rację. To lepsze niż impreza w kościelnej piwnicy pani Cooke.

Wzruszam ramionami.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić dla ukochanego, przybranego braciszka.

– Prawda. Postaraj się go dzisiaj nie zadręczyć.

– To akurat jej działka. – Wskazuję palcem Linę.

Jack odchodzi, kręcąc głową, pozostawia mnie twarzą w twarz z Benem, który pospiesznie zarzuca ręce na ramiona Liny i Nicki.

– Dobrze was znowu widzieć. Dzięki, że przyszłyście.

Odczuwam niewielkie ukłucie zazdrości, gdy nachodzi mnie myśl, czy Ben zainteresowałby się którąś z moich koleżanek, gdyby mnie tutaj nie było. Istnieją konkretne wady przyjaźnienia się z flirciarzem, z którym okazjonalnie się eksperymentuje, a cienki głosik w głowie podpowiada, że Ben prawdopodobnie przespałby się również z moimi przyjaciółkami.

– Przyszłam tu dla niego – prostuje Lina nieco za ostro, patrząc szarymi oczami na Masona stojącego niedaleko z uwieszonymi na nim Ciasteczkami i jej koleżanką.

– Cześć. – Mason nie traci czasu, uwalnia się od nadgorliwych fanek i staje obok Liny. Jego głos obniża się o oktawę, brzmi dziwnie miękko i mniej sztucznie. – Wszystko w porządku? – Przysuwa się do niej, by pocałować ją w policzek.

Nie wiem, czy kiedykolwiek przywyknę do tego, że są razem.

Ciągle im się przyglądam, ale Ben zwraca moją uwagę, szarpiąc za ciemnoczerwone pasmo włosów.

– Fajne. I naprawdę podoba mi się twoja czerwona sukienka. – Przyciąga mnie do swojej piersi, co

dla postronnego widza mogłoby wyglądać jak gratulacyjny uścisk i szepcze: – Co kombinujesz?

– O co ci chodzi? – pytam niewinnie. Błogość w jego ramionach klóci się z napięciem, które odczuwam, wiedząc, że Jared gdzieś tutaj jest.

Całym ciałem odczuwam wibracje wywołane śmiechem Bena.

– Wiem, że to coś złego. Nie wiem tylko, czy powinienem się bać, czy może masz na oku inną ofiarę.

Wyciągam rękę i daję mu delikatnego prztyczka w nos, po czym odsuwam się, uświadamiając sobie, że robię to niechętnie. Gdybym nie była dzisiaj na tajnej misji, może w ogóle bym nie chciała opuszczać jego objęć. Czuję się tam naprawdę dobrze.

Patrzy na mnie z czułością.

– Dzięki, że zorganizowałaś dla mnie tę imprezę.

– Dla ciebie i dla Masona – przypominam mu.

Uśmiecha się figlarnie.

– I kto tu ściemnia? Zorganizowałaś ją wyłącznie dla mnie.

– Masz zamiar się z tego powodu rozkleić?

– Nie... – Jego usta wyginają się w podkówkę. – Chociaż chciałbym cię pocałować za to, że jesteś tak niespotykane miła.

Poczucie winy ściska mi żołądek. Jednak od razu przypominam sobie, że to przecież Ben. Dla niego nie ma znaczenia, dlaczego to zrobiłam.

– Cóż, ty też możesz dzisiaj coś dla mnie zrobić. Być może poproszę cię o to, byś udawał mojego chłopaka.

Odrzuca głowę w tył.

– Cholera, Reese. Nie możesz mi tego dzisiaj zrobić!

– Mogę. Obiecałeś.

– A ty obiecałaś, że nie wylecę z roboty. – Rozgląda się, jakby podkreślając powagę sytuacji. – Połowa naszej firmy tu jest. Włączając w to Jacka!

– Spokojnie. Jack wychodzi.

– Tak jak i ja. – Obserwuję, jak jednym haustem dopija piwo, a mnie ogarnia panika. *Ben wychodzi?! – Chłopaki urządzają dla mnie w domu imprezkę. Możesz dołączyć z przyjaciółkami, ale nie rozpowiadaj o tym innym. Nie chcę u siebie tych wszystkich prawników.*

Zalewa mnie fala ulgi i zdaję sobie sprawę, że bardzo chciałam ten wieczór spędzić z Benem. Nawet pomimo sprawy z Jaredem.

– A co z Masonem?

Ben prychnął.

– Nie martwię się o Mace'a. Dokładnie wie, co mam w planie. – Patrzy na moje usta.

– Nie zamawiałam pełnego pakietu usług fikcyjnego chłopaka. – Przypominam mu, szturchając go w brzuch, chociaż moje serce znacznie przyspiesza. Ben nawet nie drgnął, grube mięśnie chronią go przed bólem.

– To nie znaczy, że go nie dostaniesz – Puszcza do mnie oko, po czym dodaje: – Ale nie tutaj.

– Cóż... – W zamyśleniu zagryzam zęby, dostrzegając jak Ciasteczko zerka na nas przez ramię, udając przy tym, że wcale nam się nie przygląda. – Możesz przynajmniej nie kleić się do kogoś innego, póki tu jesteś? Inaczej znów wyjdę na idiotkę, która jest zdradzana po raz drugi. – Dodaję na końcu słodkie: – Proszę.

– Miałem nadzieję wykorzystać Masona, by odwrócić uwagę Mercy, ale twoja koleżanka spieprzyła mi plany. – Urywa, po czym mruczy pod nosem: – Poczekaj chwilę. – Delikatnie mnie odsuwa. Obserwuję, jak przeciska się między ludźmi, by podejść do dwóch asystentów od pisania pozwów, którzy nie potrafią nie gapić się w naszą stronę. Podejrzewam, że ślinią się na dwie striptizerki, ponieważ ich twarze rozjaśniają się, gdy zauważają podchodzącego do nich Bena.

– Reese? – woła Nicki z kieliszkiem tequili przy ustach i wzrokiem skupionym na czymś po drugiej stronie sali. – To o tym zapomniałaś wspomnieć?

Nawet nie muszę tam patrzeć, by wiedzieć, o czym mówi. Odrzucając włosy za ramię, spoglądam w tamtym kierunku i widzę, że przy stoliku siedzi grupka ludzi, w tym Jared z Caroline. Jared wystukuje stopą cover, który gra na scenie zespół.

Obracam się do moich przyjaciółek, ale kiedy na mojej twarzy nie maluje się szok, którego się spodziewały, obie marszczą brwi.

– Coś ty tym razem zrobiła, Reese? – pyta Nicki i wzdycha, na milisekundy przed tym, jak Lina pyta:

– Wiedziałaś, że oni tutaj będą?! – mówi ostrym tonem, którego używa, gdy jest na mnie wkurzona. Mason wygląda na oszołomionego.

– Miałam przecucie – przyznaję.

– Kto to? – pyta Mason, jednak nikt mu nie odpowiada.

Lina powoli obraca się twarzą do baru.

– A skąd dokładnie to przecucie?

– Długa historia, a ty naprawdę nie chcesz w tym uczestniczyć. Po prostu mnie wspieraj, dobrze? Wzdycha.

– Zawsze to robię. Nawet jeśli jesteś okropna. Czy dzisiaj masz zamiar być okropna, Reese?

Klepię ją po głowie, ignorując pytanie.

– Dobra, wspierająca przyjaciółka.

– A co z Benem? – pyta Nicki.

– Co ze mną? – pyta głęboki głos zza moich pleców, zaskakując mnie na tyle, że się wzdrygam. Czuję ciepło jego dłoni, gdy opiera ją na moich plecach. Pochyla się i szepcze mi do ucha: – Problem rozwiązany. Chłopaki od pozwów są w siódmym niebie.

Klepię go w szeroką pierś i odchylając głowę, by na niego spojrzeć, mówię:

– Dobry fikcyjny chłopak.

Przez sekundę na jego twarzy maluje się grymas, zastąpiony po chwili przez uśmiech, jednak Ben zdejmuję rękę z moich pleców.

– Masz piętnaście minut – przypomina mi cicho.

Kątem oka widzę, że Jared zdążył mnie już zauważyć i mi się przygląda. Nie obracam się do niego. Nie chcę, by myślał, że go szukałam. Ani, że obchodzi mnie to, że tu jest.

– Dobra, ale jest coś, co muszę najpierw zrobić. Możesz przynieść mi drinka?

– Dokąd się wybierasz?

Spoglądam na zespół, którego wokalista ogłasza krótką przerwę.

– Pogadać z nimi. – Kiedy dzwoniłam do *Grilla*, by zrobić rezerwację i dowiedziałam się, że w piątkowe wieczory mają tu muzykę na żywo, nie miałam już żadnych wątpliwości, że ta noc będzie niezapomniana.

Ben się uśmiecha.

– Zamówisz dla mnie piosenkę?

Przysuwam się niebezpiecznie blisko – być może nie powinnam się tak zachowywać, gdy Jack nadal może być gdzieś w pobliżu. Poza tym są tutaj również pracownicy Warnera. Czuję jednak, że Jared nadal na mnie patrzy, a moja chęć dokuczenia mu jest przemożna – więc szepczę:

– A może zrobię dla ciebie coś lepszego?

Ben zaciska zęby i stawia niewielki krok w tył, od niechcenia rozglądając się po sali.

Z uśmiechem, w swojej uwodzicielskiej, czerwonej sukience, praktycznie wskakuję na scenę – jak już szaleć, to na całego. Skupiam uwagę na wokaliście. To jego muszę oczarować.

Tak oto pięć minut później stoję na scenie z przewieszoną przez ramię gitarą. Szkoda, że nie przyniosłam własnej – jest stara i odrapana, ale znam jej tajemnice i potrafię wyczyniać z nią sztuczki. Ta będzie musiała mi wystarczyć.

Stukam palcami w mikrofon i odchrząkuję. Światła na scenie nie są tak mocne, by ukryć publiczność, więc widzę morze głów obracających się w moją stronę. Jestem tylko trochę zdenerwowana. Nigdy nie bałam się publicznych występów. Może gdybym nie miała takiej śmiałości, nie popełniłabym połowy głupot w swoim życiu. Teraz przynajmniej robię coś, w czym jestem dobra, coś, czego nie robiłam odkąd byliśmy z Jaredem razem.

– Od mojego ostatniego występu upłynęło trochę czasu – mówię jedynie, po czym unoszę rękę, dając znak zespołowi. Każdy pracownik naszej firmy patrzy na mnie z otwartą buzią, kiedy zespół zaczyna grać pierwsze nuty „Call Me” Sereny Ryder. Oczywiście poza Benem. On po prostu stoi z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Przygląda się zaciekawiony.

Zaczynam śpiewać.

Oddychając powoli, wyprowadzam dźwięki wprost z przepony, pozwalam wypłynąć im przez usta, podczas gdy palcami przesuwam po strunach gitary, wydobywając z nich kolejne akordy. To głęboka, nastrojowa piosenka, doskonale pasująca do mojego głosu. Bycie na scenie ponownie, wyrażanie moich własnych emocji przez słowa kogoś innego, pozwala mi mówić bez poczucia winy, a to sprawia, że drzę na całym ciele. Od zawsze uwielbiałam śpiewać, robiłam to nawet, gdy byłam dzieckiem i nie potrafiłam wyśpiewać poprawnie tonów. To jedyne, co wyszło Annabelle – zapisała mnie na lekcje śpiewu. Zrobiła to, ponieważ wszystkie żony i córki z wyższych sfer śpiewały w chórze. Ale mnie to nie interesowało. Dołączyłam do zespołu. Byliśmy dobrzy, choć nie przetrwaliśmy za długo. Perkusista i basista – bracia – za bardzo się kłócili.

Kiedy pierwszy raz zaśpiewałam dla Jareda, w obskurnym barze w Jacksonville, była to, według niego, noc, w której postanowił się ze mną ożenić. Powiedział, że mój gardłowy głos wysłał dreszcze wzdłuż jego kręgosłupa i wszystkich członków, aż dotarł do serca i owinał się wokół niego. Jared potrafił dobierać słowa.

Nawet teraz dostrzegam na jego twarzy ten dziwny, tajemniczy uśmiech, kiedy jego spojrzenie jest dosłownie do mnie przyklejone.

Spojrzenie, które Caroline uważnie studiuje, a po sposobie, w jaki drgają jej nozdrza, wnioskuję, że jej się to nie podoba.

Fajerwerki zwycięstwa eksplodują w moim wnętrzu. Przez dwie sekundy po wybrzmieniu ostatniej nuty w lokalu panuje grobowa cisza, po czym wybucha aplauz publiczności. Mimowolnie promienieję. Zerkam na Jareda dosłownie przez milisekundę, by zauważyć u niego znajomą radość, po czym błyskawicznie skupiam wzrok na Benie, który idzie w moją stronę, by zgarnąć mnie ze sceny silnymi ramionami oplecionymi wokół mojej talii.

Grzeczny fikcyjny chłopak.

– Dlaczego tak bardzo chcesz, bym wyleciał z pracy? – pyta cichym, miękkim głosem, pochylając się nade mną. Nie za blisko, jednak na tyle, by barometr romansowy Jacka uznał to za nieodpowiednie. Mam nadzieję, że opuścił lokal, zanim weszłam na scenę.

– Według mnie sam to sobie robisz. – Cofam się o krok, na wypadek, gdyby on nie chciał tego zrobić. Naprawdę nie chcę, by Ben stał się ofiarą wojny, a jeśli Jack nadal tu jest i to widzi... – Gdzie mój drink?

– Lina go ma – mówi cicho, a jego pierś się unosi, gdy zerka mi w dekolt. – I lepiej szybko go wypij, bo zaraz wychodzimy.

O rany. Ben zdecydowanie coś dla mnie przygotował. Dziś wieczorem. Prawdopodobnie to dobrze. Pomaga w moim planie: Wejść. Zrobić wrażenie. Wyjść. Nie chcę tu zostać zbyt długo i być zmuszoną stawić czoła tamtej dwójce. Wczesne wyjście da mi przewagę.

– Zaraz przyjdę, dobrze? – Zdejmuję gitarę i oddaję ją właścicielowi, który kiwa głową z uznaniem i z powrotem wskakuje na scenę. Obdarowuję Bena niewielkim szturchnięciem w żebra i idę do toalety, przez całą drogę czując na sobie jego wzrok. A może to wzrok Jareda.

Lub ich obydwu.

Kiedy wychodzę z kabiny w toalecie, natrafiam na zupełnie inną parę oczu, palącą mnie spojrzeniem. Pełnym nienawiści. I strachu. Oczu, które należą do rudej zdziry czekającej na mnie przy umywalce, z rękami opartymi na biodrach.

– Co tutaj robisz?! – warczy.

Jakaś ty przewidywalna.

Odkręcam wodę.

– W tej chwili myję ręce. Chcesz wiedzieć, co przed chwilą robiłam w kabinie? – Palcem wskazuję na toaletę. – To trochę dziwne, wiesz? – Gdyby role się odwróciły, strzeliłabym ją teraz w twarz.

– Ostrzegałam cię! – Podtyka mi pod nos paznokciec z francuskim manicure tak blisko, że walczę z ochotą, by ją ugryźć. – Trzymaj się od niego z daleka!

Posyłam jej moje najlepsze zakłopotane spojrzenie.

– Jestem tutaj na firmowej imprezie.

– Poważnie?! – Wyniosły uśmiech wykrzywia jej usta. – I nie wysłałaś wiadomości Jaredowi?!
Jakoś się dowiedział, że znam jego hasło.

– I jak to się dla ciebie skończyło?

Zaciska zęby, co podpowiada mi, że nie za dobrze.

– Poprosiłaś, by tu przyszedł.

– Nie. Powiedział, że chciałby się umówić na drinka, a ja tylko dałam mu znać, że tu będę – mówię powoli, po czym zmieniam ton na bardziej protekcyjny. – Bardziej powinnaś się martwić tym, dlaczego Jared chce się nadal spotykać z byłą żoną. Dlaczego tak bardzo chce się ze mną przyjaźnić.

Caroline ściąga brwi. Widzę, jak podejrzenia nabierają rozpędu, bo ta niezwykle pewna siebie dziewczyna zaczyna mieć wątpliwości. Czy Jared ją zdradza? Mogłby to zrobić? Mój cel został osiągnięty. Mogłabym ją tak zostawić.

Jednak tego nie robię, ponieważ płomień wywołany ich zdradą pozostawił w moim wnętrzu emocjonalną bliznę.

– Zastanawiam się, co ty poczujesz, gdy przyłapiesz go z inną kobietą.

– On by mi tego nie zrobił.

Patrzę na nią, szukając w jej oczach przekonania. Nie potrafię jednak stwierdzić, czy wierzy w to, co mówi. Czy naprawdę uważa, że jest dla niego tak ważna.

– Nie? – Tym razem to na mojej twarzy pojawia się niegodziwy uśmiezek i wiem, że wygrywam, ponieważ jej twarz blednie. Ta kobieta do tej pory nie wykazała ani grama skruchy za to, co mi zrobiła, nawet nie próbowała przeprosić. Przechodzę więc do ostatecznego ataku i syczę: – Będę pamiętała, by poinformować cię, co sądzę o twoim prysznicu.

Jej oczy wypełniają się wściekłością.

– Ty kurwo!

Zgaduję, że Lina i Nicki widziały Caroline podążającą za mną to toalety, po czym dociskały uszy do drzwi, ponieważ w chwili, w której Caroline zaczyna się drzeć, obydwie wpadają do środka – a za nimi Ben i Mason, którzy przepychają się pomiędzy zaciekawionymi kobietami zmierzającymi do łazienki. Naprawdę doskonale wyczucie czasu. Ja tylko stoję ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, podczas gdy Caroline rzuca się na mnie z pazurami.

Pozwalam, by zadrapała mnie w obojczyk i zostawiła ślady palców na szyi, nim ją w końcu odpycham.

Nicki powstrzymuje ją od dalszego ataku, przytrzymując jej ręce po bokach. Widywałam wcześniej, jak blokuje innych ludzi, więc teraz jest raczej delikatna. Chociaż wątpię, czy musi. Z czerwonej twarzy Caroline i sposobu w jaki próbuje wygładzić sukienkę wnioskuję, że jest mocno zakłopotana.

– Mam zamiar złożyć przeciwko tobie pozew – mówi.

Przyciskam mokrą chusteczkę, którą podała mi Lina, do podrapanej szyi. Znajduję na niej kilka niewielkich kropeł krwi.

– Powodzenia. Nie zrobiłam nic złego. Jakbyś zapomniała, wyprowadziłam się daleko od was i nigdy się do żadnego z was nie zbliżyłam. – Cóż, ściśle mówiąc, to kłamstwo, ale ona nie wie o paintballu. – Nie mam twojego numeru telefonu, nie napisałam pierwsza do Jareda i z pewnością nie napadłam na ciebie fizycznie i to w dodatku przy świadkach. Jestem tutaj na imprezie ze współpracownikami. I chłopakiem – wskazuję na Bena, który rzuca mi zirytowane spojrzenie. Zdziwiony Mason gapi się na przyjaciela. – Może powinnam złożyć wniosek o wydanie dla ciebie zakazu zbliżania? Jak myślisz? – Aby być całkowicie wredna, pytam Liny: – A ty co myślisz?

– Myślę, że sąd będzie po twojej stronie, ale nie jestem prawnikiem. – Lina obraca się lekko i pyta:

– A wy, prawnicy, co sądzicie? Czy Reese wygra tę sprawę?

Mason po raz dziesiąty przeczesuje dłonią włosy. Zastanawiam się, czy cokolwiek jest w stanie jeszcze bardziej go zdenerwować, niż przebywanie w damskiej ubikacji i brak pojęcia o tym, kim jest Caroline, i o co w tym wszystkim chodzi. W końcu odchrząkuje i udaje mu się wykrztusić:

– Wierzę, że Reese ma mocne dowody. Właściwie to w tej chwili powinniśmy wezwać policję i wnieść oskarżenie.

Nie wierzę. Jiminy Świerszcz naprawdę staje w mojej obronie. Pewnie, że ma to więcej wspólnego z tym, że chce zadowolić moją przyjaciółkę, ale...

W podziękowaniu kupię mu wielkie opakowanie chusteczek czyszczących nasączonych lizolem.

– Caroline?! – Wszyscy obracamy się i widzimy wchodzącego do łazienki Jareda z – jak zakładam – managerem lokalu. Upewniam się, że wszelkie oznaki uśmiechu znikają z mojej twarzy, kiedy odgarniam włosy, by moja szyja była jeszcze bardziej widoczna. Nie dlatego, że Jared kupi moją grę zranionego niewiniątka, ale...

– Co tu się dzieje?! – Ze zdziwieniem patrzy to na nią, to na mnie, to na chusteczkę, którą dociskam do skóry. – Powiedz, że nie zaatakowałaś Reese w łazience.

Twarz Caroline staje się jeszcze bardziej czerwona. Myślę, że słodka brzoskwinka z Georgii właśnie została przyłapana, ujawniając swój prawdziwy charakter i nieprzyjemne cechy, które zazwyczaj woli ukrywać.

– Nie wniosę żadnych oskarżeń. Chcę tylko wrócić na salę i świętować razem z Benem jego sukces. – Obejmuję Bena, który nadal stoi i przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy, pociągając go za sobą i przechodząc przez korytarz z wysoko uniesioną głową, a reszta podąża za nami.

– Zaraz do was dołączymy – mówi Ben, po czym popycha mnie do niewielkiej wnęki służącej za przejście dla personelu, z dala od głównej sali i wścibskich uszu.

– Jasne. Może w tym czasie Lina wtajemniczy mnie w to, co się tutaj dzieje – mówi Mason, piorunując mnie wzrokiem.

Ben palcem unosi mój podbródek, by przyjrzeć się zadrapaniom.

– Nie wygląda tak źle.

– No, chyba że ma wściekliznę.

Tymi słowami wywołuję u niego niewielki uśmiech.

– Praktycznie miała pianę na ustach. Jestem zaskoczony, że jej nie oddałaś. Ale przecież poszło dokładnie tak, jak sobie zaplanowałaś, prawda, Panno Diablico? – Jego uśmiech blednie, gdy pyta nieco ciszej: – To wszystko dla niego? – W podtekście słyszę pytanie: „Czy cokolwiek tego wieczoru było dla mnie?”.

Cholera. Może się myliłam. Może jemu naprawdę zależy.

Spojrzenie Bena opada na moje usta, przypominając mi o ostatnim weekendzie, przez co czuję się, jakbym go zdradziła. Mimo że tego nie zrobiłam, bo jesteśmy jedynie przyjaciółmi, przy czym oboje niezachwianie obstajemy. Mimo to zaczynam się czuć odrobinę winna.

– Hej, Reese, nic ci nie jest? – Najwyraźniej nie jesteśmy zbyt dobrze ukryci, bo Jared z łatwością nas odnajduje.

– Wszystko z nią w porządku. Weź swoją świrniętą żonkę i spadajcie stąd – odpowiada za mnie Ben, obejmując mnie w talii, jakby chciał mnie przytrzymać na miejscu.

Wzrok Jareda wyostriża się, gdy ten patrzy na Bena. Już kiedyś widziałam, jak Jared przestaje nad sobą panować i gotów jest rozpocząć bójkę.

– Nawet o tym nie myśl, facet – mruczy ostrzegawczo Ben. – Po prostu odwróć się i zabierz ten swój posiniaczony tyłek do domu.

Nie wierzę, że to powiedział.

Jasnozielone oczy zwięzają się, przeskakując pomiędzy moją twarzą a twarzą Bena, jakby Jared przetwarzał jego słowa... I w końcu to następuje. Zrozumienie. *O mój Boże. Żołądek natychmiast mi się ściska. Zabiję Bena.*

Jared już otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zapłakana Caroline wychodzi z toalety i wygląda na to, że jest eskortowana przez managera lokalu. Kręcąc głową, Jared odwraca się i idzie za nią, zagryzając zęby z irytacji.

Ben odciąga mnie na drugą stronę wnęki, aż niemal lądujemy w kuchni.

– Nie wierzę, że mnie w taki sposób wsypałeś! Teraz z pewnością wniesie przeciw mnie oskarżenie!

– Nie, nie wniesie. I tak żaden sędzia nie podjąłby się tej sprawy – stwierdza Ben, kręcąc głową. –

Proszę, powiedz, że nie chciałaś, by ten kretyn do ciebie wrócił.

– Nie. – *Może*. – Chciałam mu dopiec – przyznaję otwarcie. To prawda, a kiedy wypowiadam ją na głos, niechętnie potwierdzam słowa Liny: jestem okropna. Wydaje mi się również, że Ben ma po dziurki w nosie tego dramatu. Może z uniesionymi w górę rękami ucieknie stąd najszybciej, jak tylko potrafi.

Na tę myśl ściska mi się żołądek.

Ben powoli kiwa głową, jakby w jakiś sposób rozumiał, jakby wiedział. Co wcale nie oznacza, że nie dostrzegam rozczarowania w jego jasnych, niebieskich oczach, co tłamsi mój niechlubny moment chwały.

– Wiesz, że ostatecznie skrzywdzisz siebie?

– Tak, jest takie ryzyko.

– To dlaczego to robisz? Mogłabyś ten wysiłek włożyć w zaimponowanie mnie.

To stwierdzenie sprawia, że unoszę brwi.

– Gdzie wtedy skończę?

– W wielkim łóżku z pościelą w postaci z *Toy Story* – odpowiada rzeczowo.

Wymyka mi się nieproszone parsknięcie. Cóż, przynajmniej jest sobą. Krzyżuję ręce na piersiach i prowokuję go:

– Nie masz pościeli z Buzzem Astralem.

Wzrusza ramionami, a jego wzrok taksuje moją sukienkę.

– Jest tylko jeden sposób, byś mogła to sprawdzić.

Obraca się, sprawdzając, czy nie mamy widowni, po czym gapi się na mnie przez dłuższą chwilę, doszukując się czegoś w mojej twarzy. Nadal jestem lekko nakręcona moją zemstą, ale myślę, że nagłe ożywienie mojego serca ma więcej wspólnego z nocą, kiedy wylądowaliśmy razem w basenie niż z czymkolwiek związanym z Jaredem.

– Muszę stąd wyjść nim wpakuję się w kłopoty. – Urywa na krótki moment, po czym na jego twarzy maluje się łobuzerski uśmieszek, od którego w jego policzkach tworzą się urocze dołeczki. – A ty musisz mi wynagrodzić swoje kłamstwo.

* * *

– Mieszkasz w domu bractwa? – pytam na widok domu z brązowej cegły stojącego w starszej części Miami.

Głęboki śmiech jego przyjaciela Nate'a wypełnia wnętrze samochodu, gdy Ben wyjaśnia:

– To nie jest dom bractwa. To po prostu duży dom, gdzie mieszka sześciu chłopaków, którzy razem studiowali.

– Jesteś tego pewien? – Wsiadam z czarnego navigatora Nate'a i słyszę dochodzące z ganku krzyki, gdy grupa facetów stuka się kuflami piwa przy dźwiękach czegoś, co brzmi jak irlandzka piosenka barowa. – Bo wydaje mi się, że twoi współlokatorzy jeszcze o tym nie wiedzą.

Ben klepie maskę samochodu, dziękując przyjacielowi za podwózkę, po czym zarzuca mi rękę na ramiona w chwili, w której subaru Masona staje przy chodniku.

– Nie chciałaś mnie odstępować nawet na czas jazdy samochodem, co? – pyta, uśmiechając się.

– Jechałeś kiedyś z Masonem? Ja tylko raz, przez jakieś dwadzieścia minut. Chciałam wydostać się z kampusu, kiedy audi było u mechanika, a padało zbyt mocno, by jechać na motocyklu. – Kiedy Ben kręci głową, wyjaśniam: – Włącza kierunkowskaz na kilometr przed skrętem.

– Założę się, że zwróciłaś mu na to uwagę.

– Stwarza zagrożenie na drodze!

– Hej, Mace! Wiesz, jak działa kierunkowskaz?! – krzyczy Ben, zerkając przez ramię.

Obracam się i widzę, że Mason piorunuje mnie spojrzeniem. Po czym potyka się na pęknięciu w chodniku i upuszcza kluczyki.

– Dobrze, że ten gość jest przynajmniej inteligentny. – Ben mruczy z uśmiechem, prowadząc mnie przodem, z dala od moich przyjaciółek, które od wyjścia z baru mają te same skrzywione miny. To kolejny powód, dla którego nie chciałam z nimi jechać: nie chcę słuchać umoralniającej pogadanki.

Wchodzimy schodami na ganek. Ben nadal obejmuje mnie tak, jak robiłby to prawdziwy chłopak, jednocześnie przybijając piątki z kilkoma stojącymi tu kumplami.

– Dlaczego nadal mieszkasz jak student? – pytam, gdy Ben otwiera drzwi.

Natychmiast dostaję odpowiedź.

– Ponieważ to nie jest dom bractwa tylko burdel – poprawiam się, kiedy widzę znajdujących się wewnątrz ludzi. Niektórzy z piwami w rękach i z chichoczącymi, wyglądającymi na studentki dziewczynami na kolanach zajmują kanapy, krzycząc i oglądając mecz baseballu w telewizji. Inni otaczają wianuszkami skąpo ubrane kobiety o nieproporcjonalnych figurach, udając, że są zainteresowani tym, co mówią, podczas gdy ich spodnie naciągnięte są w kroku z nadzieją na to, co przyniesie noc. – Dlaczego mnie to nie dziwi?! – mówię, przekrzykując gównianą muzykę, tworzoną przez wciśniętego w kąt gościa z konsolą.

Ben kręci głową z niedowierzaniem, ale też się uśmiecha.

– Te dziewczyny nie są takie. – Widząc moje pełne powątpiewania spojrzenie, wyjaśnia: – To dziewczyny z *Penny*. One tylko tańczą.

– Serio? A Ciasteczko? Dla ciebie też tylko tańczyła? – Dlaczego jeszcze ona musi mnie dzisiaj wkurzać?

Ludzie zaczynają zauważać Bena, więc rozlega się gromki ryk i klaskanie.

Chłopak śmieje się i ciągnie mnie w głąb pomieszczenia.

– Pamiętasz Travisa? Z Cancún? – pyta Ben, kiedy stajemy przed wysokim, przystojnym chłopakiem z potarganymi włosami.

Gość wyciąga rękę. Jestem pewna, że jego zdezorientowana mina pasuje do mojej. Cóż, przynajmniej nie jestem jedyną, dla której tamta noc skończyła się niemiło.

– Spotkaliśmy się?

Wskazuję na swoje włosy.

– Kiedyś były fioletowe, jeśli ma to w czymś pomóc.

Wytrzeszcza oczy.

– Bez jaj! – Patrzy na Bena. – W końcu ją znalazłeś?!

Co?!

– Ben mnie szukał?!

– Pracuje ze mną – wyjaśnia Ben kumplowi, przyciągając mnie mocno do siebie, aż mój policzek łąduje na jego piersi.

– Rany, nawet nie wiesz, jaki był wkurzony, kiedy się okazało, że nie zostawiłaś mu numeru – mówi, śmiejąc się. – Ciągłe o tobie nawijał.

Och, robi się coraz lepiej.

– Poważnie? – Udaje mi się obrócić głowę tak, że patrzę na kwadratową szczękę Bena. – Cały ten czas za mną tęskniłeś, Ben? – Wiem, że nie tęsknił i ten gość się z nim droczy, ale fajnie jest

zobaczyć, że chociaż raz to ktoś inny nabija się z Bena.

Ben kręci głową, ale śmieje się, gdy nazywa kolegę kłamcą. Po czym pochyła się i tuż przy moim uchu mówi:

– Nie, chciałem tylko dostać nową koszulę.

Przewracam oczami i próbuję się od niego odsunąć. To daremne. Jestem do niego przykuta, a on nie chce się ruszyć. Postanawiam tak zostać, wtulona w niego, kiedy rozmawia z kolegami o jakichś transferach w drużynie.

Kiedy w kieszeni zaczyna wibrować mi telefon, nie tracę czasu, tylko wyjmuję go i czytam wiadomość:

TO NAPRAWDĘ BYŁAŚ TY?!

Moje serce przyspiesza.

– Nie, nie, nie – mówi cicho Ben, przenosząc na mnie swoją pełną uwagę i wyrywając mi z rąk telefon.

– Wścibski się znalazł! – Odpycham jego twarz, a on unosi rękę nad głowę, szczerząc przy tym zęby w uśmiechu. Nie wątpię, że chciałby, bym po nim skakała jak po drzewie, ale nie zamierzam tego robić.

– Złamał to twoje czarne serduszko, a teraz jest żonaty. Nie bądź głupia.

– Próbuję tylko wyciągnąć od niego, co się da, nim mnie aresztują! – warczę, po czym dodaję: – A myślałam, że jesteś Szwajcarią.

Łapie mnie za kark i patrzy mi prosto w twarz tymi swoimi intensywnie niebieskimi oczyma.

– Bo jestem. Jestem również zatroskanym przyjacielem. Nie odpowiadaj. Żadnych dowodów na piśmie. Taka rada prawnika. – Patrzy przez ramię i woła: – Hej, Lina! Przemów do rozsądku swojej przyjaciółce.

Patrzę na niego, ale on się jedynie uśmiecha, po czym pochyła się i cmoka mnie w usta.

– Nie zostawisz mnie dzisiaj w takim stanie.

– W jakim stanie?

Przyciąga mnie do swojego ciała i błyskawicznie dostaję odpowiedź, na sekundę przed tym, gdy znajome ręce zaciskają się na moich przedramionach. Nicki i Lina wyciągają mnie na ganek, jednak moje spojrzenie pozostaje wciąż przyklejone do Bena.

– Dobra, nawijaj, MacKay – nalega Lina, praktycznie popychając mnie na jedno z krzeseł ogrodowych. Na szczęście nie mamy publiczności, bo chłopaki przenieśli pijacką imprezę do środka.

Nicki próbuje nieco innego podejścia, siada obok, byśmy były na tym samym poziomie.

– Co się dzieje? – pyta miękko, wręczając mi piwo.

Z jękiem nakrywam dłonią twarz.

Opowiadam im o wszystkim. Nawet o zasadzce na paintballu, którą na szczęście uznają za bardziej zabawną niż niepokojącą. Kiedy kończę, wpatrując się we mnie dwie pary oczu, jedna ostrzej od drugiej, ale obie z empatią.

– Sypiał z nią niemal przez cały czas trwania waszego małżeństwa?! – pyta Nicki z niedowierzaniem w oczach. – Nie kumam. Wydawał się taki zakochany. Nie było sygnałów, że może cię zdradzać. Nikt tego nie widział!

Lina ciężko wzdycha.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, Reese. To zdrowe? Nie. Czy będziesz znów cierpieć? Tak. Czy warto? – Urywa, jakby pozwalając nam się nad tym zastanowić. – Nie. Owszem, ta zdzira zasługuje

na to, co ją spotka, i czego w końcu doświadczy, możesz być spokojna. Karma nigdy nie zapomina. Jednak to nie musi pochodzić od ciebie. Naprawdę nie ma sensu, byś utrzymywała kontakt z tym dupkiem. To, co było między wami jest skończone, a nawet jeśli wróciłibyście do siebie, nigdy już nie byłoby tak samo. Nigdy nie potrafiłabyś mu zaufać!

– Mówiłam wam, ja nie chcę do niego wracać!

Lina się krzywi.

– Muszę się napić przez tego uparciucha. Twoja zmiana, Nicki. – Obserwuję, jak smukła sylwetka Liny znika za drzwiami, przy czym zastanawiam się, dlaczego moja przyjaciółka jest na mnie nagle taka zła. Wiele razem przeżyłyśmy i nigdy mnie nie oceniała.

– Martwi się o ciebie – mówi Nicki, ściskając mnie za rękę. – Obie się martwimy. Wiem, że go kochałaś, ale szkoda zachodu na tego faceta, Reese. Chciałabym, żebyś to zobaczyła.

Odchylam głowę w tył i jęczę przesadnie.

– Widzę to!

– No to kiedy masz zamiar z tym skończyć? Jak daleko się w tym zapędzisz?

– Jeszcze nie zdecydowałam. – Taka jest prawda. W głowie rozegrałam kilka scenariuszy, ale na żaden się nie zdecydowałam.

– Cóż... – Uśmiecha się z trudem. – Przynajmniej dla odwrócenia uwagi masz Bena.

– Mam – zgadzam się, z uśmiechem zerkając za siebie do wnętrza domu przez okno. Wprost na platynową blondynkę i śmiejącego się do niej Bena. – Cholera. Kiedy tu przylazła?! – Co się stało z tymi chłopakami, którzy mieli się nią zająć?! Najwyraźniej nie leci na każdego prawnika.

Tylko na mojego.

Biorę spory łyk piwa, jednocześnie próbując zrozumieć, co dzieje się w mojej głowie. Czy to zazdrość, gdy widzę z nią Bena? Rozczarowanie, że jego uśmiech nie jest przeznaczony jedynie dla mnie?

– Lepiej tam wróc, nim użyje na nim swoich czarów – mówi Nicki, wstając. Również się podnoszę i staję twarzą w twarz z Masonem.

– Hej. – Po minie zgaduję, że jest trochę wkurzony. – Mogę z tobą przez chwilę porozmawiać?! – Zerkam mu przez ramię, ale nigdzie nie widzę Liny. – Weszła do środka – informuje mnie, po czym dodaje: – Pije z Kentem i Travisem.

– Ooo... – jęczymy z Nicki jednocześnie. – Lina i wódka równa się kac-morderca i rzyganie następnego dnia. Upewnij się, że masz przy łóżku miskę – ostrzegam Masona, po czym dodaję: – I trzymaj jej włosy. – Mason może niezbyt dobrze znieść obowiązki chłopaka. To może być ostateczny test dla ich związku.

– Będę w środku – mówi Nicki i klepie mnie w ramię, po czym zostawia z przybranym bratem. Opadam na krzesło ogrodowe, a on siada obok, w ciszy oglądamy harcujące po drugiej stronie ulicy bezpieczne koty, których oczy błyszczą w światłach nadjeżdżających samochodów.

– Myślę, że wiem, co się dzieje.

– Jesteś taki bystry. – Wyciągam rękę, by poczochnąć go po głowie, ale ją odtrąca, a na jego twarzy maluje się irytacja.

– Wiesz, kiedy wróciłaś, byłem pewien, że masz zamiar wydoić Jacka z kasy, ale jak do tej pory jedynie pracujesz i starasz się nie robić nic szalonego. Tata jest naprawdę szczęśliwy, Reese. Od dłuższego czasu nie widziałem go tak zadowolonego. – Milknie na chwilę. – Ale nie byłby, gdyby dowiedział się, co robisz.

Specjalnie mówi o Jacku. I to działa, już mam wyrzuty sumienia.

– Odnosisz się do tego, co robię z Benem czy z Jaredem?

– Z obydwoma. – Urywa na chwilę. – Wiesz, związki nie powinny takie być, Reese. Nie wiem, czy uganasz się za takimi facetami, bo chcesz się ukarać, czy dlatego, że nigdy nie widziałaś, jak powinien wyglądać normalny związek, ale...

– Nie uganiam się za Benem – rzucam. – A związek z Jaredem był oparty na sercu, nie było w tym głowy. Tylko w ten sposób potrafię to opisać.

– A dzisiaj używałaś głowy? – naciska. – Bo mam wrażenie, że myślisz, że nadal masz jakieś porachunki ze swoim byłym.

– A co cię to interesuje, Mason?! Rozumiem, że chcesz być dla mnie miły ze względu na Linę, ale nie próbuj przez to nagle być moim starszym bratem.

– To nie... – Zaciska usta. – Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego twoja mama jest, jaka jest? Co sprawiło, że stała się tak nieczuła? Ludzie nie są tacy od urodzenia.

– Nie, Masonie. Staram się w ogóle nie myśleć o Annabelle. – Moja irytacja z każdą sekundą rośnie. Gdzie u diabła jest Lina?! Musi przyjść i przypilnować swojego chłoptasia.

– Ja myślę, że to ma wiele wspólnego z tym, co stało się między nią a twoim tatą. Uważam, że nigdy sobie z tym nie poradziła, przez co krzywdzi dobrych ludzi, takich jak Jack.

– A co dokładnie stało się między Annabelle a moim tatą, Mason? Z chęcią bym się dowiedziała, bo do dzisiaj nie mam pojęcia. A ty masz? – Już w bardzo młodym wieku przekonałam się, że poruszanie tematu Hanka MacKaya skutkowało wyłącznie odesłaniem mnie do mojego pokoju. Annabelle mogła żalić się na tatę, ale to, co robiła, było o wiele gorsze. Po prostu udawała, że on nigdy nie istniał.

– Nie, nie wiem – przyznaje. – Ale wiem, że nikomu by się nie spodobało, gdybyś się w nią zmieniła. – Wzdycha. – Wiedziałem, że zdradza tatę, jeszcze zanim to wyszło na jaw. Pewnej nocy słyszałem, jak rozmawia przez telefon. Nie byłem tylko pewien z kim. A później tata ich przyłapał... – Mason zaciska zęby. – Nienawidziłem patrzenia na to, jak po niej rozpaczał.

Gula łez tworzy mi się w gardle. Jack rozpaczał po Annabelle? Ja nie widziałam ani jednej łzy, którą Annabelle wylałaby po Jacku. Właściwie nigdy w życiu nie widziałam, by płakała, wyjąwszy dzień, kiedy na podjeździe podpaliła kupkę rzeczy po tacie. Stała nad tym ogniskiem, mocno obejmując się ramionami, ignorując moje pytania, aż z rzeczy zostało tylko trochę popiołu.

– Nie jestem jak Annabelle, więc nigdy mnie do niej nie porównuj.

Mason wymusza uśmiech.

– Mam szczerą nadzieję, że to prawda, Reese.

– Dobra. – Wstaję, tłumiąc wzrastający we mnie ból. – Idę do twojej dziewczyny na kieliszek. – Skręcam za róg i wchodzę do środka. Tuż za progiem znajduję Bena z Ciasteczkiem przyciśniętym do piersi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

BEN

Cholera. To teraz z pewnością nie pomaga. Zerkam na Mercy, na jej sztuczne cycki przyciśnięte do mojej klaty, widoczne w samym środku sporego dekoltu. Założę się, że nie miała zbyt dużych zderzaków przed zrobieniem sobie implantów.

– Masz wolną całą noc? – pytam.

Wzrusza ramionami, po czym obdarowuje mnie zalotnie skromnym uśmiechem.

Kurwa. Jestem podпиты, a łatwa laska kusi mnie, ocierając się o mnie sutkami. Gdzie, u diabła, jest Reese? Z pewnością nie wyszłaby bez telefonu, a ja nie mam zamiaru oddać jej go aż do rana. Ostatnią rzeczą jakiej chcę, to aby mu odpisała. By opuściła imprezę i pobiegła się z nim spotkać. I co zrobi?! Prześpi się z nim w akcie zemsty?!

Nie powinno mnie to obchodzić, jednak jest inaczej. Nie potrafię jedynie zrozumieć dlaczego. Nie lubię patrzeć, jak przyjaciele popełniają błędy, ale mam jakieś mieszane odczucia związane z całą tą sytuacją. Biorę spory łyk piwa, zastanawiając się, czy przeszkadza mi bardziej fakt, że Reese zachowuje się jak idiotka, czy może to, że miałyby bzykać się z jakimś innym facetem, kiedy to ja chciałbym ją mieć. Ta kobieta namieszała mi w głowie. Ben Morris nie zastanawia się nad czymś takim. Ben Morris płynie z nurtem. Ben Morris jest pieprzoną Szwajcarią! Może mieć apetyczny tyłeczek za każdym razem, kiedy tego zapragnie, i to bez żadnych zobowiązań.

– Martwisz się czymś? – Kiedy patrzę w dół, mój wzrok spoczywa na czekającym na mnie podwójnym D Mercy. Co jest świetnym przykładem na to, o czym myślałem wcześniej, z tym że „bez zobowiązań” chyba nie ma tu już racji bytu.

Posyłam jej swój najlepszy uśmiech.

– Wyglądam, jakbym się martwił? – *Szlag, wyglądam?!*

– Co dzieje się między tobą a tą prawniczką z twojej firmy? – pyta niewinnie.

– To tylko koleżanka – przyznaję, nie kłopotząc się, żeby skorygować jej błąd dotyczący stanowiska Reese.

– Koleżanka taka jak ja? – Jej dłonie przesuwają się na front moich spodni. Mercy chichocze, gdy wyczuwa erekcję, która nie chce ustąpić, odkąd Reese weszła do baru w czerwonej sukience. – Więc to jest w porządku? Zawsze może do nas dołączyć, jeśli będzie chciała.

Walczę, by utrzymać piwo w ustach i nie parsknąć śmiechem, gdy wyobrażam sobie wyraz twarzy Reese w odpowiedzi na tę propozycję. Pomysł sprawia, że krew odpływa w moje południowe rejony. Cholera, to byłoby coś. Zastanawiam się, czy przystałaby na to.

Chłodne dłonie przesuwają się po mojej koszuli, po czym znów opadają do paska spodni.

– Chcesz swój prezent już teraz?

Och, do diabła. Chwytam ją za rękę. Gdzie jest Reese?! Jej koleżanki przy stole piją tequilę

i Jägera, ale jej samej tu nie ma. Rozglądając się po zgromadzonych, dostrzegam Kacey. Nie wiem, kiedy przyszła. Macham do niej. Odpowiada skinieniem głowy w kierunku Mercy i spojrzeniem pytającym, co robię.

– Zostawiłam cię samego na dwie minuty... – Słyszę rozdrażniony głos Reese dochodzący zza mojego lewego ramienia, więc szybko wyplątuję się z objęć Mercy, by porwać w ramiona Reese i przytulić ją do siebie.

– Proszę, już mnie więcej nie zostawiaj – szepczę jej do ucha. – Jestem wobec niej bezbronny.

– Dupek – mamrocze, patrząc mi w oczy. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że może być na mnie naprawdę zła. Niezaprzeczalnie dostrzegam w tych przepięknych oczach isierkę gniewu.

Zatem składam na jej ustach szybki pocałunek, po czym błagam:

– Uratuj mnie przed jej silikonem.

Przechyliła głowę na bok, a jej spojrzenie zatrzymuje się na moich ustach.

– Wiesz, że jesteś świnią, prawda? – mówi, jednak już bez goryczy. Właściwie czuję, jak mocniej opiera się o mnie.

– Tak, ale dzisiejszej nocy jestem twoją świnią.

* * *

– Nie kłamałeś.

Uśmiecham się.

– Mama kupiła mi dwa komplety.

– Nie sądziłam, że robią tę pościel do łóżka takich rozmiarów – mówi pod nosem, palcem przeciągając po postaci Buzza Astrala. Rozgląda się po moim pokoju – po grubych zasłonach, pustych butelkach po piwie stojących na komodzie i po ścianie, na której wiszą plakaty rozneglizowanych cheerleaderek, z osobistą dedykacją dla mnie na każdym z nich.

– Jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam. – Podchodzi i czyta jeden z wpisów, przy czym kręci głową. – Więc kiedy planujesz dorosnąć?

– Nigdy. Możesz mi mówić Piotruś Pan. – Nie zauważam już tych plakatów. Są jak tapeta. Pewnie wyrzucę je, kiedy będę się wyprowadzał, kiedykolwiek to nastąpi. Tak naprawdę już zacząłem przeglądać ogłoszenia w poszukiwaniu kawalerki, ale pomysł, by mieszkać samotnie, jest smutny. Lubię dzielić dom z pięcioma innymi facetami – zawsze jest głośno i przewijają się masa ludzi. Zupełnie jak w dzieciństwie, z braćmi i Elsie.

Uwielbiam tego rodzaju chaos.

Nieśmiało spogląda przez ramię na mnie, nim jej spojrzenie spoczywa na innym plakacie – cheerleaderki-kowbojki z Dallas, którą poznałem na imprezie po meczu, a która się we mnie nieco zakochała.

– Wszystkie są wrózkami? A gdzie mają skrzydełka?

– Skrzydełka są zdejmowane – mówię, podchodząc do niej wolno. Gładka skóra jej nagich ramion prosi się o dotyk. Po tych wszystkich nieudanych próbach nie mogę uwierzyć, że Reese jest w mojej sypialni. W życiu tak bardzo się nie starałem, by zaciągnąć laskę do łóżka.

– Jak ich majtki, zapewne szybko to odkryłeś – słyszę, jak mamrocze pod nosem, nadal patrząc na ścianę i zaciskając przy tym zęby.

– A może przestaniesz skupiać się na tych plakatach, a zaczniesz na wkrótce nagim facecie stojącym za tobą? Jeśli naprawdę tego chcesz... nadal się zastanawiam.

Jęczę, gdy jej łokieć szybko spotyka się z moimi żebrami, jednak to wcale nie zniechęca mnie do

odsunięcia jej włosów z ramion, co daje moim ustom dostęp do jej smukłej szyi.

– Wiesz, jesteś inny, niż myślałam – mruczy, opierając się plecami o moją pierś i zadzierając głowę do góry, odsłaniając tym samym widok na dekolt sukienki.

Nie mogę się powstrzymać, łapię ją za biodra i przyciągam do siebie ten jej jędrny tyłeczek, by poczuła, jak bardzo jej pragnę. W odpowiedzi kołyszę pupą. To taki nieskomplikowany ruch, a mimo to doprowadza mnie do szału.

– Jak to?! – Całą noc przyglądałem się jej sukience, szukając miejsca, w którym się rozpina, zatem wiem, że suwak znajduje się z boku, a nie na plecach. Przesuwam palcami po jej żebrach, a kiedy go wyczuwam, pociągam delikatnie w dół. Przez to góra sukienki natychmiast się otwiera, materiał rozchodzi się, ukazując czerwony, koronkowy biustonosz. Kolejny szybki ruch moich palców i stanik opada na podłogę.

– No nie wiem. Jesteś taki... – Słowa zamierają jej na ustach, gdy łapię ją za piersi, starając się nie ścisnąć za mocno. Reese wzdycha. Nie wiem, co jest takiego w tym dźwięku, ale nie potrafię się przy nim kontrolować.

Przesuwam dłonie na jej talię, palce wsuwam pod materiał sukienki i majteczek, aż jestem w stanie zsunąć je w dół, a Reese wychodzi z nich bez proszenia. Odpycham materiał nogą, po czym obejmuję dziewczynę w pasie i obracam twarzą do siebie.

– Dobry? Inny? – pytam z figlarnym uśmieszkiem, przyciskając ją do ściany i popychając, by rozłożyła nogi i zrobiła mi miejsce, kiedy moszczę się między nimi.

Nie będę kłamał. Wiele razy byłem w takiej pozycji z kobietami. Jednak teraz z Reese w jakiś sposób czuję, że to nowość.

Jej oddech przyspiesza, Reese chwyta mnie za szyję i ciągnie moją głowę, by dosięgnąć moich warg, między które na moment wkłada język, za szybko, żeby miał szansę go złapać.

– Tak – jęczy, a ja nie wiem, czy to odpowiedź na moje pytanie, czy zgoda na to, co zaraz się wydarzy. Palcami szarpie materiał na moich plecach, przypominając mi, że nadal jestem kompletnie ubrany. Zapomniałem o tym, całkowicie rozproszony smakiem i miękkością tych namiętych, mściwych ust.

– Dlaczego zawsze jestem przed tobą naga? – Czuję jej chłodne palce wślizgujące się pod materiał. Odrywam się od Reese na tyle, by ściągnąć koszulę przez głowę i skopać buty, po czym natychmiast do niej wracam.

Powstrzymują mnie dłonie oparte na mojej piersi.

Przygryza dolną wargę w sposób, który sprawia, że chciałbym przesunąć jej ręce i sam to zrobić, więc wzdycham. Palcami śledzi krawędzie mięśni na mojej kłacie, kierując się w dół, na brzuch.

– Podoba ci się moje ciało, prawda? – mówię cicho.

Pełne żaru oczy patrzą w moje z intensywnością, której się nie spodziewałem, przez co nie mogę się powstrzymać i przysuwam się, by poczuć jej skórę. Ponownie odpycha mnie dłońmi.

– Nie robiłam tego przez dłuższy czas – wyznaje, patrząc na pasek moich spodni i mrugając kilkakrotnie. Jest zdenerwowana?

– Od czasu rozstania z byłym? – Biorąc pod uwagę to, co podsłuchałem, gdy odwiedziłem chorą Reese w domu, jestem pewien, że tak.

Odpowiada mi pojedyncze skinienie głowy. Przesuwa ręce i szybko rozpina mi spodnie, ukazując wybrzuszenie, które znajduje się pod bokserkami. Chwytam ją za nadgarstki i lekko odsuwam jej ręce, po czym przysuwam się do niej, aż czuję na piersi zimny metal jej kolczyka. Pochyliam głowę,

by pocałować ją w kącik ust.

– Określ tylko tempo, dobrze?

W odpowiedzi odsuwa się ode mnie nieznacznie. Sięga ręką za moje plecy i z tylnej kieszeni spodni wyciąga portfel. Wyjmuje z niego prezerwatywę i odrzuca go, jakby był śmieciem.

– Cóż, przynajmniej pamiętasz podstawy – mruczę drwiąco.

– Och, pamiętam coś więcej niż podstawy. – Powoli przesuwa dłońmi po moim torsie, jakby zapamiętując jego fakturę, aż obejmuje mnie za szyję, po czym odchyła głowę, by spojrzeć na mnie z uśmiechem i mówi: – Mam tylko nadzieję, że wytrzymasz, inaczej wszystkie te starania skończą się rozczarowaniem.

Odrzucam głowę w tył, śmiejąc się głośno. Ja też mam taką nadzieję. Nigdy nie miałem problemów, ale z tą dziewczyną... Nagle zaczynam się denerwować.

– Jak tylko przedrę się przez twoje pajęczyny, powinno być dobrze.

Dzięki lampce, którą włączyłem, kiedy tu przyszedliśmy, zauważam, że jej policzki zmieniają kolor. Może dlatego decyduje się rozerwać opakowanie kondomu, zsunąć mi bieliznę i pospiesznie zacząć zakładać mi lateks na członka.

Instynktownie cofam biodra.

– Hej! Czemu chcesz go zepsuć?! – Nie pozwalam jej przejąć kontroli. Nieważne, czy jest zła, czy zdenerwowana, nie mam zamiaru pozwolić, by najważniejsza część mojego ciała stała się jej ofiarą. Jedną ręką łapię ją za nadgarstki i przyszpilam je nad jej głową, drugą zdejmuję swoje spodnie i majtki.

Otwiera usta, by coś powiedzieć, ale nie dopuszczam do tego, całując ją głęboko, językiem przejmując kontrolę nad jej ustami, wolną rękę przesuwając po wewnętrznej części jej uda.

Być może jest zdenerwowana, ale jest też miękka, wilgotna i cholernie gotowa.

– Pieprzyć grę wstępna – warczy w moje usta, oplatając mnie nogą i przyciągając do siebie. Walczy, by uwolnić ręce z mojego uścisku, lecz jej nie pozwalam.

Nie wiem, czy śmiać się, czy też jęczeć. Cholera. Normalnie próbowałbym utrzymać spodnie na tyłku, jak długo by się dało, bo kiedy już opadają, mam jakieś pięć minut, nim muszę się w kimś znaleźć. A teraz muszę być w niej. Natychmiast. Znajduje się tak blisko. Potrzeba niewielkiego pchnięcia i tam będę. Dlaczego musiała to powiedzieć?!

Powstrzymują mnie jej krótkie jęki, które próbuje stłumić, gdy pieszczę ją kciukiem. Odrywam usta od jej warg i przenoszę na szyję. Nie spieszę się, wdycham zapach truskawek ze śmietaną, kiedy językiem śledzę krzywiznę jej obojczyka. Zaczyna poruszać się przy mojej dłoni, a jej oddech staje się nierówny i urywany. Trzymam jej ręce ponad głową, do czasu, gdy klękam przed nią i już nie potrafię ich dosięgnąć.

– Potrzebuję więcej czasu na... – Wstrzymuje oddech, gdy mój język po raz pierwszy trafia na jej słodki smak. Zakładam sobie jej nogi na ramiona, dłońmi trzymając ją mocno przy ścianie.

Jęczy przeciągle i chwyta mnie za włosy tak mocno, że aż boleśnie. Jednak mam to gdzieś. Ta reakcja warta jest bólu. W takich chwilach jestem szczęśliwy, że mam tyle siły, ponieważ przytrzymuję ją zupełnie bez problemu.

Kiedy odchyła głowę i przyciska ją do ściany, z jej ust wraz z jękiem wymyka się moje imię.

– Okej, dobrze. – Poddaje się, wiedząc, że nie zamierzam jej puścić. Powoli zwalnia uchwyt na moich włosach, pocierając obolałe miejsce i jednocześnie rozchylając uda, kiedy nieznacznie się odpręża. A kiedy osiąga szczyt?!

Jeżu.

Żałuję, że muzyka dudni tak głośno, bo gdyby chłopaki słyszeli te jęki, gratulowaliby mi przez tydzień.

Kiedy ostatni spazm rozkoszy przechodzi przez jej ciało, wstaję, biorę ją w ramiona i bezwładną układam na swoim łóżku. Kładę ją delikatnie, po czym sięgam do szafki nocnej po kolejną gumkę – pierwsza wylądowała gdzieś na podłodze i nie mam zamiaru jej szukać.

Reese przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek. Ma zaróżowione policzki i napuchnięte od zbyt mocnego całowania usta. Jest powalająco seksowna.

– Nie zaśniesz mi tu teraz, co? – drażnię się, rozciągając się nad nią. Jeśli to zrobi, umrę.

Chytry uśmieszek maluje się na jej twarzy, gdy jedną ręką obejmuje mnie za szyję, podczas gdy drugą sięga w dół i naprowadza mnie na siebie.

– Gdyby tak się stało, znaczyłoby to, że robisz coś okropnie źle – szepcze, a uśmiechając się ironicznie dodaje: – Tylko mnie nie skrzywdź.

– Myślisz, że jestem amatorem? – Skrzywdzić ją?! Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się w nią wejść do końca, zanim dojdę. Wtedy dopiero będę wyglądał jak amator. Jest taka cudowna i ciasna. Lepsza niż którakolwiek od dłuższego czasu. I inna. Jestem pewien, że to tylko moja wyobraźnia, spotęgowana długim czasem oczekiwania i kilkoma nieudanymi próbami.

Śmieje się głęboko i gardłowo, kiedy zaciska się wokół mnie.

– Może powstrzymasz się od śmiechu póki nie skończę? – drocę się z nią, zaciskając zęby. Następnie całuję ją, szczęśliwy, że znów mam w ustach jej język. Jednocześnie wolno wchodzę w nią głębiej, dłonią ustawiając jej biodra pod odpowiednim kątem.

Nie trzeba wiele czasu, by z jej twarzy zniknęło rozbawienie. Jej oczy praktycznie wypalają moje. Zaczyna poruszać się pode mną. Jej oddech staje się płytszy, kiedy nasze ruchy stają się coraz szybsze i intensywniejsze. Wbija mi paznokcie w łopatki i żąda:

– Mocniej.

Jęczę, wiedząc, że nie wytrzymam minuty w takim tempie.

Chwytam ją więc i przekręcam się na plecy, rozkoszując widokiem nagiej, ujeżdżającej mnie Reese.

Fantastycznie. To ci daje całe dodatkowe trzydzieści sekund, kretynie.

Obserwuję, jak te naturalne piersi w kształcie łyzy podskakują tak, jak tylko prawdziwe potrafią. Kiedy spleta ze mną palce i ściska mnie udami, wiem, że wytrzymam jeszcze maksymalnie dziesięć sekund.

A kiedy niedługo później zaczyna jęczeć, wiem, że nie wytrzymam nawet i tak długo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

REESE

Budzę się niesiona w silnych ramionach. Potrzebuję kilku uderzeń serca i mrugnięć, zanim udaje mi się zobaczyć nad sobą wpatrzoną we mnie piękną, uśmiechniętą twarz.

– Czas wstawać.

– Kto cię tutaj wpuścił?! – jęczę, krzywiąc się z powodu faktu, że jestem zupełnie naga, a on całkowicie ubrany.

– To mój pokój, pamiętasz? – Stawia mnie na podłodze. – No dalej. Już prawie jedenasta.

– Dobra, dobra. – Wskakuję z powrotem do łóżka i nakrywam się kołdrą. Która jednak szybko znika. – Zbok – mamroczę.

– Musimy jechać.

– Chyba dla wszystkich będzie lepiej, jeśli dasz mi jeszcze godzinkę – mruczę, przewracając się na brzuch. To mógłby być dobry sposób na wyciągnięcie mnie z jego łóżka, ale w tej chwili mam to gdzieś. Nie spaliśmy do piątej nad ranem.

Następuje chwila ciszy.

– Przestań gapić się na mój tyłek – mamroczę.

Czuję, jak wielkie, ciepłe dłonie przesuwają się po moich udach.

– Nie potrafię.

– Myślałam, że ci się spieszy.

– Potrzebuję tylko pięciu minut.

– Jakbym o tym nie wiedziała. – Uśmiecham się, zarabiając klapsa w lewy pośladek.

– Narzekasz? Bo w nocy z pewnością nie marudziłaś. Ani za pierwszym, ani za drugim... – Ben powoli kładzie się na mnie, a jego usta znajdują się przy moim uchu. – ...ani za trzecim, ani za...

Obracam głowę i szybko zamykam mu usta mocnym pocałunkiem. Po czym obracam się, aby ukryć swój szeroki uśmiech. Ten, który zdradziłby mu, jak bardzo podobała mi się ta noc.

Była... niezapomniana.

– Cóż, mogłabym wykorzystać te pięć minut na coś przyjemniejszego, typu mycie zębów – kłamię, gdy jego palce wślizgują się między moje nogi i zaczynają się bawić.

– Tak? W takim razie co to?

Sprzedaję mu kuksańca.

– Jesteś taki romantyczny.

– Nawet nie udawaj, że interesują cię jakieś romanse – odpowiada. Nagle się podnosi. Kiedy zerkam przez ramię, stwierdzam, że rozpiął już koszulę, a teraz walczy ze spodniami. Z szybkością eksperta nakłada prezerwatywę i w ciągu kilku sekund wraca na mnie. Jego twardy członek przyciska się do mnie, kiedy wkłada mi rękę pod brzuch, zmuszając, bym uniosła się na kolana. Nie wiem

jeszcze, jaka jest ulubiona pozycja Bena, ale wczoraj wieczorem odkryłam, że w tej wytrzymuje dłużej.

– Co my robimy?! – Cholera, nie miałam zamiaru mówić tego głośno. Tylko... myślałam, że po tym, co dostał wczorajszej nocy, straci zainteresowanie.

Wielki, pewny siebie uśmiech rozciąga mu twarz.

– A na co to wygląda? – Nie potrafię stwierdzić, czy wie, co miałam na myśli, czy to tylko unikanie tematu. Jednak chwilę później składa pocałunek na mojej łopatce. – Jadę dzisiaj do sadu. Mandarynki dojrzały kilka tygodni wcześniej i mama ma trochę zleceń do realizacji. Chcesz jechać ze mną? Zostaję tam na noc.

Sad? Budzi się we mnie iskierka ekscytacji. Przez ostatnie kilka tygodni przyłapywałam się na myśleniu o Wilmie i tamtym domu – kiedy szłam zatłoczonymi ulicami Miami lub siedziałam w nowoczesnym, podmiejskim domu Jacka – mając nadzieję, że kiedyś tam jeszcze zawitam.

Teraz mam szansę i to dlatego, że Ben mnie zaprosił.

Dwa elementy, które są równie podniecające.

– Pozwolę ci poprowadzić traktor – mówi, jakby chciał przekupić dziecko, dając mu cukierka.

Nie odpowiadam. Oglądam się tylko przez ramię, pozwalając mu dostrzec mój szczery uśmiech na twarzy.

Ben obdarowuje mnie miękkim, chłopięcym uśmiechem.

– Ale najpierw...

* * *

– Przepraszamy za spóźnienie, mamus. – Obserwuję, jak Ben porywa matkę w objęcia, okręca się z nią, po czym całuje w policzek, dokładnie tak, jak robił to ostatnim razem. Muszę przyznać... serce rośnie mi na ten widok. – Reese potrzebowała wieków, by zrobić się na bóstwo.

Palant.

– Najwyraźniej – mamrocze oschle, kiedy Ben zajmuje się Quincy. Dał mi całe dziesięć minut na prysznic, zmianę ubrania i spakowanie kilku rzeczy na noc, ponieważ wpadł w paranoję, że Jack nagle wróci i znajdzie go na podjeździe. Nawet nie wszedł do domu. Oficjalna wersja jest taka, że na weekend zostaję u Liny i Nicki. Już napisałam do nich i Masona, by mnie kryli. Żadne nie odebrało telefonu, ale zakładam, że to przez paskudnego kaca i, w przypadku Masona, konieczność niańczenia Liny.

– A ja myślałam, że jesteś taka piękna już kiedy wstajesz – mówi Wilma, podchodząc do mnie, by mnie uściskać. – Ja go mam klepnąć, czy sama to zrobisz?

– Och, sprawię, że za to zapłaci – obiecuję, czując się dziwnie i jednocześnie błogo z powodu jej gestu. Czy taka jest właśnie normalna matka? A może Ben ma kupę szczęścia? – Uroczy z niego żartowniś, prawda? – rzucam.

Wilma promienieje.

– Z pewnością. – Następuje chwila ciszy i mam wrażenie, że bardzo chce zapytać o mój związek z jej synem. Jednak tego nie robi. Zamiast tego dotyka moich włosów. – Podobają mi się. Pasują do ciebie.

Uśmiecham się, myśląc o tym, jak odmienna byłaby reakcja Annabelle.

– Dziękuję, że poświęcasz weekend, by nam pomóc. Te zamówienia spłynęły tak nagle, a ja nie będę miała załogi przez jeszcze jakieś dwa tygodnie.

– Nie ma sprawy. – Pozwalam moim zmysłom ogarnąć wszystko wokół – spokój i ciszę, dom, który

być może wymaga napraw, jednak nadal jest oszałamiający, wielkie dęby, przez które posiadłość nabiera romantyzmu i błogości – i oddycham z ulgą. – Cieszę się, że mogłam tu wrócić. – Istnieje tylko jeden mało uroczy aspekt w sadzie Bernard-Morris, ale jest dobrze ukryty w stodole, prawdopodobnie przyssany do butelki whisky.

– Idziesz?! – krzyczy Ben, wspinając się na stary traktor i wkładając na głowę kowbojski kapelusz, który zdjął z oparcia siedzenia. Na ten widok coś ściska mnie w podbrzuszu. Nie kręcą mnie kowboje. Wszyscy, których poznałam, pozostawiali wiele do życzenia.

Aż do teraz.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż pozwolisz mi prowadzić.

– Kłamałem. Jeszcze się nie zorientowałaś, że mam sposób na skłanianie ładnych dziewczyn do pewnych rzeczy? Możesz siedzieć na przyczepie albo tutaj. – Klepie blaszane nadkole wielkiej opony obok siebie.

Zamiast tego wspinam się na ciągnik i siadam Benowi na kolanach.

– Dobra. Oboje możemy prowadzić.

– To zapewne nie jest dobry... – zaczyna, ale przekręcam stacyjkę i warkot silnika zagłusza jego słowa. – Dobra, sama się o to prosiłaś! – krzyczy i wrzuca bieg, po czym, obejmując mnie jedną ręką w talii, prowadzi traktor wzdłuż drogi.

Wybiera te same ścieżki, którymi jechaliśmy kilka tygodni temu buggym, chociaż teraz robimy to wolniej i nie odjeżdżamy tak daleko.

– Nigdy wcześniej nie siedziałam w traktorze! – krzyczę, kiedy Ben skręca w węższą drogę, po czym gasi silnik. Widząc pomarańczowe kulki kontrastujące z zielonymi liśćmi, pytam: – To mandarynki?

Ben odgarnia mi włosy z szyi, po czym całuje ją, sprawiając, że cała drzę.

– Jakieś cytrusy.

Zabieram mu kowbojski kapelusz i wkładam sobie na głowę.

– Czy to właściwa nazwa?

Odpowiada mi, sięgając w dół i rozpinając jeansy.

Rozglądam się uważnie, sprawdzając, czy jesteśmy sami.

– Co ty najlepszego wyprawiasz?!

– Rozwiązuję problem, który wywołałaś, podskakując na moich kolanach przez ostatnie dziesięć minut.

* * *

– No i? – Słyszę, opierając się na jego szerokiej piersi. – Chcesz rzucić pracę i zostać rolnikiem, prawda?

Uśmiecham się, wyciągając nogi i opierając je na skrzynce. Na przyczepie traktora, na której teraz leżymy, jest ich piętnaście.

– Zależy. Codziennie się jeździ tym ciągnikiem?! – Pomimo tego, że po nocy i poranku jestem nieco obolała, kiedy Ben zdjął mi spodnie, wskoczyłam na niego błyskawicznie. Gdyby ktoś podglądał nas zza drzewa, miałby niezłe widowisko.

Śmieje się, ale nie odpowiada.

– A ty? – pytam w końcu.

– Czasami. Odpoczywam tutaj. Mam tak wiele wspaniałych wspomnień związanych z tym miejscem, z braćmi i z siostrą. Jednak... – Urywa. Unoszę głowę i dostrzegam jego zamyślane

spojrzenie. – Nie studiowałem prawa na darmo. Poza tym musiałbym mieć do czynienia z tym wszystkim – mówi, wskazując na dom. – Renowacja tego miejsca będzie kosztowała fortunę, a potem co, u licha, miałbym z tym zrobić?

– Mówisz tylko o domu? – Coś mi podpowiada, że to ma więcej wspólnego z osobą siedzącą w stodole.

Otwiera jedno oko i zerka na mnie.

– Co? Myślisz, że jak pozwalam ci zbierać moje pomarańcze, możesz zadawać różne osobiste pytania?

Nie wiem, czy zabolęła go moja dociekliwość, ale wnioskując po uśmiechu pełnym dumy, myślę, że określenie „zbierać moje pomarańcze” nie miało wiele wspólnego z owocami. Trzepię go w ucho.

– Myślałam, że to mandarynki.

– Aua! – Krzywi się, ale równocześnie śmieje, po czym chwyta mnie za rękę i przyciąga, bym oparła ją na jego piersi. Czekam, w ciszy patrząc na niego, aż mówi:

– Pamiętam, że kiedy miałem około dziesięciu lat, zacząłem wyczuwać w oddechu ojca whisky. Mama mówiła, że nie zawsze był zły. Najwyraźniej zaczął pić po ślubie. Ale mówiła, że wcześniej był innym człowiekiem. Może to prawda. Wiem tylko, że z roku na rok robił się coraz gorszy, aż było mi wstyd, kiedy przyjeżdżali goście.

Współczuję mu. Annabelle przynajmniej umiała się powstrzymać z piciem przy ludziach. Jednak w te noce, kiedy nie potrafiła, wołałam spać u Liny, niż mieć z nią do czynienia. Rodzice Liny trzymali się z daleka od alkoholu.

– Lubił wychodzić w piątkowe wieczory. Kiedy miałem około szesnastu lat, przestał wracać na noc. Nigdy nie mówił, gdzie był, a kiedy pytałem, odpowiadał tylko, żebym się nie wtrącał. To mnie wkurzało, bo wiedziałem, jaki to ma wpływ na mamę. Kiedy schodziła na dół, miała podpuchnięte i podkrążone oczy, bo nie spała. A kiedy przechodziłem obok drzwi jej sypialni, słyszałem, jak płacze. Okazało się, że zawsze wiedziała, gdzie był i co robił, a raczej z kim to robił.

– Twój tata miał romans?

– Cóż, nie nazwałbym tego romansem. Polegało to raczej na tym, że gdy się upijał, pieprzył wszystko, co nie uciekało na drzewo. Dosłownie wszystko, co wyrwał w barze. Robił tak przez wiele lat. Był przystojny i miał powodzenie.

Biedna Wilma.

– Nadal to robi?

Ben prycha.

– Wątpię, czy jeszcze mu staje. Ostatnio w żyłach ma więcej whisky niż krwi. Jednak po wypadku wpadł w głęboką depresję i niezbyt interesowało go... właściwie nic go nie interesowało. Nie wiem, czy w ciągu ostatnich kilku lat opuścił w ogóle posesję. Z jedną ręką nie potrafi nigdzie pojechać, a zamawianą wodę dostarczają mu prosto do stodoły.

– Wow. – Obracam głowę, by ponownie oprzeć ją na piersi Bena, słuchając głośniego bicia jego serca. – Nie wierzę, że z nim została.

– Tak, najwyraźniej małżeństwo sprawia, że ludzie popełniają głupoty. – Następuje chwila ciszy. – Na przykład można tracić czas dla kogoś, kto zdradzał żonę i poślubił kochankę.

Przewracam oczami. Wiedziałam, że to wyciągnie.

– Nie musisz się obawiać. Dzięki tobie nie sędzę, by się jeszcze odezwał. – Ben oddał mi rano telefon, na którym nie było żadnych innych wiadomości. Ja też nie napisałam do Jareda. Nie

wiedziałam, co powiedzieć, a do tego posłuchałam rady młodego prawnika, by nie dostarczać żadnych dowodów.

– Mam nadzieję, że tego nie zrobi. – Nagle zostaję położona na plecy, a twarz Bena unosi się nade mną, gdy opiera ciężar ciała na przedramionach leżących po obu stronach mojej głowy. Za nim rozciąga się czyste, błękitne niebo.

Tu i teraz, w tej szczególnej chwili myślę, że mogłabym być rolnikiem, gdyby oznaczało to spokojne dni, ciszę i Bena.

Cholera.

– Wyglądasz, jakbyś miała ochotę krzyczeć – droczy się Ben, delikatnie muskając opuszkami kciuków moje policzki.

Chyba ma rację. Mam ochotę wydrzeć się na siebie.

Czy ostatnia noc namieszała w naszych relacjach?

Czy od teraz będę chciała czegoś więcej?

Patrzę w górę i widzę, że przygląda mi się z dziwną miną.

– Czego szukasz?

– Jeszcze nie wiem – odpowiada tajemniczo, po czym pochyla się i cmoka mnie w szyję. – Chodź, niedługo będzie kolacja.

Jak na zawołanie rozlega się dzwonek telefonu Bena.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

BEN

– Wydaje się, że miła z niej panienka – mówi mama, kiedy targuję się, że pozmywam w zamian za kawałek ciasta.

– Ma swój urok – przyznaję cicho z uśmiechem. Będę musiał to później powiedzieć Reese. Wyobrażam sobie, że to czarne serce zemści się na mnie raz czy dwa, gdy zacznę się z nią droczyć, nazywając ją „miłą panienką”.

– Och, Ben – karci mnie mama, jednak słyszę rozbawienie w jej głosie. – Czasami jesteś niemożliwy. – Po chwili dodaje: – Przygotowałam wielkie łóżko w starym pokoju Elsie. Muszę ścielić drugie?

Moje zdziwienie wywołuje jej śmiech. Moja matka, głęboko wierząca osoba, nie akceptuje seksu przedmałżeńskiego pod swoim dachem. A nie ma mowy, bym spędził z Reese noc w tym samym łóżku, nie łamiąc szóstego przykazania.

– Nie patrz tak na mnie. Jestem strasznie szczęśliwa, że w końcu masz dziewczynę.

Otwieram usta, by ją poprawić, kiedy przerywa mi śmiech dobiegający z jadalni.

– Grałeś na klarnecie?! – krzyczy Reese.

– Zdajesz sobie sprawę, że dajesz jej cały pieprzony arsenał przeciwko mnie, pokazując te zdjęcia, prawda? – marudzę, patrząc na matkę z uśmiechem.

– Język, Ben. A ja myślę, że sam dałeś jej wystarczająco dużo amunicji. – Ścisła mój policzek. – Jestem z ciebie dumna, z klarnetem i w ogóle.

– Czy to ty w różowej sukience, Ben? – Słyszę następne pytanie, po czym: – Tak! Musiałeś mieć przynajmniej dziesięć lat! – Błyskawicznie dobiega nas jej głęboki śmiech.

– Nie daj się zwieść tej fotce, Reese – woła mama, a dołeczki, te, które po niej odziedziczyłem, uwidaczniają się na jej policzkach. – Ben wykombinował, że jak ubierze się w sukienkę, będzie mógł podglądać sąsiadki, jak się przebierają. – Kręcąc głową i patrząc na mnie, dodaje: – Rany, wielbny Perkins strasznie się zdenerwował, kiedy wpadł na to, co się dzieje.

– No tak. – Pocieram zarośniętą szczękę, przypominając sobie jego córkę, śliczną blondynkę, która w wieku jedenastu lat była bardziej ciekawska, niż jej tatuś mógł przypuszczać. Jednak ścierka mamy na tyłku szybko wyrywa mnie z zamyślenia.

Przyglądam się mamie z czułością, gdy płucze talerze i wkłada je do zmywarki. Dorastając, sprawiłem jej zapewne wiele kłopotów, jednak za każdym razem, gdy przywoływała mnie do porządku, słuchałem. Świadomość, jakie dzieciństwo miała Reese z tą smutną namiastką matki, sprawia, że lepiej zdaję sobie sprawę z własnego szczęścia.

Kiedy zadzwonił Rob i powiedział, że mama miała atak serca na środku jego kuchni, natychmiast wskoczyłem do samochodu i pogałem bez zatrzymywania się do Chicago, przez całą drogę

trzymając się za pierś, by nie eksplodowała mi ze strachu. Ponieważ była Wielkanoc, nie było dostępnych lotów, a ja nie miałem zamiaru czekać. Dzięki Bogu nic jej się nie stało.

Choć mały, zawał nie minął bez śladu. Teraz to widzę. Postarzała się od tamtego czasu, rusza się wolniej, a zmarszczki na jej twarzy są bardziej widoczne.

– A jak się tutaj sprawy mają, mamuś? Tylko szczerze. – Kiedy studiowałem, zdawałem egzaminy i wdrażałem się w obowiązki w nowej pracy, mama nie chciała zbyt wiele mówić o sytuacji w domu. Nie lubi dokładać mi stresów. Niestety i tak spoczywają już na moich barkach. Poza matką tylko ja tu jestem.

Głęboko wzdychając, zaczyna skrobać talerze.

– To dla mnie sporo, Ben. Mam zaledwie pięćdziesiąt jeden lat, lecz ostatnio czuję się stara. Za stara, by martwić się o pieniądze, o choroby drzewek, o suszę i środki do ochrony roślin. – W jej głosie brzmi rezygnacja, której nigdy wcześniej nie słyszałem. Zastanawiam się, czy byłoby inaczej, gdyby miała przyzwoitego męża, z którym dzieliłaby ciężki los.

– Rozmawiałaś z Robem i resztą? Co mówili?

Zaciska usta ze smutkiem.

– To samo co zwykle. Radzili, abym sprzedała sad i rozstała się z waszym ojcem.

– I?

– Co masz na myśli, mówiąc „i”? – Teraz w jej tonie słychać irytację. – To miejsce to moje życie. Życie rodziny Bernard! Nie mogę go sprzedać.

– Wiem, mamuś. – W każdym innym miejscu byłaby nieszczęśliwa. – Ale on...

– Znasz moją odpowiedź. Zawsze taka sama: na dobre i złe. To właśnie przysięgałam.

– No tak, ale czy na dobre i złe nie oznacza...

– Zostaw to, Benjaminie. Taka jest moja decyzja. To moja sprawa.

Przypomina mi się coś, co powiedziała Reese.

– Jesteś szczęśliwa, spędzając święta bez dzieci i wnuków?! Mamuś, nie byliśmy wszyscy razem od przeszło ośmiu lat! Przez niego!

Pociąga nosem, a ja dostrzegam w jej oczach słabo skrywany ból.

– Staram się, jak mogę. Widuję je.

– Tak, tylko musisz jechać w tym celu do Chicago. Żadnych wakacji, żadnych urodzin. – Odstawiam talerze na stół, który, nawiasem mówiąc, jest jego dziełem, i uderzam w niego. Pięści zaczynają mnie boleć po spotkaniu z twardym drewnem. Biorę uspokajający, głęboki oddech. – Nie odwiedzają cię przyjaciele. Wchodzenie do tego domu grozi depresją. – Drażni mnie jej milczenie. Mimowolnie zaczynam podnosić głos. – Wisi tu jakaś pieprzona chmura...

– Bacz na język, Benjaminie – przerywa mi ostro.

– Przepraszam, mamuś. Tylko... – jęczę głośno. – Nie rozumiem! Staram się, ale nie rozumiem.

– Małżeństwo jest na zawsze, Ben.

– Tak. Najwyraźniej to wyrok dożywocia.

Chrząknięcie zwraca naszą uwagę na drzwi, w których stoi Reese, trzymając zestaw przypraw.

– Mają zostać w jadalni, czy zanieść je do kuchni?

– Daj je tutaj, kochana. Dziękuję. – Mama, nieco speszona, pospiesznie odbiera od Reese przyprawę. – Ben mówił, że ciasto limonkowe jest twoim ulubionym, więc zrobiłam je na deser. Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

Reese bierze od niej pełen talerz, a ja uśmiecham się szelmowsko.

– Jestem pewna, że będzie najlepszym, jakie kiedykolwiek jadłam.
Albo mnie w nocy przeleci, albo ukatrupi.
Jedno z dwóch.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

REESE

Jestem sprytniejsza niż Ben.

Tak łatwo go rozproszyć. Kiedy podałam mu pusty talerz po cieście Wilmy, które było pyszne – znalazłam z limonkami wspólny język – i wsunęłam mu rękę do kieszeni, założył, że to preludium do tego, co stanie się później i uśmiechnął się do mnie szelmowsko. Jak przegapił moje prawdziwe intencje – kradzież kluczyków, które tam wcześniej włożył – nigdy się nie dowiem.

Teraz biegnę przez trawnik przed drzwiami wejściowymi, chcąc odpalić silnik buggy, nim Ben mnie przyłapie. Wiem, że jestem dziecinna, ale wizja śmiejącego się i goniącego mnie Bena sprawia mi przyjemność.

Do tej pory znałam Bena tylko z jednej strony – jako zabawnego, prostego faceta, który niezależnie od sytuacji jest niewzruszony i bardzo pewny siebie. Nie wiedziałam, że aż tak go lubię, póki nie musiałam przerwać jego kłótni z Wilmą. Nie wiem, o co im poszło, ale kiedy Ben zaczął podnosić głos, zdecydowałam się wkroczyć do akcji. Solniczka i pieprzniczka w kształcie sowy były do tego świetnym pretekstem.

Myślę, że Ben ma na mnie dziwny wpływ – posiada zdolność zbalansowania mojego chaosu. Im więcej czasu spędzam w tym sadzie – w jego życiu – tym bardziej cały świat wydaje się stabilizować. A przynajmniej sprawia, że przykładam mniejszą wagę do własnych problemów. Chociaż słuchanie wkurzonego Bena i nie mniej zdenerwowanej Wilmy było jak wstrząs, który wytrącił z orbity mój mały, egoistyczny światek.

Ze stodoły dochodzi głośny stukot, po czym seria przekleństw. Mieszanina niepokoju i ciekawości – głównie ciekawości – popycha mnie do podejścia do okienka przy dużych, zamkniętych wrotach, by zerknąć do środka.

Odskakuję z krzykiem, gdy centymetry ode mnie pojawia się zapita twarz. Po chwili ujawnia się cała postać, gdy ojciec Bena otwiera drzwi i patrzy na mnie przekrwionymi i szklącymi się oczyma. Ben najwyraźniej odziedziczył wzrost i sylwetkę po ojcu, jednak ten człowiek dawno już stracił mięśnie, które zostały zastąpione zasuszoną postacią nałogowego alkoholika. Założę się, że swego czasu był przystojny. Pewnie nawet tak bardzo jak Ben. Może dlatego leciało na niego tak wiele kobiet. Wyjątkiem jest brak tego uroczego uśmiechu z dołeczkami, z pewnością nie ma też krystalicznie niebieskich oczu, które tak mi się podobają. Te akurat Ben odziedziczył po matce.

– Przepraszam – mówię. – Usłyszałam hałas i chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Tak? – mamrocze, a po sekundzie wyczuwam woń whisky. – Nic mi nie jest, ale miło z twojej strony... Miło, że chciałaś sprawdzić. – Lekko się zataczając, by złapać równowagę, mówi: – Słyszałem, że podobała ci się moja stolarka.

Najwyraźniej rozmawiają jeszcze z Wilmą. Wiedząc to, co wiem, zastanawiam się, jak muszą

wyglądać te konwersacje.

– Tak, meble w całym domu są przepiękne – mówię, uśmiechając się lekko. Nigdy nie czułam się dobrze wśród pijanych rodziców. Zwłaszcza ojców. Szczególnie tych, którzy zdradzają żony. Tym bardziej takich, którzy patrzą na mnie tak, jak teraz gapi się ojciec Bena. Krzyżuję ramiona na piersiach.

Machając ręką w teatralnym geście, zaprasza mnie do środka.

– Wejdz!

Rzucam okiem przez ramię. Ben jeszcze nie wyszedł.

– Och, on cię znajdzie – mówi ojciec Bena. Staram się nie spinać, kiedy jego ręka łąduje na moich plecach, gdy mężczyzna prowadzi mnie do środka stodoły. Mój nos natychmiast wypełnia się zapachem ciętego drewna, więc zaciągam się głęboko. – Czujesz, prawda? Drewno pachnie najlepiej na świecie.

Odpnęłam się nieco, gdy się ode mnie odsuwa, zataczając się w kierunku przeciwległej ściany, gdzie na stołach znajduje się wiele pił, jakby ułożonych do demonstracji. Metalowe narzędzia błyszczą w świetle. Stary, kineskopowy telewizor, stojący w rogu, emituje słaby dźwięk komentarza do meczu baseballowego, konkurując z muzyką country docierającą z radia.

– Bardzo tu schludnie – zauważam, patrząc na stosy drewna ułożone wzdłuż ściany. Na środku pomieszczenia z wysokim sufitem, z którego zwisa żarówka na drucie, ustawionych jest kilka mebli w różnych stadiach wykończenia. – Zawsze wyobrażałam sobie, że w tego rodzaju warsztatach musi być wiele trocin.

– Kiedyś było. – Podchodząc, opiera jedyną rękę na wielkiej desce i mamrocze: – To miała być piękna ława. Mogłem zarobić z kilka tysięcy na jej sprzedaży.

Gwiżdżę pod nosem.

Zerka na mnie.

– Chciałabyś, żebym ją dla ciebie dokończył? To czarny orzech. Niełatwo zdobyć taką sztukę.

Rozszerzam oczy, zdziwiona ofertą. Jackowi bardzo podobałaby się taka ława. Otwieram usta i zaczynam mówić:

– Jasne! – Przerywa mi jednak ostry głos Bena, który mówi:

– Nie!

Odwracam się i widzę, że chłopak stoi w drzwiach, ma zaciśnięte zęby, a spojrzeniem omiata pomieszczenie, jakby w jego cieniu ściagały się duchy. Nawet półmrok nie jest w stanie ukryć tego, jak bardzo jest blady.

– Co się stało, synu? Zapomniałeś, jak wygląda to miejsce? – mówi z zauważalną niechęcią w głosie Joshua senior.

Słyszę, jak Ben przetyka z trudem ślinę, kiedy staje za mną i obejmuje mnie ciasno ramionami, przyciskając do siebie. To niemal ochronny gest.

– Chodź, mała złodziejko. Skoro już mi gwiżdnęłaś kluczyki, dam ci pojeździć.

Mówi to, drocząc się ze mną, ale dobrze wiem, że robi wszystko, by się z ojcem nie kłócić, nie żartować i mu nie docinać. Dziwna miękkość w jego głosie brzmi w tych ścianach niczym krzyk.

– Dobrze.

– Po co ten pośpiech? Nie byłeś tutaj, ile? Osiem czy dziewięć lat? Ile minęło już od wypadku? – Tata Bena klepie ręką drewniany blat. – Nie chcesz się rozejrzeć? Odświeżyć wspomnień?

– Joshua! – krzyczy od progu Wilma, a kiedy się odwracam, widzę, że jest równie blada jak jej syn.

I dostrzegam w jej oczach łzy. To zdecydowanie łzy. Przeskakuje spojrzeniem od męża do syna – zatrzymując się na nim z bolesnym wyrazem twarzy i marszcząc przy tym brwi – po czym znów na męża. Zauważam jej subtelne skinienie głowy. – Dlaczego pozwoliłam, by trwało to tak długo? – mówi cichutko, kiedy przez jej twarz przepływa fala emocji, na chwilę przed tym zamyka i zaciska mocno powieki.

Patrząc na twarz jej męża, mam wrażenie, że on również to słyszał. Obserwuję, jak umiera niewielka iskra jego gniewu. Mężczyzna zwiesza głowę i zatacza się obok nas do wyjścia.

Wilma powoli podchodzi do Bena i do mnie, po czym kładzie dłoń na policzku syna.

– To był wypadek, Benjaminie. Wszyscy o tym wiemy. On też o tym wie, nawet jeśli nie chce tego przyznać. – Świeże łzy spływają po policzku Wilmy. – Jednak wszystko, co stało się później, to moja wina.

Ben odsuwa się ode mnie i bierze niewielką matkę w ramiona.

– Nic nigdy nie było twoją winą.

Wilma cofa się ze smutnym uśmiechem.

– Cieszę się, że tu jesteście. Idźcie miło spędzić czas. Benjaminie, naprawię to. Sprawię, że będzie dobrze. – Odchodzi z uśmiechem determinacji malującym się na jej twarzy.

Stoję pośrodku tej otwartej przestrzeni, obserwując Bena gapiącego się na niedokończoną ławę z wyrazem zagubienia na twarzy, walczącego ze swoimi myślami.

– Ben? – Drzę, kiedy słyszę, jak jego imię odbija się echem od wysokich ścian.

Zdaje się, że to wyrywa go z transu, ponieważ obraca się do mnie i uśmiecha.

– Chodźmy – mówi, choć napięcia w jego głosie i braku błysku w oczach nie da się nie zauważyć.

– Co się tutaj stało?

– Och... – Patrzy pod nogi i zaciska usta w wąską linię. – Najgorszy dzień mojego życia. To się stało. – Stara się zbagatelizować problem wzruszeniem ramion.

Moje trampki piszczą na betonie, gdy obchodzę niedokończony blat stolika dookoła, wodząc palcami po słojach drewna.

– Jest piękny. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Reese, nie... – zaczyna, gdy moje palce suną po wielkiej plamie, jakby ktoś wylał coś na surowe drewno, co zabarwiło je na zawsze. Podnoszę głowę i widzę zbolaną minę Bena.

– No weź! Jesteś moim pyskatym, głośnym, nieczułym Benem! To ja jestem ta melodramatyczna.

– Jestem twój? – powtarza, unosząc brwi, jednak jego głos pozbawiony jest dokuczliwego tonu.

Przełykam ślinę.

– Co jest nie tak z tym drewnem?

Podchodzi, omijając coś na podłodze, zamiast iść prosto.

– Pamiętasz, co mówiłem o tacie i tym, co robił za plecami mamy?

Kiwam głową.

Oblizując wargi, Ben przez dłuższą chwilę przygląda się desce.

– Normalnie trzymał się z dala od lokalnych barów. To małe miasto i ludzie plotkują. Wszyscy o wszystkim wszystko wiedzą. Cóż, pewnego dnia stwierdził, że miejscowy bar będzie dla niego odpowiedni. Następnego ranka do mamy zaczęła wydzwaniać jej koleżanka. Jakiś jej szwagier widział ojca z żoną mojego trenera. Najwyraźniej trener był na wyjeździe. – Ben prychnie i kręci głową. – Mama była przerażona. I nawet nie ze swojego powodu. Wiedziała, że gdy trener się o tym dowie, będzie się na mnie odgrywał. Kiedy tamtego dnia ojciec zjawił się na podjeździe, chyba

zaczęła się na niego wydzierać. Uderzyła go nawet w twarz. No i... – Ben zaciska zęby. – ...on jej oddał. Kilka godzin później, kiedy wróciłem do domu, znalazłem ją z workiem lodu przyciśniętym do złamanego nosa. Wtedy dowiedziałem się, co zaszło... – Krzywi się. – Wpadłem tutaj gotów sprać go na kwaśne jabłko. On już pił i pracował nad stolikiem. Byłem tak wściekły, że podbiegłem i go pchnąłem. Mocno. – Ben urywa, by przełknąć ślinę, po czym przeczesuje ręką włosy. – Następnie wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nie wiem, jak to się stało. W jednej chwili zataczał się w tył, podczas gdy jego ręka leżała na ziemi, a wszędzie była krew. Jezu, Reese! Whisky tylko to pogorszyła. Krew sikała z niego jak na filmach Quentina Tarantino.

Żołądek mi się ściska na tę dość kolorową wizję. Z nowej perspektywy patrzę na blat stolika, wiedząc już, czym jest ta plama.

– Ten idiota usunął zabezpieczenia ze wszystkich pił. Mówił, że tylko przeszkadzały mu w pracy. Kiedy się zatoczył, szturchnął włącznik. – Ben kręci głową. – Byłem wkurzony, ale nigdy nie chciałem, by coś takiego się stało, przysięgam. Natychmiast wezwałem pogotowie. Lekarze nie byli w stanie przyszyć ręki. – Wzdycha ciężko. – Jediną pasją ojca była stolarka. Z jedną ręką nie był w stanie za wiele zrobić. Więc przestał. Od tamtego czasu przesiadywał jedynie w tej stodole, nienawidząc życia.

Ben przeciąga palcami po niebezpiecznie wyglądającej pile.

– To ta?

Odpowiada mi skinieniem głowy.

– Zawsze był cyniczny. Nigdy nie był wesoły. Nie spędzał zbyt wiele czasu z dziećmi. Po wypadku rozpił się na amen i popadł w depresję. Nie wyszedł z niej i odmówił pomocy. To mnie obwinia za wszystko. Za wypadek, za to, że moi bracia i Elsie nie przyjeżdżają do domu. Jednak oni nie pojawiają się tutaj, bo nienawidzą go za to, co zrobił mamie, za zdrady i za to, że ją uderzył. I za to, że pije. Stwierdzili, że ich stopy nie postaną w tym miejscu, póki on tutaj jest. Złoszczą się na mamę, że go broni, gdyż wbiła sobie do głowy, że ma z nim być również „na złe”, jak przysięgała w kościele. Jeśli o mnie chodzi, to „na złe” jest cholernie tragiczne.

– Jest szczęśliwa?

– A jak może być? – Jasnoniebieskie oczy wpatrują się we mnie, a ramiona unoszą jakby w geście poddania. – Śpią w oddzielnych pokojach, a on spędza tutaj całe dni. W niczym jej nie pomaga. Żyją zupełnie oddzielnie, a przez niego ona nie widuje swoich dzieci i wnuków. Na tym polega małżeństwo?! – Kręci głową. – A potem zastanawia się, dlaczego nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Ryzykuję i podchodzę do niego, po czym opieram rękę na jego ramieniu, by dodać mu otuchy, wesprzeć go, okazać przyjaźń.

– Boże. – Ben kręci głową i szybko oddycha. – Nadal nie mogę znieść zapachu ciętego drewna. Chce mi się od niego rzygać. A dźwięk chodzącej piły... – Zaciska mocno oczy i drży.

– No to wyjdźmy stąd. – Biorę go pod rękę i czekam, aż spojrzy na mnie. Ciągnę go lekko, byśmy wyszli ze stodoły pełnej ostrych pił i palących wspomnień. W końcu pozwala się wyprowadzić. – Chodźmy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

BEN

– Myślałam, że jest zagorzałą chrześcijanką – szepcze Reese, kiedy prowadzę ją do starego pokoju Elsie. Ściany i zasłony nadal mają ten sam kolor – biały i żółty – jednak plakaty z chłopakami z boysbandów i rzeczy cheerleaderki dawno zniknęły, gdy siostra się wyprowadziła.

– Bo jest. Jest również zagorzałą wyznawczynią pomysłu, by Ben się ożenił – mówię, śmiejąc się, po czym dodaję: – I nie musisz szeptać. Pokój mamy jest po drugiej stronie domu, a ojca, kiedy jest w takim stanie, nie obudziłby nawet wpadający przez ścianę jumbo jet.

Czuję, jak staje za mną, obejmuje mnie i opiera dłonie na mojej piersi.

– Chcesz ślub kościelny? Bo ja bym wybrała ucieczkę z ukochanym.

– Ee...

Prycha przy moich plecach.

– Serce ci przyspieszyło.

Sięgam w tył i przesuwam ją do przodu, po czym unoszę jej głowę, by na mnie spojrzała. Uwielbiam widzieć jej twarz pod takim kątem.

– Bardzo śmieszne.

– Tak myślałam. – Staje na palcach i całuje mnie miękko w usta. Zaskakuje mnie tym, jednak w pozytywny sposób. To pierwszy raz, gdy to robi. Zawsze to ja kradłem jej buziaki.

Odsuwa się i klepie mnie w tyłek.

– Drzwi do łazienki to te trzecie po lewej?

– Tak. – Obserwuję, jak przewiesza plecak przez ramię i uśmiechnięta wychodzi na korytarz. Kiedy słyszę, jak zamyka się zamek w łazience, biegnę do pokoju mamy, ale jest pusty. Idę więc dalej korytarzem i cicho wyglądam zza rogu. Tyle razy przemykałem tędy, że wiem, jak unikać skrzypienia podłogi.

Drzwi od pokoju ojca są uchylone na tyle, że słyszę dochodzący ze środka głos mamy:

– Oddałam ci trzydzieści trzy lata mojego życia, Joshua. Miałam nadzieję i modliłam się, byś do mnie wrócił, by ten mężczyzna, w którym się zakochałam, który dał mi piątkę wspaniałych dzieci, był gdzieś w tobie. Jednak... – Słyszę jej urywany szloch, który próbuje stłumić, po czym znowu mówi: – Jednak teraz już wiem, że zniknął na dobre, ponieważ Joshua, którego kochałam, nie krzywdziłby własnego dziecka. Spośród wszystkich naszych dzieci to właśnie Ben ma powód, by tu nie przyjeżdżać, a mimo tego wciąż tu jest.

Dołącza szorstki głos ojca:

– Pewnie czuje się winny.

– Może – przyznaje mama i pociąga nosem – ale też dlatego, że tak zaciekle kocha. Ten chłopiec zawsze miał w sobie tyle miłości, a boję się, że przez warunki, w których dorastał, nigdy nikomu nie

da prawdziwej szansy. Żadne z nich tego nie robi.

– Reszcie nic nie jest.

– To nieprawda, Joshua. Żona Josha odeszła od niego, bo za dużo pił i miał romans, a Elsie odrzuciła oświadczyzny tego chłopaka już dwa razy, ponieważ nie wie, jak zaufać mężczyźnie. Tym razem zerwali na dobre. Jake nie chce poślubić Rity, która jest z nim w ciąży, bo się boi, że zapeszy.

Cholera, nie wiedziałem o tym wszystkim.

Mama odchrząkuje.

– Muszę zrobić w końcu coś dla dzieci. Coś, co powinnam była zrobić wiele lat temu. – Słyszę skrzypnięcie bujanego fotela dziadka, z którego wstaje mama. – Ten dom się rozpada i wcale nie przez przeciekające dachówki, nieszczelne rury czy krzywy ganek. Tylko dlatego, że nie ma w nim rodziny. Nie ma duszy. A bez tego nie ma sensu w nim tkwić.

Ojciec nie mówi ani słowa. Nie kłóci się, nie błaga, nie przeprosza. Nie szuka wymówek.

– Cornellowie już kiedyś pytali, czy nie chcielibyśmy go sprzedać. Mam zamiar dowiedzieć się, czy nadal są zainteresowani.

Co?! Sprzedać?! A dopiero mówiła, że nigdy go nie sprzeda!

W końcu odzywa się ojciec:

– Myślałem, że nie chcesz sprzedawać sadu.

– Nie chcę. – Głos jej się łamie. – Ale nie mogę tak trwać i za bardzo kocham dzieci, by czegoś nie zmienić. – O wiele bliżej drzwi dodaje: – Wiesz, nauczyłam się żyć z whisky, nawet wybaczyłam ci kobiety. Obwinałam samą siebie, że nie byłam na tyle atrakcyjna, by cię zadowolić.

Zgrzytam zębami, słysząc coś takiego.

– Jednak nigdy nie wybaczę ci tego, że próbowałeś zabić iskrę w oczach mojego dziecka. I nigdy nie wybaczę sobie, że pozwalałam, by ciągnęło się to tak długo.

Drzwi otwierają się, mama wychodzi. Jej oczy są zaczerwienione i napuchnięte od płaczu. Na mój widok natychmiast przybiera odważny uśmiech, po czym zatrząskuje za sobą drzwi. I tak widzę, jak drży jej dolna warga.

– Mamuś, nic mi nie jest. Radzę sobie. Nie musisz poświęcać swojego domu...

– Ciii... – Łapie mnie za rękę. Wydaje się taka mała, choć kiedy chce, potrafi ścisnąć. – Mogę zrobić, co mi się podoba. A z tobą nie wszystko jest w porządku, Ben. Kiedy pozwolisz sobie na radość, którą można czerpać ze związku z drugim człowiekiem, wtedy będzie dobrze. – Klepie mnie w ramię i odchodzi.

Stoję przez chwilę pod drzwiami pokoju ojca.

Słyszę za nimi stłumione łkanie.

* * *

– Twoja siostra miała świetny widok. – Reese stoi przy oknie, odwrócona do mnie plecami. Założyła na siebie zwykłą koszulkę i krótkie spodenki, a jej sylwetka, z długimi, szczupłymi nogami, kusi mnie jak nigdy. Uśmiecham się do siebie. Dlatego podoba mi się tak bardzo. Nie stara się za mocno. Większość dziewczyn na jej miejscu założyłaby jakieś koronkowe, czarne ciuszki. Mercy już leżałaby naga na łóżku. Ale nie Reese. Ona się nie przejmuje. A najzabawniejsze jest to, że jest przez to jeszcze bardziej seksowna.

– Miała – zgadzam się, stając za nią i opierając podbródek na jej głowie, patrząc w mrok. Ciężko je zobaczyć, ale niebo jest pełne gwiazd, które widoczne są ponad wierzchołkami drzew.

– Jest w tym miejscu jakaś magia, prawda? Czuję ją, kiedy tu przyjeżdżam. Tak jakby cały ten syf

dział się gdzie indziej. Wiem dlaczego twoja mama nie chce stąd odejść.

– Tak. – Poza tym, że chce. Trybiki pracują w mojej głowie, kiedy zastanawiam się, w jaki sposób sprawić, by mogła zostać, pozbywając się stąd jedynie ojca. Cholera.

Reese obraca się do mnie twarzą.

– Jak się miewa mamuś?

Uśmiecham się, słysząc, jak ją nazwała.

– Myśli, że jesteś słodka.

Odpowiada mi prychnięciem, czego w sumie oczekiwałem. Śmieje się, kiedy odchodzi ode mnie i wskakuje do łóżka, po czym nakrywa się kołdrą i obserwuje, jak zdejmuję ubranie.

– Grasz niedostępnego? – pyta, patrząc na mnie, ale słyszę w jej głosie drwinę.

– A czego oczekiwałaś? – Odsuwam kołdrę, by położyć się obok niej, po czym gaszę światło.

– Dwuczęściowej piżamy z długim rękawem i z kieszeniami, zupełnie jak u Masona. – Nie tracąc czasu, opiera głowę na moim ramieniu, a rękę kładzie na mojej piersi. To... miłe.

Panuje między nami chwila długiej, przyjemnej ciszy, aż w końcu decyduję się wyrzucić z siebie:

– Postanowiła odejść od ojca. Właśnie mu powiedziała, że to koniec.

Palce Reese, którymi kreśliła kółka na mojej skórze, zatrzymują się.

– A co ty na to... To dobrze?

– Tak. Dobrze. I jednocześnie źle. Będzie musiała sprzedać dom.

Słyszę „cholera” wyszeptane pod nosem, po czym z trudem przełykaną ślinę i pytanie:

– Dlaczego?

– Nie ma pieniędzy, by go spłacić, a ten drań nigdy nie odda jej wszystkiego. Po tym wszystkim, co zrobił, przynajmniej teraz mógłby jej odpuścić. – Słyszę gorycz we własnym głosie, a przez nagłe spięcie u Reese podejrzewam, że też ją usłyszała. – Przepraszam – mówię miękko. – Nie musisz tego słuchać.

– W porządku. Po to są przyjaciele.

Na ustach maluje mi się niewielki uśmiech. To zabawne – mam wielu przyjaciół, których znam dużo dłużej niż Reese, a mimo to czuję się bliżej związany z nią niż z którymkolwiek z nich. Nie zdawałem sobie sprawy, jak mocna więź wytworzyła się między nami w tak krótkim czasie.

– Wiesz, po co jeszcze są przyjaciele?

– By sprawiali ból i frustrację? – Wbija mi w sutek ostry paznokieć, więc syczę i odtrącam jej rękę.

Przeprasza, łagodząc ból mokrym językiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

REESE

– Mocno się wierzysz przez sen – mówi mi wprost do ucha, w jakiś sposób wyczuwając, że nie śpię.

– Dlatego, że z ciebie taka pijawka – mamroczę, kiedy jego oddech łaskocze mnie w kark. Nie jestem pieszczochem. Normalnie przysuwam się do krawędzi łóżka, z dala od ciepła czyjś ciało. Jared o tym wiedział i nie przeszkadzało mu to. On również preferował wolną przestrzeń.

Nie to co Ben. Za każdym razem, gdy próbowałam się odsunąć, jego ręka lub noga oplatały się wokół mnie, a ciepłe ciało przywierało do mojego. Nawet za milion lat nie odgadłabym, że on lubi się tulić.

Nie spodziewałam się też, że ja to polubię.

– Pijawka? – Silną ręką Ben popycha mnie na plecy, a jego usta przywierają do mojej piersi. Potrzeba chwili i szczypiącego bólu, bym zdała sobie sprawę, co robi.

– Przestań! – Uderzam go lekko w głowę. – Co ty, masz dwanaście lat?

Unosi głowę, by z uśmiechem przyjrzeć się swojemu dziełu, po czym znów ją pochyla i wodząc nosem po mojej szyi, sprawia, że cała drżę.

– O, właśnie. Zapomniałem jaka jesteś rano humorzasta. Zobaczmy, czy uda mi się poprawić ci nastrój. – Odrzuca kołdrę i zaczyna schodzić w dół, czuję jego ciepły oddech na klatce piersiowej, na brzuchu, na pępku i niżej.

* * *

– Halo? – Zapach ciepłej, pysznej kawy i ciastek mówi mi, że kuchnia pracuje pełną parą, jednak w tej chwili jest pusta, z wyjątkiem bułeczek i słoika z dżemem na stole. Napełniam sobie kubek po brzegi – mimo fantastycznej pobudki, którą sprawił mi Ben, nadal potrzebuję kofeiny – po czym idę go znaleźć, przechodząc przez cały dom na tylną werandę. Kiedy jestem w holu, zauważam, że drzwi frontowe są nieco uchylone, więc wychodzę na ganek.

Ben stoi na podjeździe i ciasno obejmuje Wilnę. Jej twarz wciśnięta jest w jego pierś, a całe jej ciało drży.

W oddali słychać syreny.

Rzucam się biegiem. Moje stopy uderzają o żwir, ale jedyne, co słyszę, to krew dudniącą mi w uszach. Dobiegam do nich i widzę mocno zaciśnięte oczy Bena, jego napiętą szczękę, kiedy tuli szlochającą histerycznie matkę.

Tylko jedna rzecz – a raczej jedna osoba – może być tego przyczyną.

A kiedy odwracam się w kierunku stodoły, której wielkie wrota rozwarte są na oścież, i dostrzegam wewnątrz zastygłą na krześle postać z ręką wiszącą bezwładnie przy boku, a na ziemi butelkę po whisky i małe, białe opakowanie po tabletkach, nietrudno mi dopasować elementy układanki.

Ostre światła i dźwięk syreny zakłócają spokój sadu cytrusowego, gdy radiowóz i karetka z impetem wpadają na malowniczy podjazd. Kiedy ze środka wyskakują sanitariusze z wielkimi czarnymi torbami, a Ben i Wilma nie poruszają się o krok, by wskazać im drogę, wkraczam do akcji:

– Jest tam – mówię, wskazując ręką. Nie potrzeba im więcej informacji, ale i tak za nimi biegnę.

Po czym żałuję, że to zrobiłam.

Nikt nie ma nadziei, że Joshuę Morrisa da się uratować. Jego skóra jest tak szara, że nigdy u nikogo takiej nie widziałam. Zmieniły się nawet rysy jego twarzy, mięśnie zwiotczały. Żółte ślady z przodu koszuli wskazują, że w którymś momencie zwymiotował.

Sanitariusze – mężczyzna i kobieta w wieku około trzydziestu lat, dla których taki widok to prawdopodobnie nie pierwszyzna – zaczynają postępować zgodnie z procedurą, sprawdzają puls i źrenice, jednak nie trwa długo, nim mężczyzna odwraca się przez ramię do policjanta i, kręcąc głową, daje bardzo wyraźny sygnał, że ten człowiek nie żyje.

Sanitariuszka zaczyna recytować osobiste i medyczne pytania, na które nie znam odpowiedzi. Mówię, co wiem, po czym na chwiejących się nogach podchodzę do Bena.

– Znalazła to przy nim dzisiejszego ranka. Musiał tu przyjść niedługo po tym, jak położyliśmy się spać – wyjaśnia cichym, ponurym głosem młodemu policjantowi, podając kartkę i kopertę.

– Czy były jakieś sygnały wskazujące na to, że Joshua Morris może spróbować targnąć się na swoje życie? – pyta policjant.

Ben wzrusza ramionami, patrząc pod nogi wielkimi z szoku źrenicami. Wilma nadal znajduje się w jego objęciach.

– Przez lata powoli truł się alkoholem. Wiesz o tym, Roger. – Policjant nie wygląda na wiele starszego od Bena. Może nawet chodzili razem do szkoły.

W końcu zachrypniętym głosem odzywa się Wilma:

– Joshua ma alergię na aspirynę. Poważną, zagrażającą życiu. A to była nowa buteleczka, którą niedawno sobie kupiłam. – Pociąga nosem, po czym zwiesza głowę i przyznaje: – Dokładnie wiedział, co robi.

Rozmawiają przez chwilę, policjant zadaje różne pytania – odnośnie ich małżeństwa, finansów, potencjalnych niewierności i takie tam – irytując tym Bena, który bardzo prawniczym tonem nakazuje Wilmie, by dalej nie odpowiadała.

Policjant w końcu zwraca się do mnie:

– Może mi pani podać swoje dane?

– To dziewczyna Bena – szybko informuje go Wilma, sięgając ramieniem w tył i przywołując mnie gestem dłoni. Posłusznie podchodzę i sekundę później znajduję się już pod jednym z ramion Bena. Wymieniamy się spojrzeniami, jednak żadne z nas się nie poprawia. To naprawdę nie ma teraz znaczenia. Mimo wszystko trudno mi przegapić zaciśniętą szczękę Bena.

– Przykro mi, że jesteś świadkiem tego wszystkiego, Reese – mówi Wilma, a świeże łzy napływają jej do oczu. Potrafię posłać jej jedynie smutny uśmiech, a Ben obejmuje nas ciaśniej.

Najwyraźniej prokuratura nie jest zbyt zajęta w niedzielny poranek, w najbogatszym regionie gajów cytrusowych w samym sercu Florydy, ponieważ starszy mężczyzna zjawia się w niecałą godzinę, aby spisać oficjalny raport, potwierdzający, że Joshua Morris senior nie żyje.

Niedługo później cała nasza trójka stoi dokładnie w tym samym miejscu na podjeździe, w ciszy obserwując, jak nikną ostatnie światła samochodów, z których jeden zabrał ze sobą ciało samobójcy.

Wilma ciężko wzdycha, a na jej twarzy maluje się rezygnacja.

– Chyba powinnam zadzwonić do dzieci i zacząć jakieś przygotowania. – Jej głos jest niemal niedosłyszalnym szeptem.

– Zaraz przyjdę, by ci pomóc, mamuś – mówi Ben.

– Dobrze. Cieszę się, że tu jesteście. – Klepie Bena w ramię i mija nas ze zwieszoną głową, wolno kierując się w stronę domu. Ben w ciszy podchodzi do stodoły i staje przed jej drzwiami z rękoma skrzyżowanymi na piersi i spiętymi mięśniami pleców.

Po prostu patrzy na puste krzesło i butelkę leżącą pod nim, aż wreszcie nie wytrzymuję, podchodzę do niego, niepewnie dotykam jego ramienia i przytulam się do jego boku. Ben ma surowy wyraz twarzy.

Stoimy tak przez chwilę, która ciągnie się w nieskończoność. Chciałabym zapytać go, jak się czuje, ale tego nie robię. Znając ich relacje, nie mogę nawet zgadywać, co może czuć w tej chwili Ben. Złość? Ulgę? Szczęście? Czy jest w nim miejsce na smutek? W końcu decyduję się powiedzieć:

– Cieszę się, że nie była sama.

Wolno unosi głowę.

– Tak. – Rozgląda się po stodole. – Chciałabym spalić ten pieprzony budynek. Oblać benzyną i podpalić. – Po chwili słaby uśmiech próbuje rozciągnąć mu usta. – Co wiesz o podpalaniu?

Lekko dźgam go palcem w żebra.

– Mówiłam ci, nie jestem kryminalistką. Bywam jedynie idiotką, która zawsze daje się złapać.

Śmieje się lekko, a moje serce wypełnia otucha. To dziwne. Pamiętam czas, kiedy śmiech Bena powodował, że się krzywiłam. Teraz nie mogę się nim nacieszyć.

– Nie to, że się znam, ale nie sądzę, by podpalanie tego miejsca było dobrym pomysłem.

Wzdycha ciężko.

– Tak, masz rację. Mam teraz wiele na głowie, z przygotowaniem pogrzebu i innymi sprawami. Chyba powiniennem zadzwonić do Jacka. Myślisz, że da mi tydzień wolnego? Nie chcę zostawiać mamy samej, a nie wiem, ile czasu minie, zanim przyjedzie reszta.

– Jack zawsze na pierwszym miejscu stawia rodzinę. Jestem pewna, że się zgodzi. – Cały tydzień w pracy bez Bena? To oczywiście zrozumiałe, ale egoistyczna część mnie czuje się rozczarowana.

Ben kopie jakiś kamyk leżący przed stodołą.

– Pewnie przypadną nam zamówienia.

– Kto tak powiedział? – Wkładam rękę do kieszeni Bena, ściskając go lekko, kiedy szukam kluczy, wiedząc, że gdzieś tam są.

Patrzy na mnie z ciekawością.

– Co robisz?

Odpowiadam z najlepiej udawanym południowym akcentem:

– Jadę zbierać mandarynki, a co?

Na jego twarzy pojawia się krzywy uśmieszek z dołeczkami.

– Nie musisz tego robić, Reese.

Wspinam się na palce i całuję go w policzek.

– Wiem.

* * *

– Pomyślałem, że moglibyśmy wyjść dzisiaj na rodzinną kolację. Ty, Mason i ja. Nigdy tego nie robiliśmy. Co ty na to?

– Ee... – Spacerując między drzewkami mandarynek, które ciągną się jak okiem sięgnąć,

rozpaczliwie usiłuję znaleźć dobrą odpowiedź. – Nie jest na to najlepszy dzień, Jack.

– Och, dobrze. Rozumiem. Może innym razem – mówi niechętnie.

Cholera.

– Chodzi o to... – Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. – Prawdopodobnie nie uda mi się wystarczająco wcześnie wrócić do Miami. Znów jestem w sady.

Następuje chwila ciszy.

– Myślałem, że weekend spędzasz u Liny.

Zgaduję, że pomysłu rodzinnej kolacji nie przedstawił jeszcze Masonowi. Muszę wysłać ostrzeżenie, zanim ojciec przyprze go do muru.

– Nie, jestem tutaj od wczorajszego ranka. Mama Bena potrzebowała pomocy z wcześniejszymi zamówieniami, a ja naprawdę lubię spędzać tu czas. To takie spokojne miejsce.

Jack wzdycha ciężko. Wyobrażam sobie, że uciska w tym momencie nasadę nosa.

– A więc to oznacza...

– Jack, dzisiejszego ranka zmarł ojciec Bena – wypalam, nie chcąc odpowiadać na pytanie, na które i tak nie mam dobrej odpowiedzi.

– Co?! Co z Benem? To znaczy... to stało się nagle? Jak... Zawał? Wylew? – pyta zaskoczony.

– Pół litra whisky i pudełko pastylek – przyznaję ponuro. – Ben będzie potrzebował wolnego tygodnia. Zadzwoń do ciebie później.

– Tak, tak – mamrocze pod nosem. – Rodzina zawsze jest najważniejsza.

Słyszę za sobą silnik ciężarówki.

– Słuchaj, Jack, muszę kończyć. Staram się pomóc Wilmie jakoś ogarnąć te zamówienia.

– Dobrze, że im pomagasz. – Uśmiecham się. Jack zawsze mnie chwali, gdy zrobię coś pożytecznego. Czasami czuję się, jakbym miała od niego otrzymać owacje na stojąco za to, że poprawnie zawiązałam buty. Jednak dzisiaj miło jest wiedzieć, że w jakiś sposób pomagam Benowi i Wilmie.

– Do zobaczenia wieczorem, Jack. Ben mnie odwiezie.

Rozłączam się, gdy ciężarówka przystaje, a pisk jej hamulców przyprawia mnie o gęsią skórę. Muszę przyznać, że kiedy zamiast Bena wyskakuje z niej Wilma, jestem nieco zawiedziona, jednak to szybko mija, bo mimo wszystko cieszy mnie jej widok.

– Już jesteś różowa, Reese. Trzymaj, potrzebujesz tego. Nie chcemy zrujnować twojej pięknej skóry. – Podaje mi jeden z tych olbrzymich kapeluszy, które noszą sławni ludzie na plaży. – I musisz być spragniona. – Wręcza mi butelkę wody, którą przyjmuję z wdzięcznością. Jestem tu od trzech godzin i moje usta wyschły na wiór.

– Nie ruszaj się. – Kiedy piję, wyciąga buteleczkę kremu z filtrem i zaczyna spryskiwać mi nią ramiona. – Mam nadzieję, że nie wybierasz się w najbliższym czasie na imprezę, bo będziesz miała na ramionach ładną, wiejską opaleniznę.

– Nie, w najbliższym czasie nie czekają mnie żadne większe wyjścia. – Annabelle by się ze mną nie zgodziła, ponieważ jej wielki charytatywny bal zaplanowany jest na ten weekend. – Naprawdę nie musiałaś się tutaj fatygować. Daję radę i wiem, że masz teraz sporo na głowie.

– Nie za bardzo. Zawiadomiłam dzieci i księdza. Ben zajął się przygotowaniem do pogrzebu. I co dalej? – Wzrusza ramionami, pochylając się nad bokiem przyczepy, by sprawdzić, jak ją wypełniłam.

– Pozostaje mi gotowanie i czekanie, ot co. Równie dobrze mogę być tutaj.

To oraz przeżywanie żałoby po mężu, który popełnił samobójstwo zaledwie kilka godzin

wcześniej. Nie mówię tego jednak na głos. Nie wątpię, że Wilma będzie rzewnie oplakiwała zmarłego męża. Jestem pewna, że już to zrobiła. Że po cichu robiła to od lat.

– Masz smykałkę do zbierania owoców.

Uśmiecham się i wracam do pracy.

– Miałam dobrego nauczyciela.

– Tak – zgadza się ze mną. – Zawsze liczyłam, że ten cały futbol przejdzie mu z wiekiem. Byłam przekonana, że przejmie sad i w następnym pokoleniu podtrzyma rodzinną tradycję. Jednak kiedy dostał stypendium, wszyscy już wiedzieliśmy, że pójdzie własną drogą. Gdyby nie kontuzja, oglądalibyśmy go teraz w telewizji.

Prycham, wyobrażając sobie Bena w obcisłych spodenkach, ale muszę przyznać, że w sportowym stroju prawdopodobnie wyglądałby apetycznie.

– Mam wrażenie, że zawsze wspierałaś jego karierę sportową.

Stojące na biurku Bena zdjęcie, na którym Wilma aż promienieje ze szczęścia, jest na to dowodem.

– O tak! – Podnosi głos, jakby pomysł tego, by nie wspierać syna, był przerażający. – Jestem jego matką. Oczywiście, że go wspierałam. Ostatecznie to jego życie. Chciałam, by był szczęśliwy. – Po czym dodaje z przekąsem: – I za wcześnie nie uczynił mnie babcią.

– Rany, jak ja bym chciała przy tobie dorastać – wyznaję. Jakby to było mieć taką matkę jak Wilma? Z takim wsparciem nie ma mowy o porażce.

– Rozumiem, że nie dogadujesz się ze swoją mamą. – W jej głosie pobrzmiwa ciekawość.

– Annabelle ma bardzo jasny i szczegółowy obraz tego, jak powinna wyglądać jej córka, a ja się w niego nie wpasowałam.

Wilma milknie na moment.

– Przykro mi to słyszeć, Reese – mówi, po czym pyta: – A co z ojcem?

– Ledwie go pamiętam. Odszedł, kiedy miałam pięć lat i od tamtego czasu nic o nim nie słyszałam.

– Zabawne, że wyznanie tego Wilmie nie jest tak bolesne jak zazwyczaj. Wzruszam ramionami. – Nic nie szkodzi. Teraz mam Jacka. Jest przyzwoitym zamiennikiem ojca. – Uśmiecham się, kiedy to mówię, zastanawiając się jednocześnie, czy on widzi we mnie kogoś więcej niż tylko krnąbrną dziewczynę, którą uratował.

Wilma wyciąga rękę i zrywa dużą mandarynkę, przy czym powraca do poprzedniego tematu:

– Kiedy Ben został kontuzjowany, myślałam, że wróci do domu, ale wtedy postanowił zostać prawnikiem. Szczerze mówiąc, byłam zaskoczona. Nie pasował na urzędnika przesiadującego w biurze, otoczonego dokumentami. Zawsze lubił pracować rękami. Zastanawiałam się, czy to uraz do ojca trzymał go z dala od tego miejsca.

– Jednak regularnie przyjeżdżał z wizytami, prawda?

– O tak. – Przytakuje żywiołowo. – Praktycznie w każdy weekend sezonu, który trwa tutaj pół roku. Codziennie też do mnie dzwoni. Ben jest synem, którego pragnęłaby każda matka. Pewnie, że jako nastolatek był niezdolny, z tym uganianiem się za dziewczynami i w ogóle, ale teraz jest lojalnym, uczciwym, szczerym młodym mężczyzną. I nie mówię tego jedynie jako matka. Taka jest prawda. Ten chłopak nie potrafi kłamać, nawet w tych chwilach, w których powinien zamknąć buźkę. Gdyby się tylko ustatkował z jakąś miłą dziewczyną, byłabym naprawdę zachwycona.

– Nie sądzę, by Benowi spieszyło się do ustatkowania. – Nigdy. Właściwie, jak to byłoby mieć Bena tylko dla siebie i nie martwić się niczym? Byłby taki sam? Zmieniłby się?

Czuję na sobie jej spojrzenie.

– Boi się, że będzie jak jego ojciec. Nie wytrzymałby ze sobą, gdyby skrzywdził kogoś tak, jak Joshua skrzywdził mnie. Sęk w tym, że Ben nie jest w stanie zranić w ten sposób kobiety. Po prostu ma zbyt wielkie serce.

Wiem, że nie powinnam pytać, ale i tak to robię:

– Dlaczego... To znaczy, jak udało ci się wytrzymać z mężem przez te wszystkie lata? – Chciałabym wiedzieć, co kierowało kobietą taką jak Wilma, która wydaje się silna i samowystarczalna, by zostać do końca z ojcem Bena.

W powietrzu zapada niezręczna cisza. Obracam się i widzę jej smutny uśmiech, a w jej niebieskich oczach zamyślenie.

– Ponieważ zakochałam się w tym człowieku. I trzymałam się wspomnienia o nim na długo po tym, jak nie został już po nim żaden ślad – mówi cicho, nadal ze smutnym uśmiechem. – Nie zawsze tak było. W liceum Joshua był przystojnym, energicznym chłopcem, z którym chciały umawiać się wszystkie dziewczęta. Pewnego dnia po lekcjach, kiedy podszedł do mnie i zapytał, czy nie pojedę z nim do kina samochodowego w weekend, pomyślałam, że umarłam i poszłam do nieba. No bo przecież byłam tylko przeciętną córką rolnika. Co mógł we mnie widzieć? Nadal pamiętam tamtą noc, zapach jego wody kolońskiej, niebieskie oczy, spokojny uśmiech, jego ramię wokół mojej talii. Można by pomyśleć, że był gwiazdą filmową, czy coś, tak dobrze się przy nim czułam. To było wręcz niedorzeczne.

– Miałam to samo z moim byłym mężem – przyznaję cicho, spodziewając się szoku i przerażenia.

Wilma z czułością klepie mnie po ręce.

– Ben wspominał mi o tym. Przykro mi. – Odsuwa się i kontynuuje: – Pobraliśmy się zaraz po szkole średniej i zamieszkaliśmy przy sadzie z moimi rodzicami. Byłam jedynaczką i wiedziałam, że odziedziczę to miejsce. Joshua już wtedy chciał robić meble. Układ idealny. Dwa miesiące później byłam już w ciąży z Joshem juniorem. Potem dzieci posypały się jak z koszyka. Ben mówił ci, że urodziłam piątkę w siedem lat?

Kiwam głową.

– Joshua miał dość dużo wigoru. – Chichocze. – Najwyraźniej jabłko Bena nie padło za daleko od drzewa... chociaż może powinnam powiedzieć pomarańcza. – Unosi owoc.

O mój Boże. Zaczynam doceniać wielki kapelusz, który pomaga mi ukryć rumieniec.

– Jak pewnie sobie wyobrażasz, z pięciorgiem biegających pod nogami dzieci i prowadzeniem interesu moich rodziców, którzy byli starzy i gotowi do przejścia na emeryturę, było tutaj mnóstwo pracy. Joshua robił meble, które następnie sprzedawał. Właściwie nigdy nie pomagał przy dzieciach, ale pewnie dlatego, że sam dorastał bez ojca. Nie wiedział, jak się z nimi bawić. – Obserwuję ją przez moment, jak rozgarnia gałęzie, szybko rzuca okiem na owoce, po czym zrywa tylko dojrzałe, jakby mogła to robić z zamkniętymi oczyma.

– Nie miałam pojęcia, że zaczął pić. Był cichym, zamyślonym mężczyzną, a ja byłam naiwna. Nie dostrzegałam znaków. Nie dorastałam w towarzystwie mocnych trunków. Jedynym alkoholem w naszym domu był szampan i to tylko od święta. – Wzdycha ciężko. – Przez długi czas obwiniałam o to siebie. Myślałam, że nie byłam dla niego ani odpowiednia, ani atrakcyjna, ponieważ moje ciało rozciągnęło się po dzieciach. A Josh pozostawał w dobrej formie, starzał się z wdziękiem. Byłam zbyt zajęta pracą i potomstwem, by nakładać makijaż i koronki. Kiedy zaczął znikać na całe noce i wracać ze szminką na kołnierzyku, byłam zdruzgotana. Ale nie chciałam tego widzieć. Płakałam, przekonywałam samą siebie, że każda kobieta się z tym zmaga i się modliłam. Dziękowałam Bogu za

życie i dzieci i prosiłam go o pomoc, by stać się lepszą żoną, aby mój mąż nie musiał pić, czy uganiać się za innymi. Byłam głupia – przyznaje miękko. – Kiedy w końcu pogodziłam się z faktem, że mój mąż jest alkoholikiem i powiedziałam mu o tym, zrobiło się jeszcze gorzej. Zaczął wrzeszczeć, bym go zostawiła w spokoju, że może przestać, kiedy tylko zechce, ale że to pomaga mu przecierpieć monotonię życia. A potem zaczął pić jeszcze więcej. Później był ten wypadek z piłą. Zakładam, że Ben ci o nim opowiedział, prawda?

Znów przytakuję, zbierając owoce, gdy Wilma kontynuuje:

– Po nim straciłam Joshuę. Mężczyzna, w którym się zakochałam, odszedł na dobre, pozostawiając mi wspomnienie, którego wciąż się trzymałam. Aż do zeszłej nocy, kiedy zobaczyłam minę mojego dziecka i uświadomiłam sobie, że zagubiłam się, wierząc, że jeśli tylko przytrzymam to wspomnienie wystarczająco długo, tamten chłopak wróci. Że wszystko warte jest ratowania.

W oddali słyszę dźwięk nadjeżdżającego buggy, znajomy warkot zmiany biegów sygnalizuje, że pojazd jest coraz bliżej. Wygląda na to, że Benowi się spieszy.

Wilma uśmiecha się smutno.

– Jeszcze to do mnie nie dotarło. Jestem w szoku, wiem o tym. Potrafię jedynie myśleć, jak miło będzie mieć tutaj dzieci, znów wszystkie pod jednym dachem. Nawet w tych okolicznościach. – Pomagam jej załadować napełnioną skrzynkę na przyczepę, kiedy znajomy czerwono-żółty pojazd pojawia się przed nami w tumanach kurzu.

Wilma mocno chwyta mnie za rękę.

– Nie interesuje mnie, co powiedział ci ten chłopiec. Zależy mu na tobie, nawet jeśli nie chce się sam przed sobą do tego przyznać. Widziałam, jak zachowuje się przy dziewczynach i przy tobie jest inny. Mówię poważnie. – Uśmiecha się, gładzi moją rękę, po czym ją puszcza. – Nie poddawaj się jeszcze.

Buggy się zatrzymuje.

– Mamuś, zniknęłaś mi z oczu. – Chwyta się relingów i wyskakuje sprawnie z pojazdu, patrząc z zaciekawieniem to na mnie, to na Wilmę. – Co tu robisz?

– Pomagam Reese, a na co to wygląda, Benjaminie? – prycha.

– W domu czeka na ciebie Lorna Parker z jedzeniem.

– O rany, dzięki Bogu, że będziemy mieć dużo gości, inaczej nie wiem, co zrobilibyśmy z tą całą żywnością, by się nie zepsuła.

– To może powinnaś przestać gotować – zauważa Ben, kręcąc głową. – Zegar w piekarniku zaczął dzwonić, więc wyjąłem klopsiki. Nie wiem, czy są gotowe, ale cholernie dobrze pachną.

– Super. Dziękuję, synku. – Klepie go w policzek, po czym wsiada do ciężarówki i natychmiast odjeżdża.

– Wydaje się, że dobrze się trzyma – zauważam.

– Jest w szoku. Jeśli masz jakiegokolwiek życzenia kulinarne: ciasteczka, ciasto, udziec jagnięcy, teraz jest czas, by o to poprosić. Ta kobieta prawdopodobnie nie przestanie gotować aż do następnego tygodnia.

– Chyba muszę tego spróbować, kiedy następnym razem będę miała do czynienia z jakąś katastrofą. – To dużo zdrowsze niż Jim Beam, a po tym, czego byłam świadkiem w weekend, zastanawiam się, czy do końca życia nie odstawić mocniejszych trunków.

Ben obchodzi przyczepę i zaczyna układać skrzynki, a jego mięśnie napinają się od wysiłku.

– Dużo zebrałaś.

– Przypomnij mi o tym, gdy jutro będę mieć zakwas – mówię cicho, obracając się w kierunku drzewa. Kto mógłby przypuszczać, że zbieranie owoców będzie takie męczące? Przy tym całym wyciąganiu rąk i pochylaniu się, wiem, że jutro będę cierpieć.

Silne dłonie lądują na moich ramionach, po czym zaczynają delikatnie masować moje bicepsy. Jęczę z zachwytu i opieram się o pierś Bena.

– O co chodzi z tym kapeluszem? – Ben zrywa mi go z głowy i rzuca na przyczepę, po czym skupia się znów na moim ciele.

– Co się czepiasz? Twoja mama nie chciała, by moja piękna skóra doznała jakiegoś uszczerbku – wyjaśniam, rozkoszując się promieniami słońca niemal tak bardzo jak bliskością Bena.

– O czym rozmawialiście? – W jego głosie słyszę wesołość, jednak jest tam coś jeszcze. Nieufność.

– O zwykłych rzeczach. – Milknę, a Ben pyta:

– Mam to z ciebie wydusić siłą?

Zamykam oczy, zastanawiając się, z czym mogłoby się to wiązać.

– Tylko o tym, że jesteś we mnie szaleńczo zakochany, choć jeszcze o tym nie wiesz.

Ben obejmuje mnie, opiera podbródek na czubku mojej głowy i prycha głośno.

– Nawet w dniu, kiedy jej mąż popełnił samobójstwo, ta kobieta próbuje mnie swatać.

Wyciągam rękę i klepię go po policzku, przypominając sobie o porannym otrzeźwieniu.

– Jak się trzymasz? Też jesteś w szoku?

Ben uwalnia mnie z objęć i podchodzi do drzewa, po czym zrywa dojrzały owoc, którego ja nie byłam w stanie dosięgnąć.

– Nie mam cholernego pojęcia, Reese. Wiem tylko, że jestem zdezorientowany. – Zaciska usta i zwiesza głowę. – Mama powiedziała mu, że w końcu ma dosyć, że chce być wolna, a on ze sobą skończył?! Zrobił z tego pieprzone przedstawienie, otworzył drzwi na oścież i usiadł w ich świetle. Jak mama miała na to zareagować?! Ma przez to ogromne wyrzuty sumienia! Dobrze to ukrywa, ale wiem, że tak jest. Kazał jej się w ten sposób odpięprzyć?! I mnie też?! – Spuszcza głowę jeszcze niżej i bierze głęboki wdech. – Przepraszam, nie chciałem krzyczeć. Tylko...

– Nie szkodzi. Krzycz, ile chcesz.

Układa ręce na głowie, po czym otwiera usta, ale się waha. W końcu wybucha:

– Cholernie się cieszę, że odszedł, Reese! Jak bardzo to popieprzone?! To znaczy... – Opuszcza ręce tak szybko, że uderza dłońmi o uda. Zaczyna chodzić. – Kiedy zobaczyłem mamę na ziemi, myślałem, że ma kolejny zawał. Biegłem do niej tak szybko, że potykałem się o własne nogi. A wtedy zobaczyłem go na tym krześle, martwego, a jedyne słowo, które pojawiło się w mojej głowie to „nareszcie”! Nareszcie, po tym wszystkim, co jej zrobił, po bólu, który zadał jej i całej rodzinie, po wszystkim, co przez niego straciliśmy, gnój nareszcie zniknął z naszego życia! – Głos nieco mu mięknie i się łamie. – Mama płakała nad jego śmiercią, a ja byłem gotów śpiewać cholerne hymny pochwalne. – Niemal dostrzegam ciężące na nim poczucie winy. – Co ze mnie za człowiek?!

– Jak każdy inny, Ben. Był gównianym mężem i ojcem. Nawet twoja mama o tym wie.

– Serio?! – Obraca się, by na mnie spojrzeć. – A jeśli dostałabyś telefon o śmierci Annabelle? Chciałabyś to uczcić imprezą?!

Dobre pytanie. Annabelle... martwa? Nigdy o tym nie myślałam. Co czułabym do kobiety, która niezdolna była czuć czegokolwiek do mnie?

– Nie wiem – przyznaję z westchnieniem.

Zapada między nami cisza, Ben opiera się o przyczepę.

W końcu ryzykuję i zadaję pytanie:

– Co było w liście?

Ben przez chwilę zaciska usta.

– Że przeprasza za... wszystko. Że żałuje, iż nie był dobrym mężem. Że chce, by mama została w sadzie i była szczęśliwa.

Czuję gulę w gardle.

– Jakim cudem ktoś może się tak stoczyć?

– Przez alkohol... depresję... strach... – Kręci głową. – Nie wiem.

Dlaczego trzeba było butelki aspiryny i śmierci, by ojciec Bena przyznał się do błędów?! Co, jeśli powiedziałyby to samo wiele lat temu? Może wtedy nie widział, co jest nie tak. Albo temu zaprzeczał. Aż było za późno.

– Przynajmniej tyle jej dał.

– Tak. Była tam też polisa na życie, którą dawno temu wykupili. Na dość sporą sumę, którą można zrealizować nawet w przypadku samobójstwa. – Uśmiecha się smutno. – Pomoże jej to wyremontować dom.

Czuję ciepło w piersi.

– To świetnie.

Ben posyła mi dziwaczne spojrzenie.

– No co?!

Nie odpowiada, tylko wyciąga do mnie rękę. Kiedy ją chwytam, przyciąga mnie do siebie. Sadza mnie na brzegu przyczepy i nie tracąc czasu, staje między moimi nogami.

– Wiem, że to gówniany dzień, ale cieszę się, że tu jesteś.

– Ja też. – Wszystko, czego chcę, to objąć jego wielkie serce i ochronić je przed jakimkolwiek dodatkowym cierpieniem. Głęboko zakorzenionym cierpieniem, które widziałam w nocy, któremu Ben musiał stawiać czoła przez lata. Zastanawiam się, czy obojętność Annabelle wobec mnie jest lepsza czy gorsza.

Spodziewam się, że Ben zdejmie mi koszulkę, ale on tylko opiera twarz na moich piersiach. Obejmuję jego głowę, opieram policzek na jego włosach i obserwuję w ciszy, jak popołudniowe słońce przesuwają się po horyzoncie.

* * *

– Powinienem być do niego zadzwonić. Nie wiem, jakim cudem mnie do tego namówiłaś – mamrocze Ben, stając wieczorem na podjeździe Jacka.

– Mówiłam ci. Już wie, że byłam z tobą i co się wydarzyło. Chciał osobiście złożyć ci kondolencje.

Ben wzdycha z rezygnacją.

– Nie zwolni cię!

– Cóż, myślę, że coś takiego byłoby dziś niestosowne. – Wsiadamy i idziemy do domu.

Mason i Jack czekają na nas w kuchni. Jack natychmiast podrywa się z miejsca, by z marsową miną uściskać po męsku dezorientowanego Bena. Mason jest tuż za nim.

– Możemy jakoś pomóc?

– Reese już pewnie wspominała, że będę potrzebował tygodnia urlopu. Moi bracia i siostra próbują zarezerwować jakieś loty, ale nie jestem pewien, kiedy uda im się dotrzeć. Nie mogę zostawić matki samej.

– Załatwione – stwierdza Jack.

Ben przęłyka ślinę.

– Dziękuję. Jestem wdzięczny. Przyjechałem tylko odwieźć Reese i zabrać z domu jakieś ubrania, i zaraz tam wracam.

Następuje niewygodna cisza, gdy trzy pary oczu patrzą na mnie – Mason z ciekawością, Jack z niechęcią, a Ben z... nie wiem, co ma oznaczać to spojrzenie, ale często tak dzisiaj na mnie patrzył.

– Mama przesyła pieczeń w ramach niewielkiego podziękowania – dodaje Ben, wręczając Masonowi skrzynkę z jedzeniem przygotowanym przez Wilnę. Wieści w ich niewielkim miasteczku szybko się rozeszły, więc do czasu naszego powrotu z sadu lodówka była wypełniona po brzegi jedzeniem przyniesionym przez przyjaciół, a do tego Wilna wciąż gotowała.

– Przekaż jej, że to nie było konieczne, chociaż, tak jak poprzednio, bardzo się przyda. – Jack uśmiecha się miękko, poklepując brzuch.

– Powinienem już iść. – Następuje kolejna dziwna pauza, w której Ben patrzy na mnie. Zastanawiam się, o czym myśli. Zapewne o tym samym co ja: jak powinniśmy się pożegnać. Ja wiem, czego chcę.

Chcę, by mnie pocałował.

Ben odchrząkuje, po czym mówi:

– Dziękuję za pomoc, Reese. Mama jest wdzięczna. Musisz być zmęczona.

Rzeczywiście jestem wyczerpana. Nie mam pojęcia, jak ona to robi dzień w dzień. Kiwam głową, obserwując, jak wychodzi i znika za drzwiami.

I wtedy to do mnie dociera. Nie zobaczę go przez cały tydzień. Co najmniej! Czy on czuje się choć trochę podobnie? A może Wilna się myliła? Czy to tylko jego zwykła przyjaźń, z odrobiną osobistej tragedii, która sieje takie emocjonalne spustoszenie? A co, jeśli nawet to czuje, ale mu się to nie podoba? Wilna przedstawiała mnie jako jego dziewczynę każdemu, włącznie z księdzem, który pojawił się, gdy pakowaliśmy samochód, by wrócić do Miami. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że Ben nie mógł się doczekać, by ode mnie uciec.

Może do czyjegoś łóżka.

Cholera. Czy zaczynam darzyć Bena Morrisa prawdziwym uczuciem?

– Zapomniałam czegoś z samochodu. – Brzmi to sztucznie i na wskroś nieprawdziwie. Przechodząc, rzucam okiem na Jacka. Patrzy na mnie. Staram się nie biec do drzwi, ale jestem pewna, że to również udaje mi się zawalić.

Ben właśnie wsiada za kierownicę, gdy drzwi wejściowe zamykają się za mną. Zamiera, przyglądając się, jak sztywno podchodzę do niego. W brzuchu czuję podniecenie i strach, bo nie wiem, co dzieje się w jego głowie. Ta „sprawa” między nami była łatwiejsza, gdy mi nie zależało. Teraz... jestem pewna, że mi zależy. Boże, nie chcę być kolejną Mercy, kolejną „przyjaciółką”, którą będzie musiał delikatnie pozbawić złudzeń.

– Ja tylko... – Urywam, gdy staję przed nim. Co u licha, mam mu powiedzieć? – Naprawdę przykro mi z powodu twojego taty. I tego wszystkiego. Nie tylko tego, co stało się dzisiaj.

Przechyla głowę na bok, gdy się do mnie przysuwa.

– Reese, czy ty się we mnie zakochałaś?

– Nie! – krzyczę zbyt pośpiesznie. Czuję, że się rumienię, gdy Ben się śmieje. – Zamknij się, ośle.

– Rany! Mój ojciec popełnił dzisiaj samobójstwo, a ty mnie wyzywasz?! – Krzywię się z powodu jego nieudolnej próby poprawienia atmosfery. – Dobra, chodź tutaj. – Obejmuje mnie ciasno

ramionami, a ja przytulam policzek do jego miękkiej koszulki. Wszystkie jego ubrania są takie miękkie i idealne do wtulania się. Oddycham głęboko, zaciągając się świeżym zapachem mydła, za którym już tęsknię.

– Przeżyjesz jakoś ten tydzień beze mnie, czy musisz dostać moją koszulę, by jakoś to przetrwać? – mówi cicho, po czym przyciska usta do moich włosów. Słyszę radość w jego głosie.

Odwracam głowę i znów oblewam się rumieńcem.

– Może tylko jedną.

Jęczy, przytulając mnie do siebie jeszcze mocniej.

– Żebyś mogła używać jej do jakiś cholernych egzorcyzmów, kiedy cię wkurzę? W życiu! Skończę z jakąś paskudną wysypką, a tego byśmy nie chcieli, prawda? Och, czekaj. To mnie nazwałaś wysypką, zgadza się?

Chichoczę przy jego piersi, gdy jakiś ruch w oknie zwraca moją uwagę. Super. Jack. Kiedy wejdem, będę musiała się tłumaczyć.

Ben również musiał go zauważyć.

– Co masz zamiar powiedzieć Jackowi?

– Nie wiem. – Odsuwam się nieco i zadzieram głowę, by spojrzeć mu w oczy. – A co powinnam powiedzieć?

Ben bierze głęboki wdech, przez co jego pierś napiera na moją. Po kolejnym spojrzeniu rzuconym w stronę okna, prowadzi mnie z dala od samochodu pod drzwi garażowe, których nie widać z domu. Patrzy na mnie, prześlizgując się wzrokiem po mojej twarzy, aż zatrzymuje się na moich ustach.

– Że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – odpowiada, po czym, w przeciwieństwie do jego słów i tego, jak mnie wcześniej całował, składa na moich wargach delikatny pocałunek, opuszką kciuka gładząc mój policzek. – Muszę już jechać. Czeka mnie długa droga, a jestem zmęczony – mówi cicho tuż przy moich ustach. Czuję, że się uśmiecha. – Nie wyspałem się za bardzo, bo gadałaś przez sen.

– Co?! – Unoszę brwi. – Nie mówię przez sen.

Z okien domu pada wystarczająco dużo światła, bym mogła zobaczyć jego dołeczki.

– Mówisz. Tylko nie miałem dziś szansy, by się z tego ponabijać.

Moja ciekawość przewycięża zakłopotanie.

– Co mówiłam?

Milknie, jakby rozważając, co ma powiedzieć, po czym wzrusza ramionami.

– Ciężko stwierdzić przy tych gazach, które puszczałaś całą noc. Coś ty jadła, bo... Rany!

– Co?! – piszczę, odsuwając się od niego i szturchając go mocno w pierś, gdy zanosi się śmiechem.

– Nie puszczam bąków przez sen! – syczę. To byłoby gorsze niż rzyganie na niego i czołganie się nago po podłodze.

– Leżałem za tobą, chyba wiem, co mówię.

– O mój Boże. – Grymas wykrzywia moją twarz, zamykam oczy. Ze wszystkich facetów, przy których mogłabym to zrobić – jeśli to prawda, bo Jared nic nigdy nie mówił – czy musiało się to wydarzyć przy Benie? On będzie mnie tym dręczył! Innym kobietom też zdarzają się tego typu rzeczy? Czy tylko mnie? Zaczynam się od niego odsuwać. – To już lepiej jedź. Długa droga przed tobą.

Silne ręce chwytają mnie i zmuszają do cofnięcia, aż trafiam plecami na bramę od garażu.

– Nie martw się. Nadal mi się podobasz. – Z irytującym uśmieszkiem pochyła głowę i obdarowuje mnie jednym z tych swoich powalających pocałunków, tych dobrze mi znanych, od których miękną mi kolana, kiedy przyciska się do mnie. W końcu otwieram oczy i widzę jego głębokie dołeczki, gdy

bierze moją rękę i całuje w knykcie.

– Dobra, poważnie muszę jechać, inaczej wezmę cię na masce samochodu Jacka. – Kładzie mi rękę na plecach i prowadzi z powrotem na podjazd, po czym wraca do samochodu. – Uda ci się w tym tygodniu nie wpaść w żadne kłopoty?

– Zależy. Jakie kłopoty masz na myśli?

Opiera ramię na otwartych drzwiach i uśmiecha się do mnie, tłumacząc ironicznym tonem:

– Takie, które obejmują tego palanta, twojego byłego męża.

Otwieram usta, by coś powiedzieć, ale słowa zamierają na nich, gdy się nad tym zastanawiam. Ma na myśli bójkę z Caroline i przemoc? A może mówi mi, że nie chce, bym zadawała się z kimś innym? Decyduję się powiedzieć:

– Zależy. A tobie uda się trzymać z dala od Ciasteczka?

Puszcza do mnie oko.

– Wiedziałem, że jesteś zazdrosna. – Wskakuje do samochodu, nie udzielając mi odpowiedzi. Obserwuję, jak odjeżdża, czując nagłą, irytującą pustkę.

Wzdycham głęboko i wracam do domu.

Jack i Mason nadal są w kuchni. Jack odkrawa spory kawałek pieczeni i układa go sobie na talerzu.

– Jadłaś?

– Tak, Wilma nie chciała nas wypuścić z pustymi żołądkami – wyjaśniam, sięgając do lodówki po mleko czekoladowe. Odkręcam je i unoszę do ust z zamiarem wypicia prosto z kartonu, gdy orientuję się, że Mason z otwartymi ustami gapi się na mnie karcącym spojrzeniem. Opadają mi ręce. Sięgam do szafki po szklankę, posyłając mu wymowne spojrzenie.

– Cóż, ta kobieta potrafi gotować – mówi Jack, otwierając mikrofalówkę, by włożyć do niej talerz.

– Nie jestem głodny, a i tak to zjem.

Głaskam go czule po brzuchu.

– Ostrożnie. Nie chcemy, byś przytył dla pani Sexton.

Usadowiony na wysokim krześle Mason zaczyna się śmiać.

– Mason... – Mikrofalówka zaczyna dzwonić. – Może pójdziesz do swojego pokoju porozmawiać ze swoją uroczą dziewczyną?

Śmiech Masona natychmiast milknie.

– Odsyłasz mnie do mojego pokoju?! Mam dwadzieścia pięć lat!

– Tak, masz rację. A mimo to zostałeś przyłapany na okłamywaniu ojca. – Jack staje naprzeciw mikrofalówki z niewielkim uśmieszkiem.

– Powodzenia, Reese – mamrocze Mason, po czym zabiera ze sobą gazetę, którą czytał, i szklankę mleka czekoladowego.

– To... – Jack niespiesznie grzebie w szufladzie ze sztucami, jakby były w niej dobre i złe widelce. To celowe. – Jak matka Bena to znosi?

– Trudno stwierdzić. Była dziś bardzo zajęta. Ben myśli, że będzie jej bardzo ciężko dopiero, jak wszystko się uspokoi.

Jack wyjmuje podgrzane jedzenie z mikrofalówki i kieruje się do stołu.

– Nie wyobrażam sobie, by strata męża w takich okolicznościach była łatwa.

– Było źle, ale mogło być jeszcze gorzej. – Wyobrażam sobie, że rzyganie po pastylkach może być łatwiejsze do przyjęcia niż strzelba czy sznur. Jeśli Wilma znalazłaby w stodole coś takiego... Żołądek mi się ściska na tę myśl. Jest taką słodką kobietą i zasługuje na szczęście.

Jest również fascynująca. Zapewne dlatego, że tak bardzo różni się od Annabelle. Dorastałam przy kobiecie, którą obchodziły jedynie władza i prestiż. Wilma jest jej całkowitym przeciwieństwem: trwała przy tym samym podłym mężczyźnie przez trzydzieści lat, trzymając się wspomnień zaledwie kilku lat szczęścia. Czy obie te kobiety dokonały właściwych wyborów?

– A jak znosi to Ben? Powinien wracać sam? – pyta Jack.

Myślę o tym, jaki był na podjeździe. Ben był... Benem.

– Myślę, że jest dobrze – mówię niepewnie, po czym dodaję: – Nigdy nie miał bliskich relacji z ojcem.

Jack kiwa głową i siada.

– A jakie relacje ma z tobą? Jak blisko jesteście? – Wkłada do ust kawałek pieczeni i żuje powoli, cały czas patrząc na mnie.

– Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – powtarzam wcześniejsze słowa Bena. To nie jest kłamstwo. Zawiązała się między nami bliska przyjaźń. Choć może nie całkiem platoniczna. Lub może w ogóle nie platoniczna, jednak póki Jack nie pyta o szczegóły, nie będę się nad tym rozwodzić. Poza tym jeśli do niczego się nie przyznam, nie postawię Jacka w niezręcznej sytuacji, w której będzie musiał zareagować służbowo.

Moja logika jest genialna.

Obserwuję Jacka, jak nad tym rozmyśla, jednocześnie przełykając i wkładając do ust kolejny kęs. Zawsze wiem, kiedy Jack się nad czymś zastanawia, ponieważ przymyka oczy i patrzy w jeden punkt. W końcu odkłada widelec.

– Myślę, że oboje was czeka świetlana przyszłość, ale nie chciałbym, by coś jej zagrażało.

– Nic się nie stanie – obiecuję, choć w duchu wiem, że nie jestem tego tak bardzo pewna. Co się stanie, gdy Ben prześpi się z inną? Będzie się z nią tarzał w łóżku? Będzie ją rozśmieszał i sprawi, że poczuje się wyjątkowa?

Na samą tę myśl zaciskam zęby.

Jack prychnie lekko, jakby potrafił czytać mi w myślach, jakby widział moje wątpliwości.

Kończę mleko i płuczę szklanekę.

– Idę spać, Jack. To był naprawdę długi dzień.

– Dobrze. Przyszła do ciebie paczka od Annabelle. Zostawiłem ją w twoim pokoju.

– Super. – Co to może być?

– Reese? – woła Jack, gdy go mijam.

Przystaję niechętnie. Mogę sobie wmawiać, co tylko chcę, ale oszukiwanie Jacka ciągle wydaje się złe.

– Tak?

– Rozumiesz, dlaczego się martwię, prawda?

– Bo jestem emocjonalnie niestabilna i mogę w przypadkowym przypiływie wściekłości odświeżyć wnętrze firmy?

Krzywy uśmiezek maluje się na jego ustach.

– Ben wydaje się przyzwoitym gościem, jednak... Nie chcę, byś skończyła jak zgorzkniała Annabelle. – Gryzę się w język, by nic nie powiedzieć, przypominając sobie podobne słowa jego syna. – Po prostu... – Jack bierze łyk czerwonego wina, którego nie dotykał, odkąd pojawiłam się w domu. – Trzymaj to z dala od firmy, Reese. Nie chcę, by ktokolwiek zadawał pytania. Inaczej wyjdzie na to, że cię faworyzuję. – Bierze kolejny łyk. – Jeszcze bardziej, niż robiłem to do tej pory.

Kiwam mu lekko głową, po czym idę schodami do swojego pokoju, gdzie znajduję leżące na łóżku wielkie, białe pudło. Rzucam plecak na podłogę i zrywam z pudełka taśmę zabezpieczającą wierzch. Pośród mnóstwa bibuły dostrzegam satynę w kolorze ametystu. Rozkładam liścik znajdujący się na wierzchu i czytam:

*Na bal charytatywny w sobotę.
Mam nadzieję, że nie przytyłaś.*

Wzdycham. To musi być naprawdę coś ważnego dla jej wizerunku, skoro zadaje sobie aż tyle trudu, by ściągnąć tam swoją córkę. Rzucam pudełko w kąt pokoju bez wyciągania sukienki.

Ponieważ nie pojedę na ten bal.

Jest dwudziesta trzecia, kiedy wślizguję się do łóżka. Nagle odzywa się mój telefon. Czuję podniecenie na widok imienia na wyświetlaczu.

O Boże, mam przerąbane.

Odbieram, pytając:

– Już się za mną stęskniłeś?

– Jak poszło z Jackiem? – pyta. W tle słyszę dźwięk silnika.

Właśnie dlatego dzwoni. Martwi się o stanowisko w pracy. Oczywiście, że tak.

– Spoko. Nie masz się czym przejmować.

– Serio? – Wątpliwość w jego głosie jest zauważalna.

– Tak, przynajmniej dopóki nie rozpowiesz wszystkim w firmie, że jesteś we mnie szaleńczo zakochany.

Wybucha śmiechem.

Przygryzam wargę, by nie zapytać, dlaczego tak go to śmieszy.

Następuje długa chwila ciszy, spodziewam się, że się pożegna i trochę się tego boję.

I wtedy słyszę, jak prosi:

– Zaśpiewaj mi coś.

– Co?

– To długa droga, a ja zasypiam. Zaśpiewaj mi coś, nim się rozbiję.

Staram się nie okazywać zbytniego entuzjazmu, kiedy mówię:

– Dobrze. – Siadam na wielkiej pufie, włączam tryb głośnomówiący, odkładam telefon, biorę gitarę i zaczynam brzdąkać w losowe struny. – Jakieś życzenia?

– Może... „Achy Breaky Heart”? Albo „Ice Ice Baby”?

Przewracam oczami.

– Nie. Sama wybiorę. – Zaczynam grać znajome nuty, a po chwili śpiewać słowa piosenki „The Freshmen” zespołu The Verve Pipe.

Dobrze się przy tym czuję. Nie gram na pokaz ani dla zemsty. Tylko dla siebie.

I Bena.

– Śpisz? – pytam, kiedy wybrzmiewa ostatnia nuta.

– Chciałabyś, skarbie. Śpiewaj kolejną. – Przy wyborze kolejnej piosenki uśmiecham się ciepło.

Kiedy Ben staje na podjeździe Wilmy, prawie dwie godziny później, mam już chrypkę i boli mnie tyłek.

– Jest późno, lepiej odpocznij – mówi.

– Czy teraz czujesz się inaczej? Będąc tam?

Następuje chwila ciszy.

– Jeszcze nie wiem. Jeszcze nie doszedłem do tego, jak mam się z tym czuć – mówi, po czym bardziej miękko dodaje: – Jak czuć się z wieloma rzeczami.

– Tak. Wiem, co masz na myśli. – Natychmiast gryzę się w język. Zbyt oczywista aluzja?

– Dobranoc, Reese.

– Dobranoc, Ben. – Kończę połączenie, nim powiem coś, czego mogę potem żałować.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

BEN

Jest inaczej, przyznaję przed sobą, leżąc w łóżku z głową opartą na zgiętej ręce i gapiąc się w sufit starego pokoju Elsie.

I nie ma to nic wspólnego ze śmiercią ojca.

Chciałbym, żeby Reese leżała obok mnie. Wmawiam sobie, że to dlatego, iż przez dwie godziny jazdy samochodem słuchałem jej seksownego głosu. Cały czas szczerzyłem się jak idiota.

A kiedy przyłapałem mamę na próbie zmiany pościeli, musiałem ją powstrzymać. Poklepała moją pierś z niewielkim uśmiechem i wyszła bez słowa, pozwalając mi zanurzyć twarz w poduszce Reese i wdychać zapach truskawek ze śmietaną.

I oto jestem tutaj, myśląc o pocałunku na pożegnanie i o tym, jak bardzo nie chciałem odjeżdżać.

Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że po piątkowej nocy, kiedy w końcu zaciągnąłem Reese do łóżka, zaspokoję tę wkurzającą potrzebę, którą odczuwam od tygodni. Jestem facetem, który lubi polować. Zawsze to lubiłem. Jednak w przypadku Reese sprawy mają się inaczej.

Właściwie jest dokładnie na odwrót.

Teraz chciałbym ją przy sobie zatrzymać. Opuszczenie jej dzisiaj i myśl, że mogłaby się przespać z tym palantem, swoim byłym, sprawia, że zgrzytam zębami. Wiem, że chodzi jej o to, by dać mu do zrozumienia, jak bardzo ją skrzywdził. Ale jeśli pomyślę o niej bzykającej się z kimś innym, czuję jak ściska mi się żołądek.

Tak, sytuacja rzeczywiście się zmieniła. Nie wiem jedynie co, u diabła, powinienem z tym zrobić.

* * *

– Jak ci się spało, kochanie? – pyta mama, siedząc na swoim fotelu na werandzie. Owinięta babcinym kocem popija herbatę.

Pochyliam się i całuję ją w czoło.

– Dobrze, jak zwykle. Wiesz o tym. Kiedy już zasnę, nie mogę się dobudzić. Wczoraj tylko droczyłem się z Reese. Nawet jeśli gdyby mówiła coś przez sen, nie miałbym o tym cholernego pojęcia.

Mama się uśmiecha.

– Zawsze miałeś twarde sen. Byłeś takim wesołym, prostym dzieckiem. – Siadam na krześle i stawiam kubek kawy na stoliku, kolejnym meblu, który zrobił ojciec. Ten dom wygląda jak muzeum Joshuy Morrisa. – Kiedy przyjedzie reszta?

– Elsie powinna być dziś po południu, Josh chyba dopiero późno w czwartek. Nie może sobie pozwolić na długi urlop w pracy. – Mój najstarszy brat pracuje jako operator dźwigu w Chicago. On przynajmniej przyznaje się do problemu z alkoholem i szuka pomocy. Rachunki za leczenie połączone z alimentami powodują, że mieszka na głównianym poddaszu w niezbyt dobrej dzielnicy i ledwo

wiąże koniec z końcem.

– Będzie pełny dom.

– Wiem. – Mama uśmiecha się smutno. – Minęło sporo czasu, odkąd można było tak powiedzieć. –

Podaje mi talerz z ciastem. – Proszę, zjedz trochę. W środku mamy dwadzieścia innych.

– Sąsiedzi nas rozpieszczają. – Z radością biorę kawałek i wkładam go sobie do ust.

– Pyszny, prawda?

Mruczę w odpowiedzi. Nigdy nie rzuciłem słodczy, choć prawdopodobnie powinienem. Gdybym kiedykolwiek przestał ćwiczyć, niedługo później dorobiłbym się takiego brzuszka, jaki ma Jack.

– Hayley je upiekła.

– Kim jest Hayley? – Okruszki wypadają mi z ust.

– Nie mów z pełną buzią – karci mnie mama. – To córka Lorny. Pomaga przy zbiorach. Wczorajsze skrzynie pojechały do pakowania. Po południu muszę je dostarczyć.

Przynajmniej to mamy z głowy. Nie mogę uwierzyć, że Reese pomagała tak długo, aż napełniła wszystkie te skrzynki. Mógłbym ją za to wycalować. Do licha, mógłbym ją wycalować za cokolwiek, chociaż dzięki mandarynkom mam dobrą wymówkę.

Następuje chwila ciszy.

– Zawsze znajdzie się miejsce dla jednego gościa więcej.

Obdarowuję mamę zmieszonym spojrzeniem.

– Dla Reese, synku – wyjaśnia z westchnieniem. – Dlaczego nie poprosiłeś, by z nami została?

– Po pierwsze dlatego, że pracuje. Poza tym, czy chciałaby tu spędzać cały tydzień, kiedy przygotowujemy się do pogrzebu?

Bierze łyżeczek herbaty.

– Coś mi mówi, że chciałaby.

Oczywiście. Co zmusza mnie do tego, czego nie miałem okazji powiedzieć wcześniej.

– Mamuś, musisz przestać nazywać Reese moją dziewczyną.

– Och, pewnie mi się wymknęło przez przypadek. – Strąca z siebie okruszki, unikając kontaktu wzrokowego.

– Zaledwie raz czy dwa – przedrzeźniam ją lekko, odchylając się na krześle i wyciągając nogi. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Nie chciałbym, by sprawy się skomplikowały przez nadawanie im etykietek.

– Myślisz, że etykietka jest w stanie zmienić to, co się dzieje? – Przyłapuję ją na uśmiechu, jakby znała jakąś tajemnicę, jednak ukrywa go wraz z kolejnym łykiem herbaty. O czym, u licha, one wczoraj rozmawiały? To było chytre posunięcie ze strony mamy. W jednej chwili była w kuchni, by w drugiej wskoczyć do ciężarówki i odjechać, kiedy nie patrzyłem.

– A jak było, kiedy ją odwiozłeś? Twój szef coś wam mówił?

– Złożył mi kondolencje i stwierdził, że rodzina jest najważniejsza.

– Hmm... Brzmi, jakby był dobrym człowiekiem – mówi cicho.

– Bo tak jest. – Zaczynam mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co robię z jego pasierbicą, zwłaszcza po naszej rozmowie. Musiał się już połapać.

– Ustaliłam, że pogrzeb odbędzie się w piątek. Pastor Phillips zgodził się go poprowadzić. Nie chciałam robić kłopotu z wystawieniem zwłok. Nie spodziewam się, żeby przyszło wielu ludzi... – Urywa i patrzy gdzieś w dal.

– Nie do niego. – Kiedy widzę, jak się wzdryga na moje słowa, żałuję, że je wypowiedziałem.

Naprawdę uważałem, by nie wyrażać się w ten sposób i nie ujawnić swoich uczuć. Jedyne przez to cierpiałaby.

Biorę ją za rękę.

– Zadzwoń dzisiaj do ubezpieczalni i załatwię sprawę, dobrze?

Powoli przytakuje.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak kosztowny jest pogrzeb.

– Nie martw się, mamuś. Mam pieniądze, by pokryć wszystko, na co nie wystarczy z ubezpieczenia.

– Och, nie mogę...

– Nie martw się o to. Poradzę sobie.

Patrzy na mnie.

– Dlaczego mam to szczęście, że posiadam takiego syna?

Podnoszę się i ponownie ją całuję.

– Ponieważ takiego mnie wychowałeś. No i dlatego, że zarobiłem kupę kasy, ochraniając rozebrane dziewczyny w *Penny*.

– Och, Ben. – Kręci głową, ale też się śmieje.

– Będę w sędzie. Dzwoń na komórkę, gdybyś czegoś potrzebowała.

Idę do kuchni, a mama woła za mną:

– Chciałabym, by Reese przyjechała na pogrzeb. Myślisz, że przyjedzie?

Kręcę głową z rezygnacją, wiedząc, do czego dąży ta kobieta.

– Nie jestem pewien, mamuś. Zapytam.

* * *

Ciężarówka, wydająca znajomy warkot i pisk przy hamowaniu, zatrzymuje się za traktorem. Zakładając, że to mama, nawet się nie obracam.

– Ben? – Słyszę nieznajomy kobiecy głos.

Odwracam się i widzę dwudziestoparoletnią dziewczynę z bardzo jasnymi włosami i długimi na kilometr nogami, wysiadającą z samochodu. Zatrząskuje ciężkie drzwi i podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką.

– Jestem Hayley Parker. Przyjechałam, by pomóc przy zbiorach.

Przelotnie ściskam jej dłoń.

– A, tak. Mama mówiła, że przyjedziesz. Dzięki.

Stojąc obok mnie, wsuwa ręce w tylne kieszenie spodenek i patrzy niebieskimi oczami na drzewka przed sobą.

– Pracowałam na farmie cytrusów, więc mam doświadczenie.

– Super. Więc nie będę musiał robić z siebie głupka i cię szkolić. – Jest ładna, nie mam co do tego wątpliwości. Wygląda na typową Amerykankę. Miałem takich mnóstwo.

Jej uśmiech blednie, a usta wyginają się w podkówkę, gdy opiera dłoń na moim bicepsie i mówi:

– Tak mi przykro z powodu twojego taty.

Kiwam głową i obracam się, by zerwać kilka wiszących wysoko mandarynek.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – pyta, sprawdzając i zrywając kilka owoców z dolnych gałęzi.

Zamieram. Cholera... To brzmi, jakby było ustawione. Dziewczyna nie wygląda znajomo, a zazwyczaj nie zapominam twarzy kobiet, z którymi flirtuję. Ryzykuję rzut oka, by na nią spojrzeć. Jak, u licha, przegapiłem takie fajne cycuszki wypychające różową koszulkę? Zapewne przez te jej nogi.

– Kończyłeś szkołę średnią, gdy ją dopiero zaczynałam – wyjaśnia w końcu.

– Czy my... Czy myśmy się znali? – To mój sposób na pytanie, czy ją przeleciałem, bo byłbym tym zaskoczony. Kiedy miałem siedemnaście lat, nie kręciły mnie czternastki.

– Nie. To znaczy... wiedziałam, kim jesteś – mówi cicho i się rumieni, palcami bawi się mandarynką, zanim ostrożnie odkłada ją do skrzynki. – Byłam na każdym twoim meczu. Wtedy się w tobie podkochiwałam.

No i proszę.

Próbuję stłumić śmiech. Nie jest jedyna. Nie staram się być w tym temacie dupkiem, ale kiedy człowiek niezliczoną ilość razy otwiera szafkę i za każdym razem znajduje w niej liściki miłosne, zdecydowanie nie może zaprzeczyć, że ma powodzenie.

– Nigdy nie przyszedł się przywitać? – drocę się z nią.

Chichocząc, przechodzi obok mnie, ocierając się lekko ramieniem.

– Nie żartuj! Wtedy byłam chudą szczapą.

Ale już nie jesteś. Czy właśnie na to liczy, przychodząc tutaj w tych krótkich spodenkach? Punkt dla niej.

– Mógłbyś mi pomóc, bo nie mogę dosięgnąć? – pyta nieśmiało, stojąc pod gałęzią. Wyciąga się na tyle, że unosi się jej koszulka, ukazując przekłuty pępek.

Natychmiast myślę o Reese, która nie ma kolczyka w pępku. Dlaczego akurat tam nie ma? Wydaje się, że kobiety właśnie od tego zaczynają, po czym dopiero później przechodzą do wrażliwych części ciała.

– Ben?

– Tak, przepraszam. – Odrywając spojrzenie od kolczyka, kręcę lekko głową, przysuwam się i ciągnę gałąź w dół. W jej zasięgu jest wiele dojrzałych owoców, więc cała ta szopka jest zupełnie niepotrzebna. Stoi teraz bardzo blisko mnie, z twarzą zwróconą w moją stronę, a niewielki uśmiezek maluje jej się na ustach, kiedy patrzy na mnie, zamiast skupić się na zadaniu.

Jeśli ta dziewczyna mnie zna, dokładnie wie, jaki jestem. Nigdy nie starałem się tego ukrywać. Mam silne przecucie, że gdybym chciał ją teraz zaliczyć, rozebrałaby się błyskawicznie.

Jest tylko jeden problem.

To nie Reese.

Kurwa... Co się ze mną dzieje?!

Serio?! Mam zamiar odrzucić tę sposobność?

Tak.

Tak, zamierzam.

– Słuchaj, muszę już jechać, zająć się pewnymi sprawami. – Na jej twarzy maluje się rozczarowanie. Najwyraźniej uświadamia sobie, że osiem lat ostrzenia sobie na mnie pazurków nie zakończy się dzisiaj w tym sadzie wielkim zwycięstwem. Na wypadek, gdyby zdecydowała się na mnie rzucić, co już mi się zdarzało, puszczam gałąź i odsuwam się o kilka kroków. – Mama niedługo będzie potrzebowała ciężarówki. – Nie czekam na odpowiedź, wskakuję do samochodu i odjeżdżam.

* * *

– Wiedziałaś, że córka Lorny podkochuje się we mnie, odkąd skończyła czternaście lat? – pytam mamy, gdy wysiadam przed domem. – Widać to gołym okiem.

– Hayley udało się ciebie znaleźć? – Patrzy na sadzonki, które podlewa.

– Tak, mamuś, znalazła mnie.

– Ładna jest, prawda?

– Tak, chyba. – Kręcę głową. – O co ci chodzi? W jednej chwili swatasz mnie z Reese, a w następnej zastawiasz na mnie blond-pułapkę! – Uśmiech powoli rozciąga usta mamy, aż staje się naprawdę szeroki. Nie wiem, czy ostatnio widziałem ją tak szczęśliwą.

– Ale nie dałeś się złapać, prawda?

– Mamuś, co u diabła?! Naprawdę chciałaś, żebym na nią poleciał?

Zakręca wodę, a jej uśmiech zmienia się w rozdrażnione spojrzenie.

– Chciałam, żebyś sam się przekonał, jak bardzo Reese cię zmieniła, synku. Gdybyś nie poznał Reese, co teraz działoby się w sadzie?

Już miałbym tę dziewczynę na przyczepie, właśnie to wydarzyłoby się. Unoszę brwi, widząc wyczekujące spojrzenie mamy. Chce szczegółów czy co?

– Och, Benjaminie. – Macha lekceważąco ręką. – Wychowałam czterech chłopców i przez lata miałam do czynienia z twoim ojcem. Nie jestem idiotką. Panie w aptece zawsze dorzucały mi do wózka prezerwatywy dla moich aktywnych synów.

Uśmiecham się, przypominając sobie, jak pierwszy raz znaleźliśmy po paczuszce kondomów w szafkach nocnych. Dość szybko zorientowaliśmy się, kto je podrzuca, ostatecznie naszego starego gówna to obchodziło. Mama dostała ksywkę „Trojanowa Wróżka”. Mówiliśmy tak oczywiście za jej plecami. Mieliśmy niepisaną umowę – mama nic o tym nie wspominała, więc i my siedzieliśmy cicho. Od tamtej pory zostawialiśmy na szafce kartki, kiedy gumki się kończyły, a kilka dni później w magiczny sposób pojawiała się nowe opakowanie z notką, że nie pochwała takiego zachowania, ale woli byśmy byli bezpieczni.

Ciężko wzdycham i zwieszam głowę, bo uświadamiam sobie, że mama ma rację. Reese coś mi zrobiła.

– Nie mam zamiaru tam wracać, więc albo ją uratujesz i pojedziesz po nią, albo wróci traktorem. Chociaż wątpię, czy poradzi sobie z drążkiem.

Przynajmniej nie z takim.

* * *

– Jakim cudem jesteś jeszcze większy? – pyta Elsie ze śmiechem, kiedy bez wysiłku przerzucam sobie jej drobną sylwetkę przez ramię.

– Nie jestem. Po prostu zaczynasz się kurczyć na starość – drocę się, chwytając wolną ręką jej torbę i niosąc siostrę niczym worek ziemniaków na ganek.

Zaczyna uderzać mnie w plecy.

– Dobra, serio, Ben. Postaw mnie.

– Bo?

Przez chwilę milczy, szukając na mnie jakiegoś haka. W tej kwestii jest bardzo do mnie podobna.

– Bo powiem twojej dziewczynie, że udawałeś Patricka Swayze z *Wirującego Seksu* i zapamiętywałaś wszystkie jego taneczne ruchy.

– Reese ma na mnie dużo gorsze rzeczy. – Stawiam walizkę i zdejmuję siostrę z ramienia, by przyjrzeć się jej słodkiej twarzy. Wygląda jak młodsza wersja mamy, z wyjątkiem długich, kręconych, kasztanowych włosów. – I nie jest moją dziewczyną, Elsie.

– Mama mówiła coś innego. – Śmieje się ze mnie, gdy przewracam oczami i kręcę głową. Najwyraźniej jestem jedynym, który nazywa ją „mamuś”. Reese ma rację. Jestem rozpieszczonym najmłodszym dzieckiem.

Uśmiech Elsie znika, gdy siostra zerka w kierunku stodoły.

– To dziwne znów tutaj być, Ben. Minęło tyle czasu. Wszystko wygląda tak samo, ale takie nie jest, prawda? – Studiowała, gdy wydarzył się wypadek ojca. Wiele razy rozmawialiśmy przez telefon, ale nigdy tutaj nie wróciła. Z nas wszystkich siostra nie była tutaj najdłużej. Pięć lat temu, po mojej kontuzji kolana, przyleciała do Miami, by się ze mną zobaczyć, ale byłem wtedy na silnych lekach i wkurzony na zmarnowaną przyszłość. Odwiedziłem ją trzy lata temu, ale od tego czasu się nie widzieliśmy.

– Jak mama sobie radzi? – Wiem, że są blisko, mimo tego, że Elsie odmawiała odwiedzin. Jednak to szaleństwo nie widzieć matki przez tyle lat.

Nim mam szansę odpowiedzieć, frontowe drzwi się otwierają. Obracamy się i widzimy wychodzącą mamę, wycierającą ręce w fartuszek. Cały dzień była w kuchni. Cokolwiek przygotowuje, używa do tego sporych ilości mąki, ponieważ jest od niej całkiem biała, łącznie z policzkami i podbródkiem.

To nie zniechęca Elsie do natychmiastowego rzucenia się na nią. Biegnie niczym mała dziewczynka i wpada w otwarte ramiona swojej mamusi, a dźwięk ich okrzyków wypełnia ganek.

* * *

CO U WARNERA?

Leżę w łóżku, przyglądając się ekranowi komórki. Spodziewałem się, że Reese będzie spała, jednak tak nie jest. Od „eksperymentu” mamy z Hayley kilkanaście razy wyciągałem z kieszeni telefon, by sprawdzić, co słyhać u Reese pod pretekstem... tak właściwie żadnym. Żeby się przywitać, żeby ją rozśmieszyć, żeby ona rozśmieszyła mnie. Jednak nigdy nie wiedziałem, co powiedzieć. Zazwyczaj nie wiem, kiedy się zamknąć.

Przychodzi raport dostarczenia i kurczy mi się żołądek. *Cholera... Zachowuję się jak jakaś pensjonarka.*

Kilka sekund później dostaję odpowiedź:

RANO SZUKAŁA CIĘ KAUYPERDA. POCHOWAŁAM JEJ CIAŁO POD TWOIM BIURKIEM. KIEDY WRÓCISZ, BĘDZIESZ MUSIAŁ POSPRZĄTAĆ.

Prycham głośno.

ZWAŁ TO NA MASONA. ON JEST LEPSZY W SPRZĄTANIU. CO U CIEBIE SŁYCHAĆ? NA MNIE LASKI DOSŁOWNIE SIĘ RZUCAJĄ. LEPIEJ SZYBKO TU PRZYJEDŹ.

Czekam i czekam, aż przychodzi potwierdzenie, nie dostaję jednak odpowiedzi. Spodziewam się jakiejś uszczypliwej uwagi, nazwania mnie świnia czy czegoś takiego. Jednak im dłużej czekam, tym bardziej zaczynam myśleć, że może nie powinienem był tak napisać. Chciałem, żeby rzuciła wszystko w diabły i przyjechała do mnie dzisiaj, ale teraz pewnie myśli, że zabawiam się tu z jakimiś dziewczynami.

Czy ją to w ogóle obchodzi?

Waham się zaledwie sekundę, po czym piszę:

POGRZEB JEST W PIĄTEK. MAMA CHCE, BYŚ PRZYJECHAŁA.

I czekam. Dostaję potwierdzenie.

Jednak nadal żadnej odpowiedzi.

– Kurwa!

Najwyraźniej klnę trochę za głośno, bo chwilę później do drzwi rozlega się pukanie.

– Nie robisz nic ohydneho w moim dawnym pokoju, prawda? – pyta Elsie.

– Chciałbym! – rzucam.

– Jesteś ubrany? Mogę wejść?

– Tak. – Sprawdzam, czy kołdra wszystko zakrywa, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi moja siostra.

– Co się stało? – Elsie zawsze była zadowolona, że ma dwóch starszych i dwóch młodszych braci. Josh i Rob dawali wycisk chłopakom w szkole za samo patrzenie na ich „uroczą siostrzyczkę”, ale ona robiła to samo dla Jake’a i dla mnie, grając naszą opiekunkę. Najśmieszniejsze było jednak to, że ostatecznie cała nasza czwórka chroniła ją, odganiając od niej dupków.

– A nic. Jestem idiotą.

Siada na łóżku i opada na poduszkę.

– Do kogo piszesz?

– Do Reese.

– Ach, tak. Koleżanka, którą przywiozłeś do mamy na weekend i która spędziła z tobą noc w tym samym łóżku.

Wzruszam ramionami.

– To o mnie tutaj rozmawiamy, pamiętasz?

Przewraca oczami.

– Jakżebym mogła zapomnieć? Wszystkie moje znajome z ostatniej klasy błagały, bym umawiała je z moim głupekowatym, młodszym braciszkiem.

– Dla nich jakoś nie byłem głupekowaty, co? A przy okazji, co tam u Shelley Armstrong? Nadal masz z nią kontakt? – Shelley była seksowną przyjaciółką siostry ze szkoły średniej.

Następuje chwila ciszy, po czym pada pytanie:

– To nie była plotka?

Uśmiecham się szeroko.

– Na imprezie po meczu. Wśród chłopaków dość szybko dorobiłem się statusu legendy.

– Okłamała mnie! – Elsie szturcha mnie w ramię. – Masz szczęście, że cię tak bardzo kocham, świni.

– Zabawne. Reese też mnie tak nazywa. Pewnie byście się zaprzyjaźniły.

Czuję na sobie jej wzrok.

– To z jej powodu spławiłeś dzisiaj Miss Florydy?

– Co?! – Unoszę brwi.

– Hayley Parker. W zeszłym roku została królową piękności całego stanu.

– Serio?! Ha. – Wyobrażając sobie jej nogi, mówię cicho: – Nic dziwnego. Chociaż dzisiaj z pewnością nie próbowała zaprowadzić pokoju na świecie, przynajmniej tego jestem pewny.

Elsie prychna.

– Nie mogłam uwierzyć, kiedy mama opowiadała, że wróciłeś do domu pięć minut po tym, jak wysłała do ciebie tę dziewczynę. W jej oczach był to ostateczny dowód na to, że jej mały Benjamin się zakochał – droczy się.

– To nic nie znaczyło – zaprzeczam, choć najwyraźniej wszyscy pod tym dachem wiedzą, że kłamię.

– Do diabła, wczoraj straciłem ojca. Nie jestem w nastroju.

Wybucham śmiechem brzmiącym podobnie do mojego.

– Weź nie pieprz! Pamiętasz, kiedy zdechł Cheechee?

– Oczywiście, że tak! Rany, kochałem tego psa. Był najlepszy. – Nadal pamiętam ucisk w sercu, gdy

wybiegając zza zakrętu drogi pod koniec dziesięciokilometrowego treningu, znalazłem jego pogruchtane ciało leżące na poboczu. Został potrącony przez samochód.

– Dokładnie. Niosłeś psa przez cały podjazd, wypłakując sobie oczy.

– Wszyscy płakaliśmy. Nawet Josh! – Najstarszy z braci nigdy nie był dobry w okazywaniu emocji.

– Ale na pewno nie płakałeś, kiedy tego samego dnia, na wieczornej imprezie, znalazłam cię na tylnej kanapie samochodu jakiejś dziewczyny z jej głową między twoimi kolanami.

Parskam śmiechem.

– No tak. Ale ona mnie pocieszała. Powinnaś była widzieć swój wyraz twarzy. – Przez to, że byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, chodziliśmy na te same imprezy i mieliśmy wszyscy tych samych znajomych.

Elsie przewraca oczami.

– Zatem nie wmawiaj mi, że miałeś problem z przeleceniem królowej piękności, kiedy umarł człowiek, którego nienawidziłeś.

Ponure przypomnienie powodu jej obecności tutaj tłumi nasz śmiech.

– A co zrobiłaby mama, gdybym uległ pokusie?

Elsie zaczyna chichotać.

– Mówiła, że gdybyś nie przyjechał w ciągu pół godziny, miała w planie pojechać buggy i sprowadzić twój tyłek do domu.

Wizja mojej pięćdziesięciojednoletniej matki w tym pojeździe sprawia, że znów zaczynam rechotać.

Przysuwając się odrobinę, Elsie pyta cicho:

– Opowiesz mi o niej? Jaka jest?

Wzdycham.

– Nie wiem... – Uśmiecham się. – Jest zabawna. Cały czas mnie rozśmiesza, nawet w pracy, kiedy czasami mam ochotę pociąć się tonami papierzysk, pod którymi grzęznę. Jest bystra. Inteligentniejsza ode mnie. Powiedziałem jej, że powinna studiować prawo. Miałyby same piątki, gdyby tak bardzo nie wkurzała profesorów. Jest też naprawdę utalentowana. Rany, powinnaś, posłuchać jak śpiewa. Ma tak niesamowity, głęboki, ochryply głos, że...

– Nie wierzę – wcina się Elsie, patrząc na mnie intensywnie błyszczącymi oczyma. – To prawda! Mój mały braciszek w końcu się zakochał.

O Chryste. Zamykam oczy.

– Teraz i ty?

Opiera głowę o moją.

– Cóż, nie powiedziałaś, że jest seksowna.

– Bo jest, ale chciałem ci tego oszczędzić. Chcesz posłuchać o tym, jak bardzo jest seksowna? Dobra! Ma jędrny, okrągły tyłeczek, który chciałbym...

– Faj, Ben! – Elsie szturcha mnie w biceps swoją kościstą piąstką. Nie boli, ale urywam, szczerząc się do niej, aż wybucha śmiechem, zwijając się przy mnie. Znów przez chwilę milczymy.

– Zerwaliśmy z Darrinem. Mama ci mówiła?

Słyszę smutek w jej głosie.

– Nie. Ale podsłuchałem, jak mówiła coś na ten temat tacie... Dobrze się czujesz?

Wzrusza ramionami.

– Tak. Nie. Nie wiem. Kochałam go tak bardzo, Ben. I przez większość czasu byliśmy szczęśliwi,

a kiedy nie byliśmy, była to moja wina. Nie potrafiłam mu zaufać. Nie miałam powodu, by to robić, a mimo wszystko tak właśnie było, bo ciągle sprawdzałam jego e-maile i komórkę, naskakując na niego za każdym razem, gdy wrócił później do domu.

– Oczywiście, że nie mogłaś mu zaufać. Biorąc pod uwagę to, co widziałaś, dorastając.

– Ale tak było z mamą i tatą. Nie wszyscy tak mają.

– Dzieciak, który ma to na co dzień, może pomyśleć, że tak jest zawsze.

– Najwyraźniej. – Wzdycha. – Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumie, dlaczego mama wiele lat temu nie wyrzuciła go z domu. Wszyscy mielibyśmy się lepiej. To znaczy, spójrz na Josha. Jest kropka w kropkę podobny do ojca. Wiesz, że spotykał się z inną przez dwa miesiące, zanim Karen się dowiedziała? Dzięki Bogu, że go zostawiła. Zasłużył sobie.

– Przynajmniej stara się znaleźć pomoc w rozwiązaniu swojego problemu alkoholowego – stwierdzam.

Elsie powoli siada na łóżku.

– Reszta wcale nie ma się lepiej. Rita jest w ciąży, więc chciałaby, by Jake się oświadczył, ale on nie chce. A ja jestem dziwadłem. – Wskazując na mnie, dodaje: – No i ty.

– Co ja? Hej, nikogo nie okłamywałem, ani nie zdradzałem. Nie składałem żadnych obietnic.

– Tak. – Patrzy na mnie, a światło księżycy ujawnia smutek na jej twarzy. – Ominą cię wszystkie wspaniałe rzeczy łączące się ze zobowiązaniami. Pomyśl, jak miło byłoby mieć osobę, której można całkowicie zaufać – przyznaje rzeczowo. – Reese była tu w niedzielę. Widziała to wszystko. Jest tego częścią, czy ci się to podoba, czy też nie. Powinieneś ją poprosić, by przyjechała w piątek.

Pokazuję jej telefon.

– Poprosiłem. Nie dostałem odpowiedzi, chociaż wiem, że wiadomość dostarczono. Może nie chce tu być. Nie winiłbym jej. To pogrzeb, Elsie. Nie będzie to pogodna imprezka.

– A co jej napisałeś? – Elsie marszczy brwi, a ja podaję jej telefon. Czyta moje wiadomości, po czym trzepie mnie w ucho. – Jesteś kretynem. – RzUCA mi telefonem w pierś, wstaje i podchodzi do drzwi. Kręci głową i mówi: – Napisz jej, że ledwie zauważasz inne i poinformuj, iż pragniesz jej przyjazdu. Dobranoc. – Cicho zamyka za sobą drzwi.

Gapię się w telefon, zastanawiając się, czy Reese już śpi. Słuchając rady starszej siostry szybko wystukuję wiadomość:

Z NIKIM TU NIE ŚWIRUJĘ I TO JA CHCĘ, BYŚ PRZYJECHAŁA NA POGRZEB. PROSZĘ.

I czekam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

REESE

Gapię się na wyświetlacz telefonu, gdy mój umysł próbuje pojąć to, co serce pojęło już dawno. Moje uczucia do Bena są prawdziwe.

Na tyle prawdziwe, że ścisnęło mnie w dołku, gdy przeczytałam ten jego koszmarny żart o rzucających się na niego kobietach i rozczarowało, gdy napisał, że to jego mama chce mnie widzieć na pogrzebie. Po czym, po ostatniej wiadomości, całkowicie się rozplynęłam.

Przyjaciele chodzą na pogrzeby rodziców swoich kumpli. To normalne. Wierzę, że Ben będzie miał tam wiele wspierających go osób. Właśnie dlatego poprosił, bym przyjechała. To pieprzony pogrzeb! Pogrzeb jego ojca.

Wiem też, że bardzo bym chciała, by znaczyło to coś więcej.

DOBRA. PRZYJADĘ.

* * *

Patrzę.

Z brodą opartą na dłoni wpatruję się w przeszklony boks w pustym, ciemnym biurze, wyobrażając sobie, jak wysoki facet z uroczymi dołeczkami wchodzi do mojego gabinetu z tym swoim wielkim uśmiechem i puszcza do mnie oko.

Następnie wyobrażam sobie, jak wskakuję na motocykl i jadę się z nim zobaczyć. By sprawdzić, jak się miewa. By upewnić się, że nie pociesza go żeńska połowa miasteczka.

– O Boże – jęczę. – Głupia, głupia, głupia. – Czuję chłodne drewno na czole, gdy słabo uderzam nim o blat biurka. Jack miał rację. Proszę bardzo, przywlekłam to do pracy. A co jeśli nic to dla niego nie znaczy? Co wtedy? Co się stanie, gdy tu wróci? Co się stanie, kiedy wpadnie tu kolejna striptizerka? Albo gdy zobaczę, jak flirtuje z inną kobietą? Czuję, że mam wiele do stracenia.

Ben znalazł sposób, by wgryźć się w moje serce. Zaczynam współczuć Mercy oraz innym dziewczynom, które poszły jej śladem. Najbardziej przerażające jest to, że on to robi nieświadomie – będąc sobą, zabawnym, miłym facetem, który wysyła SMS-y, by się przywitać i dzwoni, by poprosić o piosenkę, bo tego chce. Nie ukrywa tego, kim jest. Nie kłamie i niczego nie obiecuje. Nie gra w głupie gierki. Te dziewczyny nieświadomie wpadają w tę przypadkową pułapkę. Stojąc na krawędzi, tak jak ja, świadomie decydują się zanurkować – bo w końcu każda da się złapać na urok Bena.

A teraz nie mogę oddychać z powodu potencjalnych konsekwencji. Muszę stąd uciec.

* * *

– Mam dla pani ekstra duży kawałek! – Sądząc po uśmiechu kelnerki, można by pomyśleć, że obsługuje gwiazdę filmową.

– Dzięki. – Wzdycham i skubię kawałek ciasta widelcem, po czym wkładam sobie do ust,

pozwalając mu nasycić moje kubki smakowe.

Ben miał rację. Czasami zmiana jest korzystna.

– I? – Słyszę głos tak nagle, tak niespodziewanie i tak blisko mnie, że aż podskakuję. – Co pani myśli? Prawda, że to najlepsze ciasto limonkowe, jakie pani jadła? – Dobry Boże, ona przygląda się, jak jem. Niemiłosiernie mnie to wkurza.

Może właśnie dlatego decyduję się być podła i mówię:

– Jadłam lepsze. – To prawda. Jadłam. W uroczym sadzie cytrusowym, jakieś dwie godziny jazdy samochodem na północ, otoczona śmiechem, miłością i przyjaźnią. Jednak, gdy kelnerka odwraca się i odchodzi ze zmarszczonymi brwiami, natychmiast czuję się winna.

– Reese?

Żołądek kurczy mi się na dźwięk tego głosu. Obracam się i widzę wpatrzone we mnie znajome zielone oczy.

– Jared? – Nie potrzebuję go tu teraz.

Żywo gestykuluje rękami i wyjaśnia:

– Byłem u ciebie w firmie, liczyłem, że cię złapię, nim wyjdiesz. Jakaś babka z dużym pieprzykiem powiedziała, że pewnie tutaj cię znajdę.

Pani Cooke. Mówiłam jej, że wychodzę na przerwę. Właściwie planowałam pracować do późnej nocy, by wykonać jutrzejsze zadania przed wyjazdem na pogrzeb. A niewiele zrobiłam, ponieważ zamiast pracować fantazjowałam jak jakaś kretynka.

Prostuję się i świadomie wyglądzam bluzkę, kiedy Jared siada przy moim stoliku.

– Nie pamiętam, byś lubiła limonki – mówi cicho, kręcąc głową i lekko marszcząc czoło.

– A ja nie pamiętam, byś się ubierał jak plastikowy manekin. – Serio, co on ma na sobie? Ciemnozieloną sportową kurtkę i coś, co chyba ma być „spodniami”. To znaczy wygląda dobrze, jednak nigdy nie był metroseksualny i preferował luźny, niedbały styl.

– Nie mogłem wejść do kancelarii prawnej, wyglądając jak spawacz, prawda? – Milknie i rozgląda się. – A gdzie twój chłopak-prawnik?

To o to chodzi w tych przebierankach? Czuję się gorszy od Bena? Zagryzam zęby, by się nie roześmiać. A wtedy przypominam sobie, że Ben nie jest mój i prawdopodobnie nigdy nie będzie, i uśmiech znika samoistnie.

– U matki. W poprzedni weekend zmarł jego ojciec.

– O. – Ściąga brwi. Zauważam, że nie mówi, iż mu przykro. Choć wypadałoby tak powiedzieć. Ale zawsze to ja miałam lepsze maniery niż Jared.

Patrzy na mnie z nieczytelnym wyrazem twarzy.

– W zeszły weekend nauczyłem się wszystkiego o ustawieniach prywatności na Facebooku.

Czuję, że się rumienię, więc przenoszę wzrok na rosnącą nieopodal palmę. Od przeszło tygodnia nie odważyłam się zajrzeć na jego profil, wybierając ignorancję od świadomości o wydanym zakazie zbliżania się do niego.

Mija bardzo długa chwila niewygodnej ciszy, aż w końcu orientuję się, że Jared czeka na odpowiedź. Odchrząkuję więc i mówię:

– Ostrzegałam cię, prawda? Nigdy nie trać czujności przy szaleńcach.

Pochyla głowę.

– Powinienem być na ciebie cholernie wkurzony, Reese. – Zerkając na mnie spod rzęs, wyznaje: – Jednak nie jestem. Zasłużyłem sobie. Zasłużyłem na zniszczone mieszkanie, zasłużyłem na patrzyenie,

jak ten dupek zasysał ci twarz.

Rozpala mnie irytacja i przytłaczająca potrzeba ochrony Bena.

– Ben nic ci nie zrobił. – Wymowne spojrzenie Jareda sprawia, że się poprawiam: – Dobra, niech będzie. Ale na jego obronę mogę powiedzieć, że nie wiedział, kim jesteś.

Jared się uśmiecha.

– W porządku. Gdybym razem z tobą znalazł parę w takiej sytuacji, zapewne zrobilibyśmy dokładnie to samo. Może z mniejszą ilością pasji, ale... – urywa.

– Co powiedziała na to Caroline? – Ośmielam się zapytać.

– Nie powiedziałem jej. – Opiera ręce na stoliku, zaledwie kilka centymetrów od moich. Coś mi podpowiada, że to świadome posunięcie z jego strony.

– Wie, że jesteś tutaj teraz?

– Nie jestem jej własnością, Reese. – Wzdycha ciężko. – Nie odzywamy się do siebie od kilku dni. Mieszka teraz u koleżanki. Ja tylko... – Marszczy brwi, gdy bierze mnie za rękę. – Kiedy tu na ciebie wpadłem, wiedziałem, że popełniłem cholernie wielki błąd. Nie powinienem był cię zostawiać. Chcę cię odzyskać.

– Aha. – Tylko tyle udaje mi się wydusić, kiedy odchylam się na krześle. Nie potrafię wypowiedzieć nic więcej, ponieważ jest mi coraz bardziej niedobrze. Nie spodziewałam się tego. „Odzyskać”?! – Do czego miałabym wrócić?! – zastanawiam się na głos i natychmiast gryzę się w język.

Jared garbi się, jakby nagle przygniótł go spory ciężar.

– Proszę, daj mi drugą szansę. Wiem, że chcesz.

– Skąd taki wniosek?! – Nagle sama nie jestem tego taka pewna.

– No daj spokój. – Powolny, uwodzicielski uśmiech maluje się na jego ustach, kiedy splata swoje długie palce z moimi. Wie, że ten uśmiech potrafi stopić mój opór. Mówiłam mu o tym już z tysiąc razy. – Podglądanie mnie na Facebooku, polowanie na paintballu. Sposób, w jaki weszłaś wtedy do baru w czerwonej sukience, przerzucając włosy, jakbyś miała świat za nic, występ na scenie. Wiesz, jak przyciągnąć moją uwagę. Co ci się zresztą udało. Teraz daję ci to, czego chcesz. – Przyciąga moją dłoń do ust i całuje. Tak jak to zawsze robił. – Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Wiesz, że było nam razem niesamowicie.

To dziwne. Wyobrażałam sobie tę chwilę wiele razy – choć w mojej wizji Jared był nieco bardziej skruszony – i zawsze czułam wtedy euforię. Teraz jednak jej nie odczuwam. No, chyba że lęk i poczucie winy, które wchodzi w skład emocjonalnego pakietu.

– Tak, było nam razem dobrze. Ale wtedy złamałeś mi serce, zdradzając mnie z inną. Którą następnie poślubiłeś! – Kręcę głową i wyrywam rękę. – A teraz jesteś gotów zdradzać ją, swoją żonę, ze mną?!

Opiera łokcie na stole i obiema dłońmi przeciera twarz.

– Nic nie poradzę na to, kogo kocham, a nigdy nie przestałem kochać ciebie, Reese. Po prostu myślałem, że Caroline kocham bardziej. Jednak tak nie jest. – Opuszcza ręce. – Nie w ten sam sposób, w jaki kocham ciebie. Proszę, daj mi jeszcze jedną szansę. Tylko... chodźmy do mnie. Porozmawiamy jeszcze trochę.

– Teraz rozmawiamy.

Z tajemniczym uśmiechem patrzy na moje usta.

Wiem, czego chce, i wątpię, że skończyłoby się na rozmowie. Uśmiecham się. Zabawne. Gdyby

Ben powiedział, że chce mnie zabrać do domu, by dobrać mi się do majątek, popędziłabym w podskokach. Ale Ben nigdy tak by nie postąpił, bo wiem, że nie chce bawić się w ten sposób moim kosztem.

– Chyba jednak podziękuję.

Zaciska usta w zamyśleniu.

– No co?! – pytam.

Kręci głową i marszczy brwi.

– Staram się pojąć, czy grasz trudną do zdobycia, czy naprawdę mnie odpychasz.

Mogłabym to zrobić. Iść z nim do mieszkania, wskoczyć do jego łóżka i dostać to, czego tak długo mi odmawiano. Nawet jeśli tylko przez jedną noc. Gdyby naprawdę mnie kochał – chociaż nie wiem, czy Jared w ogóle wie, co to znaczy kochać – to by go zraniło. I zniszczyło Caroline.

A mnie zabiło.

Wstaję.

– Żegnaj, Jared. Nie dzwoń do mnie. Nigdy. – Podjęłam właściwą decyzję. Chociaż raz.

Rzucam na stół dwadzieścia dolarów i odwracam się, by wyjść.

I natrafiam na zaczerwienione oczy, pasujące kolorem do rudych włosów okalających twarz Caroline. Nie wiem, jak długo na nas patrzyła i ile usłyszała. Najwyraźniej wystarczająco dużo. Przynajmniej, że powinnam poczuć się lepiej z tego powodu. To powinno być moje zwycięstwo.

Jednak wszystko, co teraz czuję, to ulga, że nie trzymam się wspomnienia osoby, która nigdy nie wróci. I współczucie dla niej, ponieważ jest zakochana w takim facecie.

– Jest cały twój, Caroline. Ale szczerze, nawet ty jesteś dla niego za dobra. – Mijam ją, nie zaszczycając kolejnym spojrzeniem.

* * *

Rozlega się pukanie do moich drzwi, na sekundę przed tym, jak pojawiają się w nich ciemne włosy Masona.

– Hej, razem z Jackiem pomyśleliśmy, że powinniśmy dzisiaj wspólnie zjeść kolację... – Urywa, obserwując, jak pakuję ubranie do plecaka.

– Jadę do sadu. – Po tym, co stało się z Jaredem, nie mogę dłużej czekać. Nawet nie napisałam Benowi, że się tam wybieram. Boję się, że mi zabroni, a... muszę tam być.

Muszę go zobaczyć.

– Och, okej. – Patrzy na trzymaną w ręku grubą, białą i spiętą gumką teczkę.

– Co to? – pytam.

Wzdycha i zerka na mnie ukradkiem.

– Sprawa, nad którą pracuję.

– Tak? Jaka? – pytam, zapinając plecak. Gdy chodzi o pracę, Mason rozmawia w miarę normalnie.

– Myślisz, że dałabyś radę zerknąć na mój garnitur, który wybrałem na jutro? Wiesz, że nie idzie mi dobieranie kolorów.

– Ee... okej? – Nigdy mnie o to nie prosił. – A dlaczego nie poprosisz o to Liny? – Zamieram. – O cholera. Zerwaliście?! – Biorę następny oddech i mu wyrzucam: – Nie trzymałeś jej włosów, gdy rzygała, prawda?! – Nie rozmawiałam z Liną od ostatniego weekendu. Jeśli zerwali i dowiem się o tym teraz, okażę się naprawdę gównianą przyjaciółką.

– Nie! To znaczy, tak, trzymałem. I nie, nie zerwaliśmy. – Jest mocno sfrustrowany. – Tylko... Pytam ciebie, bo tutaj jesteś. Jeśli chcesz, by na tym pogrzebie twoja rodzina wyglądała jak klauni, to

w porządku, tylko...

– Dobra! Rany. – Mijam go i wchodzę do jego pokoju, uśmiechając się pod nosem z powodu określenia „rodzina”. Nawet mimo rozwodu Annabelle, Mason i Jack są moją rodziną. – No chyba żartujesz – mamroczę, kiedy widzę burgundową koszulę z wzorkiem w maleńkie kacuszki. – Co to ma być? Kacza dynastia, wersja elegancka? – Wrzucam ją do śmietnika. Grzebię w jego szafie, aż znajduję przyzwoitą, granatową. – Ta się nada. – Obracam się i widzę, że Mason oparty o futrynę przygląda mi się uważnie. – Naprawdę zapłaciłeś za tamtą?!

Wzrusza ramionami.

– Gość w sklepie mówił, że to ostatni krzyk mody.

– Podobnie jak spodnie w kwiecisty wzorek, a mimo to widziałeś, żebym takie nosiła? – Mijam go i wracam do siebie.

– Serio musiałaś ją wyrzucić do śmieci?

– Tak. Nigdy więcej nie kupuj niczego beze mnie czy Liny. Nigdy, albo będę musiała się ciebie wyrzec. – Zabieram plecak z łóżka, zdecydowana, by jechać.

– Pani Cooke wysyła w imieniu firmy wieniec.

– Miło z jej strony.

– Dzisiaj w nocy ma padać. Jesteś pewna, że nie chcesz jechać samochodem?

– Tak. Zdam przed deszczem.

Mason nadal stoi i dziwnie mi się przygląda.

– Dobra, szerokiej drogi, czy jak to się tam mówi. Widzimy się jutro, prawda?

– Tak. Mason, dlaczego jesteś taki...?

Urywam, gdy Mason wyciąga ręce i ostrożnie mnie przytula, po czym niemal odskakuje i znika w swoim pokoju.

Kręcąc głową, obracam się na pięcie. Nie mogę się doczekać, by znów zobaczyć Bena.

Nawet jeśli tylko jako przyjaciela.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

BEN

– Dobierz kartę, ale i tak przegrasz – nakazuje mama, wykluczając mnie z gry.

Rzucam karty i krzyżuję ręce na piersi, z uśmiechem przyglądam się Elsie i Jake'owi, którzy starają się ją ograć i zalewa mnie fala wspomnień. W każdy niedzielny wieczór graliśmy na werandzie w karty. Bez wymówek. Wcześniej nawet ojciec czasami grywał. Zazwyczaj pracował nad projektami mebli i zasypiał nad nimi w swoim fotelu, jednak po ukradkowych spojrzeniach, które rzucała na niego mama, jak i po jej uśmiechu, widziałem, że była zadowolona, gdy miała go tak blisko.

Kiedy byliśmy mali i jeszcze żyli dziadkowie, graliśmy też w gry planszowe. Był też krótki epizod z Monopoly, ale po tym jak Jake i ja zaczęliśmy łączyć siły przeciwko Elsie, która popłakała się przez nas o jeden raz za dużo, gra w tajemniczych okolicznościach zniknęła. Do dzisiaj nie wiem, gdzie mama ją schowała.

Latem po moich jedenastych urodzinach, gdy dziadek zmarł na atak serca, wszyscy nauczyliśmy się grać w *euchre*. Babcia się przeprowadziła, wybierając ciszę i spokój zamiast piątki nastolatków. Razem z mamą mieliśmy wręcz za dużo osób do gry. Chociaż to szybko się zmieniło, bo każde z dzieci uciekało z domu, kiedy tylko miało wymówkę, aż zostałem tylko ja i mama. W niedzielne wieczory siedzieliśmy we dwójkę i graliśmy w *Go Fish*.

Nie mogę uwierzyć, że minęło już osiem lat, odkąd po raz ostatni wszyscy siedzieliśmy na werandzie.

Chociaż dzisiaj jest czwartek, nie niedziela, my znów gramy razem w karty pod dachem domu mamy. Aż promienieje szczęściem.

– Dobrze wam będzie w pokoju Bena? – Mama pyta Tarę, żonę Roba, kiedy wracają po tym, jak położyli swoje dwie córeczki spać w największym pokoju w domu.

– Tak, jest doskonały, Wilmo. Dziękujemy. – Tara jest cichą brunetką o wielkich oczach. Wydaje się miła, ale nie odzywa się za wiele. Jak dla mnie jest za spokojna. I za szczupła, ale Rob zawsze lubił chude szczapy. Mam wrażenie, że ta dziewczyna się przy mnie denerwuje. Już dwa razy, gdy wszedłem do kuchni, a byliśmy tam sami, zniknęła w mgnieniu oka.

– Chyba chodzi ci o mój pokój. Ben go ukradł, gdy się wyprowadziłem – poprawia Rob, klepiąc mnie w plecy, gdy przechodzi obok.

– I w końcu coś zaczęło się w nim dziać – mruczę pod nosem, puszczając oko do Jake'a. Rob był z nas wszystkich najbardziej nieśmiały w obecności dziewczyn.

– Działy się w nim różne rzeczy, mały gnojku – prycha Rob.

– Laska wykonana ręką Molly Mumford się nie liczy.

– Chłopcy! – karci nas mama, gdy wybuchamy z Jake'iem śmiechem. Nawet Elsie nie potrafi

powstrzymać chichotu. Bez wątpienia to pamięta. Cała nasza trójka siedziała z kubkami przyłożonymi do ściany oddzielającej pokój Elsie od pokoju Roba, podsłuchując całe zajście.

– Najlepsze było, kiedy Molly krzyknęła i powiedziała: „to się lepi!” – mówię, naśladowując jej cienki głosik i pozycję, w jakiej musiała się znajdować, unosząc ręce i robiąc przerażoną minę.

– Benjaminie Jamesie Morris! – krzyczy mama surowo, rzucając karty, kiedy Elsie i Jake wybuchają głośnym śmiechem. Nawet Tara zakrywa ręką usta, starając się ukryć rozbawienie.

– Skopię ci tyłek – mruczy pod nosem Rob, chociaż i na jego ustach gości uśmiech.

– Kiedy tylko chcesz, braciszku! – Jesteśmy podobnej postury, choć przewyższam go o jakieś siedem centymetrów i mam, lekko licząc, piętnaście kilo mięśni więcej.

– Nie będzie żadnego kopania pod tym dachem! – Mama grozi nam palcem.

Rob parska.

– Dobra, załatwimy to w stodole. To najlepsze miejsce na walkę.

Zapada martwa cisza.

– Cholera. Przepraszam, nie chciałem. – Rob cofa się z rękoma uniesionymi w geście poddania.

– Nie przejmuj się – rzucam swobodnie. – Masz rację, stodoła to dobre miejsce. Jak tylko sprzedamy ostatni mebel i kawałek drewna, możemy urządzić tam ring, gdzie najmłodszy z Morrisów skopie wszystkie wasze tyłki. – Cały tydzień zajmowałem się wynoszeniem pił i innych narzędzi. Były ich tony. Cały ten sprzęt wart jest sporo kasy.

– Brzmi dobrze. – Czuję na ramieniu lekki uścisk Roba, gdy mija mnie, by popatrzeć w niebo. – Chciałbym, żeby nie padało. Planowałem pokazać Tarze sad.

– Będiesz miał mnóstwo czasu w weekend – mówi mama, odwracając się i uśmiechając do Rity, dziewczyny Jake’a, która wychodzi z kuchni z kubkiem herbaty.

– W co gracie? – pyta z ciężkim akcentem z Missisipi. Jake wyciąga do niej rękę i przyciąga do siebie, aż opiera policzek na jej brzuchu. Co dziwne, ze wszystkich moich braci to właśnie Jake się ustatkował. Jeśli chodzi o uganianie się za laskami, był najgorszy, zaraz po mnie. Jednak gdy parę lat temu w czasie Mardi Gras poderwał Ritę, sprawy szybko się zmieniły. A teraz będą mieli dziecko.

– W *euchre*. – Klepie się po udzie. – Siadaj. Nauczę cię zasad.

– Może kiedy indziej. Jestem zmęczona. – Czochrając go po włosach, które są nieco ciemniejsze niż moje, obraca się do mnie z uśmiechem. – Dzięki, że oddałeś nam stary pokój Elsie.

– Tylko żeby była jasność, zrobiłem to dla ciebie i dziecka, nie dla tego wesółka. – Puszczam do niej oko.

– Myślałam, że lubisz poddasze! Zawsze ci się tam podobało, gdy byłeś nastolatkiem – wcina się mama.

Jake prycha.

– O czym wy mówicie?! Przecież on się bał poddasza! Zawsze płakał, że tam są duchy. Czekaście, aż w nocy przejdzie burza z piorunami. Będzie się trząsł ze strachu pod kołdrą przez całą noc. – Jęczy, gdy pomarańcza, którą rzuca, trafia go w brzuch.

– Nie baw się jedzeniem – karci mnie mama, wyjmując owoc z rąk Jake’a, nim może go odrzucić. Po chwili dodaje chytrze: – Gdyby tu była Reese, obroniłaby cię przed piorunami i duchami.

– Reese? – pytają jednocześnie Jake i Rob, a ich brwi niemal dotykają linii włosów.

– Nie mów, że... – Szeroki uśmiech maluje się na twarzy Roba. – Benjy ma dziewczynę?!

Cholera, od zawsze nienawidziłem tego zdrobnienia. Sprawia, że czuję się jak pies – tak też zresztą mnie określano, choć z innych powodów.

– To tylko przyjaciółka. – Posyłam mamie wymowne spojrzenie, ale podniosła już karty, którym przypatruje się teraz intensywnie z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy.

To nie ma znaczenia. Jake i Rob i tak wiedzą swoje.

– Jakiej dziewczynie udało się przygwoździć tego dupka?

– Co jest z nią nie tak?

– W ogóle cokolwiek ogarnia?

– Ma prawdziwe cycki czy sztuczne? – Jake za to pytanie zarabia dwa razy w głowę i kopniaka pod stołem od każdej kobiety, w zasięgu której się znajduje.

Wstaję i przeciągam się, prostując ręce nad głową, szybko jednak muszę je opuścić, by zablokować cios Jake'a wycelowany w brzuch. Odsuwając się od niego, obejmuję Ritę, opierając ręce na jej brzuchu. Do czasu aż moja koleżanka Storm nie zaszła w ciążę, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek dotykał zaokrąglonego kobiecego brzucha.

– Kiedy mu o nas powiemy, Rita? – mówię, przybierając na twarzy najbardziej złośliwy z uśmiechów, jednocześnie obserwując czerwieniejącego Jake'a.

– Odwal się od niej w cholerę! – krzyczy, śmiejąc się.

Wszyscy się śmieją. Nawet mama, choć próbuje to ukryć, kręcąc głową w reakcji na słownictwo syna. Myślę jednak, że mój temat jest już zamknięty.

Ja też się uśmiecham. Z tak wielu powodów. Dobrze mieć tu znów wszystkich.

Prawie wszystkich.

– Gdzie idziesz? Jesteśmy w połowie gry! – narzeka Elsie.

– Idę sprawdzić, co u najstarszego. – Josh przyjechał zaledwie godzinę temu i siedzi w stodole.

– Powiedz mu, żeby wrócił do domu – prosi mama. – Kiedy tylko rozpęta się burza, wyłączą prąd.

– Zawsze tak jest.

Jestem już za rogiem, gdy Jake mówi:

– Ben naprawdę znalazł wystarczająco głupią laskę, żeby... Aua! Kto mnie tym razem kopnął?!

* * *

Widok najstarszego brata na środku stodoły sprawia, że włoski stają mi na karku. To jakby ojciec powrócił do żywych, tylko cofnął się przy tym o trzydzieści lat. Do czasu, gdy jego spojrzenie było jeszcze ostre i wyraziste.

– Hej – wołam, po czym wstrzymuję nieco oddech, gdy przekraczam niewidzialną barierę między światem zewnętrznym a królestwem ojca. Nadal nie lubię tu przebywać, nawet po tygodniu sprzątnięcia i wietrzenia oraz wymianie oświetlenia. Wilgoć wisząca w powietrzu z powodu zbliżającej się burzy sprawia, że zapach drewna jest jeszcze intensywniejszy.

Josh obraca się do mnie, jego twarz jest bez wyrazu. Brat nie tylko jest wierną kopią ojca, ale dzieli z nim również tę samą postawę. Jako nastolatek był cichy i poważny. Teraz jest odludkiem pracującym nad tymi swoimi silnikami. To on nauczył mnie, jak naprawiać dziadkowy traktor.

– Hej, Ben – mówi ponuro. Po chwili milczenia podchodzi i obejmuje mnie, zaskakując mnie tym uściskiem. Siedem lat różnicy i odmienne charaktery sprawiły, że nigdy nie byliśmy blisko. – Cieszę się, że tu byłeś, gdy to się stało. – Odsuwa się, wkłada ręce w kieszenie i patrzy w sufit. – Zapomniałem, jak wielka jest ta stodoła.

– Tak. Nie uwierzyłbyś, jakie gówno tu znalazłem. – Przynajmniej z pięćdziesiąt pustych butelek po whisky upchniętych po kątach, razem z paczkami starych papierosów – nawet nie wiedziałem, że ojciec palił – i jakimiś świerszczykami z lat siedemdziesiątych, zapewne jeszcze dziadka, które

w ramach żartu zapakowałem Jake'owi do walizki.

– Zapewne – mamrocze pod nosem do siebie. – Jak myślisz, co go do tego popchnęło?

– Mama chciała go zostawić.

Zszokowany Josh obraca się, by na mnie spojrzeć.

– Serio?!

– Sam słyszałem. Miała go już dosyć. – Waham się, niepewny, czy mówić dalej. – Słyszałem, jak płakał.

Zrozumienie migocze w oczach Josha, kiedy obraca się, by popatrzeć na kawałek drewna z czarnego orzecha, który ma na sobie DNA ojca. Na początku tego tygodnia stałem nad tym fragmentem z piłą łańcuchową, ale nie mogłem się zmusić, by go pociąć.

– Płakałem, gdy Karen ode mnie odeszła, nawet jeśli na to zasłużyłem.

Kręcę głową.

– Nie rozumiem tego, Josh. Nienawidziłeś ojca za to, co zrobił mamie, i to tak bardzo, że nie przyjeżdżałeś tu przez całe pięć lat, a mimo to zrobiłeś dokładnie to samo co on.

– Wiem. – Wypycha językiem policzek. – Miałem wszystko i to zniszczyłem. Chciałbym mieć ku temu dobry powód, ale nie mam. – Milknie na chwilę. – Zastanawiam się, czy gdyby mama wykopała go już wiele lat temu, gdyby ktoś udzielił mu pomocy... Może nic z tego...

– Wiem, do czego zmierzasz i ani trochę mi się to nie podoba, Josh. – Czuję, jak spinają mi się mięśnie. – Nigdy nie próbuj obwiniać o to mamy. Ona jedyna naprawdę kochała tego drania.

– Nie obwiniam jej, tylko... – Urywa i zaczyna chodzić w kółko. – Jestem w programie dwunastu kroków i powinienem powiedzieć „przepraszam”. Mam wiele rzeczy, za które mogę przepraszać. Głównie za to, że nie przyjeżdżałem pomagać. I za to, że odwróciłem się od mamy.

– Nie ty jeden – przypominam mu, mój nagły gniew szybko mija.

– Tak, ale ja jestem najstarszy. A mimo to właśnie ty tu byłeś i wspierałeś mamę niezależnie od okoliczności.

– Nie zawsze. – Lekko kopię deskę z czarnego orzecha.

– Dziwię się, że przy tym, jak pił wcześniej sobie czegoś nie odciął – mówi cicho Josh. Jego słowom towarzyszy dźwięk odległego gromu. – Wiesz, zawsze żałowałem, że nie jestem bardziej do ciebie podobny. Nawet kiedy byłeś mały, a ja prawie kończyłem liceum. – Szturcha stopą ten cholerny kawałek drewna, a niewielki uśmiezek maluje mu się na twarzy. – Zawsze byłeś taki wesoły i szczęśliwy. Wszystko ci się udawało. Wszyscy cię kochali. Tak bardzo się od niego różniłeś. Co innego ja. – Zaciska zęby. – Musiałem stracić wszystko: żonę, dzieci, dom, by to dostrzec. – Wkłada ręce do kieszeni i patrzy na mnie z ponurą determinacją w oczach. – Nie chcę już być jak on, Ben. Nie zamierzam żyć, jakby Joshua Morris senior mnie zaprogramował. Od pół roku nie tknąłem alkoholu. Widuję się z dziećmi, kiedy tylko mam okazję. Zabieram je w różne miejsca. Rozmawiam z nimi i się śmieję. Chcę, by wiedziały, że tata je kocha. A Karen? – Zwiesza głowę z bezsilności. – Nie wiem, czy da mi kolejną szansę, ale zrobię, co w mojej mocy, by się zmienić. Nie chcę za dwadzieścia lat leżeć w kałuży własnych wymiocin, ponieważ nie żyłem, tak jak mogłem. Każdy z nas musi spojrzeć na życie z innej perspektywy. Jeśli istniało coś, co przez tego człowieka nas ograniczało, nadszedł czas, by z tym skończyć.

Przytakuję cicho, gdy niski, głuchy huk rozchodzi się po niebie.

– Powinniśmy wrócić do domu. Będzie dzisiaj ostra burza.

– Tak – zgadza się. Obaj wychodzimy na próg stodoły. Stojąc obok siebie, patrzymy na korony

drzew, wśród których oplątwa brodaczkowa huśta się na wietrze, kiedy zaczynają spadać pierwsze krople deszczu. Dziesięć sekund później niebo otwiera się i zaczyna lać jak z cebra.

Na podjeździe pojawia się pojedyncze światło. Mrużąc oczy, mamroczę do siebie:

– Czy to...? – Mój żołądek fika koziółka, gdy podwórko wypełnia ciężki odgłos silnika harleya, konkurujący z grzmotami burzy. Spod kasku wystają jasne włosy z wiśniowymi końcówkami.

– Kto to? – pyta Josh.

Uśmiecham się, czując wewnątrz podniecenie.

– To moja, kimkolwiek by nie była – mówię poważnie.

Odsuwamy się, a zupełnie przemoczona Reese wjeżdża do stodoły. Obserwuję, jak zdejmuje kask i przeczesuje palcami włosy, odgarniając je ze swojej pięknej twarzy. Nigdy w życiu tak bardzo nie chciałem pocałować dziewczyny.

Karmelowe oczy spoglądają na mnie z wahaniem.

– Wiesz, jaka jestem rano. Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli przyjadę dzisiaj.

– I oczywiście dlatego, że nie mogłaś wytrzymać beze mnie kolejnej nocy – rzucam, drocząc się z nią.

Kiedy widzę, jak z trudem przełyka ślinę, jak róż zdobi jej policzki i to, jak patrzy pod nogi w bardzo nienaturalny sposób, wiem, że mam rację.

I jestem z tego powodu cholernie szczęśliwy.

Po chwili przenosi uwagę na Josha, do którego wyciąga rękę.

– Cześć, jestem Reese.

– Możesz z tą całą prezentacją poczekać do jutra. – Łapię ją w tali i niczym dzieciaka ściągam z motocykla. Przerzucam ją sobie przez ramię i biegnę w deszcz, ledwie go czując.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

REESE

– Ben! Puszczaj! – wołam, śmiejąc się, kiedy trzaskają za nami drzwi wejściowe.

Miałam nadzieję, że ucieszy go mój widok, jednak w stodole patrzył na mnie, jakby chciał mnie pożreć. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego powitania.

– Reese? – pyta Wilma z głębi domu.

– Jutro, mamuś! – krzyczy Ben, wbiegając na schody.

– Benjaminie, puść tę dziewczynę... – W całym domu gasną światła, przerywając reprimendę Wilmy i zaskakując nas pośrodku schodów, gdy wciąż zwisam do góry nogami z ramienia Bena.

– Cholera! – Ben wyciąga z kieszeni komórkę, ustawia w niej latarkę i, nadal ze mną na ramieniu, podchodzi do kolejnych, bardziej stromych schodów, które prowadzą na poddasze. – Dzisiaj śpimy na samej górze – informuje.

Moje stopy dotykają podłogi dopiero wtedy, gdy pomieszczenie zalewa miękkie światło niewielkiej lampki na baterie stojącej na drewnianym stoliku.

– Wow. – Rozglądam się wokół. To wielka przestrzeń, choć z całą pewnością jest tylko częścią strychu. Podłoga, ściany i ukośny sufit zostały pomalowane na biało, przez co stanowią ładne tło dla mebli wykonanych przez ojca Bena, wliczając w to łóżko przykryte barwną, pikowaną kołdrą. Dwa duże okna dachowe muszą wpuszczać za dnia sporo światła. Choć w tej chwili głośno skrzypią pod naporem wiatru i deszczu. – Jak tu przytulnie. Niczym w drewnianej chacie.

Mój plecak ląduje na podłodze na sekundę przed tym, jak silne dłonie chwytają mnie za ramiona i obracają. Stoję twarzą w twarz z szeroko uśmiechniętym Benem. Chłopak nie waha się, by ofiarować mi głęboki pocałunek, a ja nie waham się go odwzajemnić. Jego język w moich ustach mnie odurza. Kiedy Ben się w końcu odsuwa, nadal trzymając mnie w talii, mówi ochryple:

– Co za fantastyczna niespodzianka.

– Serio? Bo zawsze zaskakiwałam ludzi w raczej nieprzyjemny sposób – droczę się, choć w środku cała jestem spięta. Opieram dłonie na jego szerokiej piersi i przysuwam się, by powąchać świeży zapach mydła. Nie wierzę, że tak bardzo za nim tęskniłam.

Ben śmieje się, opierając policzek na mojej głowie.

– To jedna z rzeczy, które w tobie kocham.

Nie wiem, kto spina się pierwszy na to zdanie – słowo – jednak zdecydowanie da się w nas wyczuć napięcie.

Ben pierwszy się odpręża, jego jęk sprawia, że ponownie się do niego tulę.

– Wiesz, co chciałem powiedzieć, prawda?

– Że jesteś we mnie szaleńczo zakochany, oczywiście. – Żartowaliśmy z tego tak wiele razy. W tej chwili oddałabym wszystko, by była to prawda. Mój oddech jest niepewny, gdy odchylam głowę, by

popatrzeć Benowi w oczy, mając nadzieję, że nie dostrzeże prawdy, którą staram się ukryć.

Tego, że żywię do niego prawdziwe uczucie.

Jednak ją widzi. I to natychmiast. A w każdym razie coś dostrzega. Wierzchem palców gładzi mnie po policzku, a na jego twarzy maluje się nieufność.

– Co się stało?

Otwieram usta, by odpowiedzieć – by wydusić z siebie, że nie mam pojęcia. Jak, do cholery, mam poruszyć tę kwestię, nie strasząc go jednocześnie? Ratuje mnie jednak dzwonek jego telefonu. Ben zerka na ekran, na którym pojawia się napis: MASON.

– Mówiłaś mu, że do mnie jedziesz? – pyta mnie.

– Tak.

– W takim razie lepiej odbiorę. – Cmoka mnie w czoło i odsuwa się, by odebrać. – Cześć, Mace. Co tam? Tak... właśnie przyjechała... Aha... Nie... – Patrzy na mnie, po czym odsuwa się na kilka kroków. – Dobra.

Słuchając mimochodem, otwieram plecak i wyrzucam jego zawartość na łóżko – łącznie z prostą, czarną sukienką na jutro, która po upchnięciu do plecaka i trzygodzinnej jeździe potrzebuje prasowania. Niemal udało mi się wyprzedzić burzę.

Rozpadało się, gdy wjeżdżałam na podjazd, a potem Ben przeniósł mnie ze stodoły do domu niczym jaskiniowiec, przez co przemokłam do suchej nitki. Marznę, a to, że jest tu chłodno, wcale nie pomaga. Rozpinam kurtkę i wieszam ją na oparciu krzesła. Zdejmuję buty i skarpetki. Mam zamiar założyć piżamę, nawet jeśli na krótko.

– Jesteś pewien, że to... – Ciężko wzdycha. – Dobrze... Tak, chyba... Do zobaczenia jutro, stary.

Marszczę brwi.

– Czego chciał?

Benowi opadają ręce, a kiedy się obraca, na jego twarzy maluje się dziwny spokój. Następuje dłuższa chwila ciszy, podczas której wyraźnie odpływa gdzieś myślami. Spojrzeniem taksuje moją sylwetkę, plecak, moje ubrania, po czym znów wraca do mnie.

– Trochę mnie przerażasz, Ben. Co się stało?!

Słyszę, że wzdycha, nim w końcu kładzie telefon na stoliku.

– Martwił się tylko, że jedziesz w burzy, to wszystko.

– Poważnie?! Bo dzisiaj zachowywał się naprawdę dziwnie. Przytulił mnie.

Ben uśmiecha się, podchodząc do mnie. Pochyliła się i ustami dotyka mojej szyi, przez co cała drżę.

– To był wielki, niedźwiedzi uścisk?

– Raczej ostrożny, jakby ścisnął jeżozwierza.

Ben się śmieje.

– Mason jest dziwnym facetem. A dziwni faceci robią dziwne rzeczy.

– Przestań nawijać o moim przybranym bracie, jednocześnie mnie całując – mówię i odchylam głowę, czując, jak łaskoczą mnie jego wargi.

– Dobra. – Znika nagle.

Odwracam się w porę, by zobaczyć, jak zamaszystym ruchem zrzuca wszystkie moje rzeczy z łóżka.

– Hej!

– Zemsta jest słodka.

Uśmiecham się na wspomnienie tego, co zrobiłam w Cancún.

– Piłeś margaritę?! Jeśli tak, to myślę, że nam się nie przysłuży. – Zastanawiam się, czy gdybym na

niego nie zwymiotowała i gdybyśmy uprawiali wtedy seks, stałabym teraz tutaj, kombinując, jak, u licha, mam powiedzieć facetowi, który unika zaangażowania, że się w nim zakochałam?

Chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie, aż w końcu popycha na łóżko, po czym zręcznie odpina mi pasek.

– Cała jesteś przemoczona. Musisz się szybko pozbyć tych ubrań. – Ten facet doprowadził umiejętność rozbierania kobiety do perfekcji, ponieważ w rekordowym tempie i bez mojej pomocy ściąga ze mnie każdy ciuch, aż leżę całkowicie naga na łóżku, a on błądzi wzrokiem po moim ciele.

– To poddasze potrzebuje ogrzewania – przyznaje, kiedy widzi, jak drzę. Chociaż wątpię czy z zimna.

– Znów jestem naga. A ty nie.

Ben łapie za tył swojej przemoczonej koszulki i zdejmuje ją przez głowę, ujawniając gładkie grzbiety mięśni. Kiedy na niebie pojawiają się zygzyki błyskawic, wypełniając poddasze jasnym światłem, obserwuję, jak Ben zdejmuje jeansy i razem z bokserkami pozwala im opaść na podłogę. Leżę na łóżku i przyglądam się nagiemu, atrakcyjnemu i mocno pobudzonemu mężczyźnie, stojącemu przede mną. Tracę oddech.

– Wydaje się, że masz problem – żartobliwie nawiązuję do Cancún, kiedy podpieram się na przedramionach i, mimo pewnego zażenowania, rozchyłam przed nim nogi. Ben jest facetem, który potrafi docenić kobiece ciało. I nie jakieś tam ciało. Moje ciało. Mój pulchny tyłek, moje krągłości. Zdaje się, że mój największy kompleks najbardziej go nakręca.

– Nawet nie masz pojęcia. – Nagłe napięcie kwadratowej szczęki sprawia, że jest jeszcze przystojniejszy, gdy podchodzi do łóżka, układając się między moimi nogami i opierając ręce po bokach moich ramion. Ciepło z jego dużego ciała niweluje chłód powietrza.

– Przez cały weekend myślałem tylko o tym. – Sięga ręką do mojego koleczka i zaczyna się nim bawić z czułością, o którą nigdy bym go nie podejrzewała. – Wiesz, że spławiłem królową piękności?

Natychmiast ściska mi się żołądek.

– Pamiętasz o filtrowaniu rzeczy, nad którym musisz popracować? – A co by było, gdyby jej nie spławił? Jej albo Ciasteczka? Jak to na mnie by podziałało? Jakie byłyby tego konsekwencje dla nas? Dla tego, co jest między nami? Stracilibyśmy to na zawsze!

Patrzę na niego i gryzę się w język, przerażona, że mój własny filtr zawiedzie.

– Dlaczego?

Zaciekawione niebieskie oczy studiują moją twarz. Nie sposób ignorować szybkości i intensywności bicia jego serca tuż przy moim. Przysuwając usta do moich, mówi:

– Nie podobała mi się.

– Nie podobała ci się królowa piękności?! Niemożliwe. – Biorę głęboki, uspokajający wdech. Mogłabym tak wiele z tego wyczytać. Ten fakt, że pragnę wyczytać tylko jedno, jest znaczący. I przerażający. Dlaczego to sobie robię?! Nie potrafię udawać, że mi nie zależy, gdy jest inaczej. To jakby zamknąć wszelkie emocje w słoiku i go uszczelnić. Każdy, kto mnie zna, potrafi przewidzieć gwałtowny wybuch emocji i jego katastrofalne następstwa.

– Wiem. Szokujące, co? – Widzę błysk w jego oku. Który jednak szybko gaśnie. – Co się z tobą dzieje? Wydajesz się zamyślona.

– Widziałam się dzisiaj z Jaredem – wypalam. Myślę, że mogę od tego zacząć.

Dłoń Bena, ściskająca moją pierś, zamiera. Widzę, jak jego grdyka podskakuje przy przełykaniu

Śliny.

– I?

– Powiedział, że mnie kocha. Żałuje, że się rozwiedliśmy i chce do mnie wrócić.

Ben opiera czoło na moim. Leżymy w ten sposób w kompletnej ciszy, nad nami rozlegają się gromy. Burza wciąż przybiera na sile. To najwolniejsza lub najdłuższa burza jaką kiedykolwiek widziałam – na Florydzie zazwyczaj uderza mocno i przechodzi szybko.

W końcu Ben wzdycha, unosi głowę i patrzy przez okno, błysk pioruna ujawnia jego zaciśniętą szczękę.

– Powinienem był przewidzieć, że to się stanie – mówi cicho, niemal niezauważalnie, kręcąc głową. – Mam za swoje, prawda?

Krzywię się, a on stacza się ze mnie i kładzie się na plecach z ręką pod głową, zabierając ze sobą całe ciepło i czułość.

– Co przegapiłam?

Miękki śmiech Bena wypełnia poddasze.

– Ironię. Wiesz, kiedy mama i Elsie zaczęły się nabijać, że zadurzyłem się w tobie, kazałem im spadać. – Przechyla głowę na bok i patrzy na mnie ze smutkiem. – A kiedy w końcu przyznałem sam przed sobą, że chciałbym czegoś więcej, nie mam na to szans.

Czuję, jakby moje serce urosło z powodu napełniającej je otuchy. *Co!? Dobrze usłyszałam? Ben chce czegoś więcej?*

Opieram się na łokciach, gdy w moim wnętrzu szaleje tornado złożone z zamętu i radości. Jednak...

– O czym ty, do licha, mówisz?!

Podnosi rękę w górę i stwierdza rzeczowo:

– Przyjechałaś, by mi powiedzieć, że wracasz do tego palanta, prawda? Dlatego zjawiałaś się tak szybko?

– Czy gdybym miała wrócić do Jareda, leżałabym tu teraz z tobą naga?! – Nie potrafię ukryć irytacji w swoim głosie.

Następuje długa cisza, gdy zastanawia się nad moimi słowami. Po czym wzrusza ramionami, a głupkowaty uśmieszek maluje się na jego ustach.

– Nie wiem. Może to z twojej strony ostatni numer na pożegnanie?

– Nie! Ty... ugh! – Przewracam oczami i opadam na poduszkę. Sprawy nie mogły potoczyć się lepiej. Pięć minut temu byłam przerażona tym, że Ben dostrzeże moje prawdziwe uczucia, a teraz przyznał, że je odwzajemnia.

To wszystko zmienia.

– Więc mówisz, że do niego nie wracasz? – pyta ostrożnie.

– Nie! – Nagle czuję, jak opuszcza mnie napięcie, chce mi się śmiać, a motyle w moim brzuchu podrywają się do lotu.

Obok siebie słyszę cichutki pomruk:

– Dzięki Bogu. – A następnie pytanie: – Dlaczego nie?

– Ponieważ już w Cancún wybrałam innego osła. Oto dlaczego. – No i proszę. Nie za bardzo romantyczne, ale z Benem nigdy nie byliśmy poetyccy.

– Serio? Czekał... Ja jestem tym osłem, tak?

Kiedy wzdycham z irytacją, Ben wchodzi na mnie, układając się w poprzedniej pozycji, a szeroki uśmiech rozciąga mu usta.

– To co to dokładnie oznacza?

Przygryzam wargę i rozważam następne słowa. Zawsze byliśmy ze sobą uczciwi. Nie ma powodu, by teraz to zmieniać.

– Oznacza to, że chcę mieć twój tyłek kobieciarza, maminsynka, futbolisty tylko dla siebie, a jeśli przyłapię cię z Ciasteczkiem, królową piękności czy kimkolwiek innym, lepiej żebyś szybko biegał, ponieważ będę cię ścigać.

Palcami odgarnia kosmyki włosów z mojej twarzy.

– Wiesz, że nawet bym nie pomyślał o związku, gdybym miał zamiar cię tak skrzywdzić, prawda?

Potrafię jedynie skinąć głową, jednak jemu to wystarcza. Pomimo iż Ben ma wiele wad, ma również największe, najczulsze serce na świecie.

I tak po prostu wszystko diametralnie się między nami zmienia.

Ben pochyla się i całuje mnie tak namiętnie, że moja głowa tonie w poduszce, po czym dyszę, łaknąc tlenu. Ledwo jestem świadoma, że Ben sięga do szafki po prezerwatywę. Rozrywa opakowanie i nakłada ją – oczywiście jedną ręką – a następnie wchodzi we mnie gładko, nawet nie przerywając pocałunku.

Moje ciało już od dawna jest na niego gotowe.

Cała jestem jego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

BEN

Nie wierzę.

Ja, Ben Morris, mam dziewczynę. To znaczy, tak mi się wydaje. Prócz niezobowiązujących obietnic uszkodzenia ciała, nie dograliśmy szczegółów.

Obracam głowę, by przyrzeć się śpiącej Reese. Bierze głębokie, powolne oddechy, jej głowa spoczywa na moim ramieniu, a jej gorące, nagie ciało przyciska się do mojego. Jest niczym śpiący smok, spokojny podczas drzemki, ognisty, gdy się zbudzi. I nie mogę się doczekać, kiedy znów otworzy oczy.

Dzisiejszy wieczór był... pouczający.

Zacząłem od bycia pewnym siebie głupkiem, który sądził, że będzie ją miał, po czym żołądek wywrócił mi się na drugą stronę, gdy pomyślałem, że Reese chce wrócić do swojego byłego, a skończyłem zachwycony, kiedy wszystko mi wyznała.

Reese pragnie mnie na wyłączność.

Gdybym wiedział to wtedy, gdy pijana dziewczyna o fioletowych włosach przyglądała mi się w barze... Uśmiecham się do siebie, niezdolny trzymać rąk z dala od jej ciała.

Przypominają mi się słowa Josha. Pozwalanie, by błędy ojca dyktowały, jak mam żyć, jest największym z błędów, które sam mogę popełnić. I czy mi się to podoba, czy nie, to właśnie robiłem. Gdybym pozwolił odejść dziewczynie takiej jak Reese z obawy, że będę jak ojciec, zgotowałbym sobie smutne, samotne życie. Jak na ironię, nie zrozumiałbym tego, gdyby nie ta dziewczyna, ukazująca mi, co mogę stracić.

Przysuwam się do niej, nie potrafię jej nie pocałować. W odpowiedzi cicho jęczy, ale się nie rusza. Kusi mnie, by ją obudzić, jednak tego nie robię.

Jutro będzie ciężki dzień dla nas wszystkich.

To przypomina mi... Najdelikatniej jak tylko mogę, odsuwam się od niej i siadam, co wzbudza kolejny jęk protestu. Sięgam do plecaka opartego o łóżko i małej kieszonki z boku, o której wcześniej wspominał Mason podczas rozmowy telefonicznej. Znajduję w niej plik kopert spięty gumką.

To odpowiedzi na pytania, które zadawała sobie przez lata.

Nie wiem, o czym myśleli Jack z Masonem, wrabiając mnie w to. Mason powiedział, że planowali przekazać jej wszystko przy dzisiejszej kolacji. Chyba zwariowali. Nie kumam, jak można rzucić coś takiego nad talerzem frytek. Podejrzewam jednak, że przy dziewczynie takiej jak Reese, nigdy nie będzie właściwego momentu. Ofiarowanie jej tych kopert podczas jej pobytu tutaj, w miejscu, które uwielbia, z dala od cywilizacji, przy mnie, bym ją ukoił, jest zapewne najlepszą z możliwości.

Mam tylko nadzieję, że ona również odbierze to w ten sposób.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

REESE

– Ależ wy jesteście do siebie podobni – mówię, stojąc wśród dzieci Morrisów, przyglądając się, jak dwie małe blond dziewczynki bawią się z Quincy piłką. Uwaga suczki przeskakuje między dziećmi a grupą dorosłych, jakby nie potrafiła zdecydować, czy woli złapać piłkę, czy też raczej kawałek jedzenia spadający z papierowego talerza.

– Tak, często to słyszymy. – Instynktownie przysuwam się do Bena, który opiera rękę na moich ramionach i mocno przyciska mnie do siebie.

– Ale ty jesteś najprzystojniejszy, oczywiście – dodaję kpiąco.

– Jestem. I nie zapominaj o tym – droczy się ze mną, śmiejąc się, a ja walczę z pokusą, by go pocałować. Jesteśmy ostrożni z publicznym okazywaniem uczuć, zważywszy na to, że gdzieś tutaj kręci się Jack. W końcu będziemy musieli mu powiedzieć, że jesteśmy dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi, że jesteśmy w związku. Zdecydowałam, że zagrozę odejściem z pracy, jeśli Jack nie pozwoli zostać Benowi, choć kompletnie nie mam pojęcia, jak nam się będzie razem pracowało. Ten gość nie potrafi przebywać ze mną w jednym pomieszczeniu, by mnie nie dotknąć i nie ma dla niego znaczenia, że ktoś patrzy.

Udowodnił to dziś rano, gdy przyszedł poznać całą jego rodzinę, a on w tym czasie uszczypnął mnie w tyłek.

Zastanawiałam się, jak to będzie przebywać ze wszystkimi Morrisami i czy Ben jest wśród nich anomalią, czy też pasuje do reszty zestawu. Kiedy w końcu wypuścił mnie z poddasza do tętniącego życiem zimowego ogrodu, szybko uzyskałam odpowiedź. Był tam cały klan Morrisów, rozkoszujący się świeżymi wypiekami, owocami i cudnie pachnącą kawą.

Wszyscy się śmiali, dokazywali i wypełniali ten wielki, stary dom tym, czego tak rozpaczliwie tutaj brakowało.

Rodziną.

Jeszcze przed zakończeniem pięciominutowej prezentacji – w trakcie której spłonęłam rumieńcem, gdy brat Bena, Jake, poczuł nagłą potrzebę wypowiedzenia się na temat hałasu rozlegającego się w nocy nad ich pokojem – mogłam stwierdzić, że ich podobieństwo wykracza poza fizyczny wygląd. Myśl, że ci młodzi ludzie nie przebywali z matką pod jednym dachem przez osiem długich lat, wydaje się niedorzeczna. Żaden postronny obserwator by w to nie uwierzył. Ale pewnie nie uwierzyłby również, że człowiek, którego geny są w każdym z nich, mógł rzucić na ich życie cień tak głęboki, iż zdecydowali się od siebie odsunąć.

Pogrzeb ich ojca odbył się w starym, białym kościele, oddalonym jakieś piętnaście kilometrów i, jak oczekiwano, panowała na nim poważna atmosfera. To, czego się nie spodziewano, to tłum przybyłych żałobników. Choć sam Joshua senior raczej nie miał bliskich przyjaciół, to ma ich

z pewnością wielka rodzina Bernard-Morris. Wszyscy ci ludzie przyszli do kościoła, by złożyć kondolencje, po czym ponad dwustu z nich zostało zaproszonych do sadu na późny obiad.

– Jak myślisz, co się teraz stanie?

Ben marszczy brwi.

– Co masz na myśli?

– Jutro, za tydzień, za miesiąc. Spójrz na nich wszystkich. – Wskazuję jego rodzinę, Jake'a stojącego za dziewczyną z rękami opartymi na jej brzuchu; Roba i jego żonę oraz roześmiane dzieciaki; Elsie i Josha stojących pod rękę, z uśmiechami na ustach. Mimo że nie znałam ich wcześniej, wydaje mi się, że są ze sobą zzyci. I Wilma... kobieta, która cały dzień wyciera oczy. Podczas pogrzebu wiedziałam, że to łzy wylewane z powodu śmierci męża. Jednak teraz nie widzę w niej smutku.

Raczej ulgę i wdzięczność.

– Ten dom powinien być wypełniony hałasem. Wilma powinna widywać dzieci. Wnuki powinny biegać po podwórku, śmiejąc się i bawiąc na starej huśtawce. Nawet Quincy jest teraz w siódmym niebie!

Ben się śmieje.

– Wkrótce skończy w psim niebie. Jest za gruba na tę swoją ekscytację.

– Ale co stanie się jutro? – naciskam. – Proszę, powiedz, że rozmawialiście o tym. Dla dobra Wilmy i tego sadu... – Gula tworzy się w moim gardle na myśl o tym, jak samotna i smutna będzie egzystencja Wilmy tutaj, kiedy już wszyscy wyjadą. Mimo iż już wcześniej pokochałam ten sad, teraz widzę, co dla niego najlepsze, więc nie mogę znieść myśli, że ponownie zapanuje w nim cisza i pustka.

Ben wzdycha.

– Jeszcze nie wiem, Reese. Każdy ma gdzieś tam swoje życie. Zobaczymy, jak będzie.

– Musisz to naprawić, Ben. Przynajmniej na wakacje, urodziny... – Nawiedza mnie myśl. – Jake i Rita powinni się tutaj pobrać. Musisz mu to powiedzieć.

– Jasne! – Ben uśmiecha się szeroko, kiedy zwija dłonie w trąbkę i krzyczy: – Jake! Reese myśli, że powinniście tu w sadzie urządzić z Ritą wesele!

– Ben! – Nie udaje mi się na tyle szybko szturchnąć go pięścią w brzuch, by powstrzymać jego słowa, a po spojrzeniu, które posyła mi Jake, sędzę, że nie jest zachwycony tym pomysłem. Jeśli Rita słyszała Bena, a jestem pewna, że tak było, nie daje tego po sobie poznać, skupiając się na dwóch małych dziewczynkach.

– Benjaminie, mógłbyś przestać dokuczać bratu? – karci surowo Wilma. Obracamy się i widzimy, jak zmierza ku nam z Jackiem i Masonem. Instynktownie odsuwam się od ciała Bena, w tym samym momencie on zdejmuję rękę z moich ramion i opiera ją na moich plecach.

– Ben, Jack właśnie opowiadał mi, jak zadowolony jest z twojej pracy – mówi Wilma, uśmiechając się do syna z dumą wypisaną na twarzy.

– Robię poprawki jak zawodowiec – droczy się Ben z humorem.

– Chociaż nie wiem, po co kończyłeś prawo, skoro macie to miejsce. Jest tutaj niesamowicie – przyznaje Jack, wskazując na nasze otoczenie.

– Rzeczywiście jest – zgadza się Ben.

– Może moglibyście tu kiedyś przyjechać z Reese? Spodziewam się, że będzie tu częstym gościem.

Dobry Boże, Wilmo. Głośne westchnięcie stojącego obok Bena podpowiada mi, że myśli o tym

samym.

Wydaje mi się, że spojrzenia wszystkich – w tym Masona – utkwione są w Jacku, czekając na jego reakcję.

Szare oczy miękną pod wpływem szczerego uśmiechu, gdy mężczyzna pochyła głowę, jakby w ciszy, zgadzając się na coś. Może tak właśnie jest.

– Z chęcią będziemy jej kiedyś towarzyszyć. Żałuję, że dzisiaj nie możemy zostać dłużej, ale wkrótce musimy wracać do Miami. – Patrząc na Wilmę, mówi: – Jeszcze raz pragnę wyrazić smutek z powodu twojej straty. Gdyby było coś, w czym moglibyśmy pomóc, proszę, daj mi znać przez Bena.

Wilma patrzy na Bena i na mnie, po czym mruga jednym okiem, gdy nagle jakaś kobieta woła ją z ganku.

– Już pomogliście. A teraz wybaczcie, wygląda na to, że jestem potrzebna w kuchni. – Wyciąga rękę do Jacka i Masona. – Dziękuję, że przyjechaliście. – Obraca się i spieszy do domu.

– Cóż, Okruszku, przypuszczam, że zobaczymy się pod koniec tygodnia, tak? – pyta Jack z uroczym uśmiechem. Podchodzi i chwyta mnie za ramiona. – I pamiętaj, zawsze możesz na nas liczyć. – Dostrzegam w jego oczach zmartwienie, gdy z nieodgadnionym wyrazem twarzy obraca się do Bena. – Zatrósz się o moją dziewczynkę.

– Tak zrobię.

Klepie Bena w ramię.

– Wiem o tym.

Marszczę brwi, przyglądając się, jak odjeżdżają.

– Dobra, widziałeś to?! Teraz i Jack zachowuje się dziwnie. Nie uważasz?

– No... – Ben obraca się i patrzy na mnie przeciągle. Trwa to tak długo, że zaczyna mnie skręcać.

– No co? – pytam.

Zaciska zęby i pobieżnie rozgląda się wokół.

– Myślę, że już zbyt długo stoję w jednym miejscu. – Wracając do mnie spojrzeniem, mówi: – Zapraszam na przejażdżkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

BEN

– Uwielbiam przebywać tutaj o tej porze dnia! – woła Reese, przekrzykując silnik, kiedy wrzuca w buggy czwórkę i skręca, by uniknąć dziury, a późne, popołudniowe, listopadowe słońce zaczyna chować się za horyzontem.

– Możemy nie dodawać w tym tygodniu kolejnego pogrzebu do kolekcji? – odkrzykuję, trzymając się mocno relingów. Ta kobieta dostaje fiola za kierownicą. Nie wiem, jakim cudem nie rozbiła jeszcze motocykla, ale zaczynam myśleć, że to tylko kwestia czasu, więc nie chcę, by ponownie na niego wsiadała. Wręczyłem jej kluczyki tylko dlatego, że potrzebuje nieco radości, zanim spuszczę jej na głowę gigantyczną bombę.

– W lewo. – Wskazuję i trzymam się, kiedy skręca, a zardzewiały samochód dziadka pojawia się na widoku.

Stajemy w tumanie kurzu, a promienny uśmiech Reese sprawia, że niemal porzucam swój plan. Może powinienem ją zabrać z powrotem na poddasze. Ale nie, to i tak niczego by nie zmieniło. Ona musi się dowiedzieć, a zawsze wyznawałem zasadę walenia prosto z mostu. Gdyby kiedykolwiek odkryła, że zwlekałem z przekazaniem jej takich informacji, już nigdy by mi nie zaufała. Na samą myśl o tym ściska mi się żołądek.

Wyciągam kluczyki ze stacyjki – gdyby chciała uciec, będzie musiała zrobić to na piechotę – i wysiadam z pojazdu. Biorę z ziemi kijek i powtarzam to samo, co robiłem przez lata, stukam nim w starą ciężarówkę, by odstraszyć jej potencjalnych mieszkańców.

Reese, która przebrała się w jeansy i koszulkę, wskakuje na pakę. Wyjątkowo spokojny uśmiech maluje się na jej ustach. Nie wiem, czy widziałem go kiedykolwiek wcześniej. Przez dłuższą chwilę stoję nieruchomo, po prostu się jej przyglądając.

Nie podoba mi się to, że jej uśmiech zaraz zniknie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Waham się. Jednak sięgam do tylnej kieszeni i wyciągam z niej plik kopert.

Reese mruży oczy.

– Mason powiedział mi o nich wczoraj. – Kciukiem stukam w pięć białych kopert i jedną żółtą, którą mam wręczyć jako ostatnią. – Rozmawiałaś z nim ostatnio o swoim ojcu?

– Tak. W zeszłym tygodniu. – Patrzy na koperty. – Dlaczego pytasz?

Wzdycham i podchodzę, by usiąść obok niej na pace.

– Mason powiedział Jackowi o twoim byłym mężu. O tym, że facet mieszka w Miami i ponownie się ożenił, a także o tym, że pozostajesz z nim w kontakcie. Mason martwi się, że postanowiłaś go ukarać.

Reese odrzuca głowę w tył z głośnym jękiem.

– Cholera! Mówiłam ci, że nie można mu ufać!

– Poczekaj, Reese. Daj mi dokończyć. – Urywam na chwilę. – Mason się niepokoi, dlatego to powiedział. I oczywiście Jack też się zmartwił. Martwi się o ciebie, odkąd odebrał cię z Jacksonville. O to, że staniesz się zgorzkniała jak twoja matka, po tym, jak ktoś tak mocno cię skrzywdził.

– Nie jestem jak Annabelle! – Jej policzki czerwienieją pod wpływem gniewu, przez co unoszę rękę w geście poddania.

Jak do tej pory nie idzie mi za dobrze.

– Wiem, że nie jesteś. Po prostu posłuchaj. O czymkolwiek rozmawiałaś z Masonem... cóż, pomyślał, że dobrym pomysłem byłoby odnalezienie twojego ojca, byś mogła poznać jego wersję wydarzeń. Przekonać się, jaki gość zostawia pięciolatkę w barze i dlaczego. Może miał ku temu powód. A może był dupkiem, a twoja matka miała rację, nienawidząc go. Tak czy siak, dobrze byłoby to wiedzieć, nie uważasz? – Wiedza, jaki był mój własny ojciec i, co ważniejsze, kim ja nie jestem, pomogła mi przez ostatnie kilka dni podjąć kilka ważnych, życiowych decyzji. Wliczając w to tę, dzięki której siedzę tu teraz z Reese. – Jack się na to zgodził. Więc w poniedziałek zadzwonili do prywatnego detektywa i poprosili, by się zajął tą sprawą. – Biorę głęboki wdech. – Znaleźli go, Reese. Znaleźli twojego tatę. Okazało się, że mimo wszystko nie było to takie trudne. Wystarczyło wiedzieć, gdzie go zacząć szukać.

Obserwuję, jak krew odpływa z twarzy Reese, aż jej zaróżowione policzki stają się blade, przez co karmelowe oczy wydają się niezdrowo żółte.

– Więc gdzie on jest?! – Warczy Reese, lecz wiem, że to, co brzmi jak gniew, tak naprawdę jest strachem. Jej spojrzenie spoczywa na kopertach w mojej dłoni. Na tych z pieczętką: „zwrot do nadawcy” oraz nigdy niewysłanych.

Wsuwam jedną w jej drżącą dłoń.

Odchrząkuje, powoli otwiera kopertę.

– Były otwierane. – W jej głosie słychać oskarżenie. – Czytałeś je?!

– Nie. – Mason przyznał, że przeczytali je z Jackiem, nie chcąc zrzucić na Reese czegoś, co mogłoby ją zmiażdżyć.

Bierze głęboki wdech i wyciąga pierwszy list, pojedynczą kartkę zapisaną charakterem pisma przypominającym jej własny.

Niewiele mogę zrobić, więc siedzę w ciszy obok niej, podając kolejno koperty.

Obserwuję, jak łzy zaczynają płynąć jej po policzkach.

A kiedy podaję jej żółtą kopertę, tę zawierającą oficjalny raport z urzędowym znaczkiem z przodu, widzę jak nieruchomieje.

Ochryłym głosem pyta:

– Po tylu latach okazuje się, że jestem taka jak ona, prawda?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

REESE

Ben zatrzymuje jettę pod wielką, białą rezydencją żywcem wyjętą z greckiej mitologii, z rzędem kolumn i trzypiętrową fontanną, znajdującą się w centrum okrągłego podjazdu. Mąż Numer Cztery wywodzi się z bogatej rodziny i ma mnóstwo kasy.

– Wygląda przytulnie – zauważa z uśmiechem Ben.

– Poczekaj, aż zobaczysz wewnątrz – mruczę pod nosem. – Przypomina kostnicę. – Dzięki ogromnej przestrzeni bez mebli dom nadaje się również idealnie do urządzenia wielkiego balu charytatywnego.

Drzwi samochodu się otwierają i kamerdyner podaje mi rękę, którą przyjmuję po wygładzeniu dłonią satynowej sukienki. Mason i Lina przywieźli mi ją dzisiaj rano do sadu, więc miałam czas, by przygotować się przed wyruszeniem do Jacksonville. Na szczęście pasuje, jakby została uszyta specjalnie dla mnie. Wnioskując po cenie na metce, którą znalazłam w pudełku, mogło tak być.

Ben obchodzi samochód – w czarnym, połyskującym garniturze, który wypożyczył w ostatniej chwili, wygląda niczym lalka Ken – i służy mi ramieniem. Jest taki seksowny, że w innych okolicznościach szukałabym ustronnego miejsca, by zaciągnąć go tam za krawat.

– Kiedy ostatnio widziałas matkę? – pyta, krocząc obok mnie po schodach, ostrożnie i nieufnie.

– Zaraz po tym, jak poślubiłam Jareda. Mąż Numer Cztery chciał urządzić wielki obiad, by rodziny się poznały.

– To było jakieś...

– Tak, półtora roku temu.

Kręci głową w zdumieniu.

– I jak było?

– Okropnie. Annabelle stwierdziła, że nie będę potrafiła na dłużej zatrzymać przy sobie Jareda, który i tak mnie zostawi.

Teraz wydaje mi się, że wiem dlaczego.

Rozglądam się po ubranych elegancko ludziach, gdy Ben rozmawia z facetem trzymającym listę gości. Nie spuszcza mnie z oka od wczorajszego popołudnia, zajmując mnie różnymi rzeczami i wciąż rozśmieszając. Dziwne, zważywszy na to, że dopiero pochowaliśmy jego ojca. Powinien inaczej się zachowywać.

Wchodzimy do pomieszczenia wypełnionego muzyką, gwarem rozmów i śmiechem – zarówno sztucznym, jak i szczerym. Przepiękne schody ciągną się środkiem na drugie piętro, które jest zamknięte dla gości. Obecnie miejsce to zajmuje zespół skrzypków grających muzykę klasyczną, w tej chwili fotografowanych. Wśród gości poruszają się ubrani w garnitury kelnerzy, z łatwością roznosząc srebrne tace z szampanem i przekąskami.

Mimowolnie zastanawiam się, ile pieniędzy wydano na organizację tego przyjęcia. Pieniądzy, które

mogłyby działać wiele dobrego, gdyby trafiły bezpośrednio na cele dobroczynne. To właśnie cała Annabelle.

Nigdy nie cieszyły mnie te pretensjonalne przyjęcia, wolałam letnie grille w ogrodzie Jacka, na które mogłam przyjść ubrana w jeansy i koszulkę. Chociaż mina Bena, gdy pojawiłam się na schodach Wilmy ubrana w tę suknię – wartą połowę mojego motocykla – była bezcenna.

Ben zatrzymuje kelnerkę i z olśniewającym uśmiechem pyta:

– Przepraszam, gdzie możemy znaleźć panią Donnelly? – To najnowsze nazwisko Annabelle. Ciężko mi za nimi nadażyć.

Młoda kobieta rumieni się, gdy na niego patrzy.

– Zabawia gości w konserwatorium muzycznym.

Ben patrzy na mnie pytająco.

Odpowiadam przewróceniem oczu i sykiem:

– To szklarnia z pianinem pośrodku. – Kelnerka uśmiecha się na moje słowa, choć nie mogę być tego pewna.

Znajdujemy drogę do owego „konserwatorium” – wielkiego, przeszklonego pokoju na tyłach domu, z widokiem na basen o wymiarach olimpijskich. Choć normalnie pokój jest minimalnie umeblowany, dzisiaj pozostawiono tu jedynie czarny fortepian, z daleka pachnący pieniędzmi. To właśnie tu znajdujemy Annabelle otoczoną wianuszkami niezwykle eleganckich ludzi. Promienieje jak zwykle, ubrana w długą, niebieską suknię balową, a jej blada cera wydaje się mlecznobiała przy tych wszystkich żywych kolorach.

Ben ściska mnie lekko w talii, prowadząc ku tej grupce. Walczę z chęcią poprawienia włosów – eleganckiego, nisko upiętego na boku i ukazującego wiśniowe końcówki koka, którego zrobiła mi Elsie.

Ian spostrzega mnie pierwszy. Posyła mi nieufny uśmiech. Nie jestem głupia. Dla niego jestem niezbyt chcianą córką jego eleganckiej żony, która, gdyby ktoś się postarał i poszukał, mogłaby przysporzyć mu wstydu, zwłaszcza przed wyborami. Bóg jeden wie, co Annabelle mu o mnie nagadała. Przynajmniej teraz mam czystą kartotekę.

Annabelle się obraca. Jej wysoka sylwetka w kształcie klepsydry i idealne rysy twarzy sprawiają, że jest oszałamiająca jak zawsze. Nie mogę zaprzeczyć, że nadal taka jest, choć, jeśli się jej dokładnie przyjrzeć – kształtowi jej oczu, cerze bez zmarszczek, okrągłym piersiom – można stwierdzić, że od kiedy widziałam ją po raz ostatni, przeszła wiele operacji plastycznych.

Zimne, lazurkowe oczy taksują moje ciało, moją suknię i fryzurę, Bena stojącego obok mnie. Dostrzegam w nich błysk – zdziwienie?! Triumf?! Podejrzliwość?!

– Nie sądziłam, że przyjdiesz, Reese – mówi omdlewającym głosem, przysuwając się, by cmoknąć mnie w policzek, przypominając kurczaka dziobiącego ziarno. W duchu od razu porównuję jej pocałunki do pocałunków Wilmy – ciepłych, czułych... matczynych.

– Ja też nie sądziłam, że się zjawię – przyznaję. Aż do wczoraj nie miałam ochoty przyjeżdżać.

Ale poznałam całą historię.

Niektórzy mogliby pomyśleć, że konfrontacja z nią akurat dzisiaj jest kiepskim wyczuciem czasu. Jednak ja uważam, że to idealny moment. Przynajmniej będzie trzeźwa. Mogę się założyć, że w jej kieliszku znajduje się czysta woda. Nie ryzykowałaby upicia się na oczach tych wszystkich ludzi.

Przede wszystkim jednak będzie zaniepokojona moją reakcją – przed całą tą publicznością – co nie da jej okazji, by wpaść w szal.

Patrząc na Bena, Annabelle mruży:

– Witam, jestem Annabelle Donnelly. – Wyciąga do niego rękę, jakby spodziewała się, że ją ucałuje.

– Ben Morris. To dla mnie przyjemność – odpowiada, posyłając jej uśmiech z dołeczkami i ściskając jej dłoń. Mimo iż Ben ma czasem niewyparzony język, potrafi czarować kobiety. Nawet teraz Annabelle, nim cofa rękę, szybko przygląda się jego sylwetce, a niewielki uśmiech maluje się na jej wyjątkowo wydatnych wargach. Pełniejszych, niż je zapamiętałam.

– Muszę z tobą porozmawiać – wypalam.

– Oczywiście. Może po balu?

– Nie zostaniemy tak długo.

– Och. Mam nadzieję, że przynajmniej do rodzinnych zdjęć. Dzieci Iana przyleciały specjalnie na tę okazję. Fotograf rozstawia sprzęt w bibliotece. – Dla tych, którzy jej nie znają, Annabelle wygląda na niewzruszoną. Jednak ja widzę, jak pulsują jej żyły po bokach szyi. Jest na krawędzi.

Już macha ręką, chcąc mnie odprawić, ale mówię:

– Znalazłam Hanka.

Wszystko natychmiast zamiera – jej sztuczny uśmiech, sztywne ciało, nawet oddech. Przez dłuższą chwilę Annabelle wygląda jak posąg.

– Przepraszam wszystkich – mówi, ostawiając kieliszek na tacę przechodzącego kelnera, nim powoli, kocim ruchem, przechodzi obok mnie, a jej dziesięciocentymetrowe szpilki stukają po marmurowej posadzce.

– Mam iść z tobą? – szepcze mi Ben do ucha.

– Nie. W porządku.

– Dobrze. Będę w pobliżu, gdybyś mnie potrzebowała – mówi cicho, po czym całuje mnie w skroń i dodaje: – Jesteś tu tylko po to, by porozmawiać.

– Tak – odpowiadam ze spiętym uśmiechem, mając nadzieję, że uda mi się dotrzymać słowa. Wychodzimy z pomieszczenia i kierujemy się w lewo, do cichego korytarza, który został odgradzony od reszty domu. Dla postronnych osób musimy zapewne wyglądać niczym lalki Barbie na wakacjach. Z pewnością nie jak matka i córka.

Annabelle popycha ciężkie podwójne drzwi, wprowadzając mnie do gabinetu Iana, pomieszczenia urządzonego po męsku, z draperiami dosufitu i meblami z ciemnego, wiśniowego drewna, obitymi czarną skórą. Kiedy drzwi zamykają się za nami, dźwięk muzyki i rozmów całkowicie znika.

Jesteśmy tu teraz tylko we dwie: Annabelle i ja.

Odchrząkuje.

– O czym dokładnie chcesz rozmawiać?

Nie ma powodu owijać w bawełnę.

– Wiedziałaś, że tata próbował mnie odnaleźć?

Znów odchrząkuje.

– Założyłam, że w końcu będzie chciał. Nie to, że z nim rozmawiałam po tym, jak nas porzucił.

– Nie, Annabelle. Nie nas. Ciebie! Chciał mnie ze sobą zabrać, bym żyła z nim i z MaryAnn. To tam byliśmy, gdy zgłosiłaś porwanie. Dokładnie wiedziałaś, gdzie jestem. Wiedziałaś, że nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. – Dostrzegam w jej oczach przebłysk bólu, uśmiecham się więc, choć nie z radości. – Myślałaś, że się nie dowiem, co? Na szczęście dla mnie poślubiłaś faceta takiego jak Jack, któremu zależy na mnie na tyle, by zaczął zadawać pytania, nawet jeśli dopiero szesnaście lat

później.

Zwiesza głowę, poświęca chwilę na złapanie oddechu, jej pierś kilka razy wznosi się i opada.

– Co u niego? – pyta w końcu ochrypłym szeptem. – U Hanka?

Gula, którą od wczoraj mam w gardle, daje o sobie znać, ponieważ wiem, że już go nigdy nie zobaczę.

– Jest na cmentarzu w Tallahassee. Jakies osiem lat temu, gdy jechał na harleyu, zepchnął go z drogi kierowca ciężarówki, który nie spojrział w lusterko wsteczne, gdy zmieniał pas.

Moje słowa biją w nią, jakbym uderzyła ją dłonią w twarz. Z jej policzków znika cały kolor, pozostawiając ją pobladłą, z otwartymi ustami.

Kiedy Jack zadzwonił do prywatnego detektywa w sprawie Hanka MacKaya, pracownik agencji rozpoczął poszukiwania od rutynowej kontroli – kartoteki policyjne i nekrologi. Szybko odnalazł raport z sekcji, a także krewnych i konkubinę, MaryAnn Seltzer.

To wszystko brzmi tak prosto.

Hank napisał do mnie kilka listów, licząc na to, że kiedyś je wyśle. Po jego śmierci MaryAnn oddała te listy Bethany MacKay, siostrze ojca. Ciotce, o której istnieniu nie miałam pojęcia, a która mieszka dwadzieścia minut jazdy samochodem ode mnie. MaryAnn miała przeczucie, że dawno zaginiona córka będzie szukała rodziny MacKay.

– Poznałaś tatę w barze w Miami, gdy jego zespół miał tam występ. Zerwał niedawno z dziewczyną. Przyglądałaś się, jak grał na gitarze. A kiedy jakaś dziewczyna chciała się wcisnąć przed ciebie, wylałaś jej na koszulę piwo. Udawałaś, że to przypadek, ale tata widział, że zrobiłaś to celowo. – Uśmiecham się. Ja też bym tak zrobiła, z tą różnicą, że bym tego nie ukrywała. Zrobiłabym to z przyjemnością. – Mówił, że byłaś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. Od razu zaczęliście się spotykać. Kiedy tylko miał okazję, jeździł ponad godzinę do miasta, by się z tobą zobaczyć. A pół roku później, kiedy odkryłaś, że jesteś ze mną w ciąży, pobraliście się. Bez wahania.

Streszczam opowieść, którą ze szczegółami zawierał pierwszy list. Opowiadam o historii, której nigdy nie słyszałam z ust Annabelle. Kiedy to robię, dostrzegam emocje próbujące przedrzeć się przez jej maskę.

– Zamieszkaliście w dwupokojowym mieszkaniu w jego rodzinnym mieście, gdzie pracował jako mechanik w warsztacie ojca. Ty zostałam ze mną w domu. – Wchodzę w głąb pokoju i patrzę na portret Annabelle zawieszony nad kominkiem, na którym ubrana jest w seksowną sukienkę i futerko. – Nie znosiłaś tego. Nienawidziłaś siedzenia z dzieckiem w domu. Byłaś znudzona małomiasteczkowym życiem. Chciałaś się przenieść do Miami, ale Hank nie chciał się na to zgodzić, a tylko on zarabiał na życie. Poza tym miał przejąć warsztat po ojcu. Z tego powodu często się sprzeczałyście. W ogóle za często się kłóciliście. Pewnej piątkowej nocy, gdy miałam trzy lata, zrobiłaś ogromną awanturę, aż sąsiedzi wezwali policję. Hank był tak zły, że wyszedł z domu na kilka godzin. Kiedy wrócił, zastał cię śpiącą na kanapie. A ja siedziałam w kałuży rozlanej wódki i płakałam. Twierdziłaś później, że cierpiałaś na depresję poporodową i że poszukasz pomocy. Po tym wydarzeniu tata zabierał mnie wszędzie ze sobą, do czasu, aż tobie się poprawiło.

Hank dowiedział się od jej rodziców – których najwyraźniej poznał, choć ja ich nie pamiętam – że Annabelle była wychowywana w średniozamożnym domu, gdzie czułość była bezsensowna, za to wizerunek był wszystkim. Zakochała się w moim tacie – wytatuowanym, jeżdżącym na harleyu gitarzyście z klasy robotniczej – który był przeciwieństwem wszystkiego, czego nauczyła się, dorastając. To również dowodzi, że Annabelle kiedyś potrafiła kochać. Potrafiła oddać całe swe

serce.

Tata zaczął przywozić mnie do warsztatu. Wiedział, że to nie jest miejsce dla małej dziewczynki, ale od razu zauważył we mnie zmianę: o wiele częściej się śmiałam i dużo więcej z nim rozmawiałam.

– Ale sprawy nie miały się lepiej. Nadal byłaś nieszczęśliwa, tkwiąc w małym miasteczku i to z dzieckiem, mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Zaczęłaś mu robić o wszystko awantury. Spodziewał się, że kiedyś wróci do domu, a ciebie już nie będzie. – I, jak przyznał w liście, zaczął o tym marzyć. – Wasze drogi się rozeszły. Wtedy tata wpadł na MaryAnn, swoją byłą dziewczynę, z którą umawiał się przed tobą, a która zerwała z nim, kiedy wyjechała na studia. Sprawy między nimi odżyły na nowo. – Obracam się, by spojrzeć w twarz Annabelle. – On cię zdradzał. – Jestem zaskoczona, że nigdy o tym nie wspomniała. Mogłabym pomyśleć, że możliwość obwiniania Hanka MacKaya dałaby jej satysfakcję. Mogłabym również dojść do wniosku, że nie chce ujawnić prawdy, bo byłoby mi przykro w związku z sytuacją z Jaredem. Bardzo podobną sytuacją. Oczywiście, że był to o wiele krótszy związek i nie stworzyliśmy małego człowieka, ale ten rodzaj bólu mógłby dać nam wspólną płaszczyznę. Mogłybyśmy w końcu coś razem dzielić.

Jednak własna duma kazała jej milczeć przez szesnaście lat.

Wydawałoby się, że po tych wszystkich latach i po trzech mężach, Annabelle będzie przynajmniej obojętna. Jednak kiedy dostrzegam jej pełne łez oczy i zaciśnięte zęby, wiem, że jest wręcz przeciwnie.

Na własne oczy widzę, jak bardzo skrzywdził ją mój ojciec.

Kiedy czytałam rachunek sumienia tego, co doprowadziło do rozstania moich rodziców, stało się coś, czego nigdy nie doświadczyłam: zaczęłam współczuć Annabelle.

– Byli razem pół roku, kiedy znalazłaś rachunek za naszyjnik, który jej kupił. Zapytałaś go o to, a on się przyznał i poprosił o rozwód.

Dziwnie się czuję, przechodząc przez historię moich rodziców z kobietą, która ją przeżyła. Spędziła tak wiele czasu, uciekając od tego i ciągnąc mnie za sobą. Teraz nadszedł czas, byśmy obie stawiły czoła przeszłości – sprawom, które nas tutaj doprowadziły.

– Powiedział ci, że przeprowadza się do Tallahassee. MaryAnn odziedziczyła ranczo po dziadkach. Chciał mnie zabrać ze sobą. – Fakt, że tata nie chciał się przeprowadzić, zrezygnować dla Annabelle, matki swojego dziecka, z prowadzenia warsztatu, jednak dla innej kobiety był bardziej, niż chętny porzucić wszystko, najwyraźniej zniszczył Annabelle. Z pewnością zniszczył też mnie.

– W szale wybiegłaś z mieszkania, więc tata wsadził mnie do samochodu i wywiózł na ranczo. Chciał sprawdzić, czy mi się tam spodoba. – Uśmiecham się smutno na wspomnienie gonitwy za kurczakami. Niewiele pamiętam z tamtego weekendu. – Najwyraźniej pokochałam tamto miejsce. I polubiłam MaryAnn. – Mój uśmiech znika. – Po paru dniach, kiedy tata liczył na to, że się uspokoilaś, spakował mnie w drogę powrotną. Pod Gainesville zatrzymaliśmy się na obiad. Właśnie stamtąd zadzwonił do ciebie, a ty mu zakomunikowałaś, że zgłosiłaś porwanie. Że sprawisz, iż pożałuje swojego romansu. – Pojedyncza łza spływa po nieskazitelnym policzku Annabelle. – Niewiele wiedział o porwaniach oprócz tego, że jeśli go złapią, z jego kartoteką zostanie skazany. Zatem spanikował i zrobił jedyną rzecz, jaką potrafił wymyślić. Zostawił mnie w tamtym barze.

Musiałam czytać tę część chyba z pięćdziesiąt razy, by zobaczyć ją nie oczami zdezorientowanej pięciolatki, pozostawionej na pastwę losu, ale z perspektywy przestraszonego, dwudziestoosmioletniego ojca ze złamanym sercem, przerażonego wizją spędzenia wielu lat za

kratkami. Kiedy obserwowałam, jak odjeżdża, myślałam, że wróci. Jednak tego nie zrobił. Zaparkował w odległym końcu parkingu i zgasił światła. I czekał. Przez dwie godziny siedział i obserwował – kurczowo ściskając kierownicę, czując jakby ktoś wrywał mu serce – by się upewnić, że nic złego mi się nie stanie. Kiedy w końcu przyjechał radiowóz i naprzeciw mnie usiadł policjant, ojciec odjechał.

A później żałował tego każdego dnia.

Kiedy tydzień po tym wydarzeniu dziadkowie, na prośbę ich syna, przyjechali się ze mną zobaczyć, nas już nie było. I śladu w postaci kolejnego adresu również.

– Dlaczego?! – O ironio: przez szesnaście lat chciałam zadać to pytanie, jednak dotychczas przeznaczone było dla Hanka MacKaya. Teraz prawdziwej odpowiedzi powinna udzielić mi matka. – Dlaczego wykorzystałaś mnie, by tak go zranić?! Dlaczego nie pozwoliłaś mi mieć ojca, który przez całe moje życie mnie kochał?!

Jasne włosy Annabelle podskakują, gdy kobieta kręci głową, jej ochryply głos jest ledwie słyszalny.

– Bo chciał mi ciebie zabrać, kogoś, komu daliśmy wspólnie życie, do niej. Wiedziałam, że ją polubiłabyś bardziej.

– Ale ty nigdy nie chciałaś być matką, Annabelle! – Walczę, by kontrolować swój głos.

– To nieprawda. Ja tylko... Nie wiedziałam, jak nią być. Jesteś tak bardzo do niego podobna, Reese. – Milknie i zaciska powieki. – Jesteś jak Hank. Lubisz rocka i motocykle. Nie potrafiłam sprawić, byś dłużej, niż przez pięć minut miała na sobie sukienkę. Jesteś tak podobna do ojca. Za każdym razem, gdy na ciebie patrzyłam, gdy dorastałaś, przypominałaś mi o nim. A to mnie niszczyło. – Obejmuje się, jakby nagle zrobiło jej się zimno. – Myślałam, że byłaś zbyt mała, by pamiętać, że o nim zapomnisz. A może, że też będziesz miała do niego żal. – Ociera kolejną samotną łzę. – Ale nie miałaś. Coraz bardziej obwiniałaś mnie.

W ciszy przyglądam się tej kobiecie, po raz pierwszy w życiu widząc ją w innym świetle. Smutnym świetle rozpaczy.

– A ty zapomniałaś o tym bólu, gdy zdradzałaś Jacka? Kiedy zostawiłaś Barry’ego dla Iana? – W moim głosie nie ma złości. Już i tak znam odpowiedź, a to, że zwiesza głowę, tylko to potwierdza.

Annabelle nie pozwoliła sobie nikogo pokochać, odkąd zostawił ją Hank MacKay. Jacka... Barry’ego... nawet Iana. Wszyscy to substytuty – udani mężowie, potrafiący wypełnić pustkę we wszystkich aspektach jej życia, poza jednym. Jej sercem.

Wypuszczam powietrze, które wstrzymywałam w płucach i nagle wszystko staje się znośniejsze. Przyjechałam tu dzisiaj, by wyłożyć kawę na ławę. Jednak nie dlatego, iż liczyłam na poprawę naszych relacji. Nigdy nie będziemy blisko z Annabelle. Ale dzięki temu rozumiem dlaczego. To nie moja wina. Nic nie mogę zmienić. Mogę się jedynie starać, by nie skończyć jak zgorzkniała kobieta, którą ona się stała.

Kiedy przeczytałam pierwszy list – ten z pieczętką „zwrot do nadawcy” – zawierający opowieść o tym, jak moi rodzice okrutnie się ranili, spanikowałam, a mój własny los stanął mi przed oczami.

Później uświadomiłam sobie, że nie jestem do niej podobna. Trochę ją przypominam, jednak gdybym poszła z Jaredem do jego mieszkania, dokończyła to, co zaczęłam, zraniła jego i Caroline, byłabym zupełnie taka jak ona.

Tylko że gdzieś po drodze znowu zaczęło mi zależeć. Może nawet się zakochałam. Nieświadomie, niespodziewanie, zadurzyłam się w Benie.

A teraz chcę z nim być.

– Proszę. – Podaję jej kopertę.

Patrzy na nią nieufnie.

– Co to?!

– Być może zakończenie dla ciebie. – Poza pierwszym listem, reszta przypominała bardziej wpisy w pamiętniku, w których Hank MacKay mówił o tym, co go uszczęśliwiało: synu z MaryAnn, ich skromnym domu, ciężarówkach, które remontował i sprzedawał. Pisał również o tym, czego żałował: o zdradzie Annabelle, poślubieniu jej, gdy był młody, głupi i zakochany w kim innym. Jednak najbardziej tego, że mnie porzucił.

Ostatni list był od MaryAnn. Pisała, że Hank kontaktował się z prawnikiem, by wyjaśnić ryzyko związane z listem gończym. Ten stwierdził, że chociaż mógłby doprowadzić do umorzenia w kwestii porwania, sprawa porzucenia własnego dziecka zakończyłaby się wyrokiem skazującym. Hank rozważał, czy samemu nie zgłosić się na policję, w nadziei na to, że w ten sposób łatwiej będzie mu mnie odnaleźć.

Wśród tych listów były szczere przeprosiny dla Annabelle. Okaże się, czy wystarczą, by stopić ochronną warstwę lodu na jej sercu. Zostawiam ją z tym, jedyną rzeczą, która może otworzyć jej oczy.

I idę szukać tego, który otworzył moje.

Znajduję go w wielkim foyer, z szaszłykiem w dłoni, otoczonego trzema kobietami ubranymi w balowe suknie Kopciuszka. Najstarsza z nich zapewne nie jest jeszcze pełnoletnia, a mimo to wszystkie potrafią zalotnie machać rękami.

Wślizguję się między nie i łapię Bena za rękę.

– Gotowy do wyjazdu, czy chcesz spędzić jeszcze trochę czasu z tymi podlotkami?

Jego uśmiech nawet na moment nie gaśnie.

– Przepraszam panie. Wróciła szefowa. – Ostatnią rzeczą, którą widzę, są ich nadąsane miny, gdy wyciągam Bena z domu, nie dając mu nawet szans, by zostawił resztki jedzenia na tacy przechodzącego kelnera.

Wręcza bilet parkingowy facetowi z obsługi, po czym przyciąga mnie do swojej piersi.

– Lepiej się czujesz?

Wzdycham.

– Jeszcze nie, ale będę. – Jeszcze się z niczym nie pogodziłam. Jak na tę chwilę nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze stanę twarzą w twarz z Annabelle.

– To dobrze.

Nigdy nie użyłam słowa „olśniewający” w stosunku do osoby. Jednak w tej chwili, patrząc na blondyna w garniturze, dołeczki na jego policzkach i błyszczące niebieskie oczy, określenie to jest jedynym, jakie przychodzi mi do głowy. I nie tylko z powodu jego fizycznej urody. Wszystko w nim jest piękne. Nawet jego wielkie, niewyparzone usta.

– Możemy już iść? Czy czujesz potrzebę wywołania na zakończenie jakiegoś chaosu w stylu Reese?

Przyciskam policzek do jego piersi, by posłuchać bicia jego serca i się uśmiecham.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Patrzę na tandetną fontannę z posągami greckiej bogini – stojącym w centrum niewielkiego basenu, otoczonym wysokimi na metr, podświetlonymi na niebiesko kaskadami wody.

Nagle pytam:

– Jak myślisz, jak zimna jest ta woda? – Choć na Florydzie jest ciepły listopad, wieczory bywają chłodne.

– Myślę, że skurczą się od niej jaja.

– Chcesz się założyć? – Nie dając mu szans na odpowiedź, wrywam się z jego objęć, zbiegam ze schodów, zrzucając z nóg błyszczące szpilki i porzucając je na stopniach. Zerkam po raz ostatni na Bena, który szczerzy się w uśmiechu i kręci głową, siadam na brzegu baseniku, podwijam sukienkę i obracam się, by wskoczyć do wody.

– Nie jest taka zła! – kłamię, szcękając zębami. Brodzę w niej po kolana, aż stoję obok posągu. – Co myślisz? To źródło młodości Annabelle? To Afrodyta? Powinnam ją błagać o młodzieńczy wygląd?

Kilka osób z obsługi oraz gości przygląda mi się z mieszanką szoku i rozbawienia.

Ben podchodzi do mnie, trzymając w ręce moje buty.

– Nie. Nic nie powinnaś w sobie zmieniać.

– Ale myślę, że ty mógłbyś – droczę się, puszczając do niego oko. – Dlaczego tu nie przyjdiesz?

Odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem.

– Nie ma mowy!

– Mięczak.

Przez chwilę mi się przygląda, powoli przeciągając językiem po zębach, jakby się nad czymś zastanawiał.

Po chwili ściąga buty, rzuca marynarkę na ziemię i wskakuje do fontanny.

– Sprawię, że pożałujesz tego słowa – ostrzega z determinacją, zmierzając w moją stronę, sunąc po pas w wodzie. Szybko zmykam z mojego miejsca, starając się mu uciec, klucząc między wystrzeliwującymi z fontanny kaskadami wody, jednak Ben jest szybszy i natychmiast porywa mnie w objęcia.

– Nie mam ubrania na zmianę! – przypominam z piskiem.

– Ja też nie, ale nalegałaś, więc zgaduję, że czeka nas interesująca podróż do domu, co?

Kątem oka widzę, że na schodach tworzy się spory tłumek gapiów i zaczynają błyskać lampy aparatów, z pewnością należących do zaproszonych dziennikarzy. Jeśli Ben też je widzi, nie przejmuje się tym. A może właśnie dlatego bierze mnie na ręce.

– Gotowa?!

– Nie! – krzyczę ze śmiechem i łapię go mocno za szyję. – Nie waż się mnie wrzucać do tej wody! Jest cholernie lodowata!

Dziwny błysk pojawia się w jego niebieskich oczach.

– Mam cię nie wrzucać? Reese, powinnaś już wiedzieć, że nigdy bym tego nie zrobił. – Jedną ręką przyciąga moją głowę do siebie, by na oczach tych wszystkich gapiów złożyć na moich ustach wysoce niestosowny pocałunek.

Po czym biegnie przez wystrzeliwujące z basenu strumienie wody, mocząc nas oboje.

EPILOG

BEN

– Cholera, nie mogę się doczekać, aż pozbędę się tego krawata – marudzę pod nosem, wciskając palce pod kołnierzyk. Już jestem mokry pod marynarką. Kiedy tylko zakończą się zdjęcia, rozbiorę się do naga, jeśli tylko będę miał ku temu okazję.

– Przestań narzekać. Jest maj. Mogła wybrać lipiec – przypomina mi Jake, po czym dodaje pospiesznie, ocierając czoło: – Wszyscy cierpią podobnie.

Szybki rzut oka na Roba i Josha potwierdza, że oboje mają pot na twarzach. Cała nasza czwórka stoi w cieniu najstarszych dębów na całej parceli, zwrócona twarzami w kierunku rzędów białych krzeseł, na których siedzą rodzina i przyjaciele. Prowizoryczny ołtarz – brama ozdobiona kwiatami pomarańczy – znajduje się tuż obok nas.

Wdychanie tego zapachu mnie uspokaja.

– Wiele wyremontowaliście od Bożego Narodzenia – mówi Rob, patrząc na wielki, biały budynek w tle.

– To była spora polisa. Wystarczyło na najważniejsze naprawy. – Kiwnięciem głowy wskazuję najstarszego brata. – Josh wiele zrobił. – Krótco po śmierci ojca, Josh rzucił pracę i przeniósł się, by zamieszkać z mamą. Pieniądze ze sprzedaży maszyn stolarskich wystarczają na pokrycie alimentów na jego dzieci. On w zamian za to pomaga tutaj, jak może, przekształcając warsztat ojca w pakownię owoców, by zminimalizować koszty produkcji. W ubiegłym tygodniu świętował rok w trzeźwości i choć Karen nie jest gotowa, by pogodzić się z nim w najbliższym czasie, przyjechała na ślub z dwójką ich dzieci.

Muszę przyznać, że gdy obaj jesteście już dorośli, dogaduję się z bratem lepiej, niż gdy byliśmy dziećmi. Zaczynam doceniać jego cichy sposób bycia i sędzę, po uśmieszkach i chichotach, że on też docenia mnie takim, jaki jestem.

– Już prawie czas! – mówi mama, spiesząc w naszą stronę z trzymiesięcznym wnuczkiem w ramionach. – Chcesz zobaczyć tatusia, Jake’u juniorze?

– Nie mogłeś być bardziej oryginalny, co?! – drwię, patrząc na malucha w miniaturowym garniturku, całym pokrytym śliną. Dobra, przyznaję, to słodkie. Byłby nawet słodszy, gdyby tyle nie płakał.

– Zamknij się – cicho rzuca do mnie Jake, pochylając się, by pocałować synka w czoło.

– Cicho! – karci nas mama, tuląc Jake’a juniora do piersi.

Jednak jeszcze nie skończyłem. Drażnienie brata jest zbyt zabawne.

– Lekarz powiedział wam, kiedy reszta jego ciała urośnie do wielkości jego głowy? – Obserwuję, jak biedny dzieciak walczy, by ją podnieść. – A może zawsze już będzie wyglądał, jakby miał balon na szyi?

Ledwie udaje mi się zablokować cios Jake'a.

– Znów się nabija z balonowej głowy?!

Na dźwięk głosu Reese moje serce pomija uderzenie. Obracam się na czas, by dostrzec, jak idzie po trawie, a stara, niebieska gitara elektryczna zwisa jej z ramienia. Patrzę na nią, szczególnie w głęboki dekolt jej sukienki, ujawniający cycuszki, którymi bawię się przy każdej nadarzającej się okazji. Suknia jest długa, sięga do ziemi. To trochę denerwujące. Naprawdę lubię widok jej nóg. Jednak gdy się obraca i widzę jej odsłonięte plecy, myślę, że ten widok wynagradza wszystko.

– Myślałem, że na ślubie nie możesz być ubrana na biało?

Wzrusza ramionami.

– Mogę, jeśli panna młoda tego sobie zażyczyła.

– Rita wybrała ci tę sukienkę? Bo jeśli tak...

Na jej ustach – dziś pomalowanych na czerwono – pojawia się szeroki uśmiech.

– Podoba ci się?

– Tak. Właściwie... – Przysuwam się, obejmuję ją i przyciągam do siebie, by złapać za tyłek, który tak uwielbiam.

– Benjaminie! – Mama szturcha mnie w ramię. – Nie przed gośćmi. – Wzdycham ciężko z irytacją i mamrocę pod nosem:

– Poważnie?!

– Tak, Benjaminie. Poważnie. – Karmelowe oczy Reese błyszczą, gdy dziewczyna odsuwa się ode mnie i podchodzi do mikrofonu. Wnioskując z tego, co przed chwilą poczuła, musi wiedzieć, że zaciągnę ją na poddasze, do naszego weekendowego mieszkanca, gdy tylko sesja fotograficzna dobiegnie końca.

– Uwielbiam kwiaty pomarańczy – mówi, uśmiechając się do mamy. – Ładnie wyglądają.

– Zrobimy taką samą bramę dla ciebie i Bena.

Odchrząkuję głośno, obdarowując mamę morderczym spojrzeniem, jednak ona go nie widzi, skupiona na wnuku. Reese odrzuca głowę i śmieje się głośnym, gardłowym śmiechem.

– Ale tylko gdy przyczepisz te kwiatki do relingów buggy, ponieważ właśnie nim mam zamiar pojechać do ołtarza. – Puszczą do mnie oko, przez co wiem, że się droczy. Dzięki Bogu. Wcale mi się nie spieszy do ożenku. Wiem, że jej też nie. Dobrze nam tak, jak jest teraz.

– Ile to jeszcze zajmie? – zrzędzę pod nosem, ciągnąc za kołnierzyk, kiedy podchodzi do nas Jack ze szklanką lemoniady.

– Reese, pięknie wyglądasz, nawet z tym gratem przewieszonym przez ramię. – Pochyla się i całuje Reese w policzek, po czym obraca się do mamy. – Proszę, Wilmo.

– Dziękuję, Jack – odpowiada ze skromnym uśmiechem.

I... czekajcie, czy ja dobrze widzę? Moja mama się rumieni?

Na moim czole pojawia się głęboka bruzda, gdy przenoszę spojrzenie na Jake'a, który, zbyt zajęty swoim balonogłowym synem, na nic innego nie zwraca uwagi. Patrzę więc na Reese, która gapi się na swojego ojczyma i moją mamę, uśmiechając się tajemniczo, jakby o czymś wiedziała.

– Fuj, do diabła, nie! – Mój wybuch skupia na mnie uwagę wszystkich. Mama nagle przybiera zatroskaną minę.

– Co się stało, synku?

– To się stało, że mam restrykcyjną politykę wobec ojczyma mojej dziewczyny robiącego maślane oczy do mojej mamusi!

Policzki mamy przybierają kolor oberżyny, który pasuje do jej sukienki. Gdyby nie miała na rękach dziecka, myślę, że w tym momencie by mi wlała, centralnie przed ołtarzem mojego brata. *Cholera, mam to gdzieś, ale Jack i mama?!*

Josh prycha. Jake i Rob śmieją się głośno. Nawet Reese nie potrafi się powstrzymać. I w końcu wszystko staje się jasne. Zirytowany wyrzucam ręce w górę.

– Tylko ja o tym nie wiedziałem?!

– Jak ty w ogóle zdałeś egzaminy, stary? – Szturcha mnie Jake.

Mama przewraca oczami i odwraca się, by odejść, jednak najpierw zauważam, że puszcza Jackowi oko. *Jasna dupa! Nie miałem pojęcia.* Jack i Mason jeździli tutaj, by pomagać przy zbiorach. Mama zaprosiła ich też na święta Bożego Narodzenia. I na Wielkanoc.

Myślałem, że podoba im się sad!

– Cóż, wydaje mi się, że byłeś zbyt zajęty beczelnym ignorowaniem mojej polityki w firmie, by to zauważyć – mówi Jack.

– A tam zaraz „beczelnym” – mamroczę. *Kurwa. I tu mnie ma.*

Jack ściąga szpakowate brwi.

– A nie? Może powinniśmy zapytać Masona.

– Ostrzegałam cię, że Jiminy Świerszcz za dużo gada – mruczy Reese, poprawiając sobie stojak mikrofonu. Jej policzki też nabrały koloru.

– Eee... – Nie jestem pewien, jak na to odpowiedzieć. Byliśmy naprawdę dobrzy, szanując Jacka i trzymając nasz związek z dala od biura. Reese pracowała z Natashą, a ja samodzielnie, wykorzystując do pomocy innych asystentów. Właściwie jestem pewien, że nikt się nie domyśla. A może wszyscy wiedzą i tylko sami siebie oszukujemy.

Poza jedną nocą – kilka tygodni temu, kiedy to pracowaliśmy do późna, a ja musiałem urzeczywistnić fantazję dotyczącą Reese i mojego biurka, która od miesięcy tkwiła w mojej głowie – w firmie trzymaliśmy ręce z daleka od siebie.

Tak przy okazji, co, u licha, robił Mason w pracy po północy?

Jestem pewien, że drugi raz nie zrobi tego bez uprzedniego telefonu.

– To co? Jesteśmy kwita? – pyta Jack z uśmiechem, po czym idzie zająć miejsce.

Zwieszam głowę, nie potrafiąc się nie śmiać, a w tym samym czasie telefon Reese informuje o nadejściu wiadomości od Elsie.

– Już czas! – ogłasza, w roztargnieniu rzucając telefon pod nogi. Gwarantuję, że o nim zapomni i będzie go potem na gwałt szukała. Zaczyna grać na gitarze pierwsze nuty. Kiedy otwiera usta i wychodzą spomiędzy nich słowa śpiewane głębokim, ochrypłym głosem, Jake znów musi szturchnąć mnie w bok, bym się odwrócił do ołtarza. Patrząc w tamtym kierunku jakieś pięć sekund, nim całą uwagę kieruję z powrotem na Reese.

Chyba nigdy nie znudzi mi się słuchanie jej śpiewu. Lub tego jak mówi. Lub śmieje się, żartuje czy droczy. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę miał dość budzenia się obok niej o poranku i rozbierania jej wieczorem, bo do tej pory tak się nie stało. Właściwie jest wręcz odwrotnie. Jeszcze bardziej jej pragnę. Nigdy nie sądziłem, że mógłbym pragnąć kogoś tak bardzo. Nigdy nie sądziłem, że mógłby czuć coś więcej.

Po prostu do mnie pasuje. Tak idealnie.

Mam niejasną świadomość, że do ołtarza zbliżają się jacyś ludzie. Zapewne powinienem zwrócić uwagę na pannę młodą.

Jednak jestem zbyt zajęty gapieniem się na moją Reese.

PODZIĘKOWANIA

Pisanie tych podziękowań ma słodko-gorzki smak. Półtora roku temu skończyłam *Dziesięć płytkich oddechów*. Drugoplanowe postacie w tej książce były po prostu drugoplanowe – ludzie mający własne życia i historie, którzy jednak nie liczyli się tak, jak główni bohaterowie.

Aż poprosiliście, bym i o nich napisała.

Pięć sposobów na upadek to ostatnia planowana w serii książka.

Dobrze się bawiłam przez ostatni rok i mam nadzieję, że Wy także, widząc, jak postacie z *Dziesięciu płytkich oddechów* (a przy okazji nowe osoby) nabierają kształtów. Mam wrażenie, że moja kariera jako autorki nabrała życia wraz z nimi i chciałabym podziękować za to wielu ludziom.

Przede wszystkim moim czytelnikom – Wasze wiadomości, tweety i posty zawsze są mile widziane. Mówicie, że Wasza siostra/córka/przyjaciółka/kuzynka/mama czyta tę serię, a ja dosłownie rozpląwam się w duchu. Bez Waszego czytania i polecenia nie byłabym w stanie niczego takiego osiągnąć. A przynajmniej nie tak wiele.

Dziękuję blogerom (moim czytelnikom na sterydach) – za każdym razem, gdy mamy okładkę, premierę, trasę promocyjną i słyszę od Inkslinger PR, jak wielu z Was to interesuje, ilu z Was prosi o możliwość wzięcia w tym udziału, jestem zdumiona. Ciągłe się zastanawiam: „Dlaczego ci wspaniali ludzie nadal chcą mi pomagać?”. A wtedy sobie przypominam... Ponieważ niesamowicie hojnie dzielicie się ze mną swoim czasem i pasją.

Specjalne podziękowania dla drużyny promującej *Pięć sposobów na upadek* – mojej pierwszej drużyny promującej! – za uwielbienie, wsparcie i emocje, dzięki którym ta książka została wydana: Michelle Kampmeier, Megan Toffoli, Autumn Thibault, Jennifer Harried, Lori Wilt, Kathryn Grimes, Bianca Janakievski, Jessice Hurtado, Christine z I Heart Big Books, Natalie Gomes, Rachael MacDonald, Nicole Martin, Leah Smith, Samancie Sideslinger, Holly Baker, Emily Kyle-Cooper, Jenn Benando, Lisie McCarthy, Carol Evans, Katie Pruitt-Miller, Jessice Sotelo, Belli Colella, MJ Fryer, Katie Murphy i Denise Sprung.

Dziękuję Candice S. Ly, zwyciężczyni konkursu na tytuł: *Pięć sposobów na upadek*. To idealny tytuł dla książki i mam nadzieję, że będzie Cię cieszył na półkach księgarń tak samo jak i mnie.

Dziękuję Jessice Lynn za imię dla matki Reese. Gdybyś nie podrzuciła mi „Annabelle”, nie mogłabym zrobić z niej „Annabelle Lecter”, a to jest, cóż, czystym geniuszem.

Dziękuję Heather Self, znanej jako The Self, za Twoją nieocenioną opinię, kiedy zmagalam się z dokończeniem pierwszego rozdziału. I drugiego rozdziału. I trzeciego rozdziału... Godzinami wysłuchiwałaś mojego zrzędzenia przez telefon, chociaż nic, co Ci wtedy mówiłam na temat akcji, nie znalazło się w książce. Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

Dziękuję Autumn Hull za czytanie moich książek (nawet jeśli o to nie proszę, bo nie cierpię prosić) oraz za pierwszorzędne komentarze. I za to seksowne nazwisko panińskie.

Dziękuję K.P. Simmon i agencji Inkslinger PR za całą tę niezapomnianą podróż (tłumaczenie: za pomoc w ogarnięciu Western Union, gdy tkwiłam sama w innym kraju, i zapoznanie mnie z Chick-fil-A). Świetnie zajmujesz się książkami, promocją i innymi rzeczami. Naprawdę wieloma rzeczami.

Dziękuję Stacey Donaghy z Donaghy Literary Group, najlepszej agentce na całym świecie. Czasami zastanawiam się, jakim cudem udaje mi się cokolwiek napisać, jeśli cały swój czas spędzam na śmianiu się z Tobą.

Dziękuję Sarah Cantin za niespisanie mnie przy tej książce na straty, kiedy to wróbelki ćwierkały w mojej głowie. Ben i Reese dziękują za naprowadzenie na właściwe tory.

Dziękuję wydawcy, Judith Curr, i załodze Atria Books: Benowi Lee, Valerie Vennix, Kimberly Goldstein i Alyshii Bullock za przekazanie kolejnej pięknej książki w ręce czytelników. To już czwarta!

Dziękuję Paulowi, Sadie i Lii oraz moim przyjaciółom i rodzinie za wsparcie. Nieustające.

Emma Chase

seria *Tangled*



**SEKSOWNA, ZABAWNA,
BŁYSKOTLIWA... GENIALNA!**

Zaplątani

Zakręcenii

Zniewolenii

Związani

FILIA

Emma Chase

NOWA SERIA

THE LEGAL BRIEFS

W przygotowaniu!

FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY: REESE

ROZDZIAŁ DRUGI: BEN

ROZDZIAŁ TRZECI: REESE

ROZDZIAŁ CZWARTY: BEN

ROZDZIAŁ PIĄTY: REESE

ROZDZIAŁ SZÓSTY: BEN

ROZDZIAŁ SIÓDMY: REESE

ROZDZIAŁ ÓSMY: BEN

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY: REESE

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY: BEN

ROZDZIAŁ JEDENASTY: REESE

ROZDZIAŁ DWUNASTY: BEN

ROZDZIAŁ TRZYNASTY: REESE

ROZDZIAŁ CZTERNASTY: BEN

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY: REESE

ROZDZIAŁ SZESNASTY: BEN

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY: REESE

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY: BEN

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY: REESE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY: BEN

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY: REESE

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI: BEN

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI: REESE

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY: BEN](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY: REESE](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY: BEN](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY: REESE](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY: BEN](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY: REESE](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY: BEN](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY: REESE](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI: BEN](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI: REESE](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY: BEN](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY: REESE](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY: BEN](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY: REESE](#)

[EPILOG: BEN](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

